

204 350 60
POLSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE
ODDZIAŁ W ŁODZI

JÓZEFA OXIŃSKIEGO WSPOMNIENIA

Z POWSTANIA POLSKIEGO 1863/64 ROKU

ODBITKA Z ROCZNIKA 1939

ŁÓDŹ 1939

POLSKIE TOWARZYSTWO HISTORYCZNE
ODDZIAŁ W ŁODZI

JÓZEFA OXIŃSKIEGO WSPOMNIENIA

Z POWSTANIA POLSKIEGO 1863/64 ROKU

ODBITKA Z ROCZNIKA 1939

ŁÓDŹ 1939



ODBITO W „DRUKARNI POLSKIEJ“ LUDOMIRA MAZURKIEWICZA I S-KI,
SPÓŁKA Z OGR. ODP. W ŁODZI, ULICA KILIŃSKIEGO 93, TELEFON 214-64

TREŚĆ

	Str.
Przedmowa wydawców	157
Rozdział I. Styczeń, luty, marzec, kwiecień. Na czele pierwszej partii powstańczej w województwie kaliskim	165
Rozdział II. Kwiecień (druga połowa), maj, czerwiec. Na czele sił zbrojnych powiatów piotrkowskiego i wieluńskiego	247
Rozdział III. Lipiec, sierpień. Z kawalerią Taczanowskiego	284
Rozdział IV. Wrzesień, październik, listopad, grudzień. Na czele or- ganizacji wojskowej powiatów kaliskiego i konińskiego	323
Ilustracje:	
Podobizna autora i podpis z czasów powstania po	160
Autograf wspomnień (część str. 50)	161
6 szkiców sytuacyjnych autora . . . 182, 183, 214, 216, 218, 260	
Podobizna autora (ok. 1900 r.) po	360
Stan służby autora (str. 1 i 2) po	368
Mapa województwa kaliskiego w 1863 r. po	380

PRZEDMOWA WYDAWCÓW

Józef Oxiński h. Oksza urodził się dnia 19 marca 1840 r. w Płocku z ojca Tomasza i matki Ludwiki z Szultzów. Kształcił się w szkole agromonomicznej w Marymoncie i odbył praktykę rolną. Wcześniej wszedł do spisku i wyjechał za granicę. Dnia 16 grudnia 1861 roku wstąpił do polskiej szkoły wojskowej w Genui, potem w Cuneo, gdzie przebywał do zamknięcia tej uczelni w końcu sierpnia 1862 roku. Po powrocie do kraju rzucił się w wir przygotowań powstańczych. W połowie stycznia 1863 roku mianowany porucznikiem, organizuje niebawem w lasach rososzyckich pierwszy oddział powstańczy w Sieradzkim i na jego czele przebiega powiaty województwa kaliskiego, ściągany bezskutecznie przez garnizony rosyjskie z Kalisza, Sieradza i Wielunia. Od 25 lutego do 5 marca jest w ciągłym ogniu, ponosi duże straty, ale wychodzi z opresji obronną ręką. W końcu kwietnia mianowany kapitanem, obejmuje dowództwo powstania w powiecie piotrkowskim i do sił zbrojnych tego powiatu wciela swoją uszczuploną w marszach garść „weteranów“. W maju na czele dużego lecz niedostatecznie uzbrojonego oddziału stacza swe największe bitwy — pod Rychłolicami i Koniecpolem. W końcu maja awansowany na majora, obejmuje dowództwo także nad powiatem wieluńskim. Jest wtedy jednym z głośniejszych partyzantów. Atakowany energicznie przez Moskali, zwłaszcza przez gen. Czengerego, usiłuje stawić im opór. Po niefortunnej bitwie pod Przedborzem w końcu czerwca załamuje się i po tygodniu rozpaczliwych prób zapanowania nad sytuacją — rozpuszcza oddział, a sam oddaje się do dyspozycji swego zwierzchnika, generała Taczanowskiego. Odtąd przez lipiec i sierpień jest oficerem bez przydziału i w charakterze wolontariusza bierze udział w marszach i bojach kawalerii Taczanowskiego; urlopowany po bitwie pod Sędziejowicami — nie uczestniczy w marszu brygady pod Częstochową i w tragicznej bitwie kruszyńskiej. Od września 1863 r. do końca lutego 1864 roku jest organizatorem sił zbrojnych w powiatach kaliskim i konińskim. Na ciągłym wędrowaniu po rozległym terenie i wizytowaniu małych oddziałów, których koncentracji nie mógł

przeprowadzić, upływają mu ostatnie miesiące 1863 roku. Rozłożwszy ocalałe kompanie na leżach zimowych, przygotowuje powstanie na wiosnę 1864 roku. W marcu i kwietniu działa w Poznaniu jako organizator wojskowy województwa średzkiego. Dnia 23 kwietnia 1864 roku aresztowany przez Prusaków, więziony był w Kościanie. W końcu listopada 1864 roku odstawiony do granicy belgijskiej i uwolniony — znalazł się na emigracji i osiadł w Paryżu.

Dwudziestoczteroletni major, rewolucjonista z grona czerwonych „cuneończyków“, wstrząśnięty do głębi przeżyciami ostatniego roku i ciężko chory fizycznie, nie upadł na duchu. Szybko odzyskał zdrowie i siły, a w ciągu 6 lat pobytu we Francji ukończył szkołę nauk politycznych i wydział budowy dróg i mostów na politechnice. Około 1872 roku wraca do Polski, przebywa początkowo w Krakowie, a potem osiada na długie lata w Nowym Sączu, jako inżynier powiatowy i zastępca inżyniera okręgowego z ramienia Wydziału Krajowego. Raz jeszcze, na krótko, angażuje się politycznie: współpracuje z ks. Adamem Sapiehą w czasie konfliktu rosyjsko-tureckiego. W Nowym Sączu bierze udział w pracy społecznej, współżyje z miejscową inteligencją i ziemiaństwem. Pociąga go rolnictwo: dzierżawi folwark w okolicy i nabywa podmiejską posiadłość. W roku 1876 zawiera związek małżeński z 18-letnią Ludwiką Węckowicz, ziemianką z Litwy; po 7 latach szczęśliwego pożycia umiera mu żona, pozostawiając trzy córki. Oxiński jest już wtedy inwalidą: w roku 1878 miał atak apoplektyczny, po którym wrócił do sił, ale zawsze już powłóczył nogą i stracił cechujący go niezwykle blask oczu. Dalsze lata życia potoczyły się zwyczajnie: wychowanie dzieci, praca zawodowa w terenie, a potem przez szereg lat przy biurku w centrali Wydziału Krajowego we Lwowie, wreszcie schyłek życia na emeryturze, przy coraz gorszym zdrowiu i samopoczuciu. Długie lata tego okresu życia oświetliły mu serdeczne stosunki z przyjaciółmi — Wojciechem Biechońskim i Stanisławem Szachowskim, a także zażyła znajomość z Gustawem Reuttem, Kazimierzem Jankowskim, Bronisławem Szwarcem, O. Bandysem T. J. oraz z Ignacym Maciejowskim i Adamem Asnykiem. Dnia 13 listopada 1908 roku umiera na zapalenie płuc. Spoczywa we Lwowie na wzgórzu powstańców 1831 i 1863 roku.

Jako emeryt, w 40 lat po powstaniu, przystąpił Józef Oxiński do pisania pamiętnika. Pisał go szybko i całkowicie ze wspomnień, posługując się tylko mapami. Opowieść obejmuje czas od połowy stycznia do końca grudnia 1863 roku. Niestety, autor nie doprowadził swego dzieła do końca: nie opisał prób wznowienia kampanii wiosną

1864 roku i swego w tej akcji udziału. Dał nam jednak obszerną relację o swych działaniach w roku 1863, żywą, obrazową i składną, świadczącą o dużej pamięci, obciążoną wszystkimi uprzedzeniami politycznymi, ironią często nieuzasadnioną i gniewem nie zawsze słusznym, relację niezmiernie ciekawą, przedstawiającą wybitnego powstańca, jakże młodego i jakąż ponad wiek i doświadczenie obciążonego odpowiedzialnością.

Wyjątki tego opracowania opublikowane zostały w księdze p. t. „W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego“, Lwów 1903 r. (obóz w Miedznie i bitwa pod Kuźnicą Grabowską), ale całość pozostała zupełnie nieznaną, niejako w ukryciu. Główną przyczyną takiego stanu rzeczy była niewątpliwie drastyczność relacji, jej swoisty, niekiedy przykry ton i młodzieńcza zaczepność, a nade wszystko niektóre niesprawiedliwe sądy (naprz. o Romualdzie Traugucie). Na kartach pamiętnika autor rozprawia się często z niewymienianymi adwersarzami, którzy byli o nim krytycznego mniemania. Są tych mniemań liczne ślady w literaturze pamiętnikarskiej 1863 roku¹).

Dla dziejów powstania styczniowego w województwie kaliskim wspomnienia *Józefa Oxińskiego* stanowią ważną pozycję, wymagającą, jak każdy pamiętnik, krytycznych studiów i wielostronnych konfrontacji z innymi źródłami, ale niezbędną i bodaj podstawową.

Za zgodą córki autora, w której posiadaniu znajduje się rękopis²), publikujemy pełny tekst pamiętnika starannie odczytany i zaopatrzony w indeks osób i miejscowości, a uzupełniony aneksami: notatką autora zawierającą itinerarium pierwszej partii i jego „stanem służby“ podpisanym przez płk Eugeniusza Dębowskiego dnia 28 grudnia 1864 roku w Paryżu. Pisownia autora została unowocześniona, natomiast styl, czasem nieprawidłowy, pozostawiony bez zmian; jedyną korektą wydawców w tym względzie jest zastąpienie kilkudziesięciu imiesłów takimi formami gramatycznymi, które pozwoliły uprościć zbyt długie i zawile zdania. Od wydawców pochodzi także podział całości na 4 części zaopatrzone w tytuły. Publikację przyozdabiamy podobiznami autora z 1863 roku (ze zbiorów Muzeum Narodowego we Lwowie nr 564) i z lat podeszłych (własność córki) oraz pomniejszoną

¹) Zacytować tu można dla przykładu jedną z najwcześniejszych pozycji: Walerego Przyborowskiego (Z. L. Sulimy) — Wspomnienia ułana z 1863 roku, część I, Poznań 1874, oraz jedną z najpóźniejszych: Henryka Huberta — Kartki ze wspomnień powstańca, *Przegląd Współczesny*, 1939 z. VI.

²) Zeszyt oprawny in folio rozmiaru 34,8 × 22 × 1,5 cm, stronice numerowanych 192 i 1 notatka przy str. 52 na oddzielnej kartce. Na marginesach 6 odręcznych szkiców sytuacyjnych.

reprodukcją stanu służby (także własność córki). Wreszcie zaopatrujemy tekst w mapę terenu działań wojennych autora, sporządzoną według mapy „Zarządu Ober-Kwaternistrza Wojsk w Królestwie Polskim 1863 roku, podziałka 1:504.000“.

Ogłoszone w czasopiśmie naukowym — służyć mają wspomnienia czerwonego partyzanta przede wszystkim historykom powstania styczniowego. Ale stwierdzić tu należy, że Oddział Łódzki P. T. H. uważa niniejszą publikację za spłatę długu wdzięczności naszego regionu wobec żołnierza-patrioty, pod którego komendę ks. Józef Czajkowski, wikary łódzki, oraz Teodor Rybicki, stolarz, poprowadzili dnia 31 stycznia 1863 roku pierwszych powstańców z Łodzi i okolicy.

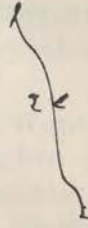
Wydawcy poczytują sobie za miły obowiązek złożyć serdeczne podziękowanie pani Helenie Oxińskiej ze Lwowa, która oddała do ich dyspozycji rękopis swego ojca i udzieliła cennych wiadomości biograficznych, wyzyskanych w niniejszej przedmowie. Słowa szczerej wdzięczności należą się także p. doc. Kazimierzowi Tyszkowskiemu, kustoszowi Ossolineum, za okazaną pomoc i uczynność.



Josef Oskind

100 przędzalnym fachowcem ognia - Kłosem miał mus przetrzeć
i zdemoralizować - nachajpiał obok - też zamieszkał w Kolonniach u Kłosem
osobnych co najwyżej 1000 tyndarów - wykonywany został zgrzeszenie ty
ralierka w roku 2^o Komisji w sprawie - Czekałem na to - a przyjaciele
na 100 kłosem - Kłosem dać ognia Kłosem niepowodzenia w sprawie po
czyłbym - że zachwiał się i wsiadł do swego ławu z ochotą i z sobą
Kłosem w czasie zabitych i rannych -

Jeszcze walczyli z sobą i jeszcze raz jeszcze bliżej podawali - a znowu
głęboko robić - wzywając zamieszkał Kłosem - frontem rozrywającego - Sca-
na wiodła wytychających się Kłosem Kłosem - a w końcu się gasnąca
mie - przestawiając na ławie świeżożoną ścieć kłosem i rannych
i stryku tak gęsto papierem wystrzelianych Tłumione i w ogóle się odawać
i w świecie swiętości -



I. STYCZEŃ, LUTY, MARZEC, KWIECIEŃ

NA CZELE PIERWSZEJ PARTII POWSTAŃCZEJ W WOJEWÓDZTWIE KALISKIM

Przygotowania, pierwszy obóz, marsze i boje. Opatówek,
Kuźnica Grabowska, Wygiełzów, Brodnia, Praszka

W dniu 16 stycznia 1863 r., wyjeżdżając ostatni raz z Warszawy w charakterze organizatora województwa kaliskiego, miałem polecenie przez Komitet Centralny urządzić na pograniczu Poznańskiego, ale już w granicach Kongresówki, to jest po prawej stronie Proсны, — dwie stacje odbiorcze dla przyjęcia i chwilowego przechowania zakupionej w Belgii broni, a następnie zajęcie się transportem tejże wewnątrz kraju.

Do pomocy w tej czynności zabrałem kolegę swego ze szkoły wojskowej w Genui i Cuneo, Aleksandra Lütticha, podówczas obłożnie chorego, a którego, nawiasem powiedziawszy, dopiero przy pomocy dwóch szklanek wódki i paru studentów Szkoły Głównej zdołałem ubrać i sprowadzić do dorożki, która nas zawiozła na pociąg wiedeński.

Nie bawiąc się w szczegółowe opisanie trudności towarzyszących wydostaniu się z Warszawy, a wzmocnionych skutkiem przeprowadzonej, niezupełnie udanej, tejże nocy proskrypcji, — nadmieniam tylko, że położenie moje wobec braku paszportu (gdyż tylko miałem bilet kolejowy dostarczony mi przez Witolda Marczewskiego, jednego z ówczesnych członków Komitetu Centralnego), wobec obstawionego pociągu wojskiem i szczegółowej rewizji paszportów — nie było bardzo przyjemnym; tylko dzięki memu tupetowi, który mi nieraz oddał usługę, wyjechałem z Warszawy i przybyłem wieczorem do Kutna, gdzie odnalazłszy na stacji Lütticha, udaliśmy się natychmiast ekstrapocztą do Kalisza.

Przybywszy w południe 17 stycznia 1863 r. do Kalisza, stanęliśmy w hotelu Peszkiego używającego opinii niepodejrzanej, a dowiedziawszy się od właściciela tegoż hotelu o mieszkaniu Naczelnika Miasta, którego nazwiska obecnie zapomniałem, udałem się do tegoż jako wtajemniczonego w sprawę mającej nadejść broni przez Wrocław w Poznańskie. Od niego dowiedziałem się, iż przed paru dniami agent z Wrocławia przeznaczony do przyjęcia i dalszego wytransportowania broni doniósł mu, iż broń żadna nie nadeszła i prawdopodobnie w danej chwili nie nadejdzie, gdyż agent

drezdeński nie tylko że mu nie doniósł nic stanowczego o wysłaniu broni z Liège, lecz nadto nadmienił o jakichś pogłoskach o przyaresztowaniu broni.

Wiadomość mi udzieloną uważałem za tak ważną, iż wobec spodziewanego wybuchu wskutek przeprowadzonej proskrypcji i wobec zupełnej bezbronności narodu, donosząc o tym Komitetowi Centralnemu przez wysłańca Aleksandra Lütticha, zażądałem zarazem stanowczego rozkazu, co w danych warunkach czynić: czy mimo wszystkich niesprzyjających okoliczności popalić za sobą mosty i powstanie rozpocząć, czyli też utrzymać stanowisko powzięte na posiedzeniu Komitetu Centralnego w początkach grudnia 1862 r., to jest zająć się ochroną proskrybowanych i uzupełniać organizację sił narodowych

Wysławszy ekspedycję do Warszawy tegoż samego dnia, t. j. 17 stycznia 1863 r., wyjechałem natychmiast z Kalisza, gdyż dalszy mój pobyt był tu zbyt długim, a wobec sprytnego kapitana żandarmerii Bergmana nawet niebezpiecznym, udając się do miejscowości wskazanych mi przez Naczelnika miasta Kalisza, aby urządzić stację składową transportową dla mogącej nadejść broni. Porozumiewając się z zarządami dóbr niemal w najdogodniejszych warunkach położonych naprzeciw miasteczek Ostrowa i Kępna, zawiadomiłem o rezultacie Naczelnika m. Kalisza i pojechałem do Sieradza dla porozumienia się i zbadania organizacji tego miasta.

W przejeździe do Sieradza zatrzymałem się chwilowo w miasteczku Błaszkach, gdzie z powodu odbywającego się jarmarku znalazłem większe zebranie tak zwanych obywateli wiejskich w jedynej restauracji, do której na obiad wstąpiłem. Spożywając obiad zauważyłem niezwykle ożywienie między współjadaczami, jakkolwiek chwilowo z powodu nieznanego intruza mitygującymi się w ferworze dysputy, jednakże, ulegając polskiej naturze, w stanie podchmienia wyjawiającej aż nadto jaskrawo o mającym nastąpić zjeździe obywatelskim i o dwoistych zapatrywaniach między zgromadzonymi z powodu mogącego nastąpić powstania.

Świeżo przybyły w nieznaną mi okolice, nasłuchawszy się od Edwarda Jurgensa, z którym od dzieciństwa łączyły mnie stosunki serdeczne mimo krańcowych różnic w przekonaniach rewolucyjnych, że w Kaliskim nie znajdę na nasienie „czerwieńca”, gdyż to jest ziemia obiecana w organizacji „białych”, postanowiłem wziąć udział w mającym nastąpić zjeździe. Obserwując zgromadzonych zauważyłem jakiegoś grubasa o wyglądzie jeszcze młodym, którego

zaperzona mina i podrażniona gestykulacja wskazywały na opozycjonistę przeciw poglądom większości.

Załatwiwszy rachunek restauracyjny i korzystając z chwili odo-sobnienia grubasa, ocierającego pot rzęsisty z czoła, podszedłem do niego, a przedstawiając się pod prawdziwym nazwiskiem poprosiłem go o chwilę osobnej rozmowy, proponując mu wyjście na świeże powietrze. Znalazłszy się z dala od gwaru zajazdowego, przedstawiłem mu, kto jestem, a przedstawivszy mu powody, dla których pragnę być na zebnanym zjeździe, prosiłem go o wprowadzenie mnie na takowy.

Nadspodziewanie dobrze trafiłem robiąc znajomość z grubasem, trafiłem bowiem w parugodzinnej rozmowie, jakąśmy na świeżym powietrzu prowadzili, nie tylko na człowieka chętnego do każdej uczciwej roboty i wcale inteligentnego, lecz nadto przez swe stosunki rodowe spokrewnionego blisko z niejakim p. Walewskim, w domu którego miał się odbyć zjazd naznaczony na 19 stycznia 1863 r. o godzinie 7-ej wieczorem.

Otrzymałwszy przyrzeczenie od p. Gałęckiego, tj. mego grubasa, iż będzie u p. Walewskiego czekać mego przyjazdu, i uściskawszy mu rękę wsiadłem na pocztę i udałem się do Sieradza; dokąd przybywszy nad wieczorem 18 stycznia 1863 r., przy pomocy tamtejszego pocztmistrza poleconego mi przez organizację kaliską, jako wypróbowanej wartości patriotę, odnalazłszy Naczelnika Miasta, po dłuższej konferencji i dosyć ściśłym badaniu stanu organizacji przyszedłem do tego przekonania, że organizacja wiejska jest mimo elementu młodszego, a tym samym ruchliwszego i głośniejszego, zupełnie ujętą w stronnictwie „białych”, organizacja zaś miejska, oparta na przechwałkach i optymistycznych przypuszczeniach, jest zaledwie w zawiązku. Siły jej główne składają się bądź z młodzieży gimnazjum w Piotrkowie i Kaliszu, bądź z młodzieży szkół powiatowych, jak w Sieradzu i Wieluniu, to jest elementu moralnie wysoko stojącego, chociaż jeszcze więcej rozgorączkowanego, mogącego wobec konwulsyj miotających społeczeństwem oddać pewne usługi moralne i w pewnych razach nawet korzystnie oddziaływać na podtrzymanie ducha narodowego; lecz jako siła materialna — nie przedstawiającego żadnej realnej wartości, a takiej w obecnej chwili było potrzeba. Pozostawała, można śmiało powiedzieć, w rachunku czynnym siła proskrybowanych, która była skazaną na zatracenie, a korzystnie ją używszy — można było przy jej pomocy i przychylniejszych okolicznościach pewne korzystne rezultaty otrzymać.

Na tej się sile opierając zażądałem od Naczelnika m. Sieradza danych statystycznych, dotyczących tak ilości mieszkańców w miasteczkach powiatu sieradzkiego i części powiatu kaliskiego, jak najmniej przypuszczalnej ilości proskrybowanych, a mianowicie w miasteczkach: Sieradz, Zduńska Wola, Łask, Pabianice, Szadek, Warta, Uniejów, Błaszki, Turek. Wypadło nam przypuszczalnie, iż na 40,000 mieszkańców w tych miasteczkach prawdopodobnie znajduje się na liście proskrypcyjnej około 600 ludzi; biorąc zaś pod uwagę naturę człowieka jeszcze w pół surowego, dobrego materiału pod baczną komendą, lecz niepewnego i niezdecydowanego w stanowczej chwili działania, oglądającego się tylko na siebie i najbliższe stosunki rodzinne, — przepołowilem cyfrę przypuszczalną, a zredukowawszy ją do 300 ludzi mogłem niemal mniemać o jej ściśłości.

Zarządziwszy Naczelnikowi m. Sieradza zniesienie się z resztą wymienionych miasteczek przez pośrednictwo naczelników takowych a znajomych mu osobiście, na blankietach Komitetu Centralnego wysłanym został jeszcze tej nocy czy nad ranem rozkaz, polecający naczelnikom miast wziąć wszystkich kandydatów do proskrypcji w ściśłą ewidencję, zaopatrzyć ich w miarę potrzeby i możliwości w zimowe ubranie, nadto zaopatrzyć ich w braku broni palnej w broń sieczną, a mianowicie w siekiery, topory, oskardy i kosy. Tak przygotowani mają czekać rozkazu dalszego — udania się na punkt zborny.

Dzień nastawał, któren zapowiadał się równie pracowicie; prześpawszy się parę godzin na kanapie i wypiwszy herbatę, wyjechałem pocztą do miasta Warty.

Badając kartę topograficzną województwa kaliskiego i mając dosyć dokładne dane o sile i rozłożeniu wojsk moskiewskich, widziałem całą środkową część województwa od wschodniej ściany przeciętej koleją Warszawsko-Wiedeńską (Piotrków—Radomsko—Częstochowa) aż po kraniec zachodni, t. j. przez Sieradz do Kalisza, jako teren równy, bezleśny, zdalny do poruszeń i operacji większych nawet mas kawalerii, bo przez swą dosyć wysoką kulturę rolną dający środki łatwiejszego zaprowiantowania się, lecz zgoła nieprzydatny dla mogących nastąpić działań oddziału z proskrybowanych. Oddział taki, jako przeznaczony na zatrącenie, winien był sobie wynaleźć teren o ile można najwięcej zakryty i jak najwięcej nieograniczony, dający możliwość w szybkich i tajnych poruszeniach zyskać czas odpowiedni do możliwie dobrego zorganizowania, uzbrojenia i wyćwiczenia straceńców, mogących w razie sprzyjających okoliczności stać się kadrami dla większych sił narodowych.

Terenem takim — zdawało mi się, badając kartę topograficzną — będzie ściana północna województwa, pokryta większymi i mniejszymi lasami szpilkowymi niemal łącznymi, a przynajmniej o niewielkich przerwach — łączącymi się z lasami w południowej części województwa mazowieckiego, mająca tę przewagę nad ścianą południowo-zachodnią w powiatach wieluńskim i kaliskim, iż tamta, jakkolwiek więcej leśna, ale zamknięta na małym terenie rzeką Wartą i granicą pruską, mogła stać się zatrzaskiem dla działającego oddziału.

Rozłożone siły moskiewskie przedstawiały korzyść dla terenu północnego, gdyż Kalisz, główna kwatera dywizji pod generałem Bremer¹⁾, jak i załoga Konina pod generałem Kostendą²⁾ i Wielunia pod pułkownikiem Pomarancow³⁾, położone na krańcach województwa, mogły tylko być użyte w skombinowanych, a tym samym trudnych i zwykle bezowocnych poruszeniach, komendy zaś w Piotrkowie pod generałem Radin⁴⁾ i Częstochowie pod pułkownikiem Ostrowskim, mające nieomal specjalną misją utrzymania komunikacji i bezpieczeństwa na linii kolejowej Skierniewice—Częstochowa—Łazy, nie mogły być przy długich i ociężałych marszach bardzo szkodliwe lotnemu partyzanckiemu oddziałowi, działającemu w leśnych a zatem osłoniętych okolicach.

Pozostawały zatem siły, z którymi należało się rachować, jako w najbliższym sąsiedztwie: komenda w Sieradzu 2 bataliony piechoty i 2 sotnie kozaków, w miasteczku Warta 2 kompanie piechoty, 1 sotnia kozaków i bateria dział gwintowych o ośmiu działach, i komenda w Łęczycy wsile 2 batalionów piechoty i 2 sotni kozaków pod komendą nie wiem jakiego oficera, gdyż nigdy potem nie miałem spotkania z kolumną Łęczyczką.

Z tymi myślami i poglądami przybyłem 19 stycznia około 10 rano do miasteczka Warty, a nie znając nikogo w mieście wstąpiłem do cukierni, spodziewając się znaleźć objaśnienia. Pijąc wódkę i zobaczywszy, że nikogo nie ma, zapytałem mimochodem, czy w mieście stoi artyleria, jak się nazywa dowódca baterii i gdzie mieszka, a objaśniony o nazwisku i mieszkaniu, które mi wskazano przez okno, dowiedziawszy się następnie o mieszkaniu p. X. będącego Naczelnikiem Miasta, po napiciu się drugiego kieliszka wódki, jak to mówią na „courage“, i wyrównaniu rachunku udałem się do wzmiankowanego artylerzysty.

1) Brunner, przyp. wyd.

2) Kostanda, przyp. wyd.

3) Pomarancew, przyp. wyd.

4) Raden, przyp. wyd.

Na parę dni bowiem przed wyjazdem z Warszawy, t. j. około połowy stycznia, będąc u Potiebni, ówczesnego prezesa związku rewolucyjnego moskiewskiego „Russkaja Ziemia i Wolia“, prosiłem go o wtajemniczenie w organizację tego związku między wojskami w województwie kaliskim stojącymi. Ponieważ nie mógł mnie w tej chwili objaśnić z powodu, iż tą częścią kraju osobiście nie zarządza, a jego zastępca na tę część kraju chwilowo jest nieobecny w Warszawie, przeto z powodu nagłości mego wyjazdu powiedział mi: „Możesz śmiało rachować na oficerów artylerii, wielu z nich jest w związku, a ci, którzy w nim nie są, są tak przyzwoici i uczciwi ludzie, iż żaden roli policyjnej nie podejmie i nie ma obawy poważnej“.

Na podstawie powyżej udzielonego objaśnienia wstąpiłem do mieszkania kapitana artylerii X.¹⁾, a oddając służącemu futro zapytałem, czy kapitan jest w domu i czy sam się znajduje. Na twierdzącą odpowiedź wstąpiłem do pokoju, gdzie spotkałem się oko w oko z młodym około trzydziestu lat mającym mężczyzną o inteligentnym wejrzeniu i układzie wojskowym, pytającego mnie czystą polszczyzną: „Czego Pan sobie życzysz?“. Zamiast odpowiedzi wręczyłem mu kartkę błękitną przedstawiającą mnie jako członka komitetu rewolucyjnego „Russkaja Ziemia i Wolia“, dodając jednocześnie, iż jeżeli spotkałem uczciwego człowieka — udzieli mi żądanych objaśnień, jeżeli przeciwnie — może łatwym sposobem uzyskać jedną gwiazdkę więcej. Popatrzył na mnie uważniej i wyciągając ze skrytki swego pugilaresu kartkę wyglądu błękitnego wręczył mi ją za całą odpowiedź.

Przekonawszy się, iż znalazłem współtowarzysza w pracy, zwróciliśmy sobie nasze niewinne karty wizytowe przy uścisku dłoni, a powiedziawszy mu moje legalne, to jest paszportowe nazwisko Konstanty Babski i stosunek naszej znajomości, usiedliśmy z papierosami w ustach do koleżeńskiej gawędy.

Przedstawiwszy mu przypuszczalną siłę naszą czynną i z jakich miejscowości mogącą się zgromadzić, dalej o siłach i rozłożeniu wojsk moskiewskich, i przedstawiwszy mu moje poglądy na tereny północny i południowy tak ze strony dodatniej jak i ujemnej, — przedstawiłem mu zarazem potrzebę w razie spodziewanej akcji czynnej rozpocząć ją atakiem na Wartę, uważając tę komendę za

¹⁾ W urywku, drukowanym w księdze p. t. „W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego“, Lwów, 1903, czytamy: „...wstąpiłem do mieszkania kapitana artylerii pana S p ł a w s k i e g o...“, str. 317.

najsłabszą, a zatem przedstawiającą najwięcej szans powodzenia, a przede wszystkim leżącą na głównej przeprawie na rzece Warcie ze stałym mostem. Przez zniesienie tej komendy nie tylko powstanie nabiera siły materialnej w zdobytej broni i amunicji, lecz głównie zdobywa ułatwioną swobodę ruchów po obu brzegach Warty, bo posiadając mosty stałe w Warcie, Uniejowie i Kole ma możność swobodnego działania w północnym terenie.

Słuchając mnie uważnie i badając kartę topograficzną, uznał moje poglądy za racjonalne i zasadniczo zgodził się z udzieleniem swej pomocy, a objaśniwszy mnie o sile i rozłożeniu kolumny rozkwaterowanej po dwóch lub trzech żołnierzy pieszych po zimowych kwaterach u mieszkańców miasta, o 85 kozakach stojących w swych stajniach i koszarach na wylocie miasta i o artylerii z jaszczkami ułożowanymi i zapakowanymi w szopach z drugiej strony miasta i zdolnej zaledwie po upływie trzech godzin do akcji czynnej,— nadmienił, iż siła 300 zdecydowanych ludzi, wobec pełni zaufania pokojowego ze strony komendy wojskowej i zimowego rozkwaterowania piechoty i artylerii, mogłaby być zupełnie wystarczającą, gdyby powzięty plan działania został skrupulatnie wykonany i gdyby nie stanęły niespodziewane i niekorzystne okoliczności.

Obmawiając dalszy plan działania postanowiliśmy:

1. proskrybowanych i zorganizowanych pozostawić w mieście i tajnie przygotowywać dla nich siekiery lub topory;

2. na parę godzin przed wybuchem mają się znajdować pod pozorem wizyty u gospodarzy domów, w których kwaterują żołnierze, aby w chwili sygnału jadącej i trąbiącej mazura poczty — roztworzyć drzwi wchodowe do domów i wraz z przybyłymi proskrybowanymi bądź wyciąć, bądź uspokoić znajdujących się na kwaterze żołnierzy;

3. na koszary kozackie i stajnie przeznaczyć 30 ludzi uzbrojonych w broń palną i siekiery, którzy obstawiwszy drzwi i okna nie dopuściliby wyjścia żadnemu kozakowi, zabijając bez litości usiłujących się wydostać;

4. na szopy artyleryjskie przeznaczyć 25 ludzi uzbrojonych w siekiery i przynajmniej pięciu strzelców w dobre dubeltówki, a zgładziwszy w cichy sposób pod osłoną nocy szyldwachów, osadzić drzwi i okna i nie wypuścić nikogo żywego na zewnątrz.

W razie pomyślnego udania się napadu na piechotę, uzbrojony w zdobytą broń oddział straceńców poprowadzonym zostanie do koszar

kozackich i artyleryjskich dla ich zupełnego opanowania, a po stanowczym ich opanowaniu i zorganizowaniu oddziału wejdzie takowy wraz ze mną pod komendę rzeczzonego kapitana.

Tak obmyślony plan postępowania potrzebował ścisłego i terminowego działania, a nieświadomość decyzji Komitetu Centralnego stanowiła główną przeszkodę w stanowczym postępowaniu. Widziałem jednakże gorliwy współdział ze strony kapitana X., jego inteligencję i stanowczy sposób zapatrywania się na sprawę, otrzymałem nadto z jego strony zapewnienie, iż w terminie wybuchu, o którym go miałem na 24 godzin poprzednio zawiadomić, sprosi do siebie wszystkich kolegów, to jest oficerów i junkrów, na ucztę koleżeńską, zawiadomi związkowych w tej komendzie, t. j. dwóch oficerów i dwóch junkrów, o spodziewanej chwili wybuchu, przestrzeże ich o potrzebie trzeźwości z zachowaniem pozorów pijaństwa, aby tak zebranych wszystkich oficerów komendy w stanie opitym oddać pod rozporządzenie powstańców, sam bowiem jako kolega z kolegami, a przede wszystkim jako uczciwy człowiek wzdrygał się od wszelkiego doraźnego postępowania.

Pragnąc plan ułożony w danej chwili wykonać, potrzeba było choć się częściowo do niego przygotować, i dlatego żegnając kapitana X., a raczej mówiąc „do niedługiego widzenia”, wyszedłem z jego mieszkania i udałem się dla odszukania Naczelnika Miasta. Mając jego adres, w małym miasteczku nietrudne zadanie i dlatego też po kwadransie czasu znalazłem go w mieszkaniu używającego sjeisty popołudniowej.

Przedstawiwszy mu papierki, określające mój charakter urzędowy, zapytałem go, czy otrzymał polecenie co do przedwstępnego zajęcia się proskrybowanymi, a na twierdzącą odpowiedź, iż przed trzema godzinami otrzymał kurierem podobne polecenie i w składzie żelaza zakupił dla robotników, wycinających las pod Tuliszkowem i karczujących takowy, 48 siekier i toporów oraz 25 oskardów, ma tym samym dostateczne uzbrojenie dla proskrybowanych, nadto posiada 6 sztuk broni palnej myśliwskiej w dobrym stanie, przez związkowego ślusarza „myśliwca” przejranej i oczyszczonej, i do nich po kilkanaście funtów prochu i grankulek oraz kapiszonów.

Uradowany, iż znalazłem tak gorliwego wykonawcę, i pragnąc posunąć się w dalszych przygotowaniach, oświadczyłem mu w myśl ułożonego programu z kapitanem X., aby ludzie proskrybowani starali się wejść w stosunki bliższej znajomości bądź z gospodarzami

domów, bądź z mieszkającymi u nich lokatorami, bez zwrócenia uwagi, a bywając u nich obznajmili się z rozkładem domu i jego wychodami, a szczególnie z kwaterą żołnierzy; jednym słowem, żeby byli jak w domu u siebie, mogącymi trafić wszędzie choćby po omacku. Gdy zadziwiona mina gospodarza dała mi poznać pewne rodzaje się ciekawości, na co to wszystko, oświadczyłem mu, przypominając mu jego stanowisko urzędowe i patrioty polskiego, iż może nadejść chwila i to niedługo, w której proskrybowani, zamiast się udać na punkt zborny i tam ogłosić powstanie narodu polskiego i walkę z Moskwą, — muszą w tej chwili pozostać na miejscu, uzbrojeni w topory i siekiery schowane pod ubraniem, pilnując w dniu i godzinie oznaczonej sygnału, t. j. trąbki pocziarskiej grającej mazura, i czekając przy drzwiach przymkniętych, aby cicho i z wszelką ostrożnością wpuścić przybyłych z prowincji proskrybowanych, zaprowadzić ich do kwatery żołnierskiej i razem z nimi pozabijać Moskali w cichości, bez żadnego krzyku.

Uważałem, że memu Naczelnikowi Miasta ścierpła skóra. Tłumaczyłem mu tego niezbędną potrzebę i korzyści stąd wynikające, a widząc z miny, iż otuchy nabiera, kazałem mu natychmiast się zająć pierwszą częścią instrukcji, a widząc, iż przytomnieje i nabiera fantazji, zaproponowałem mu przechadzkę po mieście, gdyż jako główny aktor chciałem się osobiście zapoznać z topografią miasta.

Obszedłszy rynek i obok kwaterę komendanta pułkownika (niemieckiego jakiegoś nazwiska), przed którą stał jedyny sztyldwach, przy czym towarzyszący mi Naczelnik Miasta wskazywał domki kwatrujące żołnierzy, przeszliśmy w ulicę prowadzącą w stronę Sieradza, a dalej w stronę Szadku i na koniec w stronę przez Staw i Opatówek do Kalisza, gdzie piechota moskiewska była rozkwaterowana, a dalej zwiedziwszy już poza miastem położenie koszar kozackich i artyleryjskich przekonałem się, że plan przyjęty do ataku Warty jest zupełnie odpowiednim do rozłożonych sił moskiewskich. Z 300 karnymi żołnierzami, przy użyciu pomocy ułatwiającej ze strony mieszkańców, — przedstawiał wszystkie warunki natychmiastowego powodzenia; w warunkach jednakże obecnych, przy braku ostrożności niezbędnej, nagromadzenie piechoty na jednym prawie punkcie, chociaż rozlokowanej po osobnych kwaterach, mogło poważnie przedstawiać niebezpieczeństwo. Przezuwając rozmaite wątpliwości i widoki bardzo wątpliwe na przyszłość, szedłem zamyślony nad dalszym programem działania, gdy turkot nadejżdżającej najtyczanki wyrwał mnie z chwilowego pogiębienia.



121
9428
PR

Siedział na niej chwilowo znajomy młody obywatel wiejski, niejaki p. Jabłkowski, mieszkający w wiosce o parę mil od Warty położonej, a którego poznałem na stacji w Kutnie, jako szkolnego kolegę Lütticha. Gdy mnie zobaczył, widocznie zaraz poznał, bo zatrzymawszy bryczkę zeskoczył z niej i zbliżając się do mnie przemówił: „Dobrze, że pana spotykam, mam bowiem komis dla pana”, a domawiając tych słów, wręczył mi kopertę zaadresowaną pod paszportowym adresem, pisany ręką Lütticha. Przeprosiwszy p. Jabłkowskiego i cofnąwszy się pod bramę przyległego domu, zdołałem jeszcze przy zapadającym zmroku przeczytać, iż przesyła mi zapieczętowaną odpowiedź Komitetu Centralnego; powrócił dzisiaj w południe z Warszawy i leży chory u p. Jabłkowskiego. W liście zaś Lütticha znalazłem zapieczętowany zwitek papieru z pieczęcią Komitetu Centralnego z następującym poleceniem: poleca się Obywatelowi przygotować i zrobić powstanie narodowe w nocy z dnia 21 na 22 stycznia r. b.¹⁾, dalsze zaś instrukcje nadesłane zostaną. Rozkaz był jasny i stanowczy.

W tej chwili żołądek mi przypomniał, że od 24 godzin nie jadłem. Przeprosiwszy p. Jabłkowskiego za nadużycie jego cierpliwości, zapytałem go zarazem dokąd jedzie, gdyż zauważyłem jego wieczorowe ubranie, a otrzymałem przy pewnym okazanym mi zdziwieniu odpowiedź, iż jedzie do p. Walewskiego w X. (nazwiska wioski nie pamiętam). Zapytał mnie, już nie po szlachecku, na co mi ta wiadomość. Odpowiedziałem mu otwarcie, ażeby mnie z sobą zabrał, a ponieważ mamy jeszcze aż za nadto czasu, żeby był łaskaw zatrzymać się w cukierni, za małe pół godziny będę mu służyć.

Podawszy mu rękę, zwróciłem się do Naczelnika Miasta, prosząc go o pozwolenie towarzyszenia mu do jego domu, dokąd przybywszy napisałem do kapitana artylerii X., iż napad na Wartę wykonany zostanie o godzinie drugiej w nocy z dnia 21 na 22 stycznia r. b. podług projektu obmówionego, w dowód czego piszę na blankiecie z pieczęcią „Komitet Centralny”, proszę jednak postępować z możliwą ostrożnością. A dalej pisząc na takimże blankiecie polecenia do Naczelnika m. Warty w myśl punktu 2 uchwalonego planu ataku na piechotę i zastrzegając możliwą ostrożność, polecałem owe 6 dubeltówek umieścić u pewnych i celnych strzelców i odkomenderować ich na drogę do m. Szadek na drugą stronę mostu, gdzie ukryci mają oczekiwać przybycia oddziału hasłem „Warszawa“, odzew — „Kraków“.

¹⁾ Taka data w rękopisie, przyp. wyd.

Wręczywszy mu odezwę z jak najszczegółowszym objaśnieniem, jak ma postępować, i zalecając ciche i dokładne ich wykonanie, gdyż czas nastał czynu, a nie gawęd i rozmyślań, wręczyłem mu depeszę w kopercie czystej dla osobistego i natychmiastowego doręczenia jej kapitanowi artylerii X., którego, jak mi powiedział, znał osobiście. Uściskawszy mu rękę i mówiąc „do prędkiego widzenia“, opuściłem jego mieszkanie i udałem się do cukierni, gdzie zastałem p. Jabłkowskiego, niecierpliwie mnie oczekującego. Zjadłszy kilka ciastek i wypijwszy parę kieliszków wódki dla zabicia pierwszego głodu i pozbycia się czczości, zwróciłem się do p. Jabłkowskiego, iż jestem gotów mu służyć, a za chwilę jechaliśmy do p. Walewskiego.

Zajechawszy przed ganek dużego dworu rzeźsiście oświetlonego, gdzie spotkałem się z oczekującym mnie p. Gałęckim, zostałem przez niego wprowadzony i przedstawiony gospodarzowi domu p. Walewskiemu, niemal już starcowi o przyzwoitym układzie, do którego zwróciłem się z prośbą o wprowadzenie i przedstawienie mnie zgromadzeniu jako reprezentanta Komitetu Centralnego. Zdziwiona cokolwiek mina tego pana wieczorowo ubranego, przyglądającego się dosyć uważnie mojemu dobrze złachanemu garniturowi paryskiemu, którego w czteromiesięcznej kampanii organizatorskiej rozpoczynał widocznie przekonywać o znikomości rzeczy ludzkich, była tak widoczną, iż z obawy zamienienia się w czyn jakiejś błąkającej się myśli ująłem go pod pachę i wprowadziliśmy się do salonu.

Widok przedstawiał się wspaniale. Stoły w podkowę ustawione, ugarnirowane dookoła postaciami godnymi niemal zająć miejsce z racji swej objętości na kurulskich stolcach, o twarzach poważnie zamysłonych nad zagadkami życia marnego; środkowy punkt podkowy uzbrojony sporym dzwonkiem i za nim przypuszczalnym prezesem otoczonym z tyłu wyfrakowanymi liktorami (ale bez różeg!). Tak mnie to zajęło, iż gdyby nie mówka gospodarza domu, przedstawiająca intruza w nieoficjalnych szatach, byłbym zgoła zapomniał o mym urzędowym charakterze i o roli, którą spełnić przybyłem.

Cisza, jaka nastąpiła po przedstawieniu, oprzytomniła mnie widocznie, iż potrzeba jest rodzicielką wynalazków, gdyż ja, więcej zdolny do zaklęcia dziesięć razy na minutę niż wypowiedzenia jednym tchem dziesięciowyrzowej mowy, palnąłem mowę — widocznie przekonywującą i porywającą, najlepiej uwidocznioną osiągniętym rezultatem, gdyż na 82 członków zebrania organizacji „białych“ — 63 członków przystąpiło i uznało Komitet Centralny jako swą władzę naczelną.

Co mówiłem i jak mówiłem, ani wówczas, to jest 19 stycznia 1863 r. o godzinie 8-ej wieczorem, ani dzisiaj po czterdziestoletniej dosyć ciężkiej wędrówce, nie pamiętam; zdaje mi się tylko, że wspomniawszy zgromadzonym ich przeszłość historyczną i obowiązki względem ziemi, zapewniłem, iż czasy zjazdów, mówek, politykowania i partyjnych rozterek minęły, że wobec ruchu zbrojnego, jaki się za parę dni rozpocznie, jedna tylko pozostanie zasada, podług której będzie się postępować: albo z nami, albo przeciwko nam, przyjaciel czy wróg, pośrednich krętaczy nie znamy.

Gdy na podstawie przystąpienia do organizacji ruchu reprezentowanej przez Komitet Centralny secesjoniści zażądali ode mnie bezpośredniego zetknięcia się z Komitetem, żądając w sposób prawie szlachecki zapoznania ich „z sąsiadami nowo osiadłymi“, miałem sporo kłopotu, że to jest rzeczą niemożliwą tego rodzaju powszechne zapoznanie, a w zamian zaproponowałem im wybór spomiędzy siebie jednego członka, w którym pokładają nieograniczone zaufanie, którego by wobec mnie, a w przytomności wszystkich zobowiązał się słowem honoru do zatrzymania tajemnicy tak co do osoby członka Komitetu Centralnego, jak i jego adresu, z którym mu możliwość widzenia i konferowania ułatwię.

Propozycja moja widocznie się zebranych spodobała: zaledwie bowiem kwadrans upłynął, wybranym został prawie jednomyślnie p. Kazimierz Biernacki, obywatel ziemski z Sieradzkiego, któremu, po złożeniu przyrzeczenia pod słowem honoru na utrzymanie w tajemnicy nazwiska i adresu członka Komitetu, na osobności wymieniałem nazwisko i adres Witolda Marczewskiego, dyrektora kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej.

Powróciwszy do sali zebrań i korzystając z pozostałego kałamarza i pióra, napisałem na blankiecie z pieczęcią „Komitet Centralny“ list polecający delegata zebranych obywateli secesyjnych do traktowania przychylnego jego przedstawień i do przysłania, jeżeli to jest możliwym, choćby z nim razem jakiegoś wyższego oficera do kierunku powstaniem w województwie kaliskim. A przybliżając się do delegata i wręczając mu pismo napomknąłem, iż dlatego zażądałem przysłania doświadczonego oficera, gdyż sam, jako młody i świeżo upieczony oficer w szkole wojskowej, nie czuję się na siłach sprostać bardzo trudnemu zadaniu, a jakkolwiek z biegiem wypadków prawdopodobnie nie jeden przybędzie dzielny oficer z armii państw rozbiorczych, w obecnej jednak chwili niezbędnym jest choćby jeden wytrawny oficer z jakąś rutyną organizacyjną.

Zgromadzeni moją przymówkę okryli oklaskami uznania, czy zaś oklaski tyczyły się mej, że tak powiem, idealnej skromności, czyli też dziękowali za skończenie z tą sprawą — tego ani wówczas, ani dzisiaj nie wiem. Zauważyłem tylko, że fraki młodych i angiezy starszych nie tak *correcte* do stanów przystawały i zacząłem podejrzewać, że nie były robione przez warszawskich krawców, a czoła ich więcej zasepione wskazywały jakieś trujące myśli, wierzące im mózgi do głębi; spodziewanej katastrofie zapobiegł znany i przyjemny gospodarz domu, zapraszając nas na przekąskę.

Po ożywionych twarzach zgromadzonych poznałem, że ich przestały trapić fatalne sprawy polityczne i pomyślałem sobie, iż jeśli zapowiedziana przekąska będzie coś w guście niezapowiadanych ośmiu przekąsek, jakimi brać nasza w Hrubieszowskim codziennie się zabija, to przynajmniej głodną śmiercią nie umrę, dziwnie bowiem, prawie po chłopsku zaczął mi się upominać mój żołądek o dań przynależną.

Nasze oczekiwania były prześcignięte dobrą wolą szlachetnego gospodarza: po doskonałej nalewce domowej, z pierwszego dania dostrzegłem, że sztuka kulinarna nie zagasła z wypędzonym Bachusem, a dobry „francuz“ znajduje dobre wychowanie u szlachcica polskiego, i dlatego też, szepnąwszy w głębi mrużącemu plebejuszowi „cierpliwości“, jadłem i piłem z rozwągą i zastanowieniem.

Moi sąsiedzi, a mianowicie mój grubas i wybrany świeżo delegat, byli to ludzie skądinąd zacni, lecz przy stole tak znakomici partnerzy, iż mogli śmiało zaliczać się do towarzystwa wstrzemięźliwości, do którego mając honor należyć w Genui po przejściu statutowej próby — mogłem im bez statutowego przynależenia powinszować.

Wszystko ma swój koniec, a zdanie to nie musi być tak bardzo niedorzecznym, skoro i dziś spotykam się z nim czasami wypowiedzianym przez usta bardzo poważne, koniec się miało i z tą przekąską tak około 1-ej w nocy z tym błogim zadowoleniem, iż mój własny gospodarz zabrał się w błogim usposobieniu do pracy.

Korzystając z tego zapytałem sąsiada mego po lewicy p. Gałęckiego, czy wraca do swego domu i czyby mu nie zrobiło wielkiej różnicy przejechać przez Sieradz i wręczyć osobiście p. X. depeszy.

Na zgodną odpowiedź, uściskawszy rękę p. Kazimierzowi Biernackiemu z życzeniem szczęśliwej podróży, dodawszy, iż w razie potrzeby można mnie będzie odnaleźć w okolicach Szadek—Lutomiersk—Poddębice, i spotkanemu p. Jabłkowskiemu oświadczywszy, że wracam z nim do domu dla widzenia się z Lüttichem, udałem się z moim

grubasem jako wicegospodarzem domu do samotnej kancelarii gospodarza, a znalazłszy na biurku papier i pióro napisałem do Naczelnika m. Sieradza rozkaz, polecający mu uzbrojonych i w żywność zaopatrzonych proskrybowanych wysłać w dniu 21 stycznia 1863 r. o godzinie 5-ej wieczorem¹⁾ na punkt zborny do Miedzna, gdzie ich oczekiwać będą współtowarzysze, dodając, iż hasło „Warszawa“ odzew „Kraków“; dalej napisałem tak samo na blankietach „Komitet Centralny“ rozkazy podobne do pozostałej reszty naczelników miast w tej operacji udział biorących, zmieniając tylko godziny wyjścia stosownie do większej lub mniejszej odległości tych miasteczek od punktu zbornego. Liczyłem, iż całe siły zgromadzą się na punkcie zbornym o godzinie 10-ej wieczorem i że tym sposobem w miarę nadchodzących straceńców będą ich mógł stosownie organizować i dać możliwą instrukcję w wypełnieniu przedsiębranej akcji.

Dodawszy w depeszy do Naczelnika m. Sieradza, aby załączające się depesze wysłał natychmiast pewnymi kurierami a najlepiej kobietami podług wiadomych mu adresów, zapakowałem to wszystko do jednej czystej koperty, którą oddając memu grubasowi prosiłem go o wręczenie takowej p. X. w Sieradzu i o tajemnicę o całej tej sprawie.

Po 3-ej skończyłem zadanie, mosty popaliłem, a żegnając się z zmęczonym bezsennością gospodarzem i przeprosiwszy za nadużycie jego gościnności, odnalazszy kiwającego się nad stołem p. Jabłkowskiego, oświadczyłem mu możliwość jechania. W chwil parę toczyliśmy się wózkiem do jego domu.

Byłem nieusposobiony do gawędki a tym mniej do zwierzania się i dla tego moje odpowiedzi treściwe i pozorne kiwanie się na bryczce uwolniły mnie od natrętności mego faceta, pogrążonego w końcu w drzemce uplastycznionej chwilowym chrapnięciem. Nawiał myśli wywołanych wypadkami 19 stycznia 1863 r. gniótł mi czaszkę: widziałem w naszym nieprzygotowanym zrywie tylko klęskę, widziałem z naszej przeszłości historycznej, że jesteśmy narodem lekkomyślnym, nie mającym w swym charakterze ani stałej energii, ani — co gorsza — wytrwałości; byliśmy narodem w rozstroju nerwowym, zdolnym w chwili uniesienia przy wrodzonej odwadze ściągnąć Pana Boga za nogi z nieba, lecz po jakiejś katastrofie — jak Maciejowice, Berezyna i Ostrołęka — zamiast wydobyć energię spod serca i wytrwałością naprawić zło, które nasza nieopatrzność stworzyła,

¹⁾ Znów data mylna, przyp. wyd.

umieliśmy tylko jak trzoda spłoszonego bydła ugiąć grzbiety pod batog i lizać łapę nas chłuszczącą.

Dalej, jakkolwiek młody bo 22 lat liczący, to jednakże od początków 1860 r. przeszedłszy rozmaite zajęcia w organizacji konspiracyjnej i oceniający przez swe wykształcenie wojskowe stanowisko siły wojskowej zorganizowanej, widziałem klęskę naprzód, do której zdążaliśmy, lecz miałem lat 22 i mimo niewiary w przedsięwzięcie nie mogłem się od takowego uchylić.

W tych myślach pogrążony przybyłem około 8-ej rano 19 stycznia 1863 r.¹⁾ do domu p. Jabłkowskiego, a zmęczony kilkodniową prawie bezsennością i pracą myśli poprosiłem p. Jabłkowskiego o kąpiel, w którym bym mógł spokojnie się wyspać; zaprowadzony na tak zwaną górkę kamieniem przespałem do 5-ej wieczór, a umywszy się czułem, że siły wróciły.

Spotkawszy się z zdrowym na pozór Lüttichem, dopytywałem się natrętnie o okoliczności towarzyszące wydaniu tego nieszczęśliwego rozkazu. Nie mogąc mi nic zakomunikować, gdyż sam nie wiedział, co mu dla mnie wręczono do natychmiastowego oddania, zdał mi tylko raport służbowy ze swojej czynności, z którego tyle dowiedziałem się, że wyjechawszy o pół do 4-ej po południu dnia 17 stycznia z Kalisza przybył do Warszawy dnia 18 stycznia około 1-ej w południe, odnalazł zaraz adresata, wręczył mu ekspedycję, po której przeczytaniu ten kazał mu się zatrzymać w pokoju gdzieś w dziedzińcu o wyglądzie półurzędowym, w którym zjadłszy przyniesiony mu jakiś obiad o wyglądzie i zapachu drugorzędnej restauracji, a położywszy się jak najwygodniej na sofie przespał snem sprawiedliwego do czasu zbudzenia go przez adresata około 5-ej wieczorem. Otrzymałszy do mnie depezę, bilet stampilowany i 25 rs. na kosztą podróży, przybył bez żadnego kłopotu do p. Jabłkowskiego, a czując się więcej słabym — wyjeżdżającemu na zjazd obywatelski gospodarzowi oddał depezę dla wręczenia mi jej bądź w Warcie, gdzie wskazałem mu, iż 19 stycznia mogę się znajdywać, bądź w jej okolicach.

Wiedziałem tyle, co i wprzód; później się dopiero dowiedziałem, iż Zygmunt Padlewski i Stefan Bobrowski, parci przez organizację miejską grożącą w razie dalszej zwłoki wypowiedzeniem posłuszeństwa Komitetowi Centralnemu, ogłoszeniem pod inną formą i w innym składzie Rządu Narodowego, z obawy ostrej secesji zobowiązali się do ogłoszenia terminu powstania, a biorąc niemal na

¹⁾ Taka data w rękopisie, przyp. wyd.

siebie odpowiedzialność wymogli na reszcie Komitetu rozpoczęcie powstania.

Rzecz była nie do odrobienia: popalone za sobą mosty i wzburzenie umysłów nie dopuszczały żadnego wycofywania się, zarzuty odstępstwa sprawy przez przewodników, o które ich posądzono już niejednokrotnie, mogły być wyrobić opinię dla przyszłych pokoleń niesłychanie szkodliwą dla każdej roboty narodowej, mogły one bowiem z uzasadnioną niewiarą nie pójść za głosem wołającym do pracy, nie wierząc w szczerłość i wytrwałość nawołujących. Trzeba było przeto zjeść zupę, uwarzoną własnymi rękami, trzeba było spłacić obowiązek krwi, kiedy się miało lat dwadzieścia.

Śpiąc i jedząc doczekaliśmy się z Lüttichem 21 stycznia 1863 r.¹⁾ godziny 3-ej popołudniu i udaliśmy się do Miedzna — on uzbrojony w nabitą dubeltówkę i długi puginał wyrobu warszawskiego, ja uzbrojony sztyletem włoskim i w rewolwer kiepskiej trampy, kapiszonowy, nabity osobiście przez Bronisława Schwartze jeszcze przed aresztowaniem jako członka Komitetu Centralnego — na wyprawę nieudaną po złote runo w lasy Jabłonny.

Kiedy nas fornal zostawił w lesie otaczającym polanę (uszcześliwiony rublem, nie zawsze widać przez niego widzianym), zmrok już silnie zapadał, a ułożywszy kolegę pod krzakiem w zagajniku, sam stanąłem obok zasłonięty drzewem, skąd mogłem jeszcze chwilę obserwować zborną polanę.

Głusza nie przzerwana żadnym odgłosem, zaledwie tylko podniecona chwilowo szumiącym lasem, działała na moje nerwy uspokajająco; chwilami zdawało się, iż zatraciłem poczucie bytu, i nie wiedziałem, po co i na co tu stoję; nie mając zegarka i nie mogąc się zorientować po gwiazdach z powodu ciemnicy i mgły panującej, czułem jednakże po zmęczeniu mych nóg jelenich, że musi już być dobrze po 7-ej, a zatem nadchodzi czas nadejścia oddziałów straceńców z najbliższej punktu zbornego położonych miasteczek.

Obudziłem śpiącego Lütticha, a nasłuchując jeszcze z godzinę dał się słyszeć — przyłożywszy ucho do ziemi — krok spokojny pojedynczego człowieka, zbliżającego się od strony Uniejowa po drodze, przy której staliśmy. Na jakie dziesięć kroków zapytałem: Kto idzie? — Swój — odpowiedział — hasło „Warszawa”. — Odzew „Kraków” — i podałem rękę przybyłemu.

O ile ciemność dozwalała rozpoznać główne kontury przybyłego

¹⁾ Taka data w rękopisie, przyp. wyd.

towarzysza, był to mężczyzna wysokiego wzrostu i silnej budowy; przedstawivszy się nam jako rządcą jakiegoś majątku wiejskiego spod Uniejowa oświadczył, że dowiedziawszy się od znajomego mu Naczelnika m. Uniejowa o terminie wybuchu i punkcie zbórnym przybył, aby dolę wspólnie podzielić.

Było nas trzech zatem, ale ten trzeci przybyły, jakżem się w późniejszym jego zachowaniu przekonał, wart był przynajmniej dobrych trzydziestu; ponieważ pisząc dalej może nie będę miał sposobności z uwidocznieniem tej wybitnej swym charakterem osobistości, przeto obecnie choć w niewielu wyrazach pragnę mu oddać uznanie przynależne.

Budowy więcej jak okazałej a jednak harmonijnie elastycznej, przybyły Jan Maźniewski przedstawiał typ silnie rozwinięty muskularnego mężczyzny, w pracy i w bezpośrednim a ciągłym zetknięciu się z naturą zdobywającego sumiennie swe prawo rozwoju. Cichy i spokojny — zdawało się na pierwszy rzut oka, iż niezdolnym jest odczuwać żadnych wrażeń, tak dobrze „niby“ uplastycznionych w dzisiejszych wynalazcach secesji, że rozwój mięśni zabił cały system nerwowy; ale przyglądając się z bliska jego działalności, tej opiece delikatnej — prawie kobiecej, tylko bez łez — jaką otaczał chorych i rannych żołnierzy swej kompanii, temu nieustannemu obowiązkowemu czuwaniu nad wyrobieniem prawdziwych polskich żołnierzy, odkrywało się w nim wielkie serce człowieka, kochającego swą ziemię i ludzkość, tylko tę miłość uwidoczniał w czynach, a nie w frazesach. O jego odwadze to mogę nadmienić, iż w kilkunastomiesięcznym działaniu, w ciągu którego to czasu pod komendą moją przewinęło się, dłużej lub krócej służąc, przynajmniej 3000 żołnierzy, nie spotkałem ani jednego, który by mógł dorównywać jego odwadze. Spotykałem ludzi dzielnych, odważnie rzucających się naprzód lub pozornie spokojnych w rejonie ognia gwałtownego, lecz widziałem drugim razem tych samych ludzi czy to skutkiem niekorzystnej temperatury, czy przyświecającego słońca bez przyczyny ohydnie uciekających. On jeden zawsze się zachowywał jednakowo, jak przy picciu herbaty, nie zmieniał głosu, nie ożywił ruchów, spokojnie i dokładnie wypełniał poruczony obowiązek. Tak samo spokojnie zginął prawie w 5 miesięcy później w bitwie pod Koniecpolem, przeszyty jednocześnie trzema kulami w głowę, brzuch i piersi; spokojnie ułożył się do ziemi z wiarą, iż go ta dobra matka serdecznie przytuli. Dodać muszę, iż moskiewscy oficerowie, którzy znali tę okazałą postać, zawsze w swej białej wołoszce, nie dopuścili swych żołnierzy do obdarcia go —

mogłem przeto jego nominacją na kapitana, jego zegarek i pugilares przesłać jego staruszce matce. Cześć jego pamięci!

Ale do rzeczy. Było nas trzech, jak mówiłem, godziny płynęły a nikt nie przybywał, 10-a przeszła, czas najpóźniejszy ogólnego zebrania — nas trzech tylko. I północ nadeszła — położenie się nie zmieniło. Zapytałem Maźniewskiego, czy zna drogę do miasta Warty, a na odpowiedź, iż jak swoją kieszeń, powiedziałem mu, żeby się udał do mostu na Warcie, tam ma być sześciu uzbrojonych w dubeltówki, wiedząc hasło i odzew łatwo się z nimi porozumie, jednego niech wyśle do Naczelnika Miasta p. X. z wiadomością, że termin odłożony i żeby było w mieście spokojnie, a pięciu niech z sobą przyprowadzi. Chciałem ustrzec miasteczko od wypadku i od możliwej rzezi i spalenia, a widząc, iż jest po 12-ej i termin zebrania minął, nie można było myśleć serio o ataku na Wartę.

Dlaczego jednakże nikogo nie ma — ten klin rozbijał mi głowę i zacząłem przewąchiwać zdradę, gdyż bez niej nie mogło się wydarzyć coś podobnego, rozkazy bowiem były wydane stanowcze i w czasie właściwym, pieczęcie na nich Komitetu Centralnego były przez organizację miejską poważane, zatem widocznie jakiś diabeł się wmięszął. W tych rozmyślaniach wrócił Maza, jak go później zawsze nazywałem, przyprowadziwszy z sobą pięciu ludzi zabranych od mostu a uzbrojonych w dubeltówki i siekiery za pasem. Po dopuszczeniu ich po zmianie formalności obozowych dowiedziałem się, iż rozkazy moje w Warcie ściśle zostały wykonane, że ludzie w broń ukrytą zaopatrzeni rozeszli się około 11-ej po wskazanych im kwaterach, a ich sześciu znajdujących się przy moście żadnego krzyku lub szumu z miasta nie słyszeli. Czekaliśmy zgromadzeni w liczbie ośmiu, co dalej nastąpi, zabawiając się od czasu do czasu papierosem od zapalki hubkowej zapalonym.

Tak nadeszła i 4-a rano, a z nią prawie równocześnie odezwał się dźwięk trąbki, lecz ani wojskowej, ani pocztowej, ani nawet myśliwczej: dźwięki z niej wychodzące jakimś innym rozgłosem brzmiały rodzaj hejnału myśliwskiego. Wziąwszy Mazę z sobą a pozostałym nakazując baczność, udałem się naprzeciw odgłosu powtórnie grającego sygnału, a zbliżywszy się na kilkanaście kroków widziałem jakąś masę poruszającą się. Na komendę: „Stój, kto idzie“? — „Powstańcy!“ Otrzymałszy hasło i zdawszy odzew, zbliżyłem się do jakiegoś cienia jadącego konno; otrzymałem od niego wiadomość, iż ludzie przybyli w liczbie 17 są z miasteczka Szadek i jego okolicy, że ich wyszło 62 ludzi, lecz reszta po drodze w różnych punktach pozawracała do

domów, bałamucona przez miejscową szlachtę i jej wysłańców, iż termin powstania jest odwołanym, a o nowym zostaną w swoim czasie zawiadomieni.

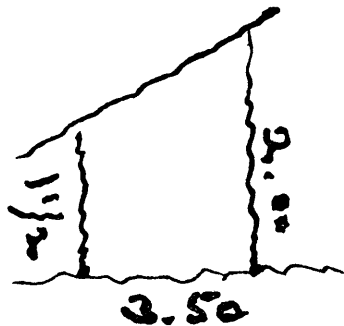
Wizja trapiąca mi mózg od kilku godzin została rozjaśniona: ta sama szlachta, oddająca się przed paru zaledwie dniami pod komendę Komitetu Centralnego wraz z swoimi siwymi przewodnikami z Dyrekcji „białych“, popełniwszy przez swą baranią głupotę wielkie świństwo polityczne, z obawy przykrych następstw uciekła przeważnie do miast pod opiekę komend wojskowych, pozostawiając pustki po dworach, a tym samym utrudniając wszelkie zaprowiantowanie.

Nad rankiem, bo już około 6-ej, w ten sam sposób tylko skromniej, nie tak szumnie zgłaszając wstęp na arenę akcji, przybyła z Sieradza partia zredukowana podstępem szlacheckim do 28 ludzi, a ponieważ mogłem się już przyjrzeć zgromadzonym, przeto poleciłem im udać się za mną w głąb lasu w kierunku Szadku. Po półgodzinnym pochodzie znalazłszy niewielką polanę, zatrzymałem przybyłych i natychmiast przystąpiłem do obliczenia i zorganizowania takowych. Ogólna liczba zgromadzonych wynosiła 53 ludzi, z których 25 ludzi uzbrojonych przeważnie w średniej wartości dubeltówki i pojedynki kapiszonowe, mające z okazanego mi prochu loftek i kapiszonów najwięcej po 20 ładunków na sztukę, 25 ludzi uzbrojonych w słabe topory i siekiery i 1 kawalerzysta uzbrojony w rapir kirasjerski, dobry rewolwer i w rodzaj mi nieznaney mosiężnej trąbki myśliwskiej. Trzy bronie się przedstawiały, trzeba było stosownie je zorganizować. Sformowałem przeto ze strzelców pierwszy pluton strzelecki, biorąc w nim stanowisko instruktora a komendantem mianując Mazę, pluton siekierników powierzyłem Lüttichowi, kawalerzystę zatrzymując przy sztabie, to jest przy sobie w charakterze galopena. Porozdzielałem plutony na sekcje i powyznaczałem, po obywatelskim porozumieniu się o nominacji, sierżanta plutonu. Przedstawiłem, że rola jego jako gospodarza plutonu, to nie tylko jak dobra matka dostarczyć im, jako jego dzieciom, czegoś do włożenia w gębę, ale nadto jak sprawiedliwa matka — w razie potrzeby prawo poczęstowania ich dobrym kułakiem i podania ich do surowszej kary, która się ołowiem załatwia, a widząc ich namyślanie się dorzuciłem: „no, dzieci, wszakże kochamy tę ziemię polską, wszakże jej żołnierzami jesteśmy, będziemy jej służyć wiernie i uczciwie, to i na karę nie zasłużymy“. Te kilka słów poskutkowały — wybrali prawie jednogłośnie już starszego, około 30 lat, o smętnej myślącej twarzy kowala z Sieradza, którego wybór zatwierdziłem. Tak samo przeprowadziwszy

wybór sierżanta w plutonie siekierników, uważałem wstępną organizację za przysposobioną.

Cofnąwszy się o jakie 500 kroków w głąb lasu i wynalazłszy w gęstwinach piętnastoletnie zwarte zagajniki, stanąłem a wezwawszy Maźniewskiego kazałem mu wziąć pierwszą sekcję swego plutonu i lasem zasłonięty dojść i zająć stanowisko o paręset kroków od stanowiska w nocy zajmowanego i obserwować dobrze drogę i ludzi po niej idących, a w razie trafienia na straceńców gromadzić ich na swej placówce. Zamieniając się z nim na uzbrojenie i dając mu 10 rs. powiedziałem, że może mu się uda coś kupić do zjedzenia, gdyż żołądek zaczął się przypominać. Nadto chcąc się dowiedzieć, co się dzieje i dać znać o mym stanowisku, wybrałem z wejrzenia po jednym człowieku z Sieradza i Warty, a napisawszy na blankietach ołówkiem posiadanym przez mego galopena do naczelników miast rzeczonych, już nie kazałem, lecz prosiłem, ażeby i sami i innym naczelnikom zakomunikowali, że poprzednio wydane rozkazy są obowiązujące, a przysyłając ludzi uzbrojonych i z możliwą ilością amunicji obciążyli ich prowiantami spożywczymi, jak chleb, kiełbasa, słonina, wódka, tytoń, sól i paru kociołkami czterogarncowymi.

Tak chwilowo uporawszy się z najpilniejszymi kłopotami, po wyprawieniu Maźniewskiego zająłem się pozostałymi, a jakkolwiek



zima nie surowa, ale przy czczych żołądkach przejmująca chłodem, nie wiedząc nadto jak długo zatrzymam się przy tym punkcie, zarządziłem plutonowi siekierników budowę szałasów, dając Lüttichowi stosowną instrukcję, aby korzystając z gęstości zarostu nie ścinać drzew i zakopywać, lecz przyjmując podobiznę przedstawiającego się profilu, na przyciętych do danych wysokości pniach założyć daszek spadzisty—

pokrywając go jak i przepłaty trzech ścian iglastymi gałęziami.

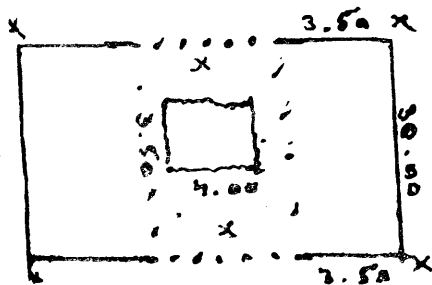
Dawszy robotę plutonowi siekierników, zająłem się szczegółowym przejrzaniem pozostałych mi 18 ludzi z plutonu strzelców. Chciałem się przede wszystkim dowiedzieć, czy mam pluton strzelców, czy też 18 ludzi noszących broń palną. Każden z nich był rutynowanym strzelcem: po szczegółowym bowiem wykręceniu naboju i przestrzeleniu kapiszonów przyglądałem się szczegółowo pojedynczemu nabijaniu broni, a po ukończeniu zajęcia i poleceniu pokrycia

kapiszonów pakułami dla osłonięcia ich od wilgoci, wyraziwszy im me zadowolenie z przeprowadzonej lustracji i zapowiedziawszy, iż pierwszym warunkiem dobrego polskiego żołnierza jest tak na mustrze, jak i w boju ślepe i dokładne wypełnianie komendy oficera i przełożonych, zająłem się szczegółowym ich obejrzeniem. Była to sama młodzież w wieku 21 — 24 lat (trzech tylko dobiegało trzydziestki), wzrostu zaledwie średniego, o zawiędłej i steranej już nieźle cerze, lecz w ruchach swobodnych, wcale gimnastycznych; znać było po iskrzących oczach, iż dusza ich jest w rozbudzeniu i że w sobie zawierają podatny i dodatni materiał.

Wszystkie cechy naszego drobnego przemysłu były reprezentowane: więc najliczniej szewcy, nieodrodni następcy Kilińskiego, którzy dla usprawiedliwienia przysłowia „szewc bez butów“ przybyli do powstania w najgorszych kamaszkach, kilku krawców, którzy zapewne przejęci fachowo swymi kunst-sztikami zapomnieli prawie zupełnie o potrzebie butów, a skuzynowani w swych poglądach i ubraniu z szewcami przybyli bardzo letnio przyodziani. Lepiej daleko przedstawiali się reprezentanci twardego rzemiosła, jak 3 kowali, 2 murarzy, 2 cieśli i 3 rzeźników, zaopatrzonych w dostatnie ubrania i buty, najlepiej jednak — piecuchy wiejskie, przyzwyczajone do wygódek i darmo a zatem obficie palące się drzewa, ci, mówię, to jest 2 kucharzy i strzelec dworski swoim dostatnim wyekwipowaniem zadali nawet szyku swemu dowódcy.

Nadmieniłem im, iż przy pierwszym spotkaniu, nie marnując napróżno ładunków i strzelając prosto w brzuchy, gdzie siedzi śmierząca dusza moskiewska, będą mogli łatwo uzupełnić braki w swej garderobie. Rada widocznie trafiła im do przekonania, a oznaczenie miejscowości, gdzie dusza moskiewska przebywa, wywołało w nich pewien rodzaj zadowolenia, nie mającego jednakże nic podobnego z dzisiejszą klaką teatralną, bo przypuszczam, iż poza sztabem i jego galopenem nikt ze zgromadzonych teatru nie widział.

Po ukończeniu lustracji udaliśmy się w stronę budujących się szałasów, a widok ich, obok naszkicowany, wprawił nas niemal w zachwyty.



Szałaszy były prawie wykończone; zbierano resztę drobnej gaci dla ich wymoszczenia, to jest zrobienia dobrego postania, a przysposobione zastawy z przepłotów dozwalały zamknąć wyjścia i spać spokojnie jak w fortecy.

Te zajęcia zabrały nam czas prawie do 2-ej po południu, a czując po sobie, że i towarzyszom na apetycie nie zbywa, zapytałem, czy coś podobnego do przekąszenia nie posiadają. Ofiarne wydobycie zapasów, przez kilkunastu towarzyszy przyniesionych i oddanych do wspólnego użytku, dało mi poznać, iż koleżeństwo broni zawiązuje się i że nie ma między nami sobkostwa. Przekąsiwszy po odrobinie i skosztowawszy zaledwie wódki, jednym słowem „zabiwszy robaka“, zaczęliśmy się sobie lepiej przyglądać i cokolwiek gawędzić.

Doczekawszy się godziny 4-ej, kazałem galopenowi wziąć drugą sekcję strzelców wraz z sierżantem i pójść z nimi na zmianę wystawionej placówki, tłumacząc zarazem sierżantowi, jak ma postępować i żeby zwracał baczną uwagę na wskazówki, jakich mu może udzielić porucznik Maźniewski, i polecając, aby porucznik wrócił natychmiast z pierwszą sekcją i z wszystkim, co zebrał, do obozu.

Po wyprawieniu drugiej sekcji na placówkę, mając nadzieję, iż mój Maza pokaże zdolności intendenta, a widząc, iż kociołków nie mamy, kazałem przygotować drzewa na ogniska, a przypomniawszy sobie z opisów życia w puszczech amerykańskich o pieczeniu zwierzyny w dołach wypalonych, kazałem przy użyciu paru posiadanych czaganów i toporów wykopać trzy doły po $\frac{1}{2}$ m szerokości, 1 m długości i $\frac{1}{2}$ m głębokości, które przy użyciu rąk do wyrzucania ziemi — były wykonane w pół godziny czasu, i czekałem niecierpliwie powrotu pierwszej placówki.

Z dobrym zmierzchem przybyła gorąco i ogólnie oczekiwana, a na jej widok, a może na widok przyprowadzonych zdobyczy szmer zadowolenia przeszedł zebranych. Było bowiem czemu się ucieszyć³ na widok dwóch okazałych szkopów i tłustego cielęcia; inne bowiem prowianty były jeszcze zakryte, a przedstawiały się one bardzo imponująco, albowiem: dwugarncowa baryłka napełniona czystą okowitą, 6 dużych bochenków chleba, 4 funty soli, 30 paczek drejkönigu, 40 jaj, mały kociołek, nawet bodaj i szklanka — tylko herbaty nie było.

Trzech rzeźników i dwóch kucharzy wzięło się do roboty z apetytem. Po wytłumaczeniu kucharzom, jak ma się upiec zwierzyna przyprowadzona, i poprowadzeniu czterech szyldwachów z kapralem i

ustawieniu ich w odległości 100 do 150 kroków od szałasów na czterech punktach w krzyż, dając im szczegółową instrukcję zachowania się, baczności uważania i jak po paru godzinach mają się zachować przy zmianie forpocząty, wróciłem z kapralem do szałasów pouczając go, jak ma postępować przy zmianie warty co dwie godziny zmieniającej się i przestrzegając, żeby wartownicy nie spali: gdyż na ich baczności zależy bezpieczeństwo całego oddziału pod ich opieką spoczywającego, ku czemu baczna kontrola ze strony kaprała jest konieczną przez zwiedzanie wart prawie nieustannie, a przynajmniej raz na godzinę.

Zapach pieczonego mięsa drażnił przyjemnie podniebienie, przez gałęzie i mech, którymi pokryte były jamy piekarskie, rozchodziła się woń przyjemna nietrąca spalenizną: całe barany i cielę pomieszczone w jamach czekały z upragnieniem noży kucharskich — dla ułatwienia sobie drogi przy wejściu do naszych zgłodniałych żołądków.

Po jakiejś pół godzinie doły ostrożnie zostały odkryte, przedmioty wydobyte, przez rzeźników i kucharzy poćwiartowane i pokrajane i po równi wszystkim rozdzielone — wraz z kawałkiem chleba, sól bowiem i tytoń rozdane były kapralstwami do wspólnego użytku. Po napięciu się wódki, przysposobionej w kociołku, zabraliśmy się do spożycia daru Bożego, a wydzielony mi kawał cąbra cielęcego z nerką znikł w kilku niemal minutach w chłonnaej czeluści.

Czy apetyt był tak dobry, czy sposób przyrządzenia pieczystego zastępował wszystkie niezbędne przyprawy — nie wiem, lecz dym z zapalonych fajek i papierosów wznoszący się ku firmamentowi wskazywał dokładnie o naszej nieskończonej wdzięczności.

Wówczas dopiero przypomniałem sobie o świeżo przybyłych. Dowiedziawszy się od nich, że przybyli z Warty, co sprawdziłem przez obecnych wartczanów, i dowiedziałem się, iż po spokojnie przepędzonej nocy rano, to jest 22 stycznia około 9-ej¹⁾, zrobił się niesłychany ruch w wojsku moskiewskim — trąbiono, wrzeszczano i latano i około południa wymaszerowano na Turek do Kalisza. Domyśliłem się, iż nadeszła depesza nakazująca koncentrację wojsk i że miasto Warta zostało oswobodzone od załogi moskiewskiej.

Dopilnowawszy drugiej zmiany wart obozowych i czując, iż tej nocy mogą nadejść ludzie z Sieradza i Warty, zdawszy komendę

¹⁾ Taka data w rękopisie, przyp. wyd.

nad obozem Lüttichowi i zabrawszy z sobą Mazę — udaliśmy się do placówki.

Przybywszy do niej i znalazłszy wszystko w przynależnym porządku, zapytałem komenderującego tam sierżanta, czy przez cały dzień co jedli, a na odpowiedź przeczącą, dawszy Mazie pieniądze poleciłem mu wziąć z sobą sierżanta i udać się tam, gdzie rano nabył prowiant, i co się da do zjedzenia kupić zalecając ostrożność z Żydkiem karczmarzem; a ja przez ten czas pozostanę na placówce. Niemal w pół godziny powrócili, przynosząc flaszkę wódki, 30 jaj ugotowanych na twardo, 4 duże pszenne chały, pieprz, sól i 2 sery świeże. Żołnierze tę przekąskę bez ceremonii spałaszowali, mając prawie takie same zadowolone miny, których co prawda z powodu ciemnicy nie widziałem, jakie my mieliśmy po ucztach w obozie.

Noc z 22 na 23 stycznia¹⁾ przeszła na placówce nudno i spokojnie, dopiero nad ranem coś zaszumiało na drodze od Warty: powrócił mój posłaniec z dnia wczorajszego, przyprowadzając z sobą 27 ludzi obciążonych prowiantami i prowadzących żywego wołu z przytroczonymi workami.

Umieściwszy przybyłych z bagażami i wołem w tyle placówki, powróciliśmy do dawnej pozycji nadśluchiwania w stronę Sieradza, a przyjąwszy od posłańca, co i ile ludzi i prowiantów przyprowadził, byłem z rezultatu niemal zadowolony, widziałem bowiem zainteresowanie się sprawą narodową przez drobne mieszczaństwo i ofiarność biedaków o małych środkach.

Szarzeń poczynąło, kiedy oddalony turkot wozów kazał nam spojrzeć w stronę Sieradza. Poleciwszy przybyłym wstać i być w cichości przygotowanymi do pochodu, sekcję pod bronią poprowadziłem pod wysuniętą wartę nad drogą, a poleciwszy sierżantowi bacność i w razie wystrzału przybycie z ludźmi na pomoc — udałem się z Mazą drogą leśną, obok gościńca prowadząca, na spotkanie przyjeżdżających.

Z kraju lasu przy poczynającym się świetle widziałem na ośmiu furmankach parokonnym obsadzonych gęsto ludźmi, z kilkoma konnymi obok furmanek jadącymi, jakiś niby w całości oddział, lecz odległość jeszcze nie dozwalała rozpoznać szczegółowo przedmiotów, brak tylko pik u kawalerzystów przypuszczać kazał, iż nasi przybywają. Jakoż po kwadransie oczekiwania jadący oddział zbliżył się do skraju lasu i można już było rozróżnić swojskie twarze

¹⁾ Taka data w rękopisie, przyp. wyd.

i ubiory i porachować, iż prócz 7 konnych z przewieszoną przez plecy bronią było na ośmiu furmankach z woźnicami 52 ludzi.

Gdy na moją komendę „stój!“ wtłoczony do lasu oddział zatrzymał się, a odebrawszy i zdawszy hasło i odzew poznaliśmy, żeśmy bracią straceńcami, wysypała się z wozów wiara i chciała sobie pogwarzyć, lecz na moją cichą komendę: „cicho i na wozy siadać jak dawniej“ przy pewnym pomruku wozy spieszenie zajęto. Prowadzeni przeze mnie, popod zbliżoną do drogi placówkę przejechali, której mimochodem dawszy polecenie zebrania ludzi i wiktuałów i udania się wszystkim za mną do obozu, poprowadziłem ich leśną drogą możliwie jak najdalej dopokąd wozy po niej jadące mogły się pomieścić, a nakazawszy przystanek, kazałem zsiąść z wozów i takowe wyładować.

Wyładowane zapasy przedstawiały znaczną objętość, a skontrolowane w obozie i wniesione do szopy tak nazwanej sztabowej — przedstawiały zawartość, zdolną wystarczyć na wyżywienie 100 ludzi przynajmniej na pięć dni.

Ale myśląc o bezpieczeństwie obozu pomyślałem zarazem o jak najprędszym usunięciu furmanek, co też skuteczniwszy w ciągu kwadransa i zleciwszy im powrót do miasta w ich własnym interesie nie gromadny, lecz pojedynczo i różnymi traktami, pozorując wyjazd z miasta jakimś zakupnem, a przede wszystkim zalecając im milczenie o nocy dzisiejszej dla ocalenia swej własnej skóry od moskiewskich batogów, powróciłem do towarzyszy.

Rozdzieliwszy między wszystkich ciężar prowiantów i objuczywszy wszystkie konie, ruszyliśmy do obozu, do którego wysłałem przodem Mazę dla oznajmienia o zbliżaniu się oddziału i załatwienia się z wartami. Przyglądałem się fizjonomiom przybyłych, nie różniących się z dawniej przybyłymi — chyba dostatniejszym ubraniem i lepszym uzbrojeniem. Była to w owych czasach, a może i dzisiaj, najlepsza brać, małomieszczańska, rzemieślnicza, umiejąca nie kulturą lecz sercem najlepiej odczuć miłość dla tej ziemi, a może jeszcze więcej nienawiść do Moskala i Niemca.

Po przyjęciu przed obozem i zdaniu raportu i służby przez Lütticha, zaleciłem wszystkie prowianty z wyjątkiem wołu umieścić w moim szałasie, a przeznaczając do czynności prowiantowego oficera mego dotychczasowego galopena i przydzielając mu do pomocy czterech żołnierzy, to jest dwóch rzeźników i dwóch kucharzy, kazałem po rozsegregowaniu zrobić szczegółowy spis takowych, ich wagę lub miarę

przypuszczalną, oraz znalezionej amunicję oddzielić i zachować w suchym i bezpiecznym miejscu.

Uporawszy się chwilowo z prowiantami, zająłem się ludźmi. Kawalerzystom osobno, strzelcom, osobno siekiernikom — uformować w szeregi, a kawalerzystom osobno, zająłem się kontrolą poszczególną tak ludzi jak i broni najpierw w strzelcach, a przeszedłszy z nimi, jak i wczoraj, egzamin próbny z użycia broni palnej i ilości posiadanej amunicji, któren wypadł dobrze lub z małymi poprawkami, wcieliłem ich w liczbie 27 do już sformowanego 1-go plutonu — porównowo we wszystkie cztery sekcje.

Tak wzmocniony pluton oddając Mazie powróciłem do siekierników, a zrachowawszy ich i przekonawszy się o mickiewiczowskiej liczbie 44-ch, kazałem ich tak samo porównowo rozdzielić po 11-tu między cztery sekcje sformowanego już plutonu.

W zajęciu tym przyglądając się ludziom i ich twarzom, zauważyłem młodego jeszcze, około 30 lat mogącego mieć człowieka, kulturalnie ubranego w palto, długie buty i barankową czapkę, bez żadnej na pozór broni, gdyż schowany w boczną kieszeń palta rewolwer na zewnątrz niczym nie zdradzał uzbrojenia, o inteligentnym oku i ciemnym zaroście; gdym się do niego zbliżył i zapytał o nazwisko i zajęcie, chwilowo uważałem, iż zmienił się na twarzy, lecz natychmiast ochłonawszy oświadczył mi, że nazywa się Teofil Chłonowski, był urzędnikiem na poczcie w Sieradzu i jako taki widział mnie przed paru dniami u pocztmistrza w Sieradzu, a wydobywając paczkę pięciorublowych banknotów wręczył mi takową, jako przesyłkę od organizacji m. Sieradza na wydatki oddziału.

Widząc z całego zachowania się rozumnego i uczciwego człowieka, wręczając mu pokwitowanie na świstku papieru skreślone ołówkiem, przed frontem plutonu siekierników już przez Lütticha zorganizowanym i ustawionym w dwa szeregi zamianowałem Chłonowskiego porucznikiem plutonu. Zdając Lüttichowi dalsze wyrobienie i opiekę specjalną nad plutonem siekierników i jego porucznikiem zauważyłem, iż mój niby intendent stoi na boku z papierem w ręku.

Zbliżywszy się do niego odebrałem gotowy spis zapasów do obozu nadeszłych — rozgatunkowanych i ilość oznaczających; z niego dowiedziałem się, iż mamy 8 kociołków 5-cio do 6-cio garncowych i 36 łyżek drewnianych lub blaszanych — i że możemy od biedy gotować obiad. Mając groch, kaszę i przeszło centnar solonej słoniny i chleba kilkadziesiąt dużych bochenków, zarządziłem gotowanie obiadu, przeznaczając po porozumieniu się z kucharzami porcję dla

człowieka: $\frac{1}{2}$ kwarty grochu, $\frac{1}{4}$ kaszy i $\frac{1}{2}$ funta słoniny oraz $\frac{1}{2}$ funta chleba, jako ilości dostatecznej na dzienne przeżywienie człowieka; część słoniny i chleba pozostała z obiadu oraz kieliszek wódki miały zarazem wystarczyć na wieczorny posiłek.

Załatwiwszy się ze sprawą ekonomiczną, zbliżyłem się do ustawionych w szereg kawalerzystów, a wytłumaczywszy im zasadę obliczania się od prawego i to, iż ona służy do różnych formacji szwadronu, zakomenderowałem: „baczność, numer pierwszy naprzód stępa marsz“, a gdy jeźdźcy zyskali potrójną długość konia, na komendę „stój“ zatrzymałem jeźdźców na miejscu; toż samo zrobiwszy z jeźdźcami o drugim numerze na odległość $1\frac{1}{2}$ konia długości, mogłem przystąpić do swobodnej lustracji. Na komendę: „baczność, z koni zsiąść“ — wykonaną dosyć dokładnie, jak na początkowych kawalerzystów, przystąpiłem do baczego obejrzenia koni i umontowania, a kazawszy pierwszemu zdjąć siodło i obejrzawszy konia dokładnie, kazałem przy sobie konia osiodłać, następnie zdjąć z konia i włożyć na niego trenzlę lub munsztuk, a przeszedłszy po kolei ze wszystkimi podobną próbę, kazałem znowu pojedynczo przed sobą wsiadać na konia i zsiadać, przejeżdżać na nim stępo, kłusem i galopem; w końcu, rozstawionym jak pierwotnie, po wytłumaczeniu im, jak mają wykonać komendę, na komendę „do frontu równaj się — dyrekcja na prawo, stępa marsz“ — szereg na powrót sformowali.

Zauważyłem w ciągu przeglądu, iż jeden z kawalerzystów około 25 lat liczący, blondyn smagły lecz dobrej budowy, wykonywał wszystkie ruchy dokładnie, a zapytany pierwszy, jako prawoskrzydłowy, o nazwisko wymienił je jako Jan Kosmowski, czy coś zbliżonego, jest z Poznańskiego, gdzie służył jako jednoroczniak w ułanach, przybył zaś chwilowo do Sieradza w odwiedziny do krewnych, skąd dzisiaj przybył do powstania.

Miałem gotowego porucznika kawalerii; zamianowawszy go przeto przed frontem porucznikiem i komendantem plutonu, dodałem, iż mam nadzieję, iż niedługo skompletuje pluton i ćwicząc go regulaminem pruskim o polskiej komendzie stworzy prawdziwych ułanów polskich. Zaleciwszy mu, żeby zbadał stan broni palnej, gdyż siecznej nie było, i nabicie jej świeże po wykręceniu starych ładunków, powróciłem do obozu.

Obiad gotował się, było południe. Lüttich musztrował cały oddział, przejęty, spocony i zachrypnięty, bo to nie zwykła komenda oficera zrozumiana przez szarżę i żołnierzy i w lot wykonana, lecz komenda dla surowych ludzi, a zatem z objaśnieniem takowej: jak

mają ją wykonać, jak stoi żołnierz; gdzie kapral a gdzie oficer, więc podniesionym głosem wciąż, całymi godzinami — nie dziw, że można było być spoconym i zachrypniętym. Ale ta praca powróciła mu zdrowie, bo czasu na chorobę myśmy nie mieli, powiedzieliśmy sobie: po śmierci odpoczniemy, a teraz naprzód marsz!

Po zjedzeniu obiadu i rozłożeniu wszystkich wiktuałów między żołnierzy plutonu siekierników, a znaczną ilość amunicji dostarczonej przez miasteczka Sieradz i Warta, bo około centnara prochu strzelniczego i 2 centnarów ołowiu z paru tysiącami kapiszonów, umieszczając w workach uszytych ze skór baranich i cielaka i objuczając nimi konie dwóch spieszonych kawalerzystów — gotowałem się do wymarszu z punktu zbornego, jako zanadto blisko położonego moskiewskiej komendy w Sieradzu i któren mógł być po parodniowym pobycie nie bardzo tajoną tajemnicą, gdy odgłos tupotu kopyt końskich i głos wołającej warty „stój“ i żądającej hasła podrażnił nasze uszy. Wysłany porucznik Kosmowski dla zbadania przyczyny powrócił po kilku minutach, przyprowadzając z sobą znajomego mi p. Jabłkowskiego w towarzystwie trzech uzbrojonych kawalerzystów.

Z miną i arogancją skończonego szalały szlacheckiego oświadczył mi, iż przyjechał z ciekawości zobaczyć wojsko polskie, a spotkawszy na drodze leśnej trzech kawalerzystów, śladami przez nas zostawionymi po przemarszu przybył do straży, która go zatrzymała; dziwił się, po co straż w kniei leśnej i że nie widać żadnego wozu. Nie czas był na wytłumaczenie mu tych osobliwości. Oddając przybyłych kawalerzystów pod komendę porucznika plutonu dla ich zbadania i wyegzaminowania, zwróciłem się do owego faceta prosząc go, żeby obozu nie odwiedzał, gdyż obóz tylko do żołnierzy polskich należy; w razie jeżeli w przyszłości będzie chciał coś dobrego dla obozu uczynić, skomunikujemy się z nim na linii wart, prosząc go o możliwą tajemnicę, gdyż tak powołani jak i nie powołani mogliby się o sile i stanowisku obozu dowiedzieć, prosiłem go zarazem o skończenie swej wizyty przepraszając za niegościnność, lecz prawa wojenne różnią się znacznie od przyjętych praw konwenansowych. Pozbywszy się tego szalały szlacheckiego, któren dla zadowolenia swej ciekawości i udzielenia jej swym sąsiadom w kilka dni potem zabity został przez patrolujących kozaków, przypuszczających w uciekającym wśród lasów kawalerzyście „miałieżnika“, wydałem rozkaz do wymarszu z obozu. Sformowawszy kolumnę pochodową z półplutonem strzelców w czole i na tyle, w środku z objuczonymi siekiernikami i końmi oraz

intendentem, a w szpicach na froncie i tyłach po czterech kawalerzystów, w zwartej kolumnie, czwórkami, sam z przewodnikiem straceńcem na froncie kolumny stanąłem, a zakazawszy palenia, a tym samym i ognia i wszelkiej głośniejszej rozmowy, pozwalając ją tylko w cichości, — marsz rozpoczęliśmy.

Ponieważ położenie powstańców w początkach było bardzo trudnym tak z powodu sił moskiewskich, jak i nieprzychylniej obojętności szlachty jeszcze w owym czasie nie wyglądającej pomocy Francji, a głównie z przyczyny nieprzyjaznego usposobienia ludności włościańskiej, nurtowanej i podburzanej przez agentów Muchanowa po myśli jego okólnika z początku maja 1861 r., przeto tajnymi i cichymi marszami nocnymi po zakrytych lasami miejscowościach chciałem ukryć choć chwilowo stanowisko oddziału, jego siły składowe i rodzaj uzbrojenia, zahartować oddział do trudów kampanii, zwiększyć go i przynależnie uzbroić, a wyćwiczywszy go i zorganizowawszy dokładnie stanąć z nim do prawdziwej kampanii. Dlatego aż do 29 stycznia 1863 r. w myśl powyższą postępując, codziennie zmieniając stanowiska obozów, dzień przeznaczając na kilkogodzinne mustry i fabrykację gotowych ładunków oraz kilkogodzinny sen, z nocą rozpoczynałem marsz przynajmniej trzymilowy, aby kompletować i ćwiczyć zwiększający się oddział, a siły jego wzrastały mimo tajnych i nocnych marszów, mimo ciągłej zmiany stanowiska i mimo niedopuszczenia nikogo do wnętrza obozu. Przechód tego oddziału po przerwach bezleśnych, jakkolwiek z dala od osad włościańskich, ale zawsze na terenie północnym korzystnie wybranym, oczekiwany przez psy włościańskie przy akompaniamencie dworskich, stworzył w ludzie wiejskim na podstawie tajemniczości rodzaj przesadnej legendy o jego sile i ludziach w nim przebywających. Mówiono o nim, że idzie i idzie jak ćma, jak czarniawa, i mówiąc to — dla szukających go i pragnących go znaleźć ułatwiała zadanie; i tym sposobem nieznaczne kontyngensa proskrybowanych z miasteczka Turka, Uniejowa, Łasku, a nawet Łodzi, a jeszcze gorzej uzbrojonych, zwiększały co prawda jego siłę liczebną, ale uzbrojenie jego jakie takie wymagało rzeczywistych ofiar poświęcenia. Po ciężkich mustrach dziennych i uciążliwym marszu nocnym, stanąwszy w obozie i rozstawiwszy czaty, najczęściej sam porywałem kilku kawalerzystów do najbliższych wiosek sąsiednich przy pomocy obznajomionego przewodnika tak z miejscowością, jak i stosunkami, a znajdując po największej części dwory opuszczone przez lojalnego właściciela,

odnajdywałem przy pomocy miejscowych oficjalistów lepiej usposobionych od swych panów dla sprawy narodowej, a nawet nieraz przy pomocy służby dworskiej, przechowaną pod podłogami spichrzów i lamusów nieraz wyśmienitą broń myśliwską tak palną jak i sieczną wraz z większą lub mniejszą ilością amunicji, które bezwarunkowo zabierałem wraz z siodłami i terlicami, jakie się znalazły; obciążając nimi przybyłych ze mną kawalerzystów i zrabowawszy, bo tak się nazywało, spizarnię, spichlerz a nawet nieraz piwnicę, powracałem zwykle do kniei nad rankiem, nieraz wzmocniony o dwóch, trzech i czterech ludzi i parą koni odpowiednich, jak wilk po nocnej udanej wycieczce.

Takimi to nocnymi wycieczkami zwiększałem, uzbrajałem i żywiłem oddział straceńców od czasu spożycia zapasów miejskich wywiezionych z Miedzna. Sposób zresztą zwykły, praktykowany u wszystkich państw europejskich najwięcej cywilizowanych — a wystawiając bony na pobrane rzeczy z ich szacunkiem i mym podpisem, dawałem możliwość zrealizowania ich wartości. Zresztą — takiego sposobu używałem, bo innego nie miałem, nikt bowiem z kochanej braci szlachty, z tego podniosłego i tradycyjnie szlachetnego obywatelstwa wiejskiego nie dał dla oddziału dobrowolnie kawałka suchego chleba i płątka na obwinienie palca, musiałem więc doraźnie rekwirować.

Ale przepraszam — popełniłem kłamstwo, a tego epitetu nawet tak nazywający się nieprzyjaciele polityczni nie przylepili mi, określając za to więcej dosadnymi tytułami. Otóż był fakt jeden jedyny prawie podczas szesnastomiesięcznej mej działalności, iż w pierwszej połowie lutego, daty szczegółowo nie pamiętam, leżąc obozem w lasach w okolicach Szczercowa i Bełchatowa, w szałasach bez ognisk, jakkolwiek wichura śnieżna z niezbytnią delikatnością postępowała z nami, zbliżył się do mnie służbowy podoficer straży wewnętrznej i doniósł mi, że z linii czat zewnętrznych doniesiono, iż zatrzymano na nich wdzierającego się do obozu pijanego szlachcica z parokonną bryczką i furmanem.

Czując w tym zdarzeniu, iż może się przydać widzenie tego człowieka, kazałem go do siebie przyprowadzić, a bryczkę z furmanem zostawić pod opieką i nadzorem czat zewnętrznych. Po dobrej pół godzinie przyprowadzono go do szałasu, a słysząc jego bełkot bez związku i czując zapach spirytualii — kazałem go jako niepoczytalnego ułożyć na mchu rozścielonym, pozostawiając jego badanie do dnia i przebudzenia się pijaka. Na dobrym świtaniu, kiedy rozpalono już ogniska i nastawiono kotły, mój gość nocny widocznie przejęty rozchodzącym

się ciepłem najprzód poruszył się, a następnie otwarłszy oczy cokolwiek namarszczył się; obserwowałem go leżąc koło niego, którego oprzytomniawszy i nie mogąc na razie zrozumieć, w jakim miejscu i jakim sposobem dostał się tutaj, wstał w końcu, aby ruchem odpuścić trapiącą go wizję, zobaczywszy jednak szałas, ogniska i ludzi, wyraził miną i ruchem jakby sobie coś przypominał. Poprosiłem go tedy cicho, żeby się do mnie odwrócił, a wytłumaczę mu, gdzie jest i jakim sposobem przybył. Oprzytomniawszy w tej chwili, z całą swobodą światowego człowieka zwrócił się do mnie, a przedstawiając się jako p. Kaczkowski, właściciel dóbr Belchatowa, przeproszał za kłopot, jaki mi sprawił swoją osobą; w zamian przepraszając go za sposób mego urzędzenia, poprosiłem go siadać obok mnie do gawędy choćby na tym mchu, nie mogąc mu obecnie służyć czymś lepszym do siedzenia. Opowiedział mi, iż wczoraj, po jakimś późniejszym obiedzie u siebie w towarzystwie cokolwiek liczniejszym jak zwykle, mówiono o mnie i o sposobie mego nocnego rekwirowania i po rozmaitych sprzeczkach i dysputach, zostawiwszy u siebie pod opieką brata pozostałe towarzystwo, wsiadł na bryczkę — żeby oddział, o którym powszechnie mówią, odnaleźć. Że wsiadł na bryczkę, to sobie przypomina, lecz jakim sposobem obudził się w szałasie, pragnie się ode mnie dowiedzieć.

Po krótkim wytłumaczeniu mu przyczyn i sposobu dostania się pod szałas na legowisko z mchu usłane, na którym równie smacznie spoczywał jak na edredonach, oświadczył mi, iż pragnie czymś się przyczynić dla oddziału, a na mój wykrzyk „z Bogaś się zjawił“ zostawił mi zaraz 150 rs. i objawił chęć przyczynienia się czym będzie mógł. Po napiciu się z nim kieliszka wódki, przekazanej kawałkiem wędzonej słoniny, i wyprawieniu z nim Lütticha dla odebrania różnych rzeczy pod osłoną pełnego plutonu kawalerii, zająłem się jak zwykle mustrą żołnierzy, a po pięciogodzinnej nieobecności powitałem wracającego Lütticha obciążonego jedyny raz dobrowolnymi darami szlachcica polskiego dla oddziału pod mą komendą zostającego. Były to dary i znaczne i bardzo użyteczne, a mianowicie: do zostawionych już 150 rs. przysłał drugie 150 rs., 6 koni z umontowaniem, a między nimi moją piękną i zbytkową klacz Kaśkę, wierną towarzyszkę trzymiesięcznej zimowej kampanii, skradzioną mi ze stajni przez już wówczas generała Pomarancowa, dalej kilka sztuk dobrych dubeltówek, pałaszy i pistoletów z 10 funtami przynajmniej amunicji, dalej na jakie 20 ludzi dostatniego i ciepłego ubrania z odpowiednią ilością nowych

butów, dużo innych rzeczy dla obozu potrzebnych i naładowany wóz z wiktuałami do jedzenia i picia.

Dar narodowy ze strony p. Kaczkowskiego, jakkolwiek zamożnego, jak się później dowiedziałem, człowieka, sprawdzając przysłowie „zastaw się a postaw się“ pokazywał, iż dla chętnych był sposób skomunikowania się z obozem i uniknięcia tym samym doraźnych rek wizycyj, a człowiek ten, hulaka a nawet opój, dając przykład dobrowolnej ofiarności dla sprawy narodowej, dowiódł, iż nasza sprawa wymaga naprzód serca, a później nie tych szlachecko-kombinowanych okoliczności politycznych, ale samego rozumu, gdyż bez pierwszego czynnika nie stworzy się przypuszczalnie dobrego programu postępowania. Nikt bowiem na serio nie zajmie się sprawą, która go nic nie obchodzi, a pisaniny programów i elukubracyjne gawędy oprócz przelewania pustego w próżne nic więcej nie wydadzą, co najwyżej po przejściowym okresie wywołają u ludzi tę sentencję: „ne zdurysz aptykara“ i t. d.

Ale powróćmy do wypadków poprzednich, o których mówiliśmy. Te pochody nocne, to niemal zamknięcie się szczelne w obozie przez nikogo nie badanym i na terenie osłoniętym, te rozjazdy nocne rek wizycyjne jak wywołały w ludzie wiejskim różne gawędy o przypuszczalnej sile i potędze Polaków, bo tak nas do samego końca nazywano, podając liczbę na tysiące, — tak ze strony dworu szlacheckiego każdy rozjazd nocny, rek wirujący żywność i potrzebne utensylia, ściśle był notowany i po jego odejściu w powiększonej liczbie i formie opisany przysłany został na mocy legalnego rozkazu najbliższej komendzie wojsk moskiewskich do wiadomości.

Szpiegi chłopskie donoszące o pobycie Polaków, za które to wiadomości tak zanadto gorliwie i z pewną niemal przyjemnością wieszano ciemnych i nędznych biedaków, o ileż wyżej jednak stali od tych tak nazwanych uherbowanych „donoszczyków“, którzy nie mając potrzeby ani zarobienia kilku rubli, ani nie mogąc się usprawiedliwić, iż to jakieś nieznanne „Poloki“, donosili prawie, można powiedzieć, z amatorstwa.

Gdyby przynajmniej w każdym powiecie sformował się choć jeden oddział, a było ich wówczas 37 w samej Kongresówce, to wobec paniki, jaka się w pierwszych dniach powstania między Moskwą objawiła, wobec mogących być przerwany i zniszczony wszelkich dróg porozumiewania się, to jest poczt i telegrafów, odosobnione i po miastach powiatowych zamknięte siły moskiewskie nie przed-

stawiały żadnego poważnego niebezpieczeństwa dla lotnych partyzanckich oddziałów; mogły się były one w czasie uzyskanym podćwiczyć, uzbroić i zorganizować, a kierowane odśrodkowo lub dośrodkowo przez człowieka, czy też kilku, inteligentnego i fachowo wykształconego, mogły w razie poruszenia się więcej masowego sił moskiewskich przechodzić w miarę okoliczności z alarmującej partyzantki do akcji stałej i na odwrót.

Ale inaczej się działo. W owym czasie na pięć powiatów województwa kaliskiego jeden tylko egzystował oddział: formujący się pod moją komendą. Alarmujące wieści dochodzące zewsząd do pierwotnie spłoszonej Moskwy, a wykazujące jego pobyt (oddziału) w północnym terenie województwa, oprzytomniły i zniewoliły ją prawie do działania. Generał Bremer, pozostawiając na załogach Kalisza, Wielunia i Sieradza tylko niezbędne siły i zarządzając marsz koncentracyjny w kierunku m. Warty, a wykonawszy przejście zgromadzonych sił z lewego na prawy brzeg Warty po mostach w Sieradzu i Warcie, kolumnami swymi starał się otoczyć Prusinowice, Choszczew i Ralewice, w których to lasach wówczas się znajdowałem.

O tym ruchu moskiewskim nie miałem najmniejszej wiadomości, a jednakże ruch ten zmasował przeszło 2500 ludzi trzech broni na linii Warta-Sieradz. Gdy wracałem z dziennego rekonesansu w sile 10 kawalerzystów z okolicy widniejszej, usłyszałem z daleka od strony Szadku sygnały moskiewskie, w kilka chwil — ciszej grające sygnały od strony Warty. Chwilowo towarzyszący mi niejaki p. Dąbski, właściciel wioski w domu którego przed kwadranssem jeszcze byłem, a którego później w kilka miesięcy spotkałem wraz z jego bratem jako poruczników w brygadzie kawalerii Taczanowskiego, poinformowawszy mnie o topografii najbliższych wiosek, powrócił zaraz do domu celem osobistego przyjęcia spodziewanej inwazji, ja zaś z moimi towarzyszami, starając się jak najprędzej wydostać z terenu odkrytego, wyciągniętym kłusem dobiliśmy się po kwadransie do osłaniającego nas lasu, krajem którego jadąc można było gołym okiem rozpoznać szwendające się rozjazdy kozackie. W pół godziny przybywszy do obozu już po zachodzie słońca, zastałem w nim ruch niezwykły, a podchodzący do mnie młody i delikatnej budowy mężczyzna, wymieniwszy swe nazwisko Gustaw Wasilewski i przedstawivszy się jako komisarz, co było zbytecznym — gdyż o jego stanowisku wiedziałem, oświadczył mi, że dowiedziawszy się o poruszeniach Moskwy i o mogącym nastąpić starciu przybył do

obozu, a przedstawivszy mi p. Barucha czy Rubacha, właściciela wioski w okolicy, jako w danym razie dobrego przewodnika obznajomionego dokładnie z tą leśną stroną, zapytał się, co myślę robić.

Najprzód go uściskałem jako kolegę genueńczyka, przybyłem bowiem w tydzień po jego wyjeździe do Paryża i zamieszkałem na jego dawnej kwaterze na Via Balbia, a następnie powiedziałvszy mu, że wracam z rekonesansu, na którym dowiedziałem się z sygnałówek moskiewskich o kolumnach spieszących od strony Szadku i Warty, rozjazdy których osobiście widziałem, a ponieważ cała moja siła obecnie wynosi ze mną 172 ludzi i nie mam pozycji termopilskiej, przeto uciekam i czekam tylko zupełnego zmroku; a ponieważ ściany południowa i zachodnia a prawdopodobnie i wschodnia przez kozacze rozjazdy są kontrolowane, pójdziemy trzymając się lasów w kierunku najprostszym, środkiem między Uniejów a Poddębice. Tak zadecydowawszy wycofanie się z honorem, w pół godziny marsz rozpoczęliśmy, a ponieważ do nocnych marszów przyzwyczajony był straceniec, przeto i ten przy zwykłych ostrożnościach odbył się w spokoju, a po paru dwugodzinnych odpoczynkach zakładałem obóz pod Świnnicami około 6-iej rano, zrobiwszy sześć opętanych mil polskich.

Dowiedziałem się w parę dni później powracając na swój właściwy teren działania, że zgromadzone 29 stycznia 1863 r. siły moskiewskie pod Prusinowicami, natrąbiwszy się co niemiara i namęczywszy sporo ludzi, po szumnej nagonce nawróciły na swe kwatery, a z całej skombinowanej operacji Bremera widziałem tylko chęć pokazania swej działalności i brak prawdziwych wiadomości o sile oddziału, nie koncentrowałyby bowiem na drobny oddział takich sił znacznych, gdyż pojedyncze kolumny lotne daleko lepiej odpowiedziałyby temu celowi.

Trzymając się zawsze prawie ściśle przyjętego zasadniczo postępowania i działając zawsze na terenie północnym, wzmacniałem siły oddziału nieznacznie, ale jednak wzrastając tak pojedynczymi ochotnikami jak i partią straceńców z Łodzi, spotkaną przez jeden z mych konnych rozjazdów, w liczbie 36 ludzi, uzbrojoną przeważnie w gwintowe sztucze strzeleckie z odjętymi zamkami i brantkami. Niemało miałem kłopotu i straciłem czasu, zanim moi ślusarze obozowi zdołali odjąć od bezwartościowych pojedynek zamki i brantki i po naprawie ich i oczyszczeniu dopasować takowe do sztuczerów.

W zajęciach tych i poruszeniach, a głównie aby wzmocnić siły oddziału i zaopatrzyć w obfitszą żywność, której nam od paru dni brakowało, zająłem 1 lutego 1863 roku Uniejów, a obsadziwszy

w nim zamek własnością donatariusza generała Tolla będący, kompletowałem oddział ochotnikami, bronią i wszelkimi przydać się mogącymi rekwizytami; wyrobiwszy całą pozostałą mi surową amunicję i świeżo znaną na gotowe ładunki i zaopatrzony w żywność na trzy dni wystarczającą, zająłem się poza ciągle prawie trwającymi mustrami zaprowadzeniem w mieście organizacji narodowej i tak nazwanej straży wewnętrznej, przeważnie z Żydków naszych złożonej i wykrzykujących z fantazją przy spotkaniach z mymi patrolami: „Niech zije Biały Orzeł z Podogoniem“ (jak kto umie, tak Pana Boga chwali). To tylko mogę tu zaznaczyć z całym uznaniem dla Polaków wyznania mojżeszowego, iż przez cały ciąg mej kilkunastomiesięcznej działalności, a i przedtem w paroletnich robotach konspiracyjnych nie zdarzył mi się ani jeden fakt zasługujący swą szpetnością na surową karę (a cóż się działo między wyznawcami katolicyzmu i Polakami), że wiele razy w potrzebie i niebezpieczeństwie ofiarowali mi swą pomoc użyteczną, iż w dostawach rekwizytów, jakie przez ich pośrednictwo otrzymałem, postępowali z możliwie kupiecką lojalnością i akuratnością; mogę z przyjemnością stwierdzić, iż kolegowałem tak w pracy organizacyjnej i szkole wojskowej w Genui i Cuneo jak i w powstaniu z Goldmanem, Groszternem, Hofenblumem, Karlsbadem, Witkowskim, Lewinsonem i wielu innymi, których nazwiska wyszły mi z pamięci, a którzy swym życiem i postępowaniem dowiedli, że Matka Polska wspólną jest Matką; więc nie te Żydki pogardliwie przez nas odrzucane, ale my sami swym głupim katolicko-ultramontańskim postępowaniem kopujemy Syjony i im podobne widziadła, bo oni po wspólnym krwawym obrzędku 27 lutego 1861 r. do wyciągniętych przez nas rąk z gorączką niemal przyłgnęli, bo ówczcześni ich reprezentanci Majzels i Kramsztyk zawierali z nami z wiarą ugodę na lepszą wspólną przyszłość i w początkach zadatkowali ją dobrze. Biada nam, jeżeli niepomni przeszłości, naszej tolerancji za Piastów i Jagiellonów, trzymać się będziemy skoszlawionych pojęć, a tradycyjnie przechowanych i wszczepionych ogłupiałym mózgom wychowawców jezuickich. Czas największy opamiętać się, aby wrogi zewnętrzne nie cieszyły się z głupoty naszej i zaślepienia. Są oni albo pragną być Polakami, ale wymagają, ażeby dola mieszkańców tej ziemi była wspólną, tak złą jak i lepszą, i żeby przestali być tą czernią, może już dzisiaj nie kopaną bezkarnie z racji udzielonej im opieki prawa, tylko że nie przez nas, ale z przyjemnością niemal przez ogół wyśmiewaną i pogardzaną po dzisiaj.

Ale wróćmy do wypadków. Zawiadomiony o ruchu wojsk moskiewskich od strony Kalisza i Łęczycy, zarekwirawwszy 25 fornalek czterokonných w okolicznych dworach wiejskich, wsadziłem na nie swą piechotę i zapasy i wieczorem dobrze już po 10-ej dnia 3 lutego 1863 r. opuściłem Uniejów, a przez Szadek, Zduńską Wolę przybyłem wolnym marszem dla oszczędzenia koni swej kawalerii, flankierującej przy kolumnie, około 10-ej rano dnia 5 lutego do miasta Widawy, zajmwszy na postój oddziału zasobny i obmurowany klasztor bernardynów czy reformatów, w którego korytarzach pomieściła się wiara piesza, a na dziedzińcach kawaleria i zatrzymane podwozy. Wypocząłem w nim spokojnie przy obfitym posiłku przeszło 24 godzin, a na wiadomość o świeżo nadchodzących kolumnach ze strony Sieradza i Wielunia, gdyż kolumny kaliska i łeczycka po bezowocnych marszach wróciły zdemoralizowane na swoje kwatery, odprawiwszy zatrzymane dotąd furmanki aby wracały na Łask i Szadek do domu, z oddziałem wypoczętym opuściłem klasztor w Widawie wieczorem późnym dnia 6 lutego 1863 roku; trzymając się kierunku na Szczerców i Bełchatów, leśnymi i polnymi drogami przybyłem, omijając miasteczko Szczerców, i stanąłem obozem w lasach do majątku Kaszewice należących. Korzystając z egzystującej tam fryszerki i walcowni żelaza, osadziłem już poprzednio posiadane 100 kos na drążkach, i wyrobione 40 grotów do lanc osadziwszy na drzewcach, dokompletowałem po kilku dniach uzbrojenie mego oddziału.

Siły jego w połowie lutego składały się: z kompanii strzelców w liczbie 92 strzelców podzielonej na dwa plutony, z kompanii kosynierów w liczbie 102 ludzi podzielonej na dwa plutony, z $\frac{1}{2}$ szwadronu kawalerii w liczbie 52 koni podzielonej także na dwa plutony, z których pierwszy uzbrojony w świeżo zrobione lance liczył z oficerem 37 ludzi i którego pierwszy szereg oprócz lanc był uzbrojony kiepskimi pałaszami, drugi zaś pluton w zawiązku wraz z podoficerem wachmistrzem o sile 15 ludzi, uzbrojony w nieszczęśliwe dubeltówki i pojedynki, pełnił funkcję forpocztową i spełniał rolę flankierów; nadto dodać muszę, iż strzelcy na każdą lufę zaopatrzeni byli wówczas w 60 gotowych ładunków w połowie większej nabitych kulami, wreszcie grankulkami — stosownie do potrzeby. Siły przeto oddziału wynosiły razem z oficerami frontowych 250 ludzi, z podintendentem i 4 ludźmi niefrontowymi ogółem 255 ludzi jako tako podćwiczonych i uzbrojonych, przywykłych do pewnej karności i w trzygodniowych przeważnie nocnych marszach nieźle zahartowanych.

Stojąc w lasach należących do dóbr Jastrzębiec w południowozachodniej stronie Szczercowa około 12 czy 13 lutego, odwiedzony zostałem dniem pierwiej w obozie przez Bronisława Ruckiego¹⁾, przybyłego na Naczelnika sił zbrojnych województwa kaliskiego, przyjeżdżającego w towarzystwie p. Kazimierza Biernackiego, owego delegata szlachty do Komitetu Centralnego. Ledwie się to nie zakończyło katastrofą, wjechawszy bowiem na czatę pieszą o nocnej godzinie, na wołanie jej „stój“ — nie stanął, na żądanie hasła nie zdał i drąc się konno w las wywołał ze strony straży strzał, który na szczęście tylko mu burkę skaleczył; po uciszeniu się zamieszania, jakie strzał na linii czatów wywołał i po przyprowadzeniu straży zbiegającej się do dawnego porządku, zaprezentowany mi przez p. Biernackiego świeżo przybyły Naczelnik Województwa poprosił o sprezentowanie oddziału, co uczyniwszy i zdawszy mu raport szczegółowy o sile i uzbrojeniu oddziału oraz o czatach zewnętrznych pieszych i konnych, dałem mu hasło i odzew na ten dzień obowiązujące i czekałem rozkazu. Podziękowawszy mi za raport i wcale marsowy wygląd żołnierzy, lepiej się przedstawiających w blasku ognisk obozowych przed szafasami się palących, i wyraziwszy mi pewien rodzaj uznania za opiekę nad żołnierzami przez budowę szafasów, prosił mnie o wprowadzenie żołnierzy w stan spokoju, co też uczyniwszy, wydając stosowne rozkazy, zaprosiłem przybyłych do tak nazwanego „sztabowego szafasu“.

Poczęstowawszy zdrożonych trzymilową jazdą konną — wódką i jakąś obozową mięsną zakąską, gdyż chleb czasami był tylko przez nas widziany, i poprosiwszy ich siadać na nagromadzonym mchu i wrzosie, opowiedziałem o moich czynnościach w okresie trzytygodniowym i o wszystkich dodatnich i ujemnych stronach naszego społeczeństwa i zapytałem wreszcie Ruckiego, dlaczego w innych powiatach tego województwa nie formują się oddziały na mój sposób, które by z większą łatwością formację mogły przeprowadzać bez ściągania masowego działania sił moskiewskich.

Parogodzinna gawęda zaledwie miała ten skutek, iż wyszło z jego ust przyrzeczenie, iż wszelkimi siłami będzie się starał wspierać mnie, lecz już za nadto umiałem wierzyć obiecankom, a z poglądów przez niego wypowiedzianych spostrzegłem kapitana huzarów moskiewskich wierzącego tylko w masowe działanie armii, czemu i ja nie przeczyłem, tylko że ja chciałem do niej dojść przez partyzantkę

¹⁾ Bronisław Rudzki, przyp. wyd.

stracenców, do czego wszystkie okoliczności zmuszały, on zaś marzył o wielkiej armii, ku czemu, jak się później okazało, skierował wszystkie swe zdolności organizacyjne; położone przez niego podstawy i nagromadzone materiały w ręku zdolnego organizatora, chociaż nędznego bo płochliwego oficera, jakim był podpułkownik Pini, pozwoliły stworzyć w ciągu prawie sześciu tygodni i stanąć Taczanowskiemu na czele ośmioszwadronowej brygady o sile 1200 koni.

Podnoszę osobistość Bronisława Ruckiego i jego zdolności organizacyjne, gdyż może już nie będę mieć sposobności uwidocznic tego człowieka, ginącego z własnej ręki zaledwie w miesiąc później, to jest w połowie marca 1863 r. w domu właściciela wiejskiego p. Neugebauera wpośród zgromadzonych kilku członków organizacji województwa, przybyłych na sesję nadzwyczajną. Zdradzony przez nędznika nazwiskiem Bogatko (ożenionego z córką p. Łaszczyńskiego, ówczesnego gubernatora cywilnego gubernii warszawskiej), którego należąc do organizacji jako dawny polityczny zesłaniec i żołnierz kaukaski wiedział o czasie i miejscu zjazdu, sam nań nie przyjechał, lecz donosząc o nim generałowi Bremer, spowodował wysłanie kapitana żandarmerii Bergmana w asystencji sotni kozaków, którego otoczywszy zniemacka dwór i aresztując zgromadzonych, zbliżał się do Ruckiego z chęcią zapewne prawienia madrygałów urzędowych, przez oficerów żandarmerii w takich zdarzeniach zwykle używanych, do czego nie dopuszczając Rucki wystrzałem pozbawiając się życia, gdyż nic go już nie mogło uratować, dał możność zgromadzonym wyłgania się z tej biedy. Po kilkumiesięcznym bowiem przetrzymaniu aresztowanych w więzieniu cywilnym w „hotelu Peszkego“ — aresztowani po użyciu środków, przemawiających tak dobrze do sumienia moskiewskiego, zostali uwolnieni i powrócili do swych domów spokojni i zadowoleni, choćby już i z tego względu, że już powstanie wówczas zamierało i że im, otoczonym aureolą męczeństwa, nikt spokojnego życia nie zamąci.

Zginął zatem jeden i to nie osiadły, tylko jakiś przybłąda, ale ten przybłąda, gdyby się nie zastrzelił i gdyby doczekał chwili czynnego działania, może byłby wiódł nie tylko na oko piękną i kompletną brygadę o jednolitej i nawet dobranej szwadronami maści koni i o umundurowaniu i uzbrojeniu przypominającym dawną armię polską sprzed 1831 r. — nie tak, jak Taczanowski kłusem i galopem do ucieczki, ale z komendą „naprzód, marsz marsz“ może by chociaż w części utrzymał sławę waleczności kawalerii polskiej, ohydnie w 1863 roku zatraconej.

A może by do śmierci Ruckiego nie doszło i do aresztowania organizacji województwa, zdarzył się bowiem przypadek następujący. Przechodząc z oddziałem zredukowanym po kilku ogniach do 150 ludzi spotkałem znajomego mi szlachcica jadącego w przeciwnym kierunku bryczką; po przywitaniu zapytałem go, dokąd jedzie, a odpowiedziawszy mi, iż na zjazd wojewódzki, oświadczył zarazem, że po drodze musi jeszcze zboczyć dla załatwienia swych interesów. Dowiedziawszy się o zjeździe a mając konieczną potrzebę widzenia się z Ruckim, prosiłem owego obywatela z Sieradzkiego, który w tym powiecie jakieś funkcje organizacyjne spełniał, o powiedzenie mi, gdzie zebranie ma się odbyć; na odpowiedź odmowną z powodu danego słowa na tajemnicę, po nadaremnych przedstawianiu, iż tajemnica nie może się stosować do mnie, nie mogąc z tego skołczyłego mózgu nic wydobyć — pożegnałem go i udałem się z oddziałem w dalszą drogę.

A jednakże czyste przekleństwo — mieć do czynienia z ludźmi głupimi i przejętymi nierozsądnie ważnością swych obowiązków! Gdyby mi był ten dureń z Sieradzkiego, którego nazwiska bodaj na K. zaczynającego się zapomniałem, powiedział, jak się po wypadku dowiedziałem, nazwisko miejscowości, to znajdując się zaledwie w milowej odległości byłbym z oddziałem przybył dobrze jeszcze przed katastrofą, a wówczas misja kapitana Bergmana mogła się inaczej skończyć. Stało się — i ów pan z Sieradzkiego, jeżeli umiał odczuwać, mógł sobie nieraz powiedzieć, że tajemnice nie do wszystkich się stosują.

Ale wróćmy do przerwane go opowiadania. Po wyjeździe Ruckiego z towarzyszącym mu p. Kazimierzem Biernackim i po nadejściu dnia zajmowałem się jak zwykle swymi obozowymi obowiązkami, kiedy około południa, gdy dogotujący się w kotłach krupnik z wołowiną nęcił swym zapachem, kawalerzysta z czat zewnętrznych doniósł mi, iż ktoś zatrzymał się przy czatach, prosząc o wpuszczenie go do obozu.

Wysłany porucznik Kosmowski po półgodzinnej nieobecności powrócił, a za nim parokonna bryczka wioząca Gustawa Wasilewskiego.

Uściskawszy się i zjadłszy ów pachnący krupnik, Wasilewski zaproponował mi wspólną jazdę na jakiś zjazd obywatelski celem pomagania mu w mogących wywiązać się rozprawach, a ponieważ prawie pewny byłem spokoju wojsk moskiewskich, zdawszy komendę oddziału Lüttichowi i zaleciwszy mu, iżby w razie ruchów moskiewskich, biorąc kierunek na Lutomię, przerywał się lasami między Szczercowem, Widawą, Łaskiem i Szadkiem, wyjechaliśmy przed wieczorem 12 lutego 1863 r. z obozu.

Monotonna jazda przy zapadającym zmroku nie przedstawiała nic ciekawego, a usposobienia nasze tak były jakoś zmęczone, iż milcząc prawie przebyliśmy trzy mile drogi i zajęchawszy przed dwór w Siedlcach, zaproszeni zostaliśmy przez gospodarza do herbaty; wypiwszy ją wraz z niezbędną przekąską, po godzinnym niemal pobycie wyjechaliśmy świeżą bryczką w dalszą drogę, a posuwając się zwolna po drodze zwykłej z powodu panujących roztopów wjeżdżaliśmy na szosę przez Łask, Zduńską Wolę do Sieradza, gdy popchnięty dyszlem naszej bryczki, kląc i wrzeszcząc przypadł do nas Moskal i zaledwie zdołałem szepnąć do Wasilewskiego: „Myśl o sobie!“ — gdyśmy byli otoczeni gromadą piechoty moskiewskiej.

Jakiś podoficer prowadzący „zwod“ tylnej straży zażądał paszportów, a zobaczywszy na nich przy oświetlonych zapalkach taką masę pieczęci, a głównie dużych jenerał-gubernatora warszawskiego, uznał nas za lojalnych obywateli. Poprosiwszy o papierosy i otrzymawszy ich kilkanaście, kazał się żołnierzom cofnąć od bryczki i jechać swobodnie. Przejechawszy szosę w poprzek, wjechaliśmy na krzyżującą się naszą dalszą drogę, a ujechawszy w cichości paręset kroków przyznaliśmy słuszność przysłowiu „kto ma wisieć nie utonie“ i drugiemu „lepszy łut szczęścia niż funt rozumu“ — i kontenci ze swobody, już bez żadnego spotkania dobiliśmy około 1-ej po północy do wioski, będącej własnością niejakiego p. Wieruskiego pod Szadkiem. Przenocowawszy tam i zrobiwszy patriotyczną facjendę, gdyż zostawiłem mu moje jakieś psie futro o formie tołuba, a w zamian dostałem palto długie syberyjowe rozcięte z tyłu, a zatem przydatne i do jazdy konnej, podbite krymskimi barankami, — wyjechaliśmy po dobrym mięsnyim śniadaniu w dalszą drogę. Zdaje mi się, że 13 lutego 1863 r. i jadąc ciągle błotnistą jak podczas roztopów drogą na Ozorków, skręciliśmy już z niej na lewo w nocy i przybyliśmy do Psar.

W Psarach znaleźliśmy świeżo formujący się oddziałek pod komendą Drohomireckiego w liczbie około 20 młodzieży, przeważnie z uniwersytetów i szkół zagranicznych przybyłej, a częściowo uzbrojonej przez jeszcze żyjącego wówczas patriarchę żołnierza polskiego, generała Szembeka, w dubeltówki o kalibrze 12 milim. i w oddziałku tym znaleźliśmy dzisiejszego profesora uniwersytetu lwowskiego dra Stanisława Szachowskiego, uzbrojonego w dubeltówkę oraz długie buty i burkę, gdyż wyglądająca spod niej torba bardzo pękato wyłożona na pierwszy rzut oka podejrzenie budziła, iżby samą amunicją wypchaną była. Rodził on już i wówczas

w kolegach przypuszczenia, że bibuła mu nie jest wstrętną i że dosyć ciekawie nos swój do niej zapuszcza, i nie omyliłem się w podejrzeniu, później się bowiem dowiedziałem, iż nie największym towarem wypychającym mu torbę była amunicja, gdyż gruby tom „Administracji wojskowej“ Dufoura głównie przyczyniał się do nadania jego torbie wyglądu poważnego. Po przywitaniu się z nim jako z kolegą prac organizacyjnych i szkoły wojskowej w Genui i Cuneo, a zostawiwszy go z Wasilewskim na rozpoczętej gawędzie, podszedłem do Drohomireckiego; zbadawszy jego zamiary co do organizacji oddziału, przedstawiłem mu teren chwilowo bardzo dogodny — Kalisz, Koźminek, Turek, Koło, a mając możność przerzucenia się po mostach w Kole, Uniejowie i Warcie na prawy brzeg Warty może w razie niebezpieczeństwa, ginąc w obszernych lasach mojego terenu północnego, wykazałem mu zanadto bliskie sąsiedztwo Łęczycy i możność bycia każdej chwili zaatakowanym, radziłem mu, żeby opuścił Psary i dopóki nie wzmocni oddziału, żeby się trzymał pod osłoną lasów. Nie usłuchał rady, a szkoda — bo i sam dzielny człowiek i bodaj połowa jego towarzyszy, którzy byli dobrymi kadrami formującego się oddziału a swą inteligencją rokujący być po pewnym wyrobieniu dobrymi oficerami, zginęli marnie bodaj kilkanaście godzin po naszym wyjeździe w towarzystwie Szachowskiego, którego Wasilewski, wyjeżdżając do Warszawy, zrobił swym zastępcą i zostawił mu w zarząd województwo kaliskie. Szachowski, bądź w charakterze komisarza pełnomocnego, bądź organizatora województwa pozostał do połowy listopada 1863 r., a zastąpiony był później po jego wyjeździe do Warszawy komisarzem Skotnickim, zarządzającym tym województwem od początków grudnia 1863 roku z Wrocławia, dokąd wyjechał w towarzystwie tak zowiącego się pułkownika Kopernickiego, oszczędzając tym samym czoło organizacji województwa od niepotrzebnego wypadku.

Żegnałem się z towarzyszami w Szadku, oni bowiem pojechali swą drogą do obowiązków, ja zaś do obozu pod Jastrzębcem, dokąd przybyłem wieczorem 14 lutego 1863 roku, a przyjmując od Lütticha komendę oddziału i raport szczegółowy o czynnościach w czasie mej trzydniowej prawie nieobecności — po parogodzinnym wytchnieniu nakazałem wymarsz w kierunku Konopnicy przez Wolę Więzowską.

Ruch ten, przeciwny mym poglądom co do działania wojskowego, był wynikiem dłuższej gawędy, prowadzonej z Wasilewskim

podczas naszej podróży do Psar. Charakter polityczny naszego ruchu zbrojnego uwidocznił w manifestie Rządu Narodowego o uwłaszczeniu włościan wskazywał, iż podnosząc stan włościański do praw obywatelskich i częściowo zapewniając mu byt ekonomiczny rachowaliśmy na poruszenie masy ludowej, jako jedyne go czynnika siły narodowej. Potrzeba więc było do tego ludu zbliżyć się, poznać go i odgadnąć jego myśli i dążenia, jednym słowem, potrzeba go było najprzód zobaczyć, a to było w pierwszych tygodniach powstania trudnym.

W poruszeniach moich, jakkolwiek tajnych i przeważnie nocnych, zdarzało się nieraz, że przechodząc dniem przez osady znajdowałem je prawie puste i wyludnione, początkowo nie zwracałem na to uwagi, mając bezpieczeństwem i wzmocnieniem oddziału głowę nabitą, później jednak ta martwota wsi zaczęła mnie zastanawiać; i dlatego, zarządzając marsz do Konopnicy, poleciłem porucznikowi kawalerii, ażeby na parę wiorst drogi przed osadą plutonem ułanów kłusem kazał osadzić osadę po obu stronach, sam zaś z plutonem flankierskim z bronią w rękę wszedł stępą w ulicę osady i w razie koniecznej potrzeby użył broni. Postępując z piechotą w odległości wiorsty drogi za kawalerią, widziałem ułanów obskakujących osadę i flankierów wstępujących do środka. Po chwili padły dwa strzały jeden po drugim i flankierzy wybiegli kłusem, a sformowawszy się o jakie sto kroków od wylotu wsi stanęli. Odczepiony od reszty oddziału flankier parł całą siłą konia do kolumny. Gdy stanął przede mną salutując, oświadczył, iż cała wieś uzbrojona w koły, widły i kosy rzuciła się na nich; porucznik wystrzelił z pistoletów i jednego chłopca powalił, a im kazał się cofnąć.

Gdy wszedł z oddziałem do Konopnicy, wieś była pustą; dopiero w jej połowie, na placu przed kościołem, stanowiącym rodzaj rynku, zebrana była cała gromada, opierając się o mur cmentarza kościelnego. Byli wszyscy, a nawet kobiety i dzieci; naprzeciw zebranych o sto zaledwie kroków zatrzymałem oddział, a kazałem strzelcom wziąć broń na tuj — i po bokach wyloty zamykając kawalerią, sam podszedłem w towarzystwie dwóch kapralstw kosynierskich, a stanąwszy na jakie dziesięć kroków przed gromadą, zażądałem, żeby sołtys wsi przyszedł do mnie. Nikt nie wyszedł z gromady mimo mego powtórnego wezwania. Poleciłem przeto przyjść dwom jeszcze kapralstwom pierwszego plutonu kosynierów, a mając dostateczną ilość ludzi pod ręką, kazałem kobiety, dzieci i wyrostków odseparować od mężczyzn i ich za kawalerię na bok

odprowadzić, a chłopów rozbroić i w dwa szeregi na pięć kroków odstępu ustawić. Po godzinie zaledwie pracy, krzyku i szamotania miałem sto sześćdziesiąt siedem mężczyzn od lat osiemnastu do starczego wieku w szeregach stojących — i wówczas dopiero nie wiedziałem, co z tym fantem robić.

Widziałem opór zorganizowany, widziałem cudzą nie swojską rękę, nie mogłem odnaleźć skrytego sołtysa, którego by mi tę zagadkę choćby pod pletniami wyjaśnił, a nie mogłem przecie ogłupiałych ludzi w czambuł bić i rozstrzeliwać; ale także nie mogłem bezkarnie pominąć napadu na wojsko polskie, bo mogłoby to stać się powtórzeniem rzezi galicyjskiej z jej wszystkimi ohydnymi następstwami. Włóścianie stali jeszcze więcej pochmurni, a ja nie miałem środka rozwiązującego zagadkę.

Czy przedświtem myśli wiedziony, czy fatum jakieś mnie pchnęło, zbliżyłem się do pierwszego szeregu wieśniaczego i wlepiając oczy w te twarze niby ludzkie, a nic poza apatią nie wyrażające, twarz bardzo odmienną, niemal czworogranną, jednym słowem — nieswojską spotkałem. Przystępując do tego niby człowieka z pięścią w kułak zwiniętą, uderzyłem go z całą siłą w szczękę i zapytując go „ty s karkowo połka“, z niezbędnym zakończeniem, otrzymałem odpowiedź „s libawskowo“. Rzecz się zdawała rozjaśniona. Znalazłszy w drugim szeregu niemal w ten sam sposób drugiego urlopnika z pułku muromskiego i kazawszy im ręce na krzyż związać do karabinów, rozpocząłem indagację po wybiciu im naprzód po pięćdziesiąt pletni kozacych w plecy. Ten sposób indagacji widocznie był przekonującym, gdyż w małe pół godziny przyczyny chowania się ludności i napadu na oddział w Konopnicy były zupełnie wyjaśnione. W obawie drugich pięćdziesięciu pletni, do których się zabierano, wymienili mi naprzód sołtysa z nazwiska, związanymi rękoma go wskazując, a po jego niezbyt dobrowolnym wyjściu z szeregu i przyprowadzeniu go związanego do badanych, rozpocząłem dalszą indagację; zeznali mianowicie, iż służyli w wojsku moskiewskim — jeden w pułku libawskim od lat dwudziestu, drugi w muromskim od lat osiemnastu, że ich bito, mordowano i znieważano, że cztery czy pięć dni po wybuchnięciu „miateżia“ przywołano ich do kancelarii generała, tam im dano „bilety odpusne“, po 25 kopiejek i stare szynele, a ponieważ byli rodem z Konopnicy, kazano im do niej wracać i złożyć bilety zwalniające od służby u sołtysa wsi, któremu kazano powiedzieć, żeby ich słucał, włóczęgów, miateżników łapał i do komend wojskowych odsyłał i miał pilnie baczyć, aby pany się nie buntowały i „zagoworów“

nie czynili. Prośli się, żeby im nic złego nie robić, oni niewinni, zwierzchność nakazała. I prawdę mówili, oni biedni ludzie, przyzwyczajeni pięściami i pałkami do ślepego posłuszeństwa, tylko rozkaz „naczalstwa“ spełniali, a nie mogąc dosięgnąć ręki — musiałem usuwać ślepe miecze jako sprawie szkodliwe. Wydawszy przeto Maźniewskiemu rozkaz zabrania więźniów i natychmiastowego rozstrzelania ich pod murem cmentarza, przeznaczając do egzekucji po pięciu strzelców na każdego, zwróciłem się do głównego winnego, to jest do sołtysa wsi z zapytaniem, dlaczego tak robił — nie mając od wójta, swego bezpośredniego zwierzchnika, ani od naczelnika powiatu żadnego w tej sprawie rozkazu. Gdy nic mi nie przytoczył na swe uniewinnienie, kazałem go powiesić. Grzmot wystrzałów dał mi znać, że pierwsza egzekucja została wykonana. Zanim wykonana została druga egzekucja, krzyk i płacz nadbiegającej kobiety z trojgiem dzieci małych zmienił me postanowienia, skazałem go na siedemdziesiąt pięć pletni kozackich, a poruczając wykonanie wyroku oficerowi kosynierów, podszedłem do stojących jak na początku i przyglądających się wieśniaków.

Kazawszy im przeczytać uwłaszczający edykt Rządu Narodowego i wytłumaczywszy im jak mogłem najplastyczniej jego znaczenie, kładąc nacisk, że Rząd Narodowy chce ich dobra, a szlachta musi go słuchać, kazałem w swej przytomności wybrać spomiędzy siebie nowego sołtysa, uczciwego i spokojnego człowieka, którego by swą złością i głupotą nie narażał wsi na nieszczęście, a po jego wyborze w dziesięciu minutach wykonanym i podaniu mu stosownej instrukcji wypuściłem wszystkich do domów.

Po zjedzeniu gotującego się obiadu i zarekwirowaniu prowiantów spożywczych we dworze u p. Kozarskiego, około drugiej po południu opuściłem nieszczęsną Konopnicę, zmordowany duchowo faktami w niej zaszłymi, lecz zadowolony wynikiem mych inkwizycyj i z silnym postanowieniem oczyszczenia wioski z wysłańców moskiewskich nawet bez używania formy wyroków wojennych, gdyż każdy żołnierz urlopowany lub wypuszczony z wojska już po wybuchłym powstaniu, a zatem w czasie wojny, musiał być agentem rządowym prowokacyjnym, a jako taki śmiercią karany, a w dodatku niebezpiecznym, gdyż dla swego sprytu był do tego wybranym, głupich bowiem ciemiągów do takiej misji nie wybierają.

I dlatego też w ciągu dni kilku przerzucając się w szybkich marszach po różnych częściach powiatów sieradzkiego, wieluńskiego i kaliskiego, a nawet więcej odkrytych i wioskami osiadłych, wpałem

do nich znieca, ludzi zgromadzałem i z księgą ludności sprawdzałem, a każdego po wybuchniętym powstaniu urlopowanego żołnierza kazałem pod płot stawiać i rozstrzeliwać, choćby on był najspokojniejszy człowiek.

Takie rozgony i rozstrzeliwania, a było ich sporo, gdyż w ciągu dni sześciu kazałem rozstrzelać 17 urlopników, zburzyły dosyć spokojne kwaterowanie komend moskiewskich, lecz potrzeba było oczyścić kraj od wrogiej agitacji między włościanstwem i postrachem kary doraźnej zniszczyć lub przynajmniej przygłuszyć rozpoczynający się ferment.

W marszach i postojach, a mianowicie zaraz nazajutrz po wyjściu z Konopnicy, to jest 16 lutego 1863 r., stojąc w lasach do Klonowa poza Złoczewem należących, podczas wizyty w obozie Bronisława Ruckiego, doniesiono mi z ukrytych czat konnych, iż zbliża się ku nam 50 kozaków. Zdawszy komendę nad pozostałym oddziałem Ruckiemu i wzięwszy pół plutonu strzelców, poszedłem w stronę nadciągających kozaków; poleciwszy, żeby spokojnie mierzyli w brzuchy jako cel najpewniejszy i słuchali mojej komendy „pal“ — dali ognia najprzód numeru parzyste, a potem nieparzyste, ułożyłem ich w jednej linii o 50 kroków od drogi, po której zbliżali się kozacy, w zagajnikach podleśnych dobrze nas zakrywających.

Gdy kozacy zbliżyli się do nas w kolumnie pochodowej „trójkami od prawego“ do punktu wyznaczonego, na komendę „pal“ strzelcy dali ognia, po którym kozacy w popłochu uciekli, zostawiając na placu tylko czterech zabitych zamiast dwudziestu przynajmniej, co byłoby z pewnością miało miejsce, gdyby komendę daną przynależnie wykonali; lecz stało się przeciwnie: młody żołnierz, zdenerwowany pierwszym spotkaniem, na komendę „pal“ zapomniał o celowaniu w brzuchy i prawie nie mierząc wypalił jednocześnie i z obu lufek; i gdyby nie popłoch i ucieczka kozaków, to nasze trofeum zwycięstwa mogło zamienić się w zupełną klęskę, wystrzelona bowiem broń nie dawała żadnej obrony, a kozacy doskonale umieją zabijać uciekających. Przeklinając i łajac kazałem wystrzeloną broń nabić, zabrać broń i amunicję po zabitych kozakach, gdyż konie uciekły razem z kozakami, i powróciłem natychmiast do wyczekującego obozu, rozmyślając w drodze, co się stało z rozjazdami bocznymi i czyżby ci płochliwi, ale za to tym bardziej ostrożni kozacy mieli o nich zapomnieć, co już byłoby widoczną winą oficera prowadzącego rekonesans.

Powróciwszy do obozu i zdawszy Ruckiemu raport z spotkania, zły i niekontent z wszystkiego, bo widziałem, że żołnierz młody nie

słucha komendy, a tym samym na niego rachować nie można, rozdzieliwszy „szaszki“ i lance między kawalerzystów i uzbroiwszy czterech kosynierów umiejących strzelać w janczarki i ładownice, przy zapadającym zmroku wyruszyłem z obozu, aby biorąc kierunek na Wolę Klonowską, Łubnę i Sędzice do Warty — wejść w mój wybrany leśny teren północny.

Egzekucja bowiem wykonana dnia poprzedniego w Konopnicy i dzisiejsze spotkanie w Klonowie kazały się spodziewać wyłączenia wszystkich sił moskiewskich, aby znaleźć i zgnieść niespokojny oddział. Nie omijałem już nawet wiosek, lecz uciekałem jak najprędzej z zakazanej mym pobytom okolicy, pragnąc jednym nocnym marszem przejść bezleśną równinę rozciągającą się do Warty.

Około czwartej rano po dwurazowych nieznaczących odpoczynkach przybyłem do Warty, zrobiwszy opętanych 5 mil drogi, a nie zatrzymując się w niej ani na chwilę, zagrzewając żołnierzy do dalszego pochodu, dając im przykład z siebie i oficerów tak samo jak i oni na nogach spacerujących, dociągnąłem ich do lasów prusinowskich. Odnalazłszy nasze dawne jeszcze jako tako trzymające się szałas, zarządziłem dobrze zasłużony wypoczynek i rozstawiwszy straż pieśze, gdyż o konnych nie można było myśleć z powodu ich zupełnego zmęczenia, i dawszy polecenie gotowania obiadu, sam zmęczony przewróciłem się pod sosną.

Zbudzony zostałem około południa do ugotowanego obiadu, po zjedzeniu którego, dając dalszy wypoczynek i sen żołnierzom zdrażonym do godziny 5-ej wieczorem, zwinąłem obóz i małym marszem, odbijając się od za bliskiego Sieradza, dotarłem do Mikołajewic pod Konstantynowem.

I tak tułając się po lasach, raz podchodząc pod Bełchatów, to znów pod Uniejów, noce spędzając na marszach, dni na trzygodzinnych przynajmniej mustrach, ćwicząc strzelców w celowaniu i strzelaniu bądź pojedynczymi szeregami, bądź podług numerów parzystych i nieparzystych, jak niemniej mustry tyralierskiej, spędzałem czas pracowicie, ale bez tego wewnętrznego zadowolenia, że praca moja przyniesie pożytek sprawie narodowej.

W miesiąc od początku opisanych poprzednio wypadków głusza poza moim oddziałkiem panująca w reszcie województwa kaliskiego, takąż sama martwota panująca w sąsiednich powiatach województwa mazowieckiego, brak wiadomości z reszty kraju lub też czasami przesadne wieści z południowych województw nadchodzące, zdawały się przekonywać, iż ukreślenie bicza z piasku jest niemożliwe, chyba żeby

go oblać tak krwią serdecznie, żeby stworzyła z niego dobry cement, tej krwi więc może potrzeba; postanowiłem więc działać zaczepnie. Chciałem kawalerię wzmocnić przynajmniej do stu koni, chciałem strzelców nauczyć wsiadać na koń za plecy kawalerzysty i zsiadać z niego, chciałem stworzyć oddział lotny i wyćwiczony, z którym by można było urządzać nocne napady na wysunięte czaty i placówki komend moskiewskich dla ich ciągłego i w różnych punktach alarmowania, a wysłanych w pościg bądź kozaków, bądź przysłaną inną kawalerię przyjąć z nienacka ogniem zsiadłej z koni i ukrytej piechoty, aby nawróconą swą jazdą do reszty rozbić zmieszanych i spłoszonych kozaków, a zdobycz czy w broni, czy w koniach odwieźć do obozu, w którą by Lüttich zbroił i ćwiczył nowe i większe oddziały.

Myśl ta, jakkolwiek nie nowa, bo już ją nasz jedyny i dzielny wódz Stefan Czarnecki wielokrotnie wprowadzał w życie, tak mi do serca przypadła, iż wyłożywszy ją z wszelką możliwą ścisłością Lüttichowi (co prawda zawsze zgadzającemu się na wszystko) — zamierzałem z dniem jutrzejszym przystąpić do pracy przygotowawczej, gdy rozkaz nadeszły od Ruckiego popsuł mi moje zamiary.

Rozkaz był stanowczy i wyraźny. Miałem się udać z oddziałem w okolice Praszki do miejscowości obok niej leżącej i czekać, a po przybyciu transportować broń tak pieszą jak i kawaleryjską w głąb kraju. Rozkaz był wprost głupi, a tym samym niebezpieczny, po głębszym i krytycznym zbadaniu go przedstawiał niemal pewność nie tylko zniszczenia oddziału, lecz i zatracenia transportowanej broni. Zatrzymując kuriera odpisałem przez niego do Ruckiego przedstawienie, podnosząc całą niewłaściwość rozkazu z powodu, iż ruchy oddziału, nim się dostanie do zachodnio-południowego terenu przechodząc kilka mil drogi w bezleśnej okolicy gęsto pokrytej osadami, nie mogąc być ukrytymi muszą wywołać ze strony komend moskiewskich Kalisza, Wielunia i Sieradza ruch dośrodkowy; że przyparty tymi kolumnami do granicy musi albo ulec przewadze sił i być rozbitym, albo być wypartym za granicę pruską; że bezpieczeństwo transportu broni polega w danych wypadkach nie na osłonie zbrojnej, bo tej faktycznie jakby nie było — oddział mój bowiem nie reprezentuje urojonej przez włościan a przyjętej prawie za pewnik przez Moskwę siły na 2000 ludzi, lecz faktycznie 92 strzelców niedokładnie wyrobionych, gdyż chyba żaden oficer nie może serio brać w rachunek kosynierów i kawalerię świeżą bez uzbrojenia i niewycwiczoną, co najwyżej uważać ich może za przygotowawczą rezerwę dla przyszłej kampanii; transport broni, jeżeli on nadejdzie, powinien się

odbywać drogą kontrabandy, jak wszystkie towary wchodzą przez granicę i są dalej przewożone lub przenoszone, które nie chcą opłacać cła granicznego, ku czemu są najlepszymi wykonawcami nasi bracia wyznania mojżeszowego jako fachowcy, i ku czemu Naczelnik miasta Kalisza, jako ze sprawą sprowadzenia broni obznajomiony, może udzielić odpowiedniej pomocy.

Posłane przeze mnie objaśniające przedstawienie 19 lutego 1863 r. nie odniosło skutku. Rankiem około 8-ej 20 lutego 1863 r. tenże sam kurier przybył i przywiózł mi pisemny rozkaz stanowczy z pieczęcią „Naczelnik sił zbrojnych województwa kaliskiego“, polecający mi natychmiast udać się w okolicę Praszki i wypełnić rozkaz z 19 lutego 1863 r.

Rozkaz był wyraźny, w wojsku potrzebne jest ślepe posłuszeństwo, rezonowania nie ma albo tak ciche jak kiwanie palcem w bucie, przeto rozkaz spełniłem. Marsz wykonałem z możliwą tajemnicą i ostrożnością: nie przechodziłem płaszczyn bezleśnych w powiecie kaliskim, lecz biorąc kierunek na Wrzeszczewice, bokiem Łasku i Widawy przeszedłem Wartę po moście pod Burzeninem i bokiem Złoczewa przez Niemojew przybyłem nad ranem 23 lutego 1863 r. do Czastar między komorami granicznymi Wieruszów i Bolesławiec, gdzie stanąłem w lasach obozem i gdzie miałem się dowiedzieć o nadeszłej czy nadejść mającej broni.

Po trzynocnym ciężkim marszu przy niedostatecznej żywności oddział potrzebował wypoczynku i odżywienia, a tymczasem zapędzony nieszczęsnym rozkazem w sam pas graniczny, mając na oczach snujących się „objezczyków“ spełniających strażę w swym granicznym rejonie, w plecach zaledwie o półtrzeciej mili komendę Wielunia, z prawej strony Kalisz, tuż będąc pod granicą i nie wiedząc, jak długo mam czekać i na co, byłem zgnębiony i przyrównywałem dolę mego zmęczonego i prawie na jatki skazanego oddziału do doli psa wrzuczonego do studni, w której ani wypić wody, ani z niej wyskoczyć nie może. Kląłem jak opętany wszystkie sztaby i wszystkie polecenia ze zielonego stolika wychodzące, oparte bardzo często nie na rzeczywistych danych, lecz na urojonych „zdawało mi się“. Lecz czas schodził, a jeść się coraz więcej chciało. Wysłałem do dworu dwóch kawalerzystów najprzyzwoiciej po filistersku odzianych, tylko z rewolwerami w kieszeniach, z poleceniem napakowania wozu żywnością i przywiezienia go nie końmi, lecz zaprzężonymi doń dwoma wołami, i dawszy im kartkę, prosiłem zarządcę majątku, aby jeśli co wie o mającej nadejść broni przybył do mnie sam z wiadomością.

Około południa nadjechał wóz z żywnością i z mymi kawalerzystami; kazałem oba woły zabić i jeść gotować. Zdziwiona mina parobka, któremu jego robocze bydła tak się nijako zmarniały, dopiero się jakoś poprawiła po wypiciu paru blaszanek przywiezionej wódki, zakąszonej kawałem słoniny.

Kiedyśmy już mrokiem zasiadali do obiadu, nadjechał p. zarządca, a przeprowadzony przez strażę i przeprosiwszy za tak późną wizytę, powiedział mi, iż przed paru godzinami otrzymał zawiadomienie z Praszki, w którym donoszą mu, iż o żadnej przesyłce broni obecnie nie ma ani mowy, że może ona przybyć najprędzej w początkach marca, lecz nic nie ma jeszcze zdecydowanego, czy broń przysłana będzie na przykomorek Praszka, czy też na Bolesławiec lub Wieruszów; pytał mnie o radę, a ja mu w odpowiedzi, iż powinien robić to, co mu jego niezależna ode mnie organizacja poleci. A co do mnie, powiedziawszy mu, że za bliskie sąsiedztwo Wielunia każe mi się nieco oddalić i że w razie ważniejszej wiadomości może mnie znaleźć w Kuźnicy Grabowskiej lub jej okolicach, pożegnałem przybyłego i zwróciłem się do oddziału, zapytując wręcz zgromadzonych jeszcze przy kociołkach żołnierzy, czy czują się wypoczęci i czy mogą na nich rachować, że zrobią cztery mile drogi w nocy o jednym wypoczynku. Na potwierdzającą odpowiedź, że zrobią, urządziwszy kolumnę pochodową czwórkami i stawiając kosynierów w środku, a na przodzie i tyle po plutonie strzelców, sam o jakie 50 kroków na przodzie z przewodnikiem i półplutonem ułanów, drugą zaś połowę plutonu pozostawiając Lüttichowi dla tylnej straży, ze szpicami i bocznymi strażami z flankierów, — wyruszyłem w pochód zalecając cichość i ostrożność; byliśmy bowiem w pasie granicznym, w kraju przebieganym przez „objezczyków“, znających go dokładnie i wszystkie jego kąty i drożyny, potrzeba więc było spodziewać się w każdej chwili spotkania, — ścieśniłem go przeto i opatrzyłem, ażeby być na wszystko przygotowanym.

Lecz marsz wypadł spokojnie. Trzymając się kierunku: Sokolniki, Ostrycharze, Maszynty¹⁾ i Czajków, omijając zawsze osady, przybyłem nad ranem do Kuźnicy Grabowskiej i umieściłem oddział w zabudowaniach folwarcznych, dając mu od początku powstania pierwszy raz wygodniejszy i pod dachem wypoczynek i obfitszy posiłek, a robiłem to wszystko na rachunek p. hr. Raczyńskiego, w majątku

¹⁾ Nazwa zupełnie zniekształcona, chodzi tu prawdopodobnie o wieś Mielcuchy albo folwark Michałów, przyp. wyd.

którego stałem, a któren dał się słyszeć, iż gdyby wiedział, że który jego nerw jest polskim, kazał by go sobie wypruć.

Dawszy 24 godzin dosyć wygodnego wypoczynku i nakarmiwszy dwukrotnie żołnierza obficie, wyszedłem 25 lutego rankiem około 7-ej z postanowieniem złożenia wstępnej wizyty generałowi Bremer w Opatówku jako poczekalni, gdyż ten pan miał zapowiedzieć po drugim nieudanym marszu koncentracyjnym, że już więcej za Oxińskim nie pójdzie, „jeżeli on chce bić się ze mną, niech przyjdzie do mnie do Kalisza“.

To rycerskie wyzwanie nie byłoby może tak skutecznie oddziało, bo nie czułem w sobie kawalerstwa don Kiszota, a nadto miałem jeszcze w pamięci z Pana Tadeusza pojedynek Hrabiego z Rykowem z figurą Płuta schowanego za kołnierzami jegrów, gdyby nie to moralne przekonanie, że samemu sobie jestem zostawiony i że potrzeba starać się o broń i ludzi, żeby wzmocnić oddział i uczynić go odporniejszym.

Przyszedłszy do Opatówka w południe i wysunąwszy konne strażę w stronę Kalisza i Turku, a resztę oddziału koncentrując w rynku, zająłem część pieniędzy z kasy miejskiej, będących własnością donatariusza Fundukleja, za co się ten porządny człowiek choć Moskal nie gniewał, a zebrawszy co się udało broni, amunicji i żywności oraz dostawszy w prezencie od fabryki Fidlera trzy postawy sukna szaraczkowego na mundury, po nakarmieniu ludzi i koni gotowy byłem prawie do wymarszu, gdy strzały poza miastem od strony Kalisza i wpadająca konno czata zaalarmowała oddział.

Dowiedziawszy się od czaty, że kawaleria pędzi od strony Kalisza, dałem rozkaz kompanii strzelców udania się za mną, a stawiając ich frontem do ulicy od Kalisza idącej na wylocie z rynku i ledwie czas mając powiedzieć im, żeby strzelali celnie i w brzuchy szeregami, gdy w pełnym biegu pędzący oddział „objeczyków“ wybiegł z zakrętu ulicy i szedł wprost na nas. Zakomenderowałem — „tuj, cel, pierwszy szereg pal“, lecz czy huk kopyt pędzącego oddziału zagłuszył mą komendę, czyli też, co prawdopodobniej, gorączka młodego i niewycwiczonego żołnierza porwała go jak pod Klonowem, dosyć że cała prawie kompania, zajmująca frontem szerokość ulicy, dała równocześnie ognia obu szeregami, a mierząc znowu w głowy i górując zwałała z koni zaledwie czterech „objeczyków“.

I znowu powtórzyło się u Moskali to, co się stało pod Klonowem: zamiast korzystać z pełnego rozpędu koni i wpaść z odległości

zaledwie 50 kroków na bezbronną piechotę i stratować ją, — wstrzymując rozpędzone konie, z odległości zaledwie trzydziestu kroków zawrócili, a pokazując plecy zniknęli nam jak burza sprzed oczu.

Zanim zdołałem usunąć pomieszaną bezładnie piechotę na boki ulicy i zarządzić pościg kawalerii za uciekającymi, upłynęło kilka minut, wystarczających jednak dla uciekających od skutków pościgu. Wrócił pościg bezskuteczny, a ja zamiast obfitego łupu zdobyłem cztery karabiny z ładownicami i cztery pałasze, konie bowiem nawet po zabitych złączyły się z uciekającymi kolegami.

Uzbroiwszy czterema karabinami ludzi 1-go plutonu i wzmacniając go czterema kosynierami zamienionymi w strzelców, a cztery pałasze rozdając pierwszemu plutonowi kawalerii, nakazałem wymarsz — lecz gdzie? Nie było wyboru, rozkaz był wyraźny, trzeba było pilnować granicy i niby spodziewanej broni. Bo gdyby nie ten rozkaz — zadanie było do wykonania: marsz na Koźminek, Strzałków, Dobrą do Uniejowa — wyprowadzał mnie z zatrasku i wprowadzał w obszerny leśny teren północny, nie dopuszczając dośrodkowego działania kolumn moskiewskich.

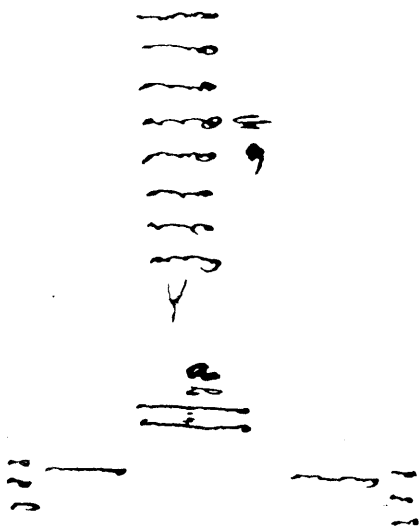
Lecz rozkaz był wyraźny, powróciłem przeto na dawne stanowisko, to jest do Kuźnicy Grabowskiej, mając pewność, iż jestem tak przez kozaków jak i „objezczyków“ podczas marszu tropiony i że bitwa stanowcza jest nieunikniona. Dlatego jednym marszem przybywszy około północy do Kuźnicy Grabowskiej, strudzonemu siedmiomilowym marszem żołnierzowi dając trzygodzinny zaledwie wypoczynek, kazałem jedzenie gotować, aby nakarmionego żołnierza mieć gotowego do wszystkiego.

Po 5-ej rankiem 26 lutego 1863 r. gotowy byłem do wymarszu i kazałem się kolumnie pochodowej formować, gdy strzały czat od strony Sieradza stojących zawiadomiły mnie o zbliżającej się Moskwie.

Zarządziwszy zebranie czat i oddając Lüttichowi sformowaną sekcjami od prawego kolumnę z kosynierów, osłoniętą z przodu i tyłu po połowie 2-im plutonem strzelców, w pośrodku z dwoma wozami wiozącymi owe trzy postawy sukna oraz zapasy i rekwizyta obozowe, kazałem mu maszerować do Klonowa, a obsadziwszy pierwszym plutonem strzelców kuźnice i młyn przy drodze leżące i osłaniając tym sposobem marsz kolumny, wstrzymałem zarazem napór dwóch sotni kozaków i dozwoliłem oddalić się kolumnie na jakie 600 kroków.

Wysuwające się z lasu kolumny moskiewskiej piechoty powiedziały mi, że nadszedł czas do cofania się, żeby nie być odciętym od swojej

kolumny. Uformowawszy przeto mą kolumnę, a mianowicie jak szkic *a* wskazuje: środek — pluton strzelców w dwa szeregi, pierwszy o broni daleko strzelającej, drugi uzbrojony w dubeltówki, mając po skrzy-



dłach po pół plutonu ułanów w jeden szereg uformowanych, osłoniętych kolumnami flankierów, — rozpocząłem odwrót. Dając rozkazy porucznikom kawalerii Kosmowskiemu v. Krosnowskiemu i Skrzyńskiemu do sformowania swego frontu na jednej linii w tyle piechoty na 50 kroków, zaleciłem im, aby na każde machnięcie przeze mnie chustką białą wprowadzali swą kawalerię w atak na flanki kolumny moskiewskiej, na każdy zaś świst mej świstawki zarządzali odwrót spokojnie, powracając zawsze przy każdym odwrocie do pierwotnej odległości w tyle piechoty, przy ustępowaniu

używając zwykłej komendy „trzema na prawo w tył zajdź, marsz“, a przy formacji frontu „trzema na lewo do frontu zachodź“.

Tym szykiem stając do odporu i tym szykiem spokojnie ustępując, odparłem na przestrzeni dwóch przeszło wiorst gołej równiny, oddzielającej osadę Kuźnicę Grabowską od lasu, trzy ataki kozactwa, sformowanego prawdopodobnie „zwodami“, lecz w chwili zbliżania się pod dosyć celnym ogniem przedstawiającego jedną nieregularną pędzącą i wyjąca kupę, — bez żadnej straty z naszej strony, w dwóch pierwszych atakach nie dopuszczając nawet do strzałów drugiego szeregu piechoty, a dając tylko podwójne salwowe strzały pierwszym szeregiem na dystans 400 — 200 kroków, po drugiej bowiem salwie widok poruszającej się naszej kawalerii mogącej uderzyć w flanki, zawracał w pędzie wyjące kozactwo, a nam dawał możność cofnięcia się o jakie 300 kroków.

Przy trzecim dopiero ataku wyjące kozactwo, mając już oparcie w nadbiegającej piechocie, uderzyło śmieiej i nie wstrzymane drugą salwą pierwszego szeregu — pędem dobiegło na odległość 50 kroków, a przyjęte śmiertelnym ogniem dubeltówek drugiego szeregu i mając zaledwie o 30 kroków na flanki uderzających ułanów zawróciło, pozostawiając kilkunastu zabitych i rannych na placu.


Resztę przestrzeni spokojnie przebyłem i zajmwszy kraj lasu przysposobiałem się na przyjęcie nadciągającej piechoty moskiewskiej, a biorąc do siebie 2-gi pluton strzelców i oddając Lüttichowi kawalerię, z wyjątkiem dziesięciu flankierów zatrzymanych dla rozjazdów, poleciłem mu cofać się w wyznaczonym poprzednio kierunku; dla ułatwienia poruszeń w gęstwinach leśnych kazałem mu zabrać z wozów amunicję i żywność i rozdzielić je między kosynierów, wozy zaś z dużymi kotłami i trzema postawami sukna oraz mniej potrzebnymi rupieciami gdzieś w bagnach zatopić. Zwróciwszy się do moich strzelców, podziękowałem pierwszemu plutonowi za ranne dobre popisanie się, a zapewniwszy, że to tylko była ranna przygrywka i że dopiero teraz rozpocznie się prawdziwa robota, rozstawiłem ich w dosyć gęsty łańcuch tyralierski trójkami, w każdej o jednej broni dalekonośnej i dwóch dubeltówkach, i zostawiając w tyle poza skrzydłami po 15-tu strzelców jako rezerwy, a w tyle środka dziesięciu flankierów, — zaleciłem, ażeby dopiero po dwukrotnym świcie mej gwizdawki rozpoczynali strzelcy w dubeltówki uzbrojeni swój celny w brzuchy mierzony ogień.

A tymczasem już od kilku minut trwała gęsta strzelanina tyralierów moskiewskich, którzy z odległości jakich 800 kroków rozpoczęli ogień, wspierani bliższym znacznie flankowym janczarek kozackich; zdawało się, że ta strzelanina nic nie szkodząca poprawia tylko humor strzelcom, gdy niedaleki głos wrzasnął „uciekajmy“; chwilowy popłoch — więcej zdziwienia niż panikę wyrażający, uspokojony natychmiastowym wystrzałem.

Trup wołającego „uciekajmy“ uspokoił i przyprowadził wszystko do porządku. Człowiekiem, który tak przytomnie działał, był młodzieńki chłopiec, piętnastoletnie dziecko, nazwiskiem Kotnowski; przed kilkoma dniami, przechodząc i zatrzymując się w wiosce jego rodziców, gorącego chłopca wrywającego się do powstania ojciec jego, a głównie ładne i młodzieńkie jego siostry, jak nasze niemal wszystkie Polki gorące patriotki, wtłoczyły mi w szeregi prosząc o zaopiekowanie się. Czyniłem to z chęcią nad chwackim i ładnym chłopakiem, niedługo to jednak trwało, wysłany bowiem przeze mnie w kilka dni po rozprawie pod Kuźnicą Grabowską na zwiady, został ujęty przez włościan i zaprowadzony do Moskali, którzy bawiąc się nim przetrzymali go u siebie przez całe powstanie.

Ale wracajmy do rozprawy kuźnickiej. Linia tyralierska moskiewska, wspierana o jakie 300 kroków w tyle kolumnami piechoty, zbliżyła się do nas na jakie 400; pojedynczy świst gwizdawki oznajmił,

że strzelcy w dalekonośną broń uzbrojeni mają podług danej im poprzednio instrukcji dowolnie strzelać. Rozpoczęła się wymiana ołowiu: biedni, za małe dawki byliśmy sowicie ale bezskutecznie obsypywani. Strzelanina już trwała z pół godziny bez żadnego widocznego postępu. To mnie zastanowiło, kazałem pięciu flankierom wyjechać na kraj lasu od strony zachodniej zobaczyć, co się tam dzieje i donieść mi natychmiast. W pół godziny powrócili pędem donosząc mi, iż jakaś duża kolumna piechoty zbliża się do lasu; nie było co czekać — chciano mnie otoczyć. Na trzykrotny świst mej gwizdawki linia tyralierska cofnęła się pospiesznym krokiem, a po półgodzinnym marszu ciągle zwartym lasem, przeszedłszy łąkę dosyć bagnistą, na paręset kroków szeroką i długością swą las przecinającą, zająłem i rozstawiłem linię tyralierską jak poprzednio, tylko ją więcej ścieśniając i wzmacniając rezerwami strzelców, ściągnąłem kosynierów, a korzystając z falowatości terenu umieściłem ich w dwóch kolumnach atakowych poza strzelcami na linii



b, poprzednio umieściwszy tyralierów na linii *a* zasłoniętych falowatością tak gruntu jak i starodrzewem, kawalerię zaś pomieściłem z boku, w tyle kosynierów, przy prawej kolumnie — ułanów, przy lewej — flankierów.

Zaledwie rozłożyłem uszykowany w ten sposób oddział i wydałem oficerom stosowne instrukcje, gdy wysypujący się z przeciwnego kraju lasu na łączkę łańcuch tyralierów moskiewskich wywołał z mej strony świst gwizdawki jednorazowy, w odpowiedzi którego dały się słyszeć pojedyncze wystrzały przez mych strzelców, co jednakże nie powstrzymało dalszego posuwania się tyralierów moskiewskich; dopiero widząc ich na odległość 100 kroków i wydawszy dwurazowy świst gwizdawką, celny ogień mych strzelców uzbrojonych w dubeltówki zatrzymał ich, a następnie zepchnął z łączki pod osłonę lasu. Po kilkuminutowej przerwie ognia, której Moskwa użyła na sformowanie odpowiedniego frontu, widząc z poprzedniego starcia, że mamy tylko same dubeltówki, a zatem broń niedalekonośną i w ich odległości prawie nieszkodliwą, — utworzyli front rozwinięty z czterech kompanij piechoty w jednej linii tuż na kraju lasu, ale jeszcze pod jego osłoną. Na sygnał wydany rozpoczęli nas osypywać piekielnym rotowym ogniem; gdyby nie naturalna osłona z gruntu i lasu, zasłaniająca naszego na ziemi leżącego strzelca, połowa strzelców mogłaby nie wstać z ziemi, gdyż strzały piechoty moskiewskiej, starej i wyćwiczzonej, a nade

wszystko strzelającej jak do tarczy, gdyż stała bezpiecznie poza linią naszych strzałów, prowadzone były tak prawidłowo, że wyżej pasa nie sięgały i zdawały mówić, że i polska dusza siedzi w brzuchu.

Po półgodzinnym piekielnym ogniu, który miał nas przetrzebić i zdemoralizować, nastąpił atak — lecz zamiast w kolumnach atakowych osłoniętych co najwyżej słabą tyralierką, wykonany został zgęszczoną tyralierką o sile dwóch kompanij piechoty; czekałem na to, a przypuściwszy na 100 kroków kazałem dać ognia numerom nieparzystym a później parzystym — że zachwiali się i wciągnęli do swego lasu, zostawiając za sobą kilkunastu zabitych i rannych.

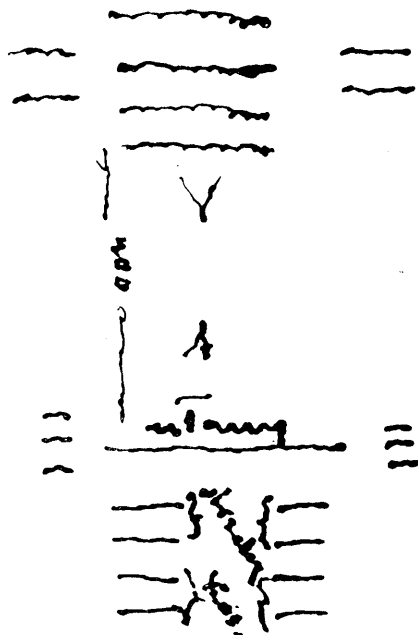
Jeszcze raz próbowali ataku i jeszcze raz jeszcze bliżej podeszli, a zawsze głupstwo robiąc — używając zamiast kolumn frontu rozsypanego, lecz na widok wychylających się kolumn kosynierskich cofnęli się pośpiesznie, pozostawiając na łączce zwiększoną ilość trupów i rannych i okrytą tak gęsto papierem wystrzelonych ładunków, iż mogło się здаwać, iż świeżo śnieg padał. Powrócili do poprzedniej taktyki, a rozwinąwszy na całej linii gwałtowny rotowy ogień, pod zakryciem którego sformowali kolumny — chcieli dalszym obejściem naszego lewego skrzydła i uderzeniem na tyły zbić nas z pozycji; ten ruch udał im się, skoro bowiem moje flankiery doniosły mi o poruszeniu na lewym skrzydle, nakazałem odwrót w tym samym porządku, zasłaniając oddział linią tyralierską, z rezerwami postępującymi naprzód w środku i po skrzydłach.

Nie ścigany, korzystając z osłoniętego terenu falowatością nad łąką, czołem się pod gradem rotowego ognia, obsypującego nas obficie gałązkami drzew i drzazgami oderwanymi przez kule; usłyszałem sygnały trąbiące zaprzestanie ognia — a po kilku minutach sygnały zbór trąbiące.

Cofnąwszy się ze trzy do czterech wiorst, osłonięty o paręset kroków linią mych flankierów od strony atakującego nieprzyjaciela, nakazałem chwilowy przystanek, a to celem przywrócenia regulaminowego porządku, obliczenia strat poniesionych i posilenia żołnierza choćby jaką przekąską, a znalazłszy wódkę i jakąś sło ninę, podczas przekąski zarządziłem apel. Pokazało się, iż straty nasze były następujące: w pierwszym i drugim spotkaniu ośmiu zabitych, jedenastu rannych, podtrzymywanych lub niesionych przez kosynierów, i siedmiu brakujących kosynierów pozostałych przy zatapianiu furgonów i od tego czasu nie widzianych. Uzbroiwszy ośmiu wybranych kosynierów umiejących strzelać w broń pozostałą po zabitych i włączywszy ich do strzelców, nakazałem dalszy odwrót

w stronę Klonowa. Szarżę już zaczynało przy dniu pochmurnym, gdy zbliżając się ku Klonowu na wyjściu z lasów strzały mej szpicy flankierskiej oznajmiły Moskali.

Zatrzymawszy oddział, od zbliżającego się pędem flankiera dowiedziałem się, iż o 500 kroków na wyjściu z lasów stoją na drodze do Klonowa dwie kompanie piechoty moskiewskiej, której kozacy flankierują popod lasem, i że na kraju tego lasu po prawej stronie widać pieszych i konnych. Sprawdziwszy osobiście doniesienie i przekonawszy się o jego prawdziwości, przyszedłem do pewności, iż jestem



osaczony przez Moskwę. Zanim przeto zbliży się z prawego skrzydła kolumna, postanowiłem uderzyć na kolumnę zagrządzającą mi drogę, a sformowałem szyk naszkicowany — to jest na froncie ułanów z flankierami po skrzydłach, a za nimi w odległości 100 kroków dwie kolumny piesze plutonowe — chciałem pod osłoną szarżującej kawalerii dopaść do ręcznego boju z piechotą moskiewską. Atak nakażalem, a moja kochana kaliska kawaleria, przechodząc z stępa w kłusa a z kłusa w galop, na jakie 300 kroków przed frontem kolumny moskiewskiej, wierna tradycji historycznej spod Gołędzina, jakby najdokładniej wypełniając komendę, skręcając na prawo i na lewo —

wichrem uderzyła, tylko nie w kolumnę moskiewską, ale w pole, znikając jak widmo wśród zapadającej nocy.

Na ten ruch po całodziennym przyzwoitym zachowaniu się kawalerii nie bardzo liczyłem, ale godząc się z faktem dokonany wstrzymałem marsz mych kolumn pieszych, a na prostą komendę „na lewo, w tył zwrot, marsz“ wprowadziłem nazad kolumny do lasu.

Ruch ten atoli, jakkolwiek zaledwie kwadrans czasu trwający, zbliżył kolumnę kaliską, a także posuwającą się za mym wstecznym ruchem kolumnę wieluńską, które osypując nas dosyć rzęsiwym ogniem tyralierskim oświecały swe ruchy ogniem z luf wychodzącym i każały się spodziewać bliskiego ostatniego starcia i rozbicia oddziału.

Czas jakiś, może kilka minut trwający, byłem pozycją oddziału zupełnie zmiażdżony, nawet przybycie moich dwóch poruczników kawalerii z pięciu szeregowcami i zapytanie rzucone mi przez Skrzyńskiego, czy w siedmiu ma dany mu poprzednio rozkaz wypełnić, nie poprawiło mi humoru — gdy naraz sygnał zaledwie dosłyszanej trąbki moskiewskiej, polecający rozsypanie się w łańcuch tyralierski, obudził mnie z chwilowej martwoty umysłowej i przypomniał mi, iż mam w plecach przeciwnika, z którym się prawie cały dzień borykałem.

Zrozumiałem całe położenie i zapragnąłem z niego się wycofać, a łącząc pragnienie z czynem zarządziłem natychmiast marsz w lewo, to jest przez tak zwane błota na lewym skrzydle się rozciągające.

Ruch ten wykonałem już w ciemnicy i pod osłoną lasu, a zatem niepostrzeżenie, i po kwadransie bardzo mozolnego przechodu, po którym nawet za dnia garderoba nasza po pas i łokcie upačkana nie kwalifikowała się do zadowolenia wybrednego gustu dandysów, odpoczywaliśmy na wyższym nieco brzegu lasem okrytym i obserwowaliśmy z niekłamaną przyjemnością ruchy i strzały zbliżających się ku sobie kolumn Moskali, którzy mniemając o znajdujących się w środku „miałieznikach“ nie żalowali im ani strzałów, ani sygnałów¹⁾.

¹⁾ Z powodu bitwy pod Kuźnicą-Grabowską zaznaczyć muszę jedno zdarzenie, przypominające choć w częście wieki zapadłej rycerskości, a rzecz się miała jak następuje. W kilka dni po rozprawie pod Kuźnicą Grabowską otrzymałem od Naczelnika m. Sieradza pismo, w którym tenże donosił mi, że pułkownik Smirnow, dowodzący w tamtym dniu z powodu starszeństwa siłami moskiewskimi, za głośnie objawienie swego ruchu zaczepnego sygnałami został od dowództwa pułku odsunięty z poleceniem bezwzględnego udania się w głąb Rosji do dalszego rozporządzenia. Wyznaczając marszrutę na Piotrków odmówiono mu wszelkiej osłaniającej eskorty. Wobec niepewnych dróg, jakie się w czasie powstania znajdują, podróż jego z żoną nie przedstawiała wielkich przyjemności i w kółku swych serdeczniejszych, żaląc się na postępowanie swej władzy, objawił chęć korzystania z pomyślniejszej okoliczności. Za pośrednictwem związkowych oficerów „Ruskaja Ziemia i Wolia“ doszło to utyskiwanie do uszu Naczelnika m. Sieradza, którego mi je komunikując prosił o przychylnie zarządzenie temu. Ponieważ nie byłem wrogiem Moskali, a tylko wrogiem ich systemu rządowego i tłoczącej nas niewoli, ponieważ korzystając z błędu Smirnowa ocalałem od zagłady oddział i ponieważ Smirnow przestał być figurą urzędową, a został przez tenże system szykanowany, przeto chcąc mu ułatwić podróż wystawiłem na blankiecie posiadanym „Komitet Centralny“ z pieczęcią dowódcy oddziału i moim podpisem rodzaj listu żelaznego, w którym wzywam wszystkie władze tak cywilne jak i wojskowe z ramienia Rządu Narodowego działające, aby pułkownikowi moskiewskiemu Smirnow, jadącemu w celach prywatnych z rodziną, nie tylko spokojnej podróży nie tamowały, lecz owszem w razie potrzeby wszelkiej pomocy mu udzieliły; wsadziwszy list do koperty przesałem go Naczelnikowi miasta dla doręczenia. Po otrzymaniu tego listu żelaznego tajnym sposobem, miał się podobno odezwać Smirnow, iż otrzymał dyplom na uczciwego człowieka. Czy korzystał z niego podczas podróży — nie wiem, gdyż nic o tym nie słyszałem, z mego zaś postąpienia cokolwiek się podśmiewano — prawda, że przeważnie, po galicyjsku mówiąc, cywile.

Obawiając się za bliskiego miłego sąsiedztwa, którego dzisiaj mieliśmy aż po gardło, a szczególnie tej ciekawości wrodzonej dońcom i ochocie odszukania drogi naszego odwrotu, po której nawet przeciągnęliśmy związane konie naszych siedmiu kawalerzystów, rozejrzawszy się na mapie w naszym położeniu, — na Świątki i Sowizdrzały, Nową Wieś, Strzałki, bokiem Burzenina, przybyłem 27 lutego 1863 r. do lasów w Świerczowie, zaopatrzywszy się w przechodzie przez jakiś odosobniony folwark w wołu i żywność na parę dni wystarczającą.

Odpucawszy 24 godzin i nakarmiwszy oddział w zmniejszonej sile, gdyż tylko liczący 179 ludzi — po wyjściu rannych i zabitych, przechodząc przez Grabno, spotkałem a raczej dojechany byłem na drodze przez Ruckiego, jadącego bryczką w towarzystwie p. Włodzimierza Trepki, pełniącego jakąś wyższą funkcję w organizacji województwa kaliskiego; gdym mu robił wymówki za ów nieszczęśliwy rozkaz, wpychający mój oddział po ową broń wymarzoną nad granicę, i stąd wynikłe skutki bohaterskiej prawie, lecz nieszczególnie zakończonych bitwy ucieczką kawalerii, zdawał się do popełnionego błędu przyznawać, tłumacząc się naporem p. Bogatki, jego podszefa sztabu, za tym projektem gorliwie przemawiającego, któremu jako obznajomionemu z miejscowymi stosunkami musiał sprawę transportu broni powierzyć. Piękny podszef sztabu! Późniejsze jego sprawki pokazały, w jakich rękach spoczywała nieraz praca narodowa. Obecnie chciał zniszczyć zawiązek sił narodowych — i to mu się znacznie udało.

Rucki bowiem, z swym towarzyszem jadący, jak się później dowiedziałem, pokłonić się przygotowującej się już wówczas dyktaturze Langiewicza, nie miał nic lepszego i spiesniejszego do czynienia, jak donieść o miejscu mego pobytu i sile oddziału swemu zastępcy podszefowi sztabu, a wynikiem tego zawiadomiona Moskwa pchnęła dośrodkowo działające kolumny ruchome z Sieradza, Wielunia i Piotrkowa — każda przynajmniej w trójnasób liczniejsza co do ludzi, a co do uzbrojenia przynajmniej jeszcze dwa razy swe siły zwiększająca, i rozpoczęła się kompletna naganka w obławie, rozpoczętej dnia następnego, to jest 1 marca 1863 r.

W marszu bowiem, robionym w dniu 1 marca 1863 r. w kierunku Wygiełzowa lecz jego lewą stroną, przechodząc około 2-ej po południu przez małą osadę Jawor, powitany zostałem z lewego boku atakiem 50 lub 60 kozaków, a po ich odparciu, gdym się posuwał ku grobli, stanowiącej jedyną komunikację dla przejścia błot po obu stronach rozciągających się, widziałem w przejściu przez drogę

z Łasku do Szczercowa wiodącą — zbliżających się na furmankach Moskali, a kozaków poprzednio już odpartych — formujących się przed groblą.

Potrzeba było przejść groblę, na wylocie ją osadzić i przegrodzić się błotami od zbliżającej się piechoty moskiewskiej, już rozpoczynającej ostrzeliwać naszą kolumnę pochodową, i spędzić z zajmowanego stanowiska kozaków; poleciłem wykonać to kawalerii, posyłając im w pomoc biegiem lecący pierwszy pluton strzelców. Czy równoczesny ruch tych mi pozostałych siedmiu kawalerzystów i biegnących bokiem strzelców oddziałął niekorzystnie na wrażliwe nerwy dońców, czy widok z pasją rwących się naprzód siedmiu konnych strażników — nie wiem, co bardziej oddziało, psychologiem studiującym duszę kozacką nie byłem, dość tylko powiedzieć, że atak się udał, rozkaz był literalnie wykonany, kozacy spłoszeni rozsypali się po polach zostawiając dwóch zabitych na placu, a moi dzielni po małym pościgu uformowali front przed wejściem na groblę. Podziękowawszy im za prawdziwie polską brawurę, którą wykonali sami bez oglądania się na strzelców, poleciłem im jako zwycięzcom przejść pierwszym groblę. Przepuszczając cały oddział przed sobą, zarządziłem osadzenie jej wylotu strzelcami i odsunięcie kosynierów i kawalerzystów poza linię strażów moskiewskich. Dokonawszy tego — sam na końcu, jako jego tylna straż, postępowałem po grobli już dobrze ostrzeliwanej przez Moskwę, gdy głos niewyraźny duszącego się człowieka „Józiu ratuj“ zwrócił mą uwagę. Gdym spojrzał na prawo, w błotach tuż przy grobli rozciągających się ujrzałem głowę z szyją i prawym ramieniem opierającego się na kępie szuwarów lecz tonącego człowieka; nie było czasu do namyślenia się albo wołania o pomoc, jednym ruchem położyłem się na szkarpie grobli porośniętej krzakami wikliny, a chwyciwszy lewą ręką jej krzak przy pniu, rozłożony krzyżem zdołałem dosięgnąć prawą ręką rzemienia przewieszanej przez plecy objezdykowskiej ładownicy i chwyciwszy takowy jednym ruchem wydobyłem z topieli nieszczęśliwego. Skąd się ta siła mięśni, istotnie stalowych, znalazła, tego ani wówczas, ani dzisiaj wytłumaczyć sobie nie zdołałem; widocznie musi być jakieś prawo rządzące, które w chwili naprężenia woli działa stanowczo na mięśnie potrzebne naprężając i wzmacniając dla jej wykonania. Ale nie filozofujmy, gdyż z tej szkoły nie wyszliśmy, a wróćmy do rzeczy. Wyrzucony na szkarpe grobli porucznik 2-go plutonu strzelców nazwiskiem Keller był to mężczyzna dobrego wzrostu i może zanadto okazałej budowy, gdyż biorąc go na plecy z powodu jego zupełnej

bezwładności spowodowanej topielą zauważyłem, iż musi odpowiadać wadze sześciu ćwierci grochu, której próbowałem w młodszym wieku podczas mej praktyki w gospodarstwie wiejskim. Niosłem więc z pewnym natężeniem tego kandydata do towarzystwa tłucioszków amerykańskich kląc ten błogi ciężar, ale jednocześnie błogosławiąc tę ochronną tarczę, która mnie zupełnie od pocisków zasłaniała, gdyż ci barbarzyńcy Moskale, nie mogąc ocenić ludzkich popędów, niemal zaprzestali wymiany ołowiu z mymi strzelcami przez groblę, a wybrali za przedmiot swych strzałów ową tarczę ruchomą. Gdy w końcu przeszedł groblę, zrzuciwszy z pleców błogi ciężar i kazawszy go pokrzepić wódką jako jedynym lekarstwem posiadany i skutecznym, zauważyłem, iż Moskale stwierdziwszy naocznie nasze przysłowie „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi“, zapragnęli na sobie sprawdzić to przysłowie i hurmem wleźli na groblę; ale przekonali się po paru minutach trwającego marszu, że rządzącym w tym dniu Panem Bogiem jest polski i rzymsko-katolicki, ołów bowiem polski trafiał moskiewską tarczę ruchomą, prawda że szerszą i głębszą, ale jednakże tak skutecznie, iż doszedłszy do połowy grobli i zostawiwszy na niej kilkunastu spokojnie leżących, zawrócili i już bez hurra żadnego pośpieszniej tylko usunęli się poza linię naszego ognia.

Doczekawszy przy słabej wymianie strzałów na jednej i tej samej pozycji zapadającej nocy, przedtem odesławszy pięciu rannych do kolumny kosynierskiej celem możliwego ich opatrzenia, opuściłem z strzelcami groblę ochronną, a łączywszy się z kosynierami i siedmiu kawalerzystami, marszem parogodzinnym dobiełem się lasów do Bachorzyna należących.

Posiliwszy oddział zapasami z dni poprzednich i obliczywszy straty dnia dzisiejszego, a które wynosiły 6 zabitych i 7 rannych samych tylko strzelców, gdyż lekko płaćnięty przez buzię kawalerzysta nie opuścił szeregu, uzbroiwszy w broń palną po zabitych i rannych umięających strzelać kosynierów, włączając ich tym samym do kompanii strzelców, — zredukowany oddział do liczby 166 ludzi ułożyłem na chwilowy odpoczynek.

Położenie oddziału było niezmiernie trudnym wobec niedaleko rozłożonych z dwóch stron ognisk, jakie z kraju lasu zauważyłem; zmęczony marszami i bojami oddział, zredukowany o $\frac{1}{3}$ część i z małym zapasem amunicji, rozpoczął agonię — ludzie dzielni i z ochotą dolę swą znoszący, ale na wszystko jest miara. A ta głuchota w kraju najwięcej zdawała się ciężać straceńcom, oczyma zdawali się pytać, dlaczego my tylko, czyż nie ma już więcej ludzi tego samego

położenia? Te myśli i uczucia mózg mi gniotły, a nie można było twarzy chmurnej pokazać, bo takeśmy się zrosli w tym tułaczym kilkutygodniowym życiu, żeśmy się prawie odgadywali.

Gdy wysłany przeze mnie na zwiady Kazimierz Trepka, młody i dzielny człowiek, dał się niebacznie wśród ciemnej nocy, jak się później dowiedziałem, aresztować dwom żandarmom patrolującym i gdy go z powrotem i przewodnikiem naprózno do godziny 2-jej w nocy wyczekiwałem, nakazałem wymarsz, pragnąc wydostać się z tej matni i wejść w mój rejon północny dla wypoczęcia i wzmocnienia oddziału. Z braku dobrego przewodnika błędząc i niepotrzebnie nakładając drogi, przybyłem nad ranem 2 marca 1863 r. do lasów należących do majątku Wrzesiny, a zmuszony do nakarmienia żołnierza, w tymże majątku żywność dla ludzi i koni zaprowiantowałem.

Czy, jak zwyczajnie, zawiadomiono o pobycie oddziału komendy moskiewskie, czyli też działające kolumny w akcji pod Wygiełzowem dostały stanowczy rozkaz skończenia raz z niespokojnym oddziałem — tego nie wiem, dosyć że szosę Sieradz—Zduńska Wola—Łask zastałem obstawioną wojskami komendy sieradzkiej, a nie mogąc jej przebyć dla dostania się w rejon północny, cofając się bokiem spotkałem się tegoż dnia, to jest 2 marca 1863 r., nad samym wieczorem z patrolującą sotnią kozaków pod Pruszkowem; chwilowe to i niespodziane spotkanie, zaszło na skrócie leśnej drogi, kosztujące z naszej strony dwóch lekko rannych strzelców, a przeciwnika trzech na placu pozostałych z bronią kozaków, nie miałoby w innym razie żadnej doniosłości, lecz w tym wypadku, odkrywając miejsce mego pobytu, ułatwiło zgromadzonym naokoło siłom moskiewskim dośrodkowe działanie. Przybywszy przez Wilkowice do lasu należącego do Brodni już późnym wieczorem i mając głodniałego i zmęczonego żołnierza, musiałem go nakarmić i dać mu wypoczynek, gdy już w marszu z śledzących mnie z dala kozacych patroli przekonałem się, że jestem na ich oku, a oko to bystre, sprawne, wspomagane węchem i czuciem inteligentniejszego od nich konia, dawało mi niemal pewność, że zbliżający się dzień jutrzejszy może być dniem rozprawy gorętszej; wolałem przeto z nakarmionym i wypoczętym jako tako żołnierzem czekać dnia na stanowisku, niż z głodnym i zmęczonym tentować nocne napady.

Dzień piękny się zrobił, była godzina 7-a 3 marca 1863 r., gdy trąbki sygnałowe dały mi znać o zbliżającej się Moskwie od strony Pruszkowa i Kocieszowa. Przypomniałem strzelcom Kuźnicę Grabowską

i prawdopodobieństwo potrzeby odpierania ataków kozackich, uformowałem jedną kolumnę plutonową z kosynierami w środku i z mymi siedmioma kawalerzystami po bokach w odstępach półplutonowych, czekałem na kraju lasu, śledząc ruchy kolumn moskiewskich. Widząc, że dystans między zbliżającymi się kolumnami wynosi jeszcze przynajmniej 3 wiorsty drogi i widząc na polach Wymysłowa buszujących i zamykających mi drogę kozaków, dałem rozkaz do marszu kolumnie posuwając się w kierunku ukośnym ku Kocieszowu, chcąc bądź obejść, bądź roztrącić lewe skrzydło zbliżającej się Moskwy, a raz wydostawszy się na jej tyły — marszem forsownym przejść szosę ogołoconą z wojsk moskiewskich i utonąć w lasach rozległego terenu północnego.

Po blisko półgodzinnym ostrożnym marszu natrafiłem w pozycji zarośniętej młodymi porostami łańcuch tyralierów moskiewskich wspomaganych zwodową rezerwą, a moja kolumna, przechodząc po krótkim lecz gorącym starciu po moskiewskich brzuchach, łupiąc po zabitych siedem karabinów z amunicją, a w zamian zostawiając trzy swoje trupy lecz uprowadzając dwóch rannych, po kilku minutach była na tyłach obławy trąbiącej i zwołującej się do kupy, a zdekoncertowanej tym niespodziewanym spotkaniem Moskwy, nie mającej nadto pod ręką swych wiernych tropicieli kozaków, użytych do nadzoru lasów od strony Wymysłowa. Ja zaś z zmniejszonym oddziałem o pięciu ludzi, lecz co do uzbrojenia wzmocnionym o siedem karabinów z pełnymi ładownicami, forsownym marszem przez Mierzączka, Mogilno, Dobroń wszedłem do swego terenu północnego i stanąłem w lasach wrzeszczewickich.

W terenie tym obszernym i lesistym, postępując z możliwą ostrożnością przy prowiantowaniu, w marszach swych przeważnie nocnych przerzucając się spod Uniejowa i Warty po Piotrków, a nawet ponad Pilicą Sulejów zaczepiając, przebyłem prawie bez żadnych ważniejszych wypadków do 20 marca 1863 r. — chyba to nadmieniając, iż z powodu słabości udzieliłem Lüttichowi i Kellerowi urlopów nieograniczonych, sześciu moim kawalerzystom, to jest całej mej kawalerii z wyjątkiem Rybickiego, dozwoliłem na ich usilne prośby jechać do głośnego już wówczas Langiewicza, któremu partia białych, już wówczas wciągana przez Hotel Lambert do akcji, z obawy przed urojonym widmem radykalizmu Mierosławskiego urojonymi i szumnie opisywanymi w „Czasie“ zwycięstwami drogę do stolca dyktatorialnego uścielała. Niemniej, w tym okresie czasu, chcąc mieć realną siłę bez obciążającego balastu przy szybkich poruszeniach i dla łatwiejszego

wyżywienia, zatrzymałem przy sobie kompanię strzelców o sile 90 ludzi, podzieloną na 2 plutony, przewiesiwszy im przez plecy kilkanaście zapasowych ledwie średniej wartości dubeltówek, a kosynierów nie umiejących strzelać do domów na urlop rozpuściłem, polecając im wrócić do oddziału na każde moje zawołanie.

Ćwicząc w mustrach mych strzelców celem stworzenia kadr dla mogącego się sformować większego oddziału, przebyłem czas w względnym spokoju, przeszedłszy w swych poglądach dosyć filozoficznie całą szopkę dyktatorialną z jej przewidzianym, lecz nie tak wstrętnie smutnym epilogiem. Nawiasem powiedziałem bowiem, my Genuęczycy znaleźliśmy niezłe p. Langiewicza; nie należał on do typu rycersko-żołnierskiej emigracji z 1831 r., lecz typowym był emigrantem turecko-włoskim z 1848 r., szermującym obficie słowami niż szablą i tak dalece swym patosem namaszczenia patriotyczno-demokratycznego rzucał w nas, pracowników czynu nie teorii, przypuszczenia o swym charakterze niekorzystne, że lekceważąc go jak emigranckiego blagiera staraliśmy się przy spotkaniach nie podawać ręki; jego obejście nie przedstawiało dżentelmana, jego fachowe wykształcenie dobiegało stanowisku zwykłego bombardiera, jakie w armii pruskiej zajmował, a wykształcenie było charakteru dorywczego, prawie kalendarzowego, nie mogąc stworzyć charakteru poważnego. Szczęśliwsze położenie geograficzne i topograficzne południowych województw Królestwa, opartych o Galicję Zachodnią z Krakowem i patriotyczną młodzieżą, względnie obojętne, a nawet w początkach powstania przychylny-wyczekujące stanowisko rządu austriackiego, a głównie stworzona i korzystnie rozwijająca się organizacja w Sandomierskim przez Ignacego Maciejowskiego (Sewer), w Krakowskim przez Wojciecha Biechońskiego, — ten związek przychylnych okoliczności postawił p. Langiewicza w tak dalece korzystniejszych warunkach walki, niż resztę jego kolegów dowódców, że gdyby ten człowiek wyróżniał się bądź zdolnościami bądź charakterem, gdyby choć w części przypominał wady i przymioty choćby Zygmunta Padlewskiego, powstanie w województwach sandomierskim i krakowskim mogło przedstawić poważniejsze siły i nie zbezczęścić raz na zawsze stolca dyktatorskiego.

Stronę jawno-polityczną tego stanowiska reprezentował, niby jak na kiepskiej scenie, p. Langiewicz, o działaczach zaś prawdziwych mógłby coś powiedzieć (naturalnie gdyby chciał) pan Koźmian; nie chodziłoby nam w danym łaskawie objaśnieniu o pionków na zewnątrz działających, jak Grabowski, Kołaczkowski, bracia Władysław i Zygmunt Siemiński i wielu im podobnych, ale o podniesienie firanki

jego ręką, jako wiernego i dyskretnego factotum, mającego wprawę w jej spuszczeniu, i pokazanie nam prawdziwych działaczy, a głównie — przedstawiciela, żeby usunąć podejrzenie z działalności domu w Krzeszowicach.

W przebiegu tych spraw o charakterze politycznym dziwna anomalia ukazała się w postępowaniu partii białych, którzy kierowani aspiracjami Hotelu Lambert niby z chwilą stworzonej przez siebie dyktatury przystępowali do akcji czynnej, czego, pominawszy inne wypadki, dowodzi stworzenie oddziału Poznańczyków pod nominalnym dowództwem Taczanowskiego, a faktycznym Strzeleckiego, z ornamentyką takich wybitnych osobistości, jak Działyński, Niegolewski, Gutry i inni, — a zbeczcścili dyktaturę i zgromadzone pod nią siły powstańcze, aby je zamknąć jednym słowem do szuflady i uspokoić rozkapryszoną hołotę.

Zdawałoby się, iż z tego dwulicowego postępowania przebija się niekarność w Hotelu Lambert z secesją p. Władysława Zamoyskiego i jego chwilowymi aspiracjami austriackimi, które Bogiem a prawdą przedstawiały realniejsze poglądy i stały bodaj wyżej nad sentymentalne półsłówka Napoleona III; i o tych rzeczach, gdyby chciał, mógłby p. Koźmian coś napisać lub posiadacze jego notatek i papierów. O tych rzeczach i dwulicowym postępowaniu partii białych mógłby także napisać p. Adam Sapieha, któren, przypominając w części charakter swego przodka z epoki Jana Kaźmierza, bodaj jak tamten działający przeciw Szwedom, dlatego że byli pobratani z Radziwiłłami, tak ten z powstaniem, ponieważ Krzeszowice nie były za nim.

Ta dwulicowość w postępowaniu partii białych, która od czasów nieszczęsnej dyktatury mimo pozorów była kierującym stronnictwem ruchu powstańczego, zdemoralizowawszy go i nauczywszy uciekinierstwa, stworzyła z Krakowa i jego patriotycznych mieszkańców zamiast pomocy i wsparcia dla walczących i schronienia dla rannych — Capuę dla powstania polskiego, w której nie brakło nawet nowoczesnych Annibalów, a to tak dalece, że hołota ta, wychodząca niby do powstania, zamawiała sobie przeważnie już na noc łóżka i ciała swych niby kochanic, i że fakt faktem zostanie, iż na trzydzieści przeszło przechodzących przez granicę uzbrojonych oddziałów jeden tylko oddział, i to dzięki czterodniowemu nieustannemu opilstwu jego dowódcy Mosakowskiego i ferworowi alkoholicznemu, podtrzymawanemu usilnie przez sławnego pod tym względem z silnej głowy Aleksandra Nenckiego, zaszedł głęboko w kraj aż poza Szczekociny nad Pilicę, gdzie oprzytomniały dowódca z dokonanego hazardu oddział

rozpuścił, lecz przechowana broń posłużyła do uzbrojenia krajowym oddziałom, którym tytuł uciekinierów nie zawsze się należał.

Przerywam spostrzeżenia, przytoczone z powodu dyktatury i następstw z niej wynikłych, aby podążyć z dalszym opowiadaniem o losach mego oddziału, a nie był on ani do pozazdroszczenia, ani obfity w jaskrawsze wypadki.

Jak wspomniałem, z kompanią strzelców o sile 90 ludzi i jednym kawalerzystą Rybickim przebywałem prawie do 20 marca 1863 roku w leśnym rejonie północnym, czepiając się Łęczyckiego, Rawskiego i Opoczyńskiego — w miarę większego lub mniejszego nacisku kolumn moskiewskich, tropiących po lasach; okolica ogołocona była z broni palnej przeze mnie i w Opoczyńskim przez przechodzącego tamtędy Jeziorańskiego, nie dając mi możliwości zwiększenia liczby strzelców i zaledwie zwiększając moją kawalerię do liczby dawniejszej (7 koni), uzbrojonych w dubeltówki i 4 pałasze. Wobec już wówczas przysposabiającej się do czynnego wystąpienia konfederacji szlacheckiej, ściągającej broń i ludzi, aby się godnie pokazać a jeszcze godniej uciec, widziałem, iż trzeba się chwycić radykalniejszego środka, ażeby wzmocnić i odpowiedniej uzbroić moich strzelców. Dlatego zamyślałem urządzać napady na straż pograniczną, dubeltowo jak dragoni uzbrojoną, nie mając zaś kawalerii, zatem możliwości zrealizowania mego dawnego projektu, zamierzałem napadami na pojedyncze stráže dojść do zamierzonego celu. Z okolic przeto Sulejowa, gdzie stałem w początkach kwietnia, przerzucając się bądź brodami, bądź po mostach z lewego na prawy, bądź odwrotnie na lewy brzeg Pilicy, przeszedłem część środkową doliny, pokrytej dużymi i gęstymi lasami.

Głusza niczym niezmacona, wynikła po upadku Langiewicza, wobec zupełnej prawie martwoty powstania pozwalała prawie używać błęgiego wypoczynku komendom moskiewskim, na lewym brzegu Wisły rozłożonym.

Siły bowiem powstańcze na tym brzegu Wisły znajdujące się reprezentowane były przez: 1) oddział Czachowskiego w sile około 500 ludzi, uprowadzony przez tego wytrwałego partyzanta w lasy świętokrzyskie po cofnięciu się i rozsypaniu oddziału Langiewicza po bitwie pod Grochowiskami; 2) oddział Mielęckiego, a raczej jego szczątki, pozostałe po rozbiciu pod Nową Wsią zamianowanego dyktatora Mierosławskiego, któren tak w bolesnym starciu pod Krzywosądem, okupionym stratą 20 młodzieży wyborowej i inteligentnej, jak i w bitwie pod Nową Wsią nie złożył korzystnie egzaminu z przymiotów wodza i żołnierza; 3) szczątki niewielkiego oddziału

Cieszkowskiego, świeżo rozbitego pod Radoszewicami w nocnym napadzie przez Moskali; 4) i mój niewielki oddziałek 100 ludzi niedochodzący. O oddziale Taczanowskiego mowy jeszcze nie było.

Można było prawie plunąć na tę całą farsę; lecz zapewniony zostałem przez organizację województwa, na czele której stał jako komisarz Rządu Narodowego Stanisław Szachowski, człowiek czynu i energii, słowom którego można było wierzyć, że w połowie kwietnia postać rzeczy zmieni się na korzystniejszą, że sprowadzone już zapasy broni i amunicji pozwolą w każdym powiecie województwa kaliskiego stworzyć pokażniejszy oddział, że sprawa spodziewanej interwencji nie jest gołosłowną mrzonką. Ożywiło to mą zachwianą wytrwałość, a przyjmując w swą działalność organizację piotrkowską, dowiedziawszy się przy tym, że organizacja wojskowa i komenda sformowanych oddziałów powierzona została: 1) wieluńskiego — Lütlichowi, 2) sieradzkiego — Urbanowskiemu, 3) kaliskiego — Parczewskiemu, a 4) konińskiego — Taczanowskiemu, którego w połowie kwietnia prawdopodobnie wejdzie z dobrze zorganizowanym i uzbrojonym oddziałem z Poznańskiego i obejmie jako doświadczony oficer naczelną komendę w województwie, ruszyłem z moim oddziałem z lepszą otuchą w przyszłość spod samego prawie Przedborza w zamiarze udania się w pas graniczny dla wykonania powziętego planu. Poinformowany o osobach w skład organizacji tego powiatu wchodzących i poinformowałem ich o zachowaniu się na punktach zbornych, które wyznaczyłem i na które w danej chwili przysię mych oficerów dla prowizorycznego zorganizowania nadeszłych ludzi i doprowadzenia ich na główny punkt zborny, sam z oddziałem spod Przedborza doliną Pilicy do Maluszyna, skąd przez Żytno, Gidle, Pławno przeszedłem na lewy brzeg Warty, a pod Gaworkowem¹⁾ między Nowo-Radomskiem a Kłomnicami kolej żelazną, z powodu panującej silnej zamieci śnieżnej zatrzymałem się przez 48 godzin w folwarku do Rybna należącym, to jest przez 26 i 27 marca, skąd przez Łobodno przybyłem do Zagórza 28 marca o 10-ej przed południem.

Dłuższą chwilę muszę wyznaczyć dla tej daty z powodu wypadku, jaki w ciągu dnia tego nastąpił.

Dwór Zagórze, do którego się w owym dniu zbliżał, nie był dworem przeciętnego szlachcica polskiego, otoczonym zwykle sadem i budynkami gospodarskimi, z mniejszym lub większym gustem urządzonymi klombami zajazdowymi — zasłaniającymi choć częściowo

1) Nazwa zniekształcona, najpewniej Gowarzęd, przyp. wyd.

niezbyt wykwintne zabudowania ekonomiczne; ten przedstawił się całkiem odmiennie, leżał na nagiej bezdrzewnej płaszczyźnie z dala od wsi, dom wielki piętrowy, nagi, w kwadrat zabudowany, o dziedzińcu wewnętrznym szczelnie zamkniętym, portykiem otoczony, z dwoma bramami, wjazdową i wyjazdową, — robił wrażenie ponurego więzienia lub ascetycznego klasztoru, lecz niczym nie przedstawiał przyjemnych wymagań wesołego szlachcica polskiego.

Gdym się zbliżył do niego, podoficer Rybicki zameldował mi, że na jakie 500 kroków przed domem ujrzał wyjeżdżającego i nazad wjeżdżającego do domu parokonną bryczką jakiegoś mężczyznę, zapewne właściciela domu. Nie przedstawiało to nic ciekawego, pomyślałem, szlachcic zobaczywszy nadciągających powstańców wrócił, żeby ich osobiście po gospodarsku przyjąć; i nie myśląc więcej wszedłem na dziedziniec. Ponury jego widok i pustka z braku ludzi, ba i psa nawet, z niego wiejąca oddziaływała na mnie niekorzystnie i miałem już rozkaz wydać wyjścia z tego posepnego domu, bo i tak z powodu jego położenia o ledwie dwie wiorsty od Kłomnic a mili od Częstochowy wstąpiłem tylko przechodem i tylko dlatego, że mi Cieszkowski pisał, że właściciel Zagórza p. Lemański ma sporo broni i nie chciał mu jej wydać, gdyż co do ściągnięcia od niego podatku narodowego uważałem, że ta czynność leży poza moją atrybucją, — gdy krzyki paru wybiegłych i do mnie pędzących strzelców oznajmiły mi coś niezwykłego.

Donieśli mi, że poszukując za jakąś żyjącą duszą, a także i za żywnością zstąpili do piwnic i w jednej z nich znaleźli na śmierć skatowanego i umierającego człowieka. Poleciwszy Maźniewskiemu trzymać oddział w pogotowiu z bronią przy nodze, zstąpiłem prowadzony przez owych żołnierzy do lochów, a widok, jaki mnie uderzył, był tak straszny, iż tylko mógł być przyrównany do zamierzchłych czasów i feudalnych więzień raubritterów niemieckich, których na szczęście w Polsce nigdy nie było, ale nie można było przypuścić, że takie straszne zbrodnie dzieją się w drugiej połowie XIX stulecia, w kraju niby swobodnym o skasowanym poddaństwie przed kilkudziesiąt laty, o obowiązującym kodeksie tak cywilnym jak i karnym na wzór ustawodawstwa francuskiego stworzonym, i to wszystko nie w puszczech bodaj pińskich, lecz wśród ludności gęsto osiadłej na milę od Częstochowy, a zatem pod opieką najmiłościwszego i szczęściem ludu żyjącego rządu moskiewskiego! Gdy w ciemnej piwnicy od skamlącego i jęczącego nie mogłem się nic dowiedzieć, gdyż uważając nas za siepaczy Lemańskiego prosił nas tylko ciągle o darowanie mu życia,

kazałem go wynieść na powietrze. Widok tego męczennika bez sprawy zrobił na mnie aż wstrętne wrażenie: poczynając od głowy pełnej guzów i strupów aż do pięt całe to ciało, niczym nie okryte, przedstawiało jedną ranę żywą, ropiejącą się i rojącym się robactwem pokrytą. Kiedy przyprowadzony do przytomności parą kieliszkami wódki i podanym kawałem słoniny, którą żarłocznie pochłonał, zdolny był do mówienia, widząc, że my nie jego kaci, lecz jacyś dziwni strzelcy, opowiedział nam, że przed pięciu czy sześciu tygodniami w parę niedziel po godach zabrał go swymi ludźmi, co to nie gadają, do dworu, gdzie go tak on jak i ci ludzie długo bili, później widać znieczulonego do piwnicy zawlekli, tam go prawie co dnia przez cztery niedziele bili, a potem zostawili na kawałku chleba i dzbanuszku wody, a od trzech dni, nie dając mu nic do jedzenia i picia, zostawili jak zdechłego. Kazawszy go okryć jakąś starą burką i zanieść lub zaprowadzić do wsi czterem strzelcom, kazałem zarazem sprowadzić z niej sołtysa z kilkoma poważniejszymi gospodarzami, aby byli świadkami sądu i wyroku nad p. Lemańskim, a plutonowi 1-mu poleciłem go wyszukać, choćby spod ziemi wydobyć i to natychmiast.

Nastąpiło poszukiwanie — cichsze i gwałtowniejsze, stosownie do tego, czy drzwi były otwarte, czy trzeba je było wywazać. Trwało to chwil kilka, gdy naraz huknęły dwa strzały w pokojach i mężczyzna okazały z dubeltówką w rękę wypadł na dziedziniec, z niego za bramę i dopiero w odległości jakich stu kroków za nią zdołano go doścignąć i przyaresztować.

Gdy go sprowadzono na dziedziniec i przede mnie postawiono, wypadł z domu ojciec zabitego strzelca, służący z nim razem w oddziale, a widząc zabójcę zmierzył się do niego; zasłoniwszy winnego swą własną osobą i zapewniwszy rozżalonego, iż sąd polowojenny sprawę zawyrokuje, poleciłem Maźniewskiemu wybrać z kompanii sześciu żołnierzy i z nim jako przewodniczącym sąd stanowić. Biorąc na siebie charakter oskarżyciela, zapytałem pod sądniego, dlaczego strzelił i zabił mi żołnierza, i czy nie wie o tym, że wystąpienie z bronią w czasie wojny przeciwko wojskom karane jest śmiercią, na co mi z dobrą miną i nieco drwiącą odpowiedział, iż wojska innego nie zna jak moskiewskie, a za zabicie takiego hołysza bez butów przecież porządnego człowieka nie zabijają.

Zwróciwszy się do przytomnego sądu, objaśniwszy go o przyznaniu się do zabójstwa podsądniego i o karze, jaka się za taki czyn wymierza, oddałem do sumiennego ich orzeczenia, czy przestępca jest winien lub nie. Jednomyślnie padło orzeczenie „winien“

i wyrok śmierci natychmiast kazałem wykonać przez powieszenie, co i natychmiast wykonano zamiast na drzewie, którego nie było, — na rogach jelenich, poprzybijanych gęsto i zdobiących portyk tego dziwnego domu.

Po wykonaniu egzekucji i po powrocie mych czterech strzelców z przybyłymi wieśniakami, którym pokazawszy wiszącego trupa ukaranego przez rząd polski, a nie moskiewski za wszystkie jego dawne zbrodnie i zaleciwszy im urządzenie straży nad domem, żeby nikt i nic z niego nie zabrał, a nadto kazawszy im zawiadomić urząd w Kłobucku o zaszłym wypadku i pochować mego zabitego żołnierza, zabrawszy osiem sztuk broni palnej myśliwskiej i kilka kordelasów z niewielką ilością amunicji, opuściłem nieszczęsny ten dom z jego trupami i martwo przyglądającymi się wieśniakami to nam, to powieszonemu, nie mogącymi zrozumieć tego wypadku.

Ba, nie mogli go zrozumieć i ludzie wykształceniem wyżej daleko stojący, jakem się o tym przekonał w parę dni później, przybywszy na zjazd organizacji, który zwołał Cieszkowski. Gdy przy powitaniu zapytał się, czy byłem u Lemańskiego i czy broń dostałem, odpowiedziałem lakonicznie: „byłem i zabrałem“. Spojrzał zaciękawiony, jakby żądając objaśnienia, powiedziałem mu z naciskiem, że byłem, a że broń zabrałem to dlatego, że Lemański nie mógł tego osobiście uczynić, gdyż nie żyje, kazałem go bowiem w moc wyroku powiesić. Gdyby grom z jasnego nieba uderzył w dom, gdzie byliśmy, nie byłby zapewne zrobił lepszego i efektowniejszego wrażenia, jakie zrobiły w cichy dosyć sposób wymówione przeze mnie wyrazy: jednym rzutem odepchnięci ode mnie znaleźli się pod ścianami bladzi i pomieszani, przyglądając się uparcie, jak wygląda człowiek, któren ośmielił się postronkiem dotknąć tak nazwanej szyi szlacheckiej. A gdy cichość i miny zakazane tych panów nieźle mnie drażniły, biorąc za klapę surduta Cieszkowskiego, jedynie przy mnie pozostałego, opisałem mu szczegółowo cały wypadek z Lemańskim, a wskazując na obecnych, jeszcze stojących pod ścianami, głośno powiedziałem: „Przypatrz się tym panom o pobladłych licach i czerwonych czołach, czyż oni swą postawą i zachowaniem się nie wskazują łączności z powieszonym, czy sprawiedliwie wykonany wyrok na zbrodniarzu może tak przerażająco oddziaływać na niewinnych ludzi i dobrych patriotów! Mógłbym niemal mniemać, że solidarność kastowa tak ich zaślepia, że w powieszonym zbrodniarzu uważają swego patrona męczennika, a ponieważ ja tych panów nie znam i nie mogąc im zawierzyć z powodu

zdrady, wyszłej z łona ich organizacji przez brata ich Bogatkę, ofiarą której w pierwszym rządzie padł człowiek czynu, a nie rozpraw — Bronisław Rucki, przeto jako człowiek w danej chwili zbyt czynny opuszczam natychmiast to szanowne zgromadzenie. Tobie zaś na odchodnym radzę — nie wierz zjazdom i powziętym uchwałom, wierz sobie, a z Polską w sercu nie radź się, lecz rozkazuj. Ja tak postępuję, może nie opływam w dostatki, może mój oddział nie jest bogato okryty, może szparami ubrania prześwieca nieraz zgłodniały żołądek, mniejsza z tym — nie mam za to iluzji“. Tymi słowy żegnając zgromadzonych, wsiałem na bryczkę i odjechałem do obozu.

Sprawa powieszzonego Lemańskiego rozmaicie była omawiana i przedstawiana. Na dworze francuskim ówczesny ambasador moskiewski baron Budberg z polecenia swego rządu przedstawiał ją w charakterze socjalno-kolektywnym; dwór pruski, mając swego generalnego konsula w Paryżu p. Maltzana, szwagra powieszzonego, ożenionego z rozwódką po p. Czesławie Biernackim, nie żałował gorliwie dopomagać w tej sprawie swemu sojusznikowi moskiewskiemu. Musiałem w tej sprawie pisać na żądanie Rządu Narodowego paroarkuszowe szczegółowe sprawozdanie, było ono nieszczególnie przyjęte, stworzyło mi opinię niespokojnego radykała, co jest usprawiedliwionym, gdyż wydanym zostało przez areopag ludzi, dla których zasady etyki rewolucyjnej były wstrętne, gdyż dawno już przez nich pogrzebane. Dawano mi od tego czasu i pozostawiono przez całe powstanie do zrozumienia, że lojalność moja jest im podejrzaną, a pozostawienie mnie przy komendzie zawdzięczałem tylko, jak mi w parę lat później w Paryżu Dębiński „Kot“ powiedział, iż się obawiano doświadczyć mego radykalizmu i mogącej nastąpić secesji.

Ze szlachtą (tak nazywającą się) stanowczo zerwałem, nie wierząc im zupełnie, patriotyzm ich jak i katolicyzm opierał się na pewnych zwietrzałych formach i przesądach, w których wzrosli i w których reakcyjnie wegetowali. Z tego to czasu potworzyła ona rozmaite baśnie i przypowiastrki, którymi mnie oplotła, a które (z braku cywilnej odwagi nie śmiejąc mi ich zaprodukować) rozpuszczała po świecie dla zabawy „somsiadów“, a których się czasami nasłuchiwałem w domach mi nieznanych przejeżdżając przez nie w charakterze mego kuriera.

Ale ta sprawa miała i swe strony dodatnie. Pokazała ona gnębionemu ludowi wiejskiemu, że ci tak nazwani przez nich „Poloki“ karzą ich bogatych panów za zbrodnie i że „tak i oni coś dobrego o nas myślą“, a ta opinia zaczęła się u nich przyjmować i rozpowszechniać,

gdyż jak solidarni nawet w zbrodni, tak też i dobrą nowiną solidarnie i szybko się dzielą, i wydała korzystne rezultaty, bo wzmocniony ruch oddziałów już prawie od maja 1863 r. w znacznej części, a w niektórych stronach w dobrej połowie zawdzięczał swój rozrost wieśniaczym ochotnikom tłumnie napływającym do oddziałów. Gdyby nie marnotrawstwo galicyjskiej organizacji z Krakowem w dostawie broni, może z tego bicza z piasku kręconego uformowałyby się młot zabójczy i może wówczas sentymentalna interwencja zamieniłaby się w interwencję zbrojną. O żywych tylko i czynnych myślą!

Sprawa ta zyskała uznanie i poklask ze strony urzędowej. Ówczesny Dyrektor Główny Komisji Sprawiedliwości, vel minister sprawiedliwości, p. Drzewiecki, wcale nie partyzant powstania, gdy się o śmierci p. Lemańskiego i o powodach do niej dowiedział, miał się nieoficjalnie odezwać: „przecież stało się w końcu zadość sprawiedliwości“. Znał bowiem dawniejsze sprawki tego zbrodniarza, którego przed kilkanaście laty za udowodnione morderstwo czterech włościan sąd kryminalny przy łagodzących okolicznościach skazał na 10 lat ciężkiego więzienia, z którego przy pieniądzach i stosunkach petersburskich naprzód do szpitala dla umyślowo chorych, później jako wyleczonego na wolność wypuszczono.

Ale nakoniec i strona śmieszna miała w tej sprawie swego przedstawiciela. Był nim ksiądz proboszcz z Kłobucka, któremu parszywa owieczka podobno jednego razu podczas objazdu parafii dała odczuć dotykalnie wartość pleczonego rzemienia, i któremu ten niecnota zapowiedział swą bytność na parafii z lepszym gatunkiem boćkowskiego, którym doliczy mu rachunek, którego małą częścią był wyliczony zadatek. Biedny proboszcz, mimo rodzaju pretoriańskiej straży stworzonej i czuwającej nad nim, nie zasnął podobno przez lata snu spokojnego, gdyż męczące go wizje, a wszystko o gęstych przepłotach, nie dawały mu zapomnieć o zapowiedzianej wizycie. Chudł podobno widocznie, tylko jedna część ciała przybierała formy okazalsze, a ludzie złośliwi, a gdzie takich nie ma, podobno po cichu szeptali, że „wzmaga się odporność księdza proboszcza“.

Na wiadomość o wyroku, wykonanym na jego przesładowcy, miał podobno z całym pietyzmem katolika odprawiać wszystkie niezbędne nabożeństwa, poruczając Panu nad Pany upadłą duszę jawnogrzesznika, a nad grobem wygłaszając cytate „odpuście im, aby i wam odpuszczono“, miał wywołać płacz głośny w zgromadzonych tłumach. Ale wszystko ma swój koniec, toteż zostawmy i tego nieszczęśnika i przejdźmy do dalszego opowiadania wypadków powstania.

Przybywszy w nocy z 31 marca na 1 kwietnia do Dankowa, w którego lasach przed 24 godzinami oddział zostawiłem, nie znalazłem go na miejscu, co oznaczało, że musiał przed tropiącymi go Moskalami usunąć się, gdyż takie wydałem polecenie wyjeżdżając. Niespokojny, ażeby podczas mej nieobecności nie był napadnięty, wzięwszy przewodnika i parę pudełek zapalek, udałem się na jego odnalezienie.

Dla człowieka niemal leśnego, a na takiego się wyrobiłem, wynalezienie tropu pojedynczego zwierza lub człowieka szczególnie na wilgotnym terenie nie przedstawia wielkich trudności, tym mniejszą przedstawiało trudność odnalezienie śladów oddziału do 100 ludzi liczącego z ośmiu końmi, gdyż i moja Kaśka znajdowała się przy oddziale. Zależy tylko od wynalezienia punktu wyjścia, a takowy znałem, gdyż go na nim zostawiłem. Posiłkując się przeto światłem zapalek doskonale szedłem śladami oddziału i 2 kwietnia około 11-ej przed południem, zrobiwszy 5 mil opętanych, znalazłem oddział w małym leśnym folwarczku czy leśniczówce do Kuźniczki należącym o pół mili pod Praszką położonym.

Przy składaniu służbowego raportu, w którym usprawiedliwiałem ruch swój wsteczny w stronę granicy z powodu prześladowających go kolumn moskiewskich, Maźniewski doniósł mi, iż w oddziale czuć się daje coś niezwykłego, jakieś tajemne szepty i rozprawy, które za zbliżeniem się oficerów milkną, nie ma nic pozytywnego donieść, lecz przypuszcza, iż musiało się coś stać w Zagórzcu u Lemańskiego, gdyż od tego czasu daje się spostrzegać to niezwykle usposobienie oddziału. Rzecz zdawała się ważna, myśl dokonanego rabunku przeszła mi przez głowę, cała ohyda takiego czynu, popełnionego w chwili wykonania wyroku na zbrodniarzu, dawała możliwość plucia na cały ruch zbrojny dla rabunku prowadzony. Postanowiłem sprawdzić przypuszczenie, a każąc Maźniewskiemu iść do kompanii, w chwilę za nim wyszedłem i świstem mej gwizdawki dałem rozkaz stanięcia oddziałowi pod bronią. Gdy oddział z kawalerią na skrzydle stanął w szeregach z bronią u nogi, zakomenderowałem „na ramię broń“, a następnie „prezentuj broń“, a gdy komenda została wykonaną, stanąłem przed frontem kompanii i odezwałem się w te słowa: „Żołnierze polscy! Doszło do mojej wiadomości, jakoby podczas naszego pobytu w Zagórzcu i wykonywania wyroku nad tym nieszczęsnym zbrodniarzem dopełnionym został przez niektórych z was rabunek jego mienia, a ponieważ czyn ten haniebny i zbrodniczy wymaga sprawdzenia i ukarania winnych, ażeby honor oddziału i cześć żołnierza polskiego oczyścić, przeto poddamę wszystkich bez wyjątku ścisłej rewizji. Ja sam

zrewiduję pp. oficerów, a ci w mej obecności zrewidują wszystkich żołnierzy“. Jak zapowiedziałem, tak zostało wykonanym, a po parogodzinnej rewizji znaleziono u jednego z żołnierzy, ojca zabitego przez Lemańskiego, worek srebra napełniony sztukami 5 i 10 złotowymi, dwa złote zegarki i pierścień złoty z herbowym kamieniem, u drugiego żołnierza, współnika rabunku, znaleziono w torbie myśliwskiej kilkadziesiąt sztuk podobnej monety. Winni byli znalezieni i jako złodzieje, po rozbrojeniu ich, doraźnym wym wyrokiem wypędzeni natychmiast z oddziału, lecz widocznie winni mieli swych tajnych spółników. Po wypędzeniu bowiem winnych, wróciwszy do chaty z parą skonsternowanymi tą przygodą oficerami i z ks. Jaśkiewiczem, kapelanem oddziału, dla przerachowania pieniędzy i napisania sprawozdania o całym zdarzeniu, — wchodzący Maźniewski oznajmił mi, że oddział się buntuje. Schwyciwszy ze stołu nabite pistolety i odwiódłszy takowe wybiegłem przed chatę. Świst mej gwizdawki powołał ludzi do szeregu pod broń. Zauważyłem trzech ociągających się z wstąpieniem i dwóch stojących na uboczu. Widziałem, że karność złamana i że za chwilę z tej garści żołnierza może się stworzyć banda rabusiów. Postanowiłem działać i widząc, iż oficerowie stoją na swych miejscach przed kompanią, poskoczyłem do zbuntowanych, a przykładając im lufy prawie do piersi wypaliłem kładąc ich trupem na ziemi. Wówczas przed frontem stanąłem. Jak mi oficerowie potem mówili, miałem być blady i w oczach straszny. Zacząłem komenderować. Przyprowadziwszy pierwszą sekcję I-go plutonu przed front kompanii i frontem do niej zwróconą z bronią na „tuj“, kazałem wyciągnąć z szeregu trzech żołnierzy, których ociąganie się zauważyłem, po rozebraniu ich kazałem każdemu z nich po kolei wyliczyć po 30 żelaznych stempli i wygnawszy ich natychmiast z oddziału, odezwałem się do pozostałych: „Jeżeli nie zgadzacie się z tym, że żołnierz polski musi być tylko odważnym, uczciwym i honorowym człowiekiem, najlepszym i wybranym dzieckiem tej Matki Ziemi, jeżeli uważacie, że karność i posłuszeństwo dla przełożonych są niepotrzebne, złożcie broń powtórnie, jakeście ją przed chwilą składali, i rozejdźcie się do domów, a ja zostanę bądź sam, bądź z tymi tylko wybranymi, którzy postanowią pójść ze mną razem i nie splamić nigdy czci żołnierza polskiego“. Coś w tym sensie mówiłem, a rezultatem tego przemówienia było głośne, może nawet jednomyślne oświadczenie pójścia zawsze i wszędzie pod moją komendą.

Gdy nastąpiła harmonia, złym duchem Lemańskiego naderwana, poszedłem do chaty, napisałem sprawozdanie o całym wypadku,

a wręczywszy je ks. Jaśkiewiczowi oraz biżuterie i pieniądze srebrne (przeszło 2000 złp. wartości), kazałem mu pojechać do p. X., będącego Naczelnikiem powiatu wieluńskiego, wręczyć mu pismo i rzeczy wartościowe i przywieźć poświadczenie z odbioru. Sam zaś czuwając z oddziałem spoza oparkanionej osady, wysławszy poprzednio patrole konne w stronę Wielunia i Praszki, postanowiłem jeszcze tę noc na folwarku przepędzić, a rannym marszem odsunąć się od granicy.

Patrole o zmroku wróciły, od strony Wielunia niczego nie spostrzegły, a od strony Praszki doniósł mi, iż jakiś człowiek spotkany w lesie pokazywał im sąsiednią wioskę pod Praszką położoną, w której znajdować się mieli kozacy. Wiadomość ta nie zdawała mi się zbyt ważną; kazawszy żołnierzom zjeść przygotowaną kolację i udawszy się z wszystkimi do odosobnionej stodoły na spoczynek, noc przepędziłem jak zwykle bezsennie, czuwając nad porządkiem wart i układając marsz w stronę północno-wschodnią województwa, aby w spokojniejszym terenie przepędzić zbliżające się święta wielkanocne i być pośrodku organizacji dla wzmocnienia i lepszego uzbrojenia oddziału. Rano około 7-ej 11 kwietnia 1863 r. wyszedłszy z postoju i wchodząc do bliskiego lasu, bardzo gęsto podszytego leszczyną i w błotnistych miejscach inną jakąś krzewiną, spotkałem wiejską kobietę; na zapytanie, czy nie widziała Moskali — pokazała mi ręką w stronę Praszki i odrzekła „a juści, stamtąd idą“, a na zapytanie, czy na piechotę czyli na koniach, odrzekła „dyc na koniach“. Zrozumiałem, że to ten sam rekonesans kozacki, o którym mi patrol dnia wczorajszego donosił. Ułożyłem w gąszczach leśnych w zwartych szeregach ponad drogą leśną mych strzelców z zapowiedzią spokojnego i celnego strzelania na moją komendę i zszedłem z koni kawalerzystów, aby trzymając przy pyskach konie nie dopuścili do zarżenia; za ledwie podoficer Otockki rozstawił cztery strażę w tyle oddziału, gdy wracając po ich wystawieniu naprzód on wystrzelił do spostrzeżonych Moskali, a w odpowiedzi na jego strzał obsypani byliśmy gradem kul moskiewskich.

Urządzając zasadzkę na kozaków sam wpadłem w zasadzkę, urządzoną mi przez Moskali; piechota ich nad ranem przybyła i zajęła swe stanowisko w lesie, z którego mogła dobrze nas obserwować. Kozacy mieli służyć za przynętę, a panowie oficerowie moskiewscy od piechoty nie żałowali nigdy skóry kozaczej; to tylko źle zrobili, że za wcześniej odkryli swe stanowisko. Zrozumiałem położenie oddziału: wyparci w pola i otoczeni przez przeważne siły bylibyśmy zniszczeni pod gradem sypiących się kul. Uformowawszy kolumnę

pochodową o czołe jak najwęższym, gdyż gęstwina przeszkadzała, jednym prawie skokiem naprzód przecięliśmy pierścien nas otaczający. Spotkanie trwało zaledwie minutę, ale jak każde ręczne spotkanie było bardzo krwawe; myśmy mieli w broni i sile skoncentrowanej przewagę, Moskale z wystrzeloną bronią byli prawie bezbronni, gdyż jakkolwiek chwala się swym trójsiecznym bagnetem, nie lubią go na żywych używać, woła na rannych i umarłych, a nasi z nabitymi dubeltówkami, do boku lub do piersi im niemal przykładając, kładli gęstego trupa. Myśmy stracili w tym starciu 10 ludzi, Moskale podobno 28; nie grzebałem ich, dostałem tylko świeżych 13 karabinów, które w biegu prawie moi strzelcy po upadłych podnieśli.

Wyszliśmy z pierścienia, ale nie z niebezpieczeństwa; na tyłach naszych panował szum pełen klątw i krzyków moskiewskich. Podszyty gęsto las dawał nam osłonę, gdyż na kilkadziesiąt kroków nie można było nic dojrzeć, w odległości może 300 do 400 kroków na tyłach więcej zbliżony ku prawemu skrzydłu moskiewskiemu usłyszałem sygnał rozsypania się w tyraliery, a następnie pociągnięcia w prawo. Korzystając z gęstwiny otaczającej pociągnąłem także w prawo, a w miejscach jaśniejszych żołnierze niemal czołgając się na brzuchach, ale skrywając się lepiej, mogli obejść niepostrzeżenie lewe skrzydło idącego na nas frontu. Przepuściwszy go dobrze, forsownym marszem na tyłach Moskali zdążyłem zająć stanowisko na tyłach ich prawego skrzydła, ale nad krajem lasu, skąd mogłem zobaczyć pola i flankujących na nich kozaków, dalej jakieś łąki pokryte miejscami wodą, wreszcie jakaś bardzo szeroka kurtyna ciemnych lasów zamykała widnokrąg. Myśląc, jakby to było dobrze być już poza tą kurtyną i dalej spokojnie maszerować, usłyszałem sygnał na zatrzymanie się, a następnie po jakiejś może półgodzinie sygnał pociągnięcia w prawo. Zrozumiałem, że przeszukiwanie drugiej części lasu rozpoczyna się. Nie obchodziło mnie ono zupełnie, bo się tam z oddziałem nie znajdowałem, za to bardzo się zajmowałem tymi biednymi kozakami błakającymi się niepotrzebnie po polu, przez które koniecznie przejść chciałem, żeby się zasłonić kurtyną.

Znowu po jakiejś półgodzinie odezwały się trąbki nakazujące wstrzymanie, i po długiej pauzie już zacząłem podejrzewać jakąś cichą sztuczkę moskiewską, gdy sygnał z tego samego miejsca zadźwięczał zbór nakazując. Tyczył on się moich kochanych kozaków, których mi się rano nie udało przetrzepać, a widocznie tak pięknie do nich przemówił, że niemal martwych przed chwilą pędem koni ożywił i za parę minut ukrył ich w tajnikach lasu,

a pole pozostało spokojne. Tej chwili czekałem: wydawszy rozkaz, wypadliśmy z lasu i niemal biegiem przebywszy pole, w kilku zaledwie minutach dopadliśmy łąk wilgotnych i sapowatych, zyskawszy odległość kilkuset kroków, niespostrzeżeni. Gdyśmy przechodzili łąki z powodu ich bagnistości w szyku rozsypanym, zatrzymał nas w marszu rów odpływowy środkiem łąk biegnący, napełniony do powierzchni łąk wodą, przynajmniej 2 metry szerokości, a gdyśmy się cokolwiek namyślali, jak go przebyć, gdyż i mostu nie było do przejścia i niańki do przeniesienia, wybiegający w tej chwili z lasu kozacy pomogli nam zaraz do rozwiązania tej zagadki. Cofać się nazad, to wejść pod strzały nadbiegającej piechoty, która na huk strzałów kilku janczarek, z pewnością swych dalszych poszukiwań zaniechawszy, w stronę strzałów marsz swój pośpieszny zwróciła, a zatem ten punkt wyjścia stanowczo upadał; stać nad rowem z nosem na kwintę spuszczonej i przyglądać się wodzie jak sroka kości, to doczekać nadejścia piechoty moskiewskiej, a z nią kul ołowianych, bo te psubraty nie przewidziały jeszcze wówczas humanitarnych ustaw konwencji genewskiej i zamiast cukierkami naprawdę strzelali ołowiem, a zatem i ten punkt wyjścia upadał, gdyż piechota moskiewska, nie maczając nóg na błotnistych łąkach, aby się nie nabawić kataru, którego podobno ci sybarycy nie lubią, lecz stojąc na suchym gruncie, do stojących na mokrym i nad wodą z odległości jakich 500 kroków obficie strzelając (a dla czegożby mieli żałować ładunków, kiedy ich mieli pełne cekhauzy), byłaby nas w końcu jak kaczki wystrzelała, a raczej jako podloty smaczne, bo młode i tłuste. Ale powiedziano jest „szukajcie a znajdziecie“. Otóż szukając — przysłała mi na pamięć sentencja „kto nie może przeskoczyć, niech podlezie“, a roztrząsając ją uważnie przyszedłem prawie do przekonania, że zmieniając nieco szyk wyrażenia dojdzie się do drugiej, w danym wypadku rozumniejszej sentencji „kto nie może przeleźć, niech przeskoczy“. Uderzony tą myślą i jej logicznością, rozpędziwszy się kilka kroków, rów ten rubikonowy przeskoczyłem, a po minucie byliśmy z drugiej strony Rubikonu, tylko że nie po cesarowsku szliśmy naprzód po losy świata, ale po partyzancku skuteczniejszy zbrojny odwrót.

Kanalia bowiem kozacza, która się niemal w chwili wykonania naszego „salto mortale“ wysypała z lasu, widząc się odgradzoną owym rowem od bliskiego naszego sąsiedztwa, zbiegła się na kraj łąki i zaczęła obsypywać nas gwałtownym choć nieszkodliwym ogniem swoich janczarek, które po kilkudziesięciu strzałach z naszych

karabinów, widocznie skuteczniejszych, gdyż parę koni spod jeźdźców wyskoczyło, cofnął tę hołotę pod kraj lasu, skąd po kilku minutach zaczęła wysypywać się moskiewska piechota. Byliśmy jednak już poza linią jej strzałów, przynajmniej wiorstę oddaleni i po kilku minutach znajdowaliśmy się pod osłoną lasu, któren nam i Moskali, stojących pod przeciwnym nadgranicznym lasem, zasłonił.

Byłem zmęczony i smutny, bo mi się w pierwszym gwałtownym starciu mój najlepszy żołnierz i towarzysz z pierwszej nocy Maźniewski gdzieś zaniewieruszył. Lecz nie było czasu na sentymentalizm. Po słońcu jasno świecącym orientując się i wzięwszy kierunek wschodnio-północny, nad zmrokiem znalazłem się z oddziałem zmniejszonym do 81 ludzi w lasach do wsi Wiry lub Podkowa należących, a dając wypoczynek do północy i mając w szeregach ludzi z tą okolicą obeznanych, wyruszyłem w dalszą drogę; przecinając szosę w Skrzynnie, a Wartę przechodząc w Bębnowie, stanąłem w lasach do Dąbrowy należących. Marsz ten gwałtowny zdawał mi się zapewniać parodniowy wypoczynek i obfitsze przepędzenie świąt wielkanocnych. Była już bowiem wielka sobota i katolickie żołądki dopominały się różności kielbasianej, a te psy schizmatyckie, naprzekór wszystkim bulloom papieskim urządziwszy sobie jakiś cygański kalendarz, nie tylko że sami gwałtownie pościli pod opieką pułkowników, kapitanów i feldfebli, ale szczuci przez swych ascetycznych, bojaźnią Bożą tylko żyjących popów — i nas do poszczenia zmusili.

Wysłałem na piechotę jednego z moich żołnierzy, a to dlatego na piechotę, bo ani jednego konia nie było. Ciekawi, bo takich pod słońcem nie zbraknie, zaraz gotowi zapytać: a co się z kawalerią stało — ba, i z moją Kaską. To im dokumentnie odpowiem, iż dnia 3 kwietnia 1863 roku w pierwszym gwałtownym starciu, widząc iż koni nie utrzymam z powodu gęstwiny, w jakiej się znajdowaliśmy, i że mogą nam być przeszkodą w tajnych poruszeniach, zasadzonym już poprzednio kawalerzystom kazałem uzdy za siodła zarzucić i zrobiwszy to samo z mą Kaską, machnąłem ręką w stronę pola, a Kaśka zrozumiałwszy mój rozkaz pomknęła z kopyta, pociągając jak dobry oficer swych towarzyszy za sobą; a nie będąc kozaczką i wiedząc, że dobra rasa każe się cenić, pomknęła naprzód, nie bratając się wcale z zabiegającymi jej drogę kozackimi końmi, i przebiegłszy kilka mil drogi wpadła z swymi towarzyszami na dziedziniec dworski w Rudnikach do p. Miączyńskiego czy Mączyńskiego, udającego już wówczas hrabiego papieskiego. Ten niecnota zamiast uszanować patriotyzm koński, któren się nie chciał bratać z Moskalami, i wynagrodzić

zmęczonych biedaków dobrym owsem i sianem, łajdak ten, jak praw dziwy koniokrad, postąpił z nimi jak z dezertkami, tylko zamiast je nam odesłać — kazał je Moskalom oddać w Wieluniu. I na mojej Kaście paradował podobno p. generał Pomarancow. O tym łajdactwie p. Mączyńskiego wiedziała organizacja województwa, gdyż o wydarzonym fakcie doniosłem natychmiast, lecz powiedzianym jest, iż kruk krukowi oka nie wydziobie, tak też i w tym wypadku się stało i organizacja, wobec spraw ważniejszych, przeszła nad końską sprawą do porządku dziennego, a ja z tym koniokradem nigdy się nie spotkałem. Dlatego swego wysłańca musiałem puścić na piechotę do Jastrzębca dla sprowadzenia żywności i dowiedzenia się o ruchu Moskali.

Gdy po czterogodzinnej nieobecności powrócił sam z próżnymi rękoma, jeszcze więcej jeść się nam zachciało, a gdy nam opowiedział, co mu pan rządca majątku mówił o poruszeniach w komendach wieluńskiej i sieradzkiej, które po wypadku w Zagórze wszędzie są, rewidują, biją i chłopów badają, widziałem, iż „pan wokumon“ albo w piętę goni, albo straszy drugich, i postanowiłem go o zmroku odwiedzić, jeżeli przed zmrokiem, to jest o 6-ej wieczór, nie przywiezie zapowiedzianego pożywienia.

Kilka godzin przeszło niecierpliwego oczekiwania, wysłany patrol na kraj lasu od strony Jastrzębca powrócił z wiadomością o krzykach we wsi i o czatach kozackich przed wsią rozstawionych, trzeba się było wynosić nie czekając możliwego napadu. Jeść się chciało, ale co robić, trzeba było o tym chwilowo zapomnieć; ale gdzie iść, mogąc się natknąć wszędzie na Moskali, gdyż wiadomości p. rządcy zaczęły mi się wydawać prawdopodobniejszymi.

Za nic nie chciałem nowego starcia; uważałem pozostałych 80 ludzi za kadry większego oddziału, którego przygotowałam organizację prowadziłem. Z zapewnien komisarza Szachowskiego wiedziałem, iż w drugiej połowie kwietnia rozpocznie się większy ruch zbrojny w całym województwie, i dlatego postanowiłem uciekać i chować się, aby doczekać tych lepszych czasów. Dlatego wolnym marszem, ciągle się lasów trzymając przybyłem około północy do lasów pod Kleszczowem, zbliżając się do kolei Warszawsko-Wiedeńskiej i odsuwając od działalności komend Sieradza i Wielunia. Noc spędziliśmy niespokojnie, nic w ustach prócz wody od 48 godzin nie mieliśmy. W spokojnym zachowaniu się po tak przedłużonych suchotach zaczyna mdlić w żołądku; w życiu czynnym, a takie prowadziliśmy, bośmy w tym czasie stoczyli bitwę z jej rozmaitymi emocjami i zrobiliśmy

piechotą z 10 mil opętanych, organizm wycieńcza się szybciej, a żołądek jako dobry gospodarz dopomina się swej właściwej pracy, gdy mu na niej zbywa — sam się przerabia i następują bolesne skurcze; tego zaczęliśmy na sobie doświadczać. Nie było co dłużej czekać, za każdą cenę trzeba było zdobyć pożywienie; ruszywszy około południa z naszego legowiska, zawsze lasami i często odpoczywając przybyliśmy około 4-ej po południu 5 kwietnia 1863 r. do jakiegoś niewielkiego dworu szlacheckiego.

Gdyśmy przed nim stanęli, spotkała nas poważna jakaś matrona polska, jakich u nas na szczęście jeszcze nie brakuje, z dwojgiem bodaj wnucząt i z dosyć przystojną młodą kobietą funkcje nauczycielki w tym domu pełniącą, a gdy powitawszy ją przedstawiłem jej nasz stan rozpaczliwy, w kwadrans zaledwie, rozlokowani na klombie przed dworem, jedliśmy — z początku umiarkowanie przy mej bacznej przestrodze, a następnie z wilczym apetytem, z wzrastającym humorem, dziękując tym sposobem zacnej polskiej gospodyni za jej gościnność, a zarazem przekonywująco pokazując, iż sztuka jej kulinarna zyskała nasze całkowite uznanie. Zapasy przygotowane na Wielkanoc przez zacną gospodynię domu zostały po paru godzinach prawdziwej uczty spałazowane i pochłonięte przez moją wiarę, która barszkując już nieco z mazurkami i jakimiś połamańcami, stanowczo oświadczyła, że warto przez trzy dni pościć dla zyskania podobnej uczty.

Podziękowawszy gospodyni domu, bodaj z nazwiska pani Grabińskiej, a wdowy, jak mi później mówiono, po oficerze sztabowym z 1831 r., tak za gościnne przyjęcie jak i obfite zaopatrzenie nas na przyszłość, a po jej oddaleniu, gdyż z powodu wieku i wzruszenia czując się osłabioną wkrótce nas opuściła, pozostałem z towarzyszami, a dozwolwszy im kilkugodzinnego odpoczynku wyruszyłem z tego gościnnego domu nad ranem dnia 6 kwietnia 1863 r. w kierunku między Cęstochową a Pajęczno i gdzieś w lasach nad Liswartą stanąłem.

Stałem w lasach tamtejszej okolicy bodaj przez jeden dzień tylko, przesuwając się z stanowiska na stanowisko z powodu tropiącej mnie po lasach Moskwy, zaopatrywany w żywność zapasami wielkanocnymi najprzód przez p. Rutkowskiego, którego syn w trzy miesiące później jako waleczny porucznik mej kawalerii zginął odważnie w jednej z następnych potyczek, a następnie przez jakiegoś walnego księdza proboszcza, któren po gościnnym i obfitym przyjęciu oddziału na plebanii mnie specjalnie ofiarował swoją dubeltówkę, nabitą przy mnie przez niego poświęconymi kulami, zapowiadając stanowczo, że nimi schizmatyka Moskala z pewnością zabiję; a przy tym jak

prawdziwy facecjonista prawil mi dosyc rubaszne komplementa, ktorych przebijajacym sensem byla radość z wyroku nad tym bezbożnikiem, pastwiącym się nad poświęconą osobą ks. proboszcza z Kłobucka.

Wsadziwszy oddział na 10 parokonných furmanek, a sam wsiadłszy na proboszczowską bryczkę z odnalezionym przed kilku godzinami zdrowym Maźniewskim, z powodu nieposiadania ani jednego konnego kawalerzysty — sam jako szpica przed oddziałem na jakieś sto kroków, poprowadziłem na Pajęczno w stronę Szczercowa, aby osobiście dopilnować przygotowującej się reorganizacji oddziału.

Fatum jakiegoś nieprzychylnie ciążyło widocznie tej nocy nad moją osobą, zaledwieśmy bowiem oddalili się o jakie pół mili od probostwa, gdy nastąpiło jakieś raptowne gębnięcie, następnie lecenie w powietrzu, potem koziołkowanie po krzakach, a nakoniec kłapnięcie buzią w błoto, uwieńczone spadającą i przykrywającą mnie bryczką. Odczułem trzeszczenie mych gnatów i gwałtowną febrę; dzwoniąc zębami czekałem chwil parę, nim ze mnie zdjęto to przekłete nakrycie, a po jego zdjęciu i postawieniu mnie na nogach zauważyłem z radością, że gnaty są w porządku, tylko zęby — szczekotała mi febra. Wyjawszy z ziemi zagłębioną w niej do połowy łuf (a ziemię z nich usuwając kilkorazowym uderzeniem pięści) ową nabitą mi przez proboszcza dubeltówkę, wspomagany przez ludzi a głównie windowany przez Maźniewskiego, stanąłem nad brzegiem starego koryta Warty, stok której stanowił szkarpę drogową. Gdy wszystko dosyć zdrowe i całe prócz obłocenia przyprowadzone zostało do dawnego porządku, wsiadłem z Maźniewskim na bryczkę i przodem ku Pajęcznu pojechałem, a szczekoczące gwałtowną febrą zęby mimo porządnego łyku wódki pozostawiały ślady przebytej katastrofy. W parę godzin, wjeżdżając w rynek Pajęczna, powitany zostałem hasłem moskiewskim „stoj — kto idiot“. Zaledwie zdołałem odciągnąć półkurcza i zrzucić z brantek pokrywające pakuły, gdy przyskoczył szyldwach moskiewski i przyłożył mi bagnet do piersi. Nie było co czekać, pociągnąłem za cyngle — i dwa prawie jak jeden gromy padły w pierś moskiewską. Wyskoczyłem z bryczki, rzucając się pędem do nadjeżdżającego oddziału, aby go nawrócić i tym samym nie wpuścić w środek nieznannej siły. Gdym go wyprowadził za miasto i odprawił wszystkie furmanki do domu, cisza panująca w miasteczku wydała mi się dosyć dziwną, karabin podniesiony i zdarta ładownica przez Maźniewskiego wskazywały bytność Moskali, a cisza panująca bez sygnałów i rozgwaru, jaki im towarzyszy, wśród ciszy nocnej zawsze dosłyszany, rodziła podejrzenie, czy się jakiegoś głupstwa nie zmalowało.

Zostawiwszy oddział w ciemności o paręset kroków w tyle, wziąłem Maźniewskiego z sobą i zbliżywszy się do najbliższego domku podmiejskiego, a cichym zapukaniem w okno wywoławszy gospodarza do drzwi, dowiedziałem się, iż przed samą północą przybyły do miasteczka dwie roty piechoty i kilkadziesiąt kozaków, że całą piechotę rozkwaterowano w domach rynek stanowiących, a kozaków w zajazdach tamże położonych, i że Moskale, zdawało się, byli bardzo zmęczeni. Dowiedziawszy się tego, reszty się domyśliłem: zmęczeni wystawili jednego tylko szyldwacha, albo w pierwszym śnie nie słyszeli wystrzału, albo rozdzieleni zabarykadowali się w domach z obawy nocnego ataku. W tej chwili wróciłem do oddziału, a obszedłszy z nim z dala miasteczko dobiłem się lasów kaszewickich pod Szczercowem na drodze.

Dowiedziawszy się o formowaniu oddziału Cieszkowskiego w Broszęcinie, chciałem się z nim widzieć osobiście, ażeby się naradzić i porozumieć co do wspólnego na przyszłość postępowania, bo brak naczelnej komendy w województwie, a z nim samoistne działanie pojedynczych dowódców bez porozumienia i bez z góry określonego programu działania może tylko spowodować nieuniknione klęski. Tymi myślami zajęty i łamany febrą przybyłem nad wieczorem do Broszęcina.

Przywitawszy się z Cieszkowskim serdecznie, powiedziałem mu, z czym do niego przybyłem, a krytycznie podnosząc słabe strony naszej organizacji wojskowej przedstawiłem mu niezbędną potrzebę wspólnego działania i wzajemnego niesienia sobie pomocy. Ten langiewiczowski pułkownik, osobiście odważny i serdeczny człowiek, nie znosił żadnego munsztuka, żył tradycją wichur dawniejszych, zaczerpniętych z niektórych powiastek, i nie mógł zrozumieć tego prawa mechaniki, że obrót masy to siła, przez którą roztrącane są pojedyncze mniejsze masy. Utrzymywał, że na lotności partyzantka się zasadza, a gdy mu w tym nie przeczył i na mojej działalności opierałem ten pewnik, utrzymując, iż po porozumieniu się co do wspólnego działania zasada lotności partyzanckiej nie straci, lecz przeciwnie — zyska, lotność jej bowiem nie będzie się nieraz zwracać niepotrzebnie ku chmurom, lecz znajdzie zawsze cel oznaczony, wtenczas mój p. pułkownik, znudzony i nieco zirytowany, zapowiedział mi stanowczo, że jego sposób działania wymaga bez ograniczenia żadnymi zobowiązaniami — swobody. Na to nie mogąc już nic odpowiedzieć przerwałem pogadankę i poprosiłem go o herbatę lub wódkę, z którą zażywszy chininę, zaczęliśmy z sobą jak prawdziwi filistrzy prawić o sprawach nie wartych nawet kopnięcia nogą.

Znużony bowiem tym przelewaniem pustego w próżne, a dowiedziawszy się w przerwie naszej rozmowy raportem podoficera, donoszącego o wykonaniu wyroku i powieszeniu dwóch chłopów w Radoszewicach, o zaalarmowaniu okolicy, zapytałem go wręcz, jakie ma siły obecnie, na co mi odpowiedział, że do trzydziestu ludzi. Oświadczyłem mu, że bardzo źle zrobił, iż w chwili formowania oddziału wykonując wyrok choćby najsprawiedliwszy zaalarmował tym samym Moskwę, a sobie, a co bardziej formującemu się oddziałowi może zgotować niezbyt przyjemną niespodziankę, od której może się uchronić natychmiastowym wyjściem z oddziałem. Gdy mi wręcz odpowiedział, iż tego nie robi, na moje zapytanie, dlaczego nie, a nawet na moje prośby i przekładania przyrzekł mi tylko wysłać natychmiast broń i amunicję w bezpieczne miejsce, co też i uczynił, a ja znużony febrą i niepotrzebną gawędą z narwańcem rzuciłem się na sofę i snem kamiennym zasnąłem.

Nad ranem około 4-ej 8 kwietnia obudziłem się wypoczęty i rzeźwiejszy. Maźniewski, którego już nie spał a może i wcale się nie zdrzemnął, siedział obok mnie na fotelu; kiedy go zapytałem, czy Cieszkowski wyszedł, gdyż mi przyrzekł, że nad rankiem to robi, odpowiedział mi, że od paru godzin chodzi nieustannie po sąsiednim pokoju. Wszedłem do niego, był ubrany jak na paradę: węgierka szamerowana spięta złocistym paskiem od pałasza, świecące, lakierowane węgierskie buty na opiętych łosiowych spodniach i wysoki bobrowy kołpak z wyższą jeszcze kitą — stanowiły kostium, ale zapomniałem o najważniejszej jego części, a raczej jego ozdobie, uwidoczniającej jego stanowisko pułkownikowskie — była to wstęga dwukolorowa przewieszona przez ramię i piersi i na biodrze spięta kokardą, przynajmniej pięć cali szeroka, za której cenę można by śmiało kupić parę dobrych karabinów.

Gdy go zapytałem, dlaczego nie wyszedł z oddziałem lub dlaczego przynajmniej teraz nie wychodzi, odpowiedział mi, że robi to w chwili, gdy będzie to uważał za słuszne. Gdy go pożegnawszy go wyszedł przed ganek, około którego zebranych było ze trzydziestu bezbronnych ludzi, usłyszałem wystrzał na forpocztach, a zwracając się do Cieszkowskiego rzekłem: „Gdybym był pod twą komendą, zostałbym z tobą, obecnie nie, gdyż i na mnie mój oddział czeka, ale jeżeli pozwolisz, wezmę z sobą tych bezbronnych ludzi i wyprowadzę ich, bo oni tutaj niepotrzebni“. Na zgodną odpowiedź „weź ich“ — podaliśmy sobie ręce i pożegnaliśmy na zawsze; w kilka minut poza tyłami domu i ogrodu dopadliśmy do bliskiego lasu, a widząc i słysząc

strzelaninę przy dworze, natychmiast rzuciłem się na tyły lewego skrzydła moskiewskiego i po największej części niesiony bądź przez Maźniewskiego jak dziecko na rękę, bądź na zrobionych noszach przez dwóch ludzi, przybyłem nad wieczorem do obozu w Bachorzynie.

Niedługo, bo nazajutrz doszły mnie smutne wieści o losach Cieszkowskiego i jego w związku będącego oddziału. On z odwagą wartą przyjaźniejszej chwili, na koniu, a zatem lepiej się prezentujący, wstrzymał z dwudziestu paru strzelcami uzbrojonymi w dubeltówki i trzema w karabiny Miniego z nożowymi bagnietami — napór kozacki, a ciężko ranny uprowadzony został przez adiutanta swego Siemińskiego do Olesia¹⁾, gdzie przez kozaków dobitym został. Co się zaś stało z torbą i zamkniętymi w niej kilku tysiącami rubli, które jeszcze pozostały z przydzielonych mu pieniędzy, wziętych przez niego na komorze w Sosnowicach, o tym nic pewnego nie wiadomo, chodziły posłuchy, jakoby znikły razem z odchodzącym od swego pułkownika adiutantem Siemińskim.

Około 10 kwietnia 1863 r., zaopatrzwszy oddział w żywność, polecając Maźniewskiemu zająć oddział wyrobieniem surowej amunicji na ładunki do karabinów moskiewskich i przysposobieniem drzewiec do kos i lanc, zdawszy mu komendę nad oddziałem, wyjechałem z obozu, aby się porozumieć z komisarzem Szachowskim w sprawie organizacji w Piotrkowskim.

Znalazłem go w Niechmirowie u państwa Olszowskich i od niego dowiedziałem się o wypadkach w Pajęcznie. Moskwa rzeczywiście po mym wystrzale zabarykadowała się w domach i w nich została aż do dobrego świtania, nie chcąc nawet wpuścić do domu czołgającego się rannego żołnierza, proszącego o odrobinę wody. Biedak ten umarł już za białego dnia po złożeniu raportu swemu „naczalstwu“, że przejeżdżało przez rynek bryczką dwóch panów, a zatrzymani przez niego nic nie mówili, tylko jeden wystrzelił do niego, wyskoczył z bryczki i uciekł w ulicę, a drugi, obdarłszy go z ładownicy i podniósłszy z ziemi karabin, także uciekł za pierwszym, a za nimi i bryczka. Ten prosty i prawdziwy raport służbowy, po którym biedak niedługo umarł, zbawił miasteczko jeżeli już nie od spalenia, to przynajmniej od rabunku i znęcania się nad spokojną ludnością. Prawda, iż jeszcze wówczas nie rządził system murawiewowski i z nim wprowadzona cała wściekliwość moskiewska, jeszcze i p. Katkow namyślał się nad określeniem roli, w jakiej niedługo wystąpił, liberalny ośwobodziciel narodu odczuwał jeszcze czasami niesmak na widok podłej

¹⁾ Nazwa zniekształcona, prawdopodobnie Leśniaki, przyp. wyd.

kanalii u nóg mu się włączającej, a wobec głupiego Zachodu i jeszcze głępszych demonstracyj udawał jeszcze liberalnego; ha, wszystko się później nieco zmieniło, ale Pajęczno ocalało od spalenia i rabunku, a Moskale wówczas nie dowiedzieli się, że był w miasteczku oddział partyzancki. Porozumiewszy się z Komisarzem co do terminu powołania ludzi na punkta zborne celem wzmocnienia oddziału i mając zapewnioną przez niego pomoc władz organizacji cywilnej, wróciłem do oddziału w parę dni później, a znalazłszy wszystko w porządku zająłem się wyrobieniem planu postępowania dla mającej nastąpić wzmacniającej formacji oddziału. Ale ta czynność należy do drugiej części mego opowiadania, ta zaś część, którą opowiedziałem, przedstawia w znacznej części odrębną charakterystykę od reszty powstania, której należałoby choć treściwie zestawienie poświęcić.

A naprzód wybuch powstania; ta chwila, najważniejsza w każdym powstaniu, od pomyślnego rezultatu której zależy zwykle i pomyślny los powstania, nie była wynikiem woli rządzącej i przygotowującej wybuch organizacji naczelnej, która na podstawie danych pewnych stanowczo wybuch zarządza, lecz nastąpiła w drodze kompromisu, w chęci utrzymania się przy tak nazwanym kierownictwie, parta przez organizację m. Warszawy, która, nie mając pojęcia o sile organizacji prowincjonalnej i o środkach do powstania przygotowanych, zmusiła ją do ogłoszenia edyktu powstańczego pod grozą zwalenia ich z zadawalniającego miłość własną przyjemnego kierownictwa. Gdyby to parcie z dołu odbyło się dwa lata pierwej, a więc nie wypalone gorączką kościelno-demonstracyjną, gdyby dzień 27 lutego 1861 r. nie był twórcą komitetu pogrzebowo-obywatelskiego, ale zawiązkiem choćby junty warszawskiej, wówczas dola poruszenia się śpiącego długie lata niewolnika mogła być inną, bo i okoliczności były inne. A jeżeli wówczas na zwariowanego Nowakowskiego znalazł się tak nazwany „chrystusowy“ Ruprecht, któren go ukołysał, dlaczegoż i na edykt powstańczy nie znalazło się słowo zaklęcia!

To sforsowanie bowiem naczelnej władzy do ogłoszenia edyktu było powodem jednym z najważniejszych popełnienia różnych głupstw i niedokładności, które się przez całe powstanie prawie zasadniczo popełniały, a które wykazywały, że z rządem słabym i nie mającym ani stałej zasady, ani jasno sformowanego programu nikt się serio rachować nie potrzebuje, masy bowiem — tak dobrze, jakby o nim nie wiedziały. To małe mieszczaństwo, dla którego ów rząd tajemniczy był rodzajem kabały, niby go słuchało, bo myślało, że on był ich reprezentantem, i słuchało go aż do czasu, bodaj za długo, do

czasu pryśnięcia czaru tej tajemniczości, bo w końcu zobaczyło przez kulisy bardzo od nich oddalone, a raczej domyśliło się, iż poza tą spuszczoną kurtyną inna ręka gospodaruje — nie ta, którą odczuwało, że idzie z nimi, związana z ich pojęciami i dążnościami. I nie myliło się: od czasu nieszczęsnej dyktatury i pozornego przystąpienia do powstania organizacji białych, już dla ludzi więcej wtajemniczonych w sprawy naczelnego zarządu nietajnym było, iż ta partia białych, nieźle zorganizowana już za czasów Towarzystwa Rolniczego, której do działania brakło zarodu siły i mogła być tylko bierną, a nawet w negacji brakło jej niezbędnej odwagi cywilnej, pod wpływem dyrektywy, przesłanej jej z Hotelu Lambert, obiekłszy się w suknię czynnego patriotyzmu weszła do akcji i zawładnęła niemal całą organizacją prowincjonalną, zadowolniając się wprowadzeniem do naczelnego zarządu ludzi swych pojęć i zasad; sama bowiem nie chciała tak blisko znajdować się Tarpejskiej skały, przyzwyczajona bowiem do obszernych i wygodnych kołnierzy u swych koszul domowych, czuła widoczny wstręt do ciasnych kołnierzyków konopnych. To nie dla niej — to dla tych, których doprowadziła do zaszczytu pod tymi to aspiracjami. Ludzie, dla których ruch czynny, zbrojny był widmem sen im kłóącym, którzy przez dwa lata negacji swej biernej stawiali zaporę tak projektom Wielopolskiego, jak i partii ruchu, ci ludzie, niby rozważni statyści, zapomniawszy nauki Pitagorasa — o loice bowiem nigdy chyba nie słyszeli — zrobili skok, którym palili mosty za sobą, i stworzyli rodzaj konfederacji.

II. KWIECIEŃ (druga połowa), MAJ, CZERWIEC

NA CZELE SIĘ ZBROJNYCH

POWIATÓW PIOTRKOWSKIEGO I WIELUŃSKIEGO

Rychłocice, Koniecpol, Przedbórz, Trzepnica, Skotniki

Pisząc o przebiegu tej części powstania w województwie kaliskim, starać się będę jak najobiektywniej ją przedstawić, pomijając ludzi, o ile ich czynności nie związały się z zaszłymi wypadkami, i przede wszystkim mając na względzie, że ścisła krytyka wypadków może posłużyć młodszemu pokoleniu, dla którego specjalnie piszę, do wzięcia tego materiału pod uwagę i ustrzeżenia ich od głupstw, przez jakie my przechodziliśmy.

W drugiej połowie kwietnia 1863 r. ruch zbrojnych oddziałów pokazywał, że przygotowawcze prace, prowadzone przez nieboszczyka

Bronisława Ruckiego, a następnie przez organizację pod kierunkiem Stanisława Szachowskiego w porozumieniu się z organizacją poznańską, wydadzą poważniejsze siły zbrojne, lepiej uzbrojone i zorganizowane, które by mogły postawić powstanie w Kaliskim na przodującym miejscu w całej Kongresówce.

A naprzód w połowie kwietnia 1863 r. wszedł z Poznańskiego oddział pod nominalnym dowództwem Taczanowskiego, a faktycznym Strzeleckiego i zajął Pyzdry, a zorganizowawszy się i wzmocniwszy bronią i ochotnikami powiatu konińskiego, po zwycięskich potyczkach pod Pyzdrami i Kołem uległ przewadze sił moskiewskiej gwardii pod generałem Krasnokuckim w bitwie pod Ignacewem dnia 8 maja 1863 r., gdzie po śmierci Strzeleckiego rozsypał się.

W kilka dni po wkroczeniu do Pyzdr oddziału Taczanowskiego, a zatem około 20 kwietnia stanęły prawie równocześnie pod bronią oddziały:

1) Powiatu kaliskiego pod dowództwem Parczewskiego, któren po trzydniowym zbieraniu się i czysto konfederackim sejmikowaniu, zaskoczony zniemacka przez trzy rotę piechoty i sotnię kozaków, ulotnił się pozostawiając na placu jedynego zabitego — mego uczciwego grabasa Gałęckiego. Gdyby nie ten biedak, mógłby być ściśle zastosowany dwuwiersz z farsy pod tytułem „Siedem córek pod bronią“: „skoro tylko wódz nasz skinął — wszyscy pierzchli, nikt nie zginął“. Za to zginęło szlachcie powiatu kaliskiego przeszło sto zaprzęgów do kolasek, bryczek i wózków, napełnionych spizarnią obywatelską i taką ilością futer paradniejszych i mniej honornych, a to stosownie do ilości włók, posiadanych przez właściciela futra. Wybrała się bowiem ta hołota obywatelska zupełnie na wzór hołoty kokoszej, tylko że za plecami jej nie stał dla ochrony wielki Jan Tarnowski, zwycięzca spod Obertyna, i nie było już nawet Kmity szermującego językiem (jak nasi dzisiejsi secesjoniści) przed dobrym królem Zygmuntem I, lecz szła do nich nieoskrobana Moskwa, nie znająca się na parlamentarystyce obywatelskim.

2) Powiatu sieradzkiego pod dowództwem Napoleona Urbanowskiego, młodego o bujnym wąsie jednorocznika pruskiego i inżyniera, któren zgromadzonych ludzi stosownie do broni w kompanie porodzielał, komendantów im powyznaczał i wszystkie kałamaszki, jako utrudniające pochód oddziałowi partyzanckiemu, do domów napędził, jednym słowem, co umiał i mógł — robił. Kiedym w cztery czy pięć dni po jego sformowaniu się przyjechał do jego oddziału otoczonego przez Moskwę w lasach szadkowskich, aby ten oddział

z matni wyprowadzić, znalazłem w nim względny porządek i spokój, a dokonany pod mym kierunkiem marsz nocny, osiem godzin z jednym, godzinnym wycoczynkiem trwający, cichy i bez maruderów, pozwalał mi przypuszczać, iż z materiału tego można będzie coś ulepić.

Gdym go z osaczającej Moskwy wyprowadził i oddalił się do mojej osobistej formacji, dowiedziałem się, iż w trzy dni potem oddział ten stanąwszy pod Konopnicą wysłał z niewiadomej przyczyny jeden pluton strzelców do spalania mostu na Warcie, a gdy go podpalono i niszczone (diabli wiedzą, po co i na co) nadeszła słaba rota piechoty moskiewskiej od strony Wielunia, a widząc przy oświetleniu kilkudziesięciu ludzi, cicho podeszła i dając do nieprzygotowanych ognia kilku zraniła i zabiła, a resztę spłoszonych rozproszyła. Oddział o wiorstę w lesie obozujący, spłoszony strzałami, a następnie krzykiem rozproszonego plutonu, wśród ciemnej nocy rozsypał się po lesie, a Urbanowskiemu udało się zaledwie nad ranem przy pomocy kilkunastu ludzi, którzy przy nim zostali, zebrać po lesie zaledwie połowę broni palnej i siecznej przez uciekinierów poporzucanej i zachować ją w lesie — i to tylko dzięki ostrożności moskiewskiej, którzy po bohaterskim zuchwalstwie dokonanym przy moście, nie chcąc narażać się na guza, pospiesznym marszem cofnęli się do komendy w Wieluniu, aby poszczycić się trofeami zwycięstwa.

Tak więc i drugi oddział poszedł na marne, gdyż i kawaleria sieradzka szybkim marszem w różne strony połączyła się z ogniskami domowymi, zachowując swe bohaterstwo do lepszych czasów, a Urbanowski syt sławy wyjechał za granicę.

3) Powiatu wieluńskiego pod dowództwem Aleksandra Lütticha, którego w kilka dni, spędzonych na wstępnej organizacji oddziału, dał się niespodzianie podejść Moskwie wieluńskiej pod dowództwem majora Pisarenko, a pobity przez nią pod Działoszynem wycofał się z pozostałą mu jeszcze połową oddziału i organizując swe siły po drodze — złączył się z mym oddziałem w początkach maja 1863 r. gdzieś w okolicach Przyrowa w sile 250 ludzi i przeszło dwa miesiące wspólnie dolę dzieliliśmy.

4) A na koniec wzmocniony oddział powiatu piotrkowskiego pod moją komendą, którego organizację prowadziłem od dwóch tygodni i z wyznaczonych przeze mnie czterech punktów zbórnych tymczasowych ściągnąłem ludzi pod komendą wysłanych na nie oficerów i podoficerów na punkt zborny główny do Lubca pod Szczercowem;

zorganizowawszy go i uzbroiwszy, co mi przyszło łatwiej, gdyż kadry były gotowe z pozostałego dawnego oddziału, — przeszedłem kolej żelazną i ponad Pilicą oddział ćwiczyłem, gdzie i Lüttich się przyłączył.

Takie więc oddziały powstały w drugiej połowie kwietnia 1863 r. w województwie kaliskim, a obliczone co do siły z przypuszczalną ścisłością, uwidoczniają jak na powstanie 1863 r. wcale poważną cyfrę, a mianowicie:

powiat	strzelców	kosynierów	kawalerii
koniński z Poznańskim	650	600	150
kaliski	300	300	100
sieradzki	150	250	80
wieluński	200	250	60
piotrkowski	300	300	52
razem	1600	1700	442 = ludzi 3742

Gdyby te siły zorganizowane zostały pod doświadczonymi oficerami i miały nad sobą odpowiedniego i energicznego komendanta, to ta mała dywizja, ulatniając się przed przeważnymi siłami i ćwicząc się w mustrach i służbie obozowej, mogłaby już po miesiącu pracy wstępnej działać z pewnym powodzeniem bądź pojedynczymi kolumnami, bądź zmasowaną siłą pod naczelną komendą; i jeżeliby nawet nie odniosła pomyślniejszego rezultatu, co jest bardzo wątpliwym, gdyż siły moskiewskie w tym województwie nie mogły rozporządzać do akcji czynnej wiele więcej nad 3000 ludzi, nie mogąc pozostawić miast powiatowych i nagromadzonych tam materiałów wojennych bez dostatecznej osłony, to w każdym razie, mogła mieć szanse lepszego zorganizowania się, wyćwiczenia i skompletowania rzeczywistej dywizji, którą każde województwo przy dobrej woli i odrobinie energii mogło wystawić z łatwością.

Losy czy chciały, czy też niebaczość i niedołęstwo nasze (co pewniejsze) tak zrzędziły, iż w chwili wystąpienia tej konfederacji na scenę życia akcja wojenna nie miała swego reprezentanta głównego, a podrzędni, jakżeśmy widzieli z poprzednio opisanych wydarzeń, nie dorosli do swych stanowisk. Może to byli ludzie zacni o najlepszych chęciach, może w toku dłuższego działania pod rozumniejszą komendą, zyskawszy coś doświadczenia, wyrobiliby się na dobrych i samoistnych oficerów, ale nieszczęście chciało, iż zostali od razu upieczeni na samoistnych naczelnych wodzów znaczniejszych oddziałów, nie przeszedłszy poprzednio w praktyce szkoły żołnierza, a tym mniej szkoły porucznika. I dlatego też z tego zawiązku dywizji pozostały

już w pierwszych dniach maja 1863 r. za ledwie zawiązki brygady: Taczanowski, na kraju zachodnio-północnym województwa w pobliżu Kujaw, i ja (po porzuczeniu się Lütticha), w południowo-wschodniej części województwa między Pilicą a Wartą organizujący oddział. Do trzydziestu mil nas rozdzielało!

6 maja 1863 r. otrzymałem od komisarza Szachowskiego pismo, którym zawiadamiał, iż przeciw Taczanowskiemu wysłaną została gwardia z Warszawy w sile dwóch batalionów piechoty, jednego szwadronu huzarów i dwóch dział, pod dowództwem generała Krasnokuckiego, z którym ma wspólnie działać generał Bremer z częścią wojsk swej dywizji, i wzywał mnie do niesienia pomocy Taczanowskiemu.

Jak wspominałem, przegradzała nas przestrzeń przynajmniej mil trzydziestu, lecz w kilka godzin, zgromadziwszy do 100 furmanek dwu i czterokónnych, wsadziłem całą piechotę na takowe, a zatrzymując z kawalerii tylko jeden pluton, resztę wolniejszymi marszami posłałem pod komendą rotmistrza Maliszewskiego przodem w kierunku na Pławno i Widzów; doszedłem po 36 godzinach marszu do Radoszewic, gdyż furmanki sprzed kolei odesłałem do domów. Kilka godzin wypocząwszy i posiliwszy oddział, na zgromadzone przez ten czas furmanki wsadziwszy znowu całą piechotę, z kawalerią na przodzie, rankiem 8 maja opuściłem Radoszewice, aby przeszedłszy na prawy brzeg Warty po moście w Rychłolicach — w kierunku na Widawę, Sędziejowice, Łask, Szadek, w okolicach Uniejowa dowiedzieć się o miejscu pobytu oddziału Taczanowskiego. Przeszedłszy z oddziałem na prawy brzeg Warty, zostałem wstrzymany w dalszym na furmankach marszu ogniem piechoty moskiewskiej, która ukryta w lesie o kilkaset kroków po prawej stronie drogi położonym obsypywała nas co prawda nieszkodliwym ogniem, ale jednakże kazała nam zsiąść z wozów i wziąć się do przeznaczonej roboty. Rozwinąwszy front równoległy do lasu, z którego ukryta Moskwa nas ostrzeliwała, i zostawiając kawalerię na prawym skrzydle tak dla możliwych ataków flankowych, jak i obserwacji mostu na Warcie, skąd można się było spodziewać nadciągnięcia Moskwy wielułńskiej, zarządzać miałem atak na ukryty front nieprzyjacielski, gdy strzały od strony mostu na Warcie i przybyły po kilku minutach ułan doniosły mi, że kolumna moskiewska z piechoty i kozaków złożona zbliża się do mostu, ciągnąc po drodze od strony Radoszewic. Dawszy rozkaz, aby kawaleria z frontem zwróconym ku rzece osłaniała ruch prawego skrzydła, zarządziłem jego jak i środka cofnięcie, a po przeprowadzeniu ich na

tyłach lewego skrzydła, frontem zwróconego do atakującego nieprzyjaciela, cofnąłem się z takowym, obsadzając kraj lasu od strony Widawy położonego. Cały ten ruch wobec atakującego z dwóch stron przeciwnika wykonany został w wzorowym porządku, jak na placu mustry, a straty nasze w całym tym półgodzinnym manewrowaniu, w towarzyszącej strzelaninie ograniczyły się na dwóch rannych strzelcach i jednym zabitym kawalerzyście (narodowości węgierskiej), którego porwany rodzajem wścieklizny na widok rannego swego porucznika Józefa Zaremby rzucił się pojedynczo na kompanię piechoty moskiewskiej i po kilku machnięciach szablą zawisł podniesiony na bagnietach moskiewskich.

Osadziwszy kraj lasu łańcuchem tyralierskim z jednej kompanii, resztę zaś oddziału uformowawszy w odległości paruset kroków w trzy kolumny atakowe, a kawalerię umieszczając po lewej stronie frontu ponad drogą, oczekiwałem zbliżającego się nieprzyjaciela, którego, po poprzednim złączeniu się kolumny wieluńskiej z sieradzką, w sile czterech kompanij piechoty i dwóch sotni kozaków po skrzydłach zbliżał się ku nam w kolumnach, pod osłoną kompanii strzelców w łańcuch tyralierski rozsypanych.

Kiedy z odległości pięciuset do sześciuset kroków kule moskiewskie zaczęły nam brzęczyć koło uszu, stojąc na linii mych tyralierów spojrzałem na tył, gdzie umieściłem me kolumny, a nie widząc ich, posłałem podówczas od dwóch dni galopena Wincentego Walewskiego, ażeby je odnalazł i na dawniej wyznaczoną pozycję wprowadził. Czekać kilka minut, dowiedziałem się od powracającego Walewskiego, że oddziału nie ma albo pod osłoną lasu rozproszył się, gdyż w głębinach leśnych, do których się zbliżał, słyszał szum i pojedyncze głosniejsze jakby nawoływania. Panika niczym nieusprawiedliwiona mogła była spowodować zniszczenie całego oddziału; trzeba było działać szybko i stanowczo, a przede wszystkim nie dopuścić spłoszonym wyjścia z lasu na otwarte pole, gdzie kupy uciekające mogły być z całą bezkarnością mordowane przez wybornych w takim wypadku kozaków. Trzeba więc było przede wszystkim uciekających dogonić, wstrzymać ich i choć w kupie utrzymać. Na szczęście miałem pod bokiem kawalerię, stojącą o paruset kroków w tyle lewego skrzydła. Dawszy więc polecenie Walewskiemu, ażeby poleciał w moim imieniu rotmistrzowi Maliszewskiemu przebiec las z szwadronem, wstrzymać uciekających z lasu i na polu, a pozbierawszy broń, prawdopodobnie w znacznej części porzuconą przez uciekających, uzbroić ich znowu i utrzymać w kupie pod nadzorem kawalerii; nadto poleciłem temuż

Walewskiemu, aby po odnalezieniu Lütticha kazał mu w moim imieniu zorganizować podług broni oddział i takowy trzymać zmasowany pod nadzorem z tyłu ustawionej kawalerii i, utrzymując ze mną łącznik za pośrednictwem plutonu kawalerii, utrzymywać się poza mną w odległości pięciuset kroków, kierując się odgłosem nieustającego ognia karabinowego. Wydawszy te rozkazy i kazawszy Walewskiemu pozostać przy oddziale dla ich dopilnowania, zapewniłem go na odjeździe, że wstrzymam Moskali, i zwróciłem się do moich tyralierów.

Była to kompania złożona w połowie ze starych moich wiarusów, zahartowanych w kilku ogniach i wzwyczajonych do komendy, w pierwszym szeregu stojących, drugi zaś szereg stanowili nowozaciężni, lecz dobrzy strzelcy, obeznani z użyciem karabina; liczba ich wynosiła 82 ludzi. Gdy przechodząc po rozstawionym łańcuchu zalecałem im stanie twarde na stanowisku i ściśle wypełnianie komendy, przypominałem im ogień pod Kuźnicą Grabowską i zapowiadałem, iż dzisiejsza rozprawa może być równie gorącą, lecz z niej obronną ręką wyjdziemy.

A strzały nie ustawały, owszem, wzmagaly się; front moskiewski zmienił się, w odległości bowiem jakich czterystu kroków od naszej linii dwie kompanie piechoty moskiewskiej osypywały nas gwałtownym ogniem rotowym, jakby przysposabiając atak, wspomagane silnym ogniem tyralierów po skrzydłach liniowej piechoty rozsypanych. Ruchy ich wolne, prawie w miejscu wykonywane, pokazywały jasno, że nie znają naszego krytycznego położenia, widziały bowiem zaledwie przed godziną oddział dosyć silny i stosunkowo niezłe uzbrojony, posyłający im w zamian ołów karabinowy, wykonujący manewra w otwartym polu spokojnie i dosyć prawidłowo, i nie wiedziały zgoła, co się z nami stało pod osłoną lasu.

Trzeba ich było w tym dobrym o nas mniemaniu jak najdłużej utrzymać. Staliśmy więc twardo, a raczej leżeliśmy na naszej pozycji jeszcze z pół godziny, zamieniając nasze rzadkie, lecz skuteczniejsze strzały z rozwiniętymi frontem rotami moskiewskimi, i dopiero na odległość paruset kroków, gdy rotę rozwiniętą sformowały się w kolumny atakowe, a linia tyralierów wysunięta poprzód skrzydła swych kolumn zagrażała obejściem naszego frontu, wówczas gwizdem świstawki nakazałem pospieszny odwrót, a po kilkuset krokach takiego marszu, znalazłszy łękę las przecinającą ze sto kroków szerokości, po przejściu jej — kraj lasu zwartej strzelcami obsadziłem.

Odpoczęliśmy dobre pół godziny i urządziliśmy się na naszym nowym stanowisku, zanim patrol piechoty na nim nas odnalazł,

a drugie pewno pół godziny upłynęło, zanim nadciągnęły kolumny moskiewskie nad łąkę, — a o mym uciekłym oddziale nie miałem żadnej wiadomości.

Tymczasem Moskwa, sformowawszy front równoległy do naszego, tylko że głębszy i zwarty, zająwszy kraj lasu przeciwny, rotowym ogniem gwałtownie nas zaczęła osypywać, a mając przynajmniej sześciokrotną przewagę żołnierza pod względem ilości, na tej samej przestrzeni zgromadzonego, dawała nam poznać przedsmak gwałtowności ognia z dzisiejszej broni odtylcowej.

Jakkolwiek ukryci poza drzewami i tylko do strzału wychylający się i mimo że połowa prawie ludzi strzelała leżąc na ziemi, aby uniknąć pocisków w pas człowieka kierowanych, ogień ten był tak morderczym, iż nie upłynęło pół godziny, kiedy z liczby 82 ludzi stanowiących całą naszą siłę zginęło lub ciężko rannymi zostało 10 ludzi. Chodząc po linii tyralierskiej miałem ten pech widocznie, że m sprowadzał nieszczęście dla żołnierzy, przy których się zatrzymywałem: czy zauważono spacerującego człowieka i domyślano się w nim oficera, czy też jadący konno krok w krok za mną adiutant Tadeusz Bocheński, dzielny młodzieniec, zwracał ku sobie lufy karabinów — nie wiem, bo czasu nie było na podobne obserwacje, ale faktem było, iż żołnierze padali, a ja z tego ognia wyszedłem obluźnany krwią i mózgiem padających na mnie żołnierzy.

Po jakimś półgodzinnym ogniu Moskwa pod osłoną skrzydłowego ognia rotowego wykonała dośrodkowy atak dwoma kolumnami kompanijnymi, a przygotowani moi strzelcy na ten wypadek — takim gwałtownym i celnym ogniem powitali wypadające z lasu kolumny, iż te, pozostawiwszy kilkunastu zabitych na łączce, zawróciły pędem do lasu.

Po kilku minutach rozpoczął się drugi akt działania na łączce, dobrze zbielełej wyrzuconymi gilzami, — w początku gwałtownym ogniem rotowym, w końcu atakiem kolumnami, zakończony, jak i poprzedni, ucieczką Moskali do lasu. W kilka minut potem, kiedy uparci Moskale zastąpili swój zdemoralizowany środek skrzydłowymi kompaniami i rozpoczęły nas znowu rotowym ogniem osypywać, przybył do mnie ówczesny galopen, a po bitwie zamianowany porucznikiem i adiutantem Wincenty Walewski i doniósł mi, iż oddział częściowo, bo w sile zaledwie 400 ludzi został zgromadzony i uszykowany o parę wiorst drogi poza mymi plecami, a znajdujący się przy nim Lüttich czeka na dalsze rozkazy.

Gdym mu polecił, żeby zebrany oddział natychmiast mi przypro-
wadził urządzając z kosynierów dwie kolumny zwarte półplutonowe,
które postawić należy w odległości dwustu kroków poza skrzydłami
mego frontu, a strzelców w kolumnie także półplutonowej zmasowa-
nych ustawić o trzysta kroków poza środkiem mego frontu, — ob-
szedłem mych strzelców zalecając baczność, gdyż po odparciu spodzie-
wanego trzeciego ataku uderzymy z kosynierami na uciekających
Moskali. Chciałem bowiem nie tylko utrzymać stanowisko, lecz głów-
nie zebrać broń po zabitych Moskalach, jak i porzuconą przez mych
uciekających, czego nie mogłem wykonać bez zajęcia pozycji mo-
skiewskiej.

Kiedy po upływie dobrej pół godziny oddziały moje zajęły wy-
znaczone im stanowiska, trzeci atak nastąpił, a po jego odparciu na-
stąpił z mej strony atak z kosynierami za uciekającymi Moskałami,
wspomagany po skrzydłach osłaniającymi ich tyralierami.

Uciekający Moskale, dopadwszy lasu, odwrócili się frontem do ko-
synierów, a powitawszy ich w połowie łąki ogniem i zwaliwszy z nóg
kilkunastu, za uciekającymi na ślepo rzucili się w pogoń. Wstrzy-
mani przez chwilę ogniem mych tyralierów i wystawieni na ogień
kolumny mych strzelców, zaprzestali pościgu i dozwolili nam spokoj-
nie się wycofać.

Straty nasze z tego dnia były bardzo znaczne: mniejsza, iż straciłem
kilkunastu kosynierów z tego uciekinierstwa, wszak uciekinierstwo
całego oddziału pozbawiło go do trzystu ludzi z bronią, ale w paro-
godzinnej rozprawie nad łąką straciłem 28 ludzi, rdzennych żoł-
nierzy polskich, umiejących stać twardo na stanowisku i spełniają-
cych dokładnie swój obowiązek. Tych 28 walecznych warci byli
przynajmniej 200 kosynierów, uciekających na ślepo z taką gwał-
townością, iż spotkawszy na swej drodze drzewo ustawione w sągi
nie wyminęli ich, lecz zwartą kolumną w nie uderzywszy przewrócili
takowe: ile tam łbów pękło — mniejsza, nikt ich prawdopodobnie
nie rachował, ale gdyby choć z połową tej furii uderzyli w drżącego
Moskała, coby im się oparło?

Cofnąwszy się o jakie pół mili drogi i zrobiwszy obrachunek przekona-
łem się, iż z połączonych oddziałów, wynoszących przed rozpoczęciem
bitwy przeszło 900 ludzi, pozostało zaledwie 500 ludzi, a mianowicie
246 strzelców, 184 kosynierów i 86 kawalerzystów, a w dodatku strzelcy
ogółoceni prawie z amunicji, gdyż moja bijąca się kompania prawie
wszystkie wystrzelała, a uciekające kompanie ładunki powyrzucały.
W takim stanie oddział zaprowadziłem do lasów pod Szczercowem

położonych, a w kilka dni potem, których użyłem na zreorganizowanie oddziału, jego mustry i przysposobienie gotowych ładunków, dowiedziałem się o losach oddziału Taczanowskiego. Tego samego dnia i prawie w tych samych godzinach, kiedy zaskoczony zniecka miałem niefortunną rozprawę pod Rychłoticami, oddział Taczanowskiego, któremu szedłem na pomoc, w odległości przynajmniej mil piętnastu do osiemnastu bił się pod Ignacowem z gwardią moskiewską pod dowództwem generała Krasnokuckiego, a pomyślnie odparłszy dwa ataki frontowe, uległ atakowi flankowemu, w którym prawdziwy dowódca major Strzelecki, prowadzący kosynierów do ataku, walecznie zginął, a z nim zginęła dusza oddziału i takowy się bez śladu rozsypał.

Wiadomość ta nieszczęśliwa zakończyła smutne dzieje konfederacji szlacheckiej, która przez parę tygodni napelniając szumem województwo — rozeszła się i ścichła, wstydząc się niemal swego niebacznego wybryku, przy pomocy którego zdobyła tylko powtórnie sławę już nieco zapomnianą „uciekinierów spod Goleździna“, która tradycyjnie zesła z ojca na syna, a mnie z pozostałym, choć kiepskim, oddziałem pokazała, iż dola ciężka czeka mnie w niedalekiej przyszłości, gdyż znów zostałem sam na całe województwo.

Zebrawszy przeto oddział wypoczęty i cokolwiek podćwiczony, przeszedłszy kolej Warszawsko-Wiedeńską, w miejscowościach przeważnie leśnych, po obu brzegach, a głównie na prawym brzegu Pilicy położonych, zajmowałem stanowiska mustrując i ćwicząc żołnierzy tak pieszych, jak i konnych — i wzmacniając liczebnie jego siły.

Głusza panująca w kaliskim była odpowiednio przystosowaną do głuszy w województwach krakowskim i sandomierskim, przerywanej chwilowo marszami Czachowskiego, przenoszącego się z lasów świętokrzyskich w iłżeckie lub opoczyńskie, i skromnie cichymi ruchami Bończy, któren z trzema szwadronikami kawalerii, jakby się wstydząc, że takiej przeważnie niesfornej i tchórzliwej hołocie przewodzi, marszami swymi zaznaczał pobyt swój w północnej części województwa krakowskiego.

Dowiedziawszy się, iż stoi ze swą kawalerią w jakiejś wiosce pod Szczekocinami o trzy mile drogi od mego stanowiska, chciałem się z nim poznać osobiście i porozumieć co do możliwości w danym wypadku wspólnego działania, a przede wszystkim chciałem zrobić facjendę, to jest wymienić moje 72 dubeltówki na karabiny z bagnietami, w które uzbrojony był jeden z jego szwadronów.

Wziąwszy więc z sobą pół szwadronu kawalerii i na wypadek udania się facjendy przewiesiwszy im przez plecy owe dubeltówki

z częścią odpowiedniej amunicji, wieczorem 18 czy 19 maja wyjechałem z obozu i około północy wjechałem w środek jego oddziału, tratując częściowo ludzi śpiących około niewielkiego dworu.

Na krzyk z tego powodu powstały wyszedł Bończa ubrany i uzbrojony, a poznawszy jego przyczynę zaprosił mnie do swej kwatery.

Gdym się w niej znalazł i w oświetleniu spojrzałem na niego, zrobił na mnie przyjemne wrażenie: był to mężczyzna wieku około lat 35-ciu, dobrego wzrostu i kształtnej budowy, o rysach przyjemnych i wzroku więcej melancholijnym niż na żołnierza przystało, w jego doborowych i bez przesady wyrażeniach znać było człowieka dobrego towarzystwa, obznajmionego ze światem, a jego chłodny uśmiech, nieco ironiczny, pokazywał ukryty ból i niewiarę w sprawę, której się oddał jako żołnierz.

Gdym mu przedstawił moje zdziwienie, że nie znalazłem żadnej straży przy wjeździe do obozu, uśmiechnął się po swojemu, ale zapewnił mnie zaraz, że dlatego ich nie było, iż wiedząc o pobycie mego oddziału w tej stronie uważał za zbyt uczynne postawienie ich z tej strony. Zmieniłem i ja tok rozmowy i później się dopiero dowiedziałem, iż w tym oddziale nie było żadnej karności, że oficerowie zarządzający strażami nie byli wcale słuchani i wart żadnych prawie nie było; była to kupa niesfornych i pierzchliwych ludzi, dobrze, choć trochę po arlekińsku, ubrana, dostаточно uzbrojona i siedząca na niezłych i niezle umontowanych koniach, ale była to tylko kupa tak nazwanych ludzi — żołnierzy tam nie było.

Na moje poglądy co do wspólnego wspierania się w danych wypadkach — znowu się nieznacznie uśmiechnął, a przyznając im słuszność oświadczył mi, że jego lotny oddział, w ciągłych poruszeniach będący, zasadniczo nie może się krępować stale przedsiębranymi poruszeniami, ale w razie sąsiedniego stanowiska w chwili rozprawy mogą rachować na jego współdział.

Gdym mu wreszcie powiedział o zamiarze zamiany z nim broni palnej, po chwili namysłu zgodził się na nią, a po wypoczynku koni i ludzi, na świtanium opuściłem obozowisko Bończy, uwożąc na plecach kawalerzystów zamiast pozostawionych dubeltówek — 72 karabiny z bagnietami.

Przybywszy około siódmej rano do swego obozu, rozdałem przywiezione karabiny strzelcom dawniej w dubeltówki uzbrojonym, a poleciwszy oficerom kompanii oczyszczenie ich dokładne wewnątrz i zewnątrz, gdyż były zupełnie zaśniedziałe, i przysposobienie na każdego karabin po 60 ładunków, poszedłem do swej kwatery, aby wypocząć

i rozmyślać nad osobistością Bończy — sympatyczną, a taką zamysloną i zgorzkniałą, jakby już życie i sprawy ludzkie stały mu się obojętymi. Wszak i ja już nie przez jedno przeszedłem, wszakże przeszedłem już próbę rozczarowań, miałem w sobie za to zaciętość uporu Mazura, a nie mając wiary w pomyślny rozwój powstania, miałem poczucie spełnienia swego obowiązku, jakie kaźden dziedziczny rodząc się na tej nieszczęśliwej, niewolniczej ziemi. Prawie brzydziłem się jej mieszkańcami, uciekinierstwo jej obrońców obudzało we mnie wzgardę, bowiem przez cały ciąg powstania i kilkunastu ogni — nie miałem nigdy sposobności, aby w ręcznym starciu dobrze się wybić, za co oburzała się moja natura żołnierska; ale nie lubując się w jej mieszkaniach — kochałem fanatycznie tę matkę, Polską Ziemię i chciałem, żeby jej łono nie było deptane i plugawione stopą ciemieźców, i żeby prochy może nie bardzo rozumnych, ale walecznych naddziadów nie drżały oburzeniem pod zbrojną stopą najeźdźców.

Dlatego, uważając wszystko na ziemi polskiej zrodzone, to jest ludzi, konie, bydło i produkty rolnicze, jako materiał wojenny, wszystko szanowałem i ceniłem, stosownie do potrzeby chciałem go używać na korzyść podniesionej sprawy, a że nieraz drastyczniej go zgromadzałem, to nie wina uprzedzenia jakiego do kogoś lub czegoś, lecz wina doli i okoliczności jej towarzyszących, że robiłem to bez głasowanych rękawiczek, których, Bogiem prawdą, nie miałem.

Zajmowałem się na każdym dłuższym wypoczynku ćwiczeniem żołnierzy w obrotach i ślepym nabijaniu i strzelaniu, gdyż i amunicji nie miałem na prawdziwą mustrę z ogniem, ani nie chciałem zdradzać strzelaniem mych stanowisk, a musiałem nauczyć młodego i świeżego żołnierza pierwszej elementarnej potrzeby, to jest nabijania i strzelania, gdyż zdarzyło się kilkanaście wypadków podczas bitwy pod Rychłolicami, że żołnierze, wkładając naraz po kilka ładunków do lufy, zwracali się do swych oficerów z wymówką, że nie mogą strzelać, bo ich „kurczyba“ nie pełna, albo nabiwszy ją, a nie mając pojęcia o użyciu cyngla, tłukli pięścią w półkurcze i biadali, że „kurczyba nie chce strzylać“, przy czym nastąpiło kilka eksplozji, rozrywających przeładowane albo niedobite karabiny, raniąc strzelających z nich ludzi. Doszedłem po jakich dziesięciu dniach ćwiczeń, że moi strzelcy umieli odwodzić kurki i spuszczać je przy użyciu cyngla — bądź spokojnie na osadzony przez nich kapiszon przy nabijaniu, bądź na komendę „pal“ przy strzelaniu, i że wyćwiczeni w ślepym nabijaniu i celowaniu, będą mogli podczas bitwy i przy bacznym dozorze podziękować za naukę, strzelając czymś więcej, a nie z samych kapiszonów.

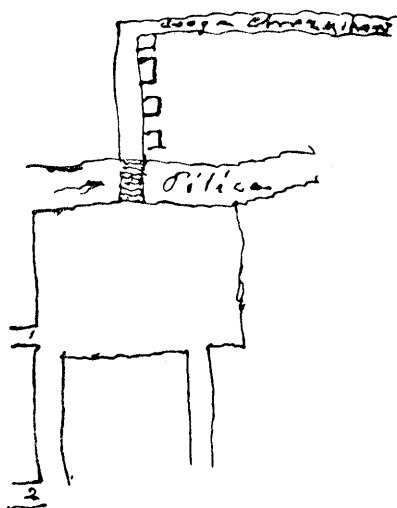
W tych ćwiczeniach i marszach dowiedziałem się 23 maja 1863 r. o poruszeniach moskiewskiej komendy miechowskiej, która w sile trzech kompanij piechoty, jednego szwadronu dragonów i pół sotni kozaków szła w prostym kierunku na Bończę. Zawiadomiwszy Bończę kurierem o tym ruchu, zaproponowałem mu wspólną akcję, a proponując mu za miejsce miasteczko Koniecpol poddałem myśl, aby robiąc marsz wolny po lewym brzegu Pilicy w stronę Koniecpola zniknął z kawalerią w lasach chrząstowskich i dopiero po usłyszeniu mych strzałów pod Koniecpolem wyszedł i uderzył na tyły lub prawe skrzydło moskiewskie. Nie czekając na odpowiedź, którą kazałem sobie przywieźć do Koniecpola, marszem pośpiesznym tegoż dnia nad wieczorem do niego przybyłem.

Dzień 24 maja 1863 r., po otrzymaniu od Bończy zgodnej odpowiedzi na proponowaną mu wspólną akcję, przepędziłem na obejrzeniu terenu tak miasta, jak i przez most na Pilicy sąsiedniego Chrząstowa, a wyznaczwszy oficerom ich role i stanowiska podczas bitwy, tak w razie wspólnej akcji z Bończę w kierunku zaczepnym, jak i w danym wypadku w razie jego nieobecności w kierunku odpornym, zająłem się częścią polityczno-administracyjną naszego powstania. Przeczytawszy zgromadzonym na rynku mieszkańcom edykt powstania i przemówiwszy do nich z pustej beczki jak z trybuny, wywołałem w nich niekłamaną zapał dla sprawy powstania, czego najlepszym dowodem była w parę godzin złożona przez Polaków wyznania moją żeszowego dobrowolna ofiara na cele powstania w sumie dwóch tysięcy kilkuset złotych polskich, a ze strony mieszczaństwa wiary Chrystusowej obfite zaprowiantowanie nas w żywność — przy radosnych okrzykach rozdzierających uszy.

Okrzyków tych prawdopodobnie nie słyszał tylko hr. Potocki, dziedzie Chrząstowa, o kilkaset kroków przebywający w swym pałacu, gdyż nie okazał niczym swego zainteresowania. Prawda, iż jako wiceprezes nie funkcjonującej Rady Stanu i teść potężnego przed powstaniem margrabiego Wielopolskiego, a już wówczas prostej odrzuconej kukły z garści moskiewskiej, nie miał powodu zajmować się baraszkującą hołotą.

Nad ranem dnia następnego, to jest 25 maja 1863 r., kurier od Okołowic przybyły doniósł mi, że wczoraj wieczorem przybył tam Bończa ze swą kawalerią, a po kilku godzinach odpoczynku wyszedł, gdzie nie wiadomo, kazał mi tylko powiedzieć, że Moskali ciągnie za sobą, co musi być prawdą, gdyż wyjeżdżając słyszał za sobą szum wchodzących Moskali, uparcie przez psy wiejskie oczekiwanych.

Sygnałem mej świstawki postawiłem oddział na nogi, a rozstawiwszy go na wyznaczonych stanowiskach, oczekiwałem zbliżającego się nieprzyjaciela. Prawe me skrzydło oparte było o takiż¹⁾ przyczółek mostu na Pilicy (zatem na zewnątrz miasta postawione) w sile: jednej kompanii strzelców przed mostem i po bokach, plutonu strzelców rozstawionego w Chrząstowie w domach między główną drogą a Pilicą położonych, kompanii kosynierów w rezerwie w tyle o 150 kroków postawionej i szwadronu kawalerii postawionego na tyle boku prawego skrzydła dla obserwacji i wstrzymywania przechodu Moskwy w bród Pilicy. Środek w sile jednej kompanii strzelców i jednej kompanii kosynierów postawiony był w środku pierwszej przecznicy w charakterze rezerwy pomocniczej tak dla prawego, jak i lewego



skrzydła, w danym wypadku z plutonem strzelców, które, obsadziwszy domy od strony rzeki, miał polecone obserwować i wstrzymać w danym razie przepływającą się Moskwę przez Pilicę. I lewe skrzydło pod komendą Lütticha, a umieszczone na wylocie pierwszej przecznicy, na obmurowanym cmentarzu kościoła, z frontem do Pilicy, w sile kompanii strzelców, kompanii kosynierów i plutonu kawalerii, mającej obowiązek patrolowania na południowej ścianie miasteczka; Lüttich z swą kolumną miał w razie dzia-

łania Bończy zbliżyć się w stronę mostu i w charakterze rezerwy bojowej być do rozporządzenia.

Okolo 8-ej rano 25 maja 1863 r. kolumna moskiewska od strony Okołowic nadciągnęła ku Chrząstowiu, poprzedzana jak zwykle przez kozaków, mając o paręset kroków w tyle za sobą szwadron dragonów, które, po spędzeniu ze wsi kozaków strzałami mego plutonu umieszczonego w Chrząstowie, obszedł ruchem w lewo w tył poza wieś i sformował front ku Pilicy jakby z zamiarem jej przejścia. Kompania mego prawego skrzydła rozpoczęła ostrzeliwanie dragonów, na prawo mego skrzydła o 500 do 600 kroków odległości ustawionych, a po

1) Bieg rzeki na rysunku oznaczony mylnie, przyp. wyd.

kilkunastu minutach wzajemnej strzelaniny, rażeni ogniem mych strzelców zmienili front ku lewemu i stanęli, zbliżając się tym manewrem ku nam, frontem niemal ku mostu zwróconym. Rażeni ogniem krzyżowym mych strzelców z chat na dojeździe do mostu w Chrzastowie i poza prawym przyczółkiem umieszczonych, po kilkunastu minutach strzelaniny zmieszani, zostawiając na placu kilku zabitych, pospiesznie wycofali się z ognia i w odległości przynajmniej 1000 kroków front zrobiwszy ku Pilicy — na stanowisku stanęli. Tymczasem piechota moskiewska po zajęciu części Chrzastowa, rozłożonej równolegle ku Pilicy, zaczęła osypywać ogniem me prawe skrzydło i strzelanina dosyć gwałtowna i długa, jakkolwiek mało skuteczna, zawiązała się między stronami.

Stojąc na moście z lunetą przy oku, przyglądałem się głównie ruchom na tyłach lewego skrzydła moskiewskiego wykonywanym, gdyż każdej chwili spodziewałem się zapowiedzianego ataku ze strony Bończy, od którego zależnym był ruch mój zaczepny, a zajęty tym i nie mogąc dostrzec ruchu kolumny moskiewskiej, osłoniętej chatami i falowatością zarośniętego terenu, nie mogłem zauważyć, iż Moskwa podtrzymywaną walką z mym prawym skrzydłem zasłania swój ruch obchodowy i wyprawivszy półtorej kompanii piechoty z kozakami w górę rzeki, brodem wskazanym przeprawia je przez Pilicę powyżej mego lewego skrzydła na cmentarzu stojącego.

Nie przygotowany na ten ruch szarmycłowy, rozrywający na dwójkę siły moskiewskie zamiast je trzymać zmasowane (co by mogło spowodować katastrofę dla Moskali), a straciwszy nadzieję jakiego bądź ruchu ze strony Bończy, którego mimo przeszło dwugodzinnego gwałtownego ognia dotąd się nie pokazał, gdy nadto dragoni moskiewscy ruchem swym zaczepnym znowu się do nas zbliżyli, posłałem rozkaz Maliszewskiemu, aby miał przygotowany szwadron do przejścia Pilicy i uderzenia na dragonów, jak tylko spędzeni zostaną ogniem mej piechoty, co i wykonał w ciągu kwadransa z powodzeniem, uderzając na cofających się spod ognia dragonów i zmuszając ich do spiesznej ucieczki.

Kiedy zamierzałem przejść do ruchu zaczepnego i wydać rozkazy zmasowania się oddziału ku prawemu skrzydłu, nadbiegł pieszo adiutant Walewski, któremu konia zabito, i doniósł mi, że wysłany z rozkazem do Lütticha podjeżdżał pod cmentarz kościoła, w którym osadzone było lewe skrzydło, i zamiast jego spotkał się z kulami moskiewskimi, które mu konia zabiły; zmordowany pospiesznym biegiem ledwie mi o tym wypadku zdołał donieść, gdy krzyki i tupot

biegnącego oddziału, z pierwszej przecznicy wychodzące, kazały mi się spodziewać jakiejś świeżej niespodzianki.

Kazawszy ściągnąć z Chrzastowa pluton strzelców i osadzić prawy przyczółek mostu, pobiegłem w stronę krzyków i strzałów z tej przecznicy wychodzących, a wpadając w nią ujrzałem moją kompanię strzelców jako rezerwę zostawioną — w panice uciekającą, a za nią zwartą kolumnę piechoty moskiewskiej, od cmentarza spokojnie następującą i strzelającą.

Zagroziwszy uciekającym drogę, zdołałem ich po pewnych ręcznych przekonywaniach nawrócić i podprowadzić do wylotu ulicy ku rynkowi prowadzącej, skąd ani perswazją ani płazowaniem nie zdołałem ich nie tylko naprzód poprowadzić, ale nawet odwrócić twarzami do nieprzyjaciela. Skupieni w jedną gromadę, całą szerokość ulicy wypełniającą, jak stado zléknionych owiec, głowy od Moskali odwróciwszy, stali pod grozą mych płazów obezwładnieni i strachem ogłupiali, nie śmiejąc ani razu odwrócić się, aby posłać choć kulę w stronę zbliżających się Moskali, którzy powolnie ale zbliżyli się i z odległości 60 do 80 kroków do tej półmartwej masy jak do tarczy strzelali.

Widząc iż trupy padają, a kupa spłoszonych nie da się użyć do niczego, zawołałem: „Uciekajcie, łajdaki, bo was wszystkich jak psów wystrzelają“, co zrozumiano i z pośpiechem wykonano, a ja z nimi na końcu. Wypadłszy na placyk przedmostowy, na którym przy węgle przecznicy stała kompania kosynierów, do niej podskoczyłem, a kazawszy jej wziąć broń do ataku, kazałem im biegiem naprzód i krzykiem wpaść na wychylającą się w tej chwili o kilka kroków kolumnę moskiewską.

Manewr udał się chwilowo. Kolumna moskiewska z oficerami na czele, widząc kosy z nienacka tuż przed sobą, nie dawszy ani jednego strzału na miejscu zawróciła i gdyby kosynierzy mieli byli więcej sprężyste golenie w pogoni niż Moskale w ucieczce, cała przecznica aż po kościół mogła się być pokryć trupami moskiewskimi. Na nasze nieszczęście golenie moskiewskie były lepsze, pierwotny przedział między kolumnami sześć do ośmiu kroków wynoszący zamienił się po paru minutach ospałego i pod lufą mego pistoletu prowadzonego pościgu na kroków dwadzieścia do trzydziestu, a jeszcze po paru minutach dalszego pościgu na kroków pięćdziesiąt do sześćdziesiąt tak, iż uciekający Moskale, nim dobiegli do cmentarza, a nie słysząc za sobą tupotu tuż tuż ścigających, odwrócili się i dali salwę do kosynierów, rezultatem której były cztery trupy nasze i stanowcze ochłodzenie zapału dalszego ścigania. Cofnąwszy ich w tył o kilkadziesiąt

kroków, umieściłem poza narożnikiem domu w ulicy prowadzącej od pierwszej przecznicy do rynku; ściągnawszy Maźniewskiego z jego kompanią strzelców, powierzyłem mu to stanowisko do obrony, a sam powróciłem do mostu.

Przy moście zaczęła się sprawa gorętsza. Piechota moskiewska z Chrzastowa w sile półtorej kompanii, słysząc strzały od strony cmentarza, w kolumnie zmasowanej darła się do mostu pod ogniem mojej III-ej kompanii strzelców, a jakkolwiek ten atak nie pokazywał wiele krewkości, zawsze zapowiadał starcie ręczne, które wobec okazanego bohaterstwa II-ej kompanii strzelców nie dawało mi gwarancji pomyslnego rezultatu; dlatego też postanowiłem się z miasta wycofać i kazałem adiutantowi Otockiemu zawieźć Maźniewskiemu rozkaz cofnięcia się z wszystkimi siłami przez drugą przecnicę z miasta.

Rozkaz zawiózł, lecz nie oddał go Maźniewskiemu — przed chwilą zabitemu trzema naraz kulami, gdy wstrzymywał postępy kolumny moskiewskiej od cmentarza posuwającej się, i sam nie przybył z raportem, widziałem go bowiem o kilkadziesiąt kroków pędzącego ku mnie i zwalającego się z konia po salwie moskiewskiej z ręką jak wylot kontusza na plecy zarzuconą; lecz rozkaz zawieszony został wykonany i porucznicy wyprowadzili swoje komendy poza miasto.

Gdy się to stało, kazałem cofnąć się kosynierom i złączyć z kolumną przed chwilą wyszłą i na kraju miasta stojącą, a w końcu i ja wycofałem się z miasta z strzelcami mostu broniącymi, osłaniając łańcuchem tyralierskim kolumnę cofającą się w kierunku na Kluczyce i Szczekociny.

W bitwie tej, poza stratami w ludziach i porzuconej broni po zabitych i uciekających, straciłem ufność w bojową odwagę mych żołnierzy. Straty w ludziach sownie wypełnione zostały nadciągającymi licznie ochotnikami, szczególnie ze stanu włościańskiego. Otrzymane kilkadziesiąt karabinów od organizacji powiatu piotrkowskiego wyrównały dawne uzbrojenie w broń palną, lecz ufność raz zachwiana w odwagę mych żołnierzy nie chciała jakoś powrócić i chciałem, a raczej zmuszony byłem — tylko przez ćwiczenia i karność wyrobić zwykłych żołnierzy, rozstając się z dawnym mym postępowaniem, jak z towarzyszami jednej sprawy.

Nadto zgorzkniał byłem zawodem przez Bończę uczynionym, o którego skórę narażałem los mego niewyrobionego oddziału, a któren, nawiasem powiedziawszy, w kilka dni po rozprawie koniecpolskiej zginął walecznie, lecz marnie — sam jeden uderzając na jedną kompanię piechoty moskiewskiej, a przez swoich uciekinierów odbieżony.

Widziałem, iż na wspólne działanie i pomoc rachować nie należy, że trzeba się tylko z samym sobą liczyć, gdyż mania samoistnego dowództwa i choćby chwilowa gawęda o kimś jako dowódcy tak pokiełbała pojęcia służbowe i o obowiązku, że zdarzały się nieraz wypadki, iż choć przyniesiona w czas pomoc od sąsiedniego oddziału dawała prawdopodobieństwo zwycięstwa, a przeciwne postąpienie sprowadzało poszczególne klęski, — kultywowano jednak ten ohydny zwyczaj sobkowski dla możności figurowania choćby dni kilka w charakterze dowódcy.

Straty oddziału pod Koniecpolem były znaczne, prawie dziesiąty żołnierz wyszedł z szeregu — 18 zabitych i do 30 rannych, z których 17 podpadających pod cięższą operację pozostawiłem w szpitalu w Koniecpolu pod opieką swych doktorów Nielubowicza i Orłowskiego. Pierwszy zginął, wmieszawszy się niepotrzebnie do bitwy, drugi — ranny w szpitalu przez weszłych tam Moskali, po kilkumiesięcznym uwięzieniu uwolniony umarł w Przemyślu. Lżej tylko rannych uprowadzając z sobą przybyłem po paromilowym marszu do jakiejś wioski pod Szczekocinami leżącej, a będącej własnością niejakiego p. Brzozowskiego czy Bzowskiego, dokąd tegoż jeszcze wieczora i zbliżającą się nocą nadciągnęły pojedyncze oddziały z boju wymykające się, jak i kawaleria z rotmistrzem Maliszewskim, ciesząca się pobiciem dragonów.

Rankiem dnia następnego, to jest 26 maja 1863 roku, zrobiwszy przed wymarszem od niegościnnego i nieludzkiego gospodarza domu (co prawda bardzo surowo ukaranego) apel oddziału, przekonałem się z pewnym zdziwieniem, iż poza zabitymi i rannymi, którzy opuścili szeregi, kilku zaledwie maruderów do apelu nie stanęło. Przypuszczałem z wytwarzającym się już wówczas pesymizmem, że to trzymanie się dośrodkowej kupy było wynikiem nieznanomości okolicy i samozachowawczych następstw stąd wypływających; może się myliłem, może ono wpływało z wytwarzającego się już wówczas życia żołnierskiego, bądź co bądź nie powtórzyło się uciekinierstwo połowy oddziału spod Rychłocic.

Nim się rozstanę z bitwą pod Koniecpolem, dodać jeszcze muszę, iż kompania I i III strzelców oraz szwadron kawalerii spełniły przy należnie swój obowiązek, kosynierzy zaś, po chwilowym udanym ataku cofnięci poza osłaniające ich mury domów, więcej już w bitwie nie byli używani. Zresztą ta broń w wojnie partyzanckiej, gdzie nie chodzi stronom o utrzymanie stanowisk bojowych i sławy zwycięzcy, lecz o wzajemne zadanie sobie jak największej klęski, ta broń, jeszcze

za czasów Kościuszki straszna (jeżeli była, jak pod Racławicami, dobrze użytą), w naszych spotkaniach nie planowych, lecz dorywczych, przedstawiając dużo kłopotów z powodu wyżywienia i ciężkości ruchów, dodatnimi swymi stronami nie równoważyła ujemnych. Tę broń i ja kultywowałem, jako niezbędną konieczność przejścia w niej szkoły rekruta, a każąc ich uczyć mustry strzeleckiej i obznajmiać z użyciem broni palnej, miałem nadzieję zamienienia ich w bataliony strzeleckie — w razie zdobycia broni palnej na Moskalach, lub w razie nadejścia ciągle spodziewanej, a przez nikogo nie wysłanej broni.

Po wyjściu oddziału wraz z niegościnnym i nieludzkim gospodarzem, odmawiającym z całą arogancją niecywilizowanego szlachcica starej bielizny na szarpie i bandażę dla opatrzenia rannych i żywności dla zdrowych, a którego po doraźnym ukaraniu kazałem pomieścić w jednej z kompanij kosynierów na pięć dni służby, aby się przekonał o rozkoszach życia powstańczego, udałem się marszem w stronę Przyrowa, a następnie Pławna. Przeszedłszy nocą kolej żelazną Warszawsko-Wiedeńską w okolicy Kłomnic, przybyłem rankiem 28 maja 1863 r. do Kruszyny, w której na odpoczynek stanąłem.

Około godziny trzeciej po południu, gdy wykładałem synowi jednego z figurujących na pomniku, postawionym przez Mikołaja I za lojalizm 29 listopada 1830 r., niejakiemu Blumerowi zasady patriotyzmu polskiego i sposób zmazania hańby ciężającej dziedzicznie na jego nazwisku, a on przede mną na kolanach, obłany łzami przedstawiał mi swoją podłość i tchórzliwość i błagał, żeby go nie zmuszać do powstania, — oburzony tą podłością plunałem na niego, a wyszedłszy z pokoju, wymarsz nakazałem. W kwadrans później, gdy ściągano łańcuch czat kawaleryjskich, kilka strzałów padniętych od strony Częstochowy oznajmiło mi o zbliżeniu się Moskali.

Nie zatrzymałem się w rozpoczętym marszu w kierunku Szczercowa, a tylko zasłoniwszy tyły mej kolumny łańcuchem zgęszczonym tyralierów z pierwszej kompanii, osłoniętych z prawej flanki kawalerią w kolumnie pochodowej postępującą, marsz swój dalej wykonywałem. Nie chciałem bowiem przyjmować spotkania: raz z powodu prawie zupełnego braku amunicji, dla otrzymania której szedłem w wyznaczonym kierunku, po drugie, iż Kruszyna, leżąc niedaleko linii kolei żelaznej, dawała możność Moskalom ściągnięcia w krótkim czasie poważniejszych sił z Piotrkowa, Radomska i Częstochowy, a głównie dlatego, iż zrażony potyczką pod Koniecpolem nie miałem wielkiej wiary w bohaterstwo mych żołnierzy; i dlatego dalej swój marsz spokojnie wykonywałem. Moskale, doprowadziwszy nas do

pierwszego lasu po drodze spotkanego, nawrócili i podążyli do swych kwater, szcycąc się zwycięstwem, prawda, iż przez żadne pisma nie zaprzeczonym, ale nie mogąc się jednakże żadną zdobyczą pochwalić; my zaś zadowoleni, że się skończyło na pustej godzinnej strzelaninie, dobiliśmy i odpoczywaliśmy w lasach szercowskich.

Po osobistym porozumieniu się z Edmundem Taczanowskim, ówczesnym Naczelnikiem sił zbrojnych województwa kaliskiego, uspokojonym co prawda po parotygodniowej burzliwej werwie konfederacji szlacheckiej, wziąłem w zarząd wojskowy oprócz powiatu piotrkowskiego i powiat wieluński; organizowałem i ćwiczyłem oddział wzmocniony siedemdziesięciu karabinami z cekhauzów moskiewskich dostarczonymi, a wyrobiwszy na gotowe ładunki amunicję, nadesłaną mi przez organizację powiatu piotrkowskiego, wobec ruchów dosyć uporczywych kolumn moskiewskich, opuściłem mój teren północny i w cichych, spokojnych marszach przekroczywszy napowrót kolej Warszawsko-Wiedeńską, około 10 czerwca 1863 r. znalazłem się nad Pilicą w Maluszynie.

Przybywszy do tego punktu, o siedem mil położonego od najbliższej komendy moskiewskiej, z dworem dużym murowanym, z mostem tuż pod nim na Pilicy leżącym i gatunkiem ogrodu angielskiego, leżącego przed domem i murem obwiedzonego, znalazłem postój możliwie spokojny i bezpieczny na granicy dwóch województw i dwóch odrębnych komend dywizyjnych leżący i w dodatku o gospodarzu młodym i uprzejmym, pełniącym podczas mych pobytów obowiązki administratora Rządu Narodowego, gdyż jako syn banity hr. Ostrowskiego (jako ówczesnego ministra spraw wewnętrznych) — nie mógł być w innym charakterze przeze mnie uznawany. Zdaje się, iż rola ta, jaką wobec mnie odgrywał, była wiadomą i akceptowaną przez pana ojca ministra, któren, jak każdy minister, a szczególnie z naszego narodu pochodzący, umie się w każdej drastyczniejszej sprawie zastanawiać, przyglądając się odwrotnej stronie medalu.

Ale dosyć na tym, że był to bardzo przyjemny młody człowiek i umiał swe świeże obowiązki z zadowoleniem mych żołnierzy wykonywać. Jestem bowiem niemal pewny, iż w postojach naszych w Maluszynie nie zdarzyło się żadnemu położyć na spoczynek o czczym żołądku, dodać jednakże potrzeba, iż mój podintendent Leszczyński dobrze się wywiązywał z swego zadania i jak dawniej umiał zadowolnić wymagania paruset żołądków, tak i w czasie, o którym piszę, to jest około 15 czerwca 1863 r., podolał obowiązkowi wyżywienia przeszło 1400 ludzi, z których składał się oddział.

Organizacja zaś jego była następująca. Trzy bataliony piechoty, każdy z czterech kompanij piechoty po 100 ludzi — pierwszej uzbrojonej w karabiny z bagnetami, następnych uzbrojonych w kosy. Półtora szwadronu kawalerii z majorem Maliszewskim na czele — pierwszy szwadron 128 ludzi, uzbrojony w lance, pistolety i pałasze, drugi półszwadron z Mikulskim w liczbie 60 ludzi, uzbrojony w pałasze i dubeltówki, pełniący służbę flankierską i straży obozowej. Dwie sekcje po 10 ludzi dodane podintendentowi do pomocy i pilnowania wiktuałów. W końcu — pluton młodzieniaszków w wieku od trzynastu do piętnastu lat w liczbie 16, także uzbrojonych w dubeltówki, które wyrabiał z amunicji gotowe ładunki i transportował je na koniach jucznych, jako gotową zapasową amunicję. Wozów żadnych nie było.

W tym składzie, nie męcząc oddziału forsownymi marszami podczas gorących dni letnich, przenosiłem stanowiska obozowe z punktu na punkt wyznaczony, trzymając się przeważnie doliny Pilicy, a wykonywałem te marsze w godzinach rannych między 4-tą a 9-tą i wieczornych między 4-tą a 8-mą, dzień przeznaczając na ugotowanie obiadu, chwilowy parogodzinny wypoczynek i mustrę.

Dzięki zmianie usposobienia ludności wiejskiej i przychylnemu jej usposobieniu dla powstania można było zawiązywać z nią coraz lepsze stosunki, a skutkiem takowych Moskwa, nie zawiadamiana stale o naszych poruszeniach, dając oddziałowi czas na wyrobienie i zorganizowanie, pozwalała z lepszego usposobienia ludności wiejskiej skorzystać, czego najlepszym dowodem był taki obfity napływ ochotnika wiejskiego, iż w ciągu niespełna paru tygodni od bitew pod Koniecpolem i Kruszyną zwiększyłem oddział o przeszło 800 ludzi — i gdyby wówczas stojący na czele powstania ludzie, zowiący się Rządem Narodowym, umieli skorzystać z tego usposobienia i zamiast zebrać kuglarskiej pomocy Napoleona III przez Czartoryszczyznę i podobnych jej zgnilców, i zamiast przechowywać broń i amunicję w Krakowskim i Galicji na użytek nigdy nie wychodzących oddziałów przesłali ją byli przez granicę, prawie wówczas nie strzeżoną, na teren walki, gdyby wówczas ci ludzie, choćby przy pomocy kilkunastu uderzeń sztyletu, oczyścili Kraków i Galicję z tej hordy kapuańskiej, wepchnęli ją na teren wojny pod rygor wojskowy, dając zarazem setki oficerów na krakowskim bruku poniewierających się, można było jeszcze mimo wszystkich głupstw i niedoświadczenia kręcony ten bicz z piasku wzmocnić i chłostać nim Moskwę! I wówczas ten kuglarski Napoleon III nie w imię jakichś mrzonek sentymentalnych,

ale rachując się z faktami, na widok nie łąz lecz karabinów, nie próśb lecz gorąco lejącej się krwi — może nie byłby posłał swych zastępów, mając w pamięci nieudany hazard swego wielkiego stryja, ale może cichaczem przesłałby na teren walki dostatnią ilość broni i amunicji, powierzając tę czynność do wykonania nie patriotycznym komitetom obywatelskim, lecz prostym agents d'affaires, którzy przy pomocy naszych Żydków rzecz by tę dokumentnie załatwili.

Nie umiano skorzystać z chwili przychylnego usposobienia ludu wiejskiego dla sprawy Polski, a nie tylko nie umiano, ale bano się wszelkiej myśli masowego powstania, bo nie tylko ludzie ci, stojący na czele rządu, nie wyłonili z siebie podobnej myśli, lecz owszem, wszelką myśl w tym kierunku powstałą w głowach energiczniejszych i jaśniej patrzących niszczyli w zarodzie, ubezwładniając ich powagą tajemniczego rządu, popartą reakcyjną organizacją „bielców“, a po największej części usuwając ich od wszelkiej wybitniejszej działalności.

Tacy ludzie, jak Giller, Ruprecht, Żuliński, Awejde, Majewski i wielu im podobnych — to nie gorące serca wsłuchujące się w tętno narodu i przodujące mu energią i rozumem; tam jedni, jak pierwsi, to wyżyci i zmrożeni lodami Syberii żywe nieboszczyki, pozujące na Anhellego, drudzy — sofiści w rozumowaniach się gubiący, a życiem swym i retoryką zdobywający uznanie ludzi ich otaczających, i wreszcie — ta kanalia, ten szalbierz polityczny, ów Majewski, zdaje się iż z łona matki już z tym szalbierstwem wyszły, umysł jasny, logiczny i na osobistą karierę pracujący bezwzględnie. Oto podkład i cienie ludzi w Rządzie Narodowym różnymi czasy przebywających, z ostrzejszymi lub mniej wydatnymi osobnikami, ale z zarodem prawie jednakim — deliberujących gremialnie na kurulskich swych stolcach z powagą i namaszczeniem nad uszczęśliwieniem narodu bez żadnego bólu.

Wobec więc podobnego kierunku i usposobienia naczelnej władzy ludzie czynu a nie słowa w salonie, z bliska przypatrując się wypadkom na gruncie, widząc, iż tylko na siebie i na wytrwałą pracę rachować mogą, ażeby nie zatracić już tych korzyści, jakie choć po bękarku prowadzone powstanie przyniosło, a szczególnie przychylniejszego usposobienia włościan, zaczęli się z sobą porozumiewać i energiczniej działać, aby ożywionym ruchem na prowincji porwać ją za sobą — nie oglądając się bardzo na kierunek Rządu Narodowego, który był im wstrętny z powodu reakcji i antypowstańczych zarządzeń.

W tym czasie otrzymałem przez wysłańca Mierosławskiego, niejakiego p. Marchwickiego, głośniejszego nieco później przez spoliczkowanie tegoż Mierosławskiego w kawiarni Voltaire w Paryżu,

zaproszenie do wejścia pod jego komendę i stanięcia w terminie oznaczonym na punkcie granicznym, w którym zamierza ją z oddziałem przekroczyć.

Jakkolwiek nigdy nie byłem zwolennikiem Mierosławskiego, a jego demokratyzm podszyty sajetą uważałem za rzecz już przesiąkniętą stęchłą i w opinii jego skutkiem bezpośrednich starć w latach 1861/2 zyskałem miano niekarnego demokrata, to jednakże, znając go osobiście, oceniałem jego wykształcenie wyższe wojskowe, jak niemniej czystość jego opinii przez 30 lat bez skazy wyznawanych, a nie wymagając od komenderującego generała waleczności porucznika, tylko rozumnych zarządzeń, wyraziłem jego wysłańcowi zgodę wejścia z mym oddziałem pod jego komendę, lecz pod jednym warunkiem: abym w liście osobiście przez niego napisanym miał zagwarantowane pod słowem honoru, iż w dniu i punkcie na granicy przez niego oznaczonym znajdę 500 karabinów z odpowiednią ilością gotowych ładunków do mojej dyspozycji, w które uzbroiwszy część mych kosynierów, do służby strzeleckiej przygotowanych, wezmę na siebie Moskwę na jego wejście spieszącą, a tym samym otworzę mu drogę dla wejścia w głąb kraju, w którym formujące się wówczas oddziały pod Rudowskim, Krzywdą i Zaborowskim prawdopodobnie wejdą pod jego komendę i wzmocnią znacznie jego siły.

Nie napisał żadnego listu, zatem nie przyjął mego warunku. A szkoda! Z uzbrojonym, jaki miałem, oddziałem mogłem w cichych, nocnych marszach i osłoniętych lasami postojach dojść z Maluszyna przez Secemin, Szczekociny, Żarnowiec, bokiem Miechowa, w dniach kilku do Skały, gdzie wypocząwszy kilkanaście godzin, dojść do wskazanego mi punktu jednym marszem, ale tylko należycie uzbrojony mogłem roztrącać zastępującą mi Moskwę w powrotnym marszu, 300 karabinów posiadanych w mym oddziale było za mało, i tak spełził projekt na niczym. A wyprawa jego pod Krzykawką po stracie znacznej ludzi i broni spełzła, jak zwykle wszystkie wyprawy, na niczym, bo na zajęciu kwater w Krakowie; szkoda takich ludzi, jak major Englert i pułkownik Nullo, którzy tam zginęli, a którzy warci byli gorętszego, a nie szarmyckiego ognia.

Gdym się w parę lat później, to jest w r. 1865, zapytał Mierosławskiego, dlaczego nie zgodził się na mój warunek, kiedy on był racjonalny i jedynie korzystny dla jego planów, odpowiedział mi po pewnym namyśle, że „przez posły wilk nie tyje“, jakby się przyznając, iż panujące prądy w jego otoczeniu zmieniły jego decyzję, bo podobno, jak mi później z jego otoczenia ścisłego mówiono, umiano

mu wytłumaczyć, iż broń zabiorę i spod jego komendy się usunę, co wobec mego nieoddania się poprzedniego pod jego wpływy zdawało mu się prawdopodobnym.

W parę dni po propozycji Mierosławskiego przybył do mnie agent stronnictwa radykalnego, mój kolega z Cuneo, nazwiskiem Hopfenblum, z listem od Ignacego Chmielińskiego, głośniejszego z zamachów na w. ks. Konstantego i mgr. Wielopolskiego, jak niemniej z usiłowanych wywrotów Rządu Narodowego.

Ponieważ rozmowa na podstawie jego listu nie mogła się odbyć pośrednio przez ajenta, lecz tylko osobiście mogło się odbyć pewne porozumienie, odesłałem ajenta z powrotem, proponując mu w liście przesłanym, aby osobiście przybył do obozu. W kilka dni nastąpiło spotkanie się nasze w obozie. Na jego propozycję, żebym się z jego partią złączył i wspólnie działał, wręcz odmówiłem, oświadczając mu zarazem, że secesję w działaniu zbrojnym uważam za zgubną i sam bym ją tępił, jako zwykłą zdradę sprawy, lecz jako człowiek nie słowa i bibuły lecz czynu, którego oburza niedołęstwo i reakcja panujące w ówczesnym Rządzie Narodowym, pragnąłbym natychmiastowej zmiany systemu, a ponieważ ta zmiana nie może się odbyć jak tylko wywrotem obecnego Rządu Narodowego, niech zatem nastąpi wywrót, choćby nawet krwawo-karcący, ale ta sprawa musi być załatwiona, że się tak wyrażę, „po domowemu“, to jest w Warszawie, ku czemu może być użyta organizacja tego miasta, ale nigdy ta rozprawa nie powinna wyjść poza rogatki warszawskie. Prowincja powinna i nadal pozostać pod nimbem pieczęci Rządu Narodowego, inaczej — do tego chaosu, jaki panuje, dołączyłby się chaos przynajmniej stu dyktatur prowincjonalnych, a smaku langiewiczowskiej jeszcześmy dotąd nie wydychali. Proponowałem mu dalej, aby porozumiewszy się z organizacją warszawską, to jest wybitniejszymi jej członkami o przekonaniach radykalniejszych, ułożył listę członków przyszłego Rządu Narodowego i jego głównych agentów w Warszawie, jak niemniej komisarzy pełnomocnych dla województw, aby w chwili przewrotu, który się odbyć powinien doraźnie, maszyna nie stanęła, lecz posunęła się naprzód szybszym i energiczniejszym ruchem. Dalsza praca już od nich i od ich komisarzy zależy i pokaże, co oni sami są warci.

Namyślał się nad planem mu przedstawionym, przyznawał mu zasadniczo słuszność, wił się w sobie, niepewny, jakby pod obawą działania zostający. W końcu, nie znajdując innej drogi działania, wyjechał z obozu nazajutrz rano w towarzystwie Szachowskiego, przybyłego tegoż dnia, co i Chmieliński, na wspólną konferencję.

Miałem w tym czasie i od innych ludzi robione propozycje, lecz na nie machnąłem ręką, gdyż ani ludzie, ani ich propozycje nie zasługiwały na uwagę.

Ale zajęty byłem głównie trapiącą mnie myślą, jakim sposobem dostać karabinów na uzbrojenie oddziału. Miałem bowiem, jak już poprzednio wspomniałem, dosyć liczny oddział, lecz tylko co do ilości ludzi: na 300 bowiem strzelców przypadało 900 kosynierów, stosunek anormalny w wojnie partyzanckiej, gdzie stosunek tych broni nie powinien być być większym, jak po równi, oddział bowiem o większej daleko przewadze kosynierów, a u mnie był jak jeden do czterech, nie mając dostatecznej siły odpornej a tylko prawie zaczepną, nie nadawał się do rodzaju wojny, jaką zmuszeni byliśmy prowadzić, a jego już znaczniejsza liczba, będąc trudnością w poruszeniach i wyżywieniu, dawała mi do zrozumienia, iż w razie ruchów zaczepnych ze strony Moskwy o znaczniejszych siłach — faktyczna jego słabość łatwo się uwidoczni; i dlatego skorzystałem z pierwszej nadarzającej się sposobności, mogącej mnie do karabinów doprowadzić.

Była nią okoliczność następująca. W drugiej połowie czerwca 1863 r., stojąc obozem w Kluczesku, zameldowano mi jakiegoś cywilnego, pragnącego się ze mną widzieć w jakimś ważnym interesie. Gdym go kazał wpuścić, wręczył mi polecający list otwarty Naczelnika m. Warszawy, którym przedstawia doktora Zdanowicza, jako wynalazcę materii wybuchowej i poleca go dowódcom oddziałów celem ułatwienia mu próby doświadczałnej.

Po odprawieniu od siebie osób przytomnych i zostaniu bez świadków zapytałem go, czego sobie życzy, na co mi odpowiedział, iż jakkolwiek jest doktorem medycyny, właściwą jednakże jego specjalnością jest chemia, a przy prowadzonych pracach w laboratorium udało mu się wynaleźć materię wybuchową, coś w rodzaju wynalezionej nitrogliceryny, tylko jeszcze silniejszą, dodając, iż 1 funt jego materii odpowiada sile wybuchowej 100 funtów prochu; zapytany o sposób jej użycia i wywołania eksplozji bez niebezpieczeństwa dla ludzi obsługę robiących poprosił mnie o chwilę cierpliwości, a po chwili wróciwszy z dosyć dużą paką, przez paru żołnierzy niesioną, złożył ją ostrożnie na podłodze, a po wyjściu żołnierzy roztworzywszy ją przedstawił mi jej wnętrze, wypełnione kręgami drutu do przewodu elektryczności, kręgi rurek kauczukowych o 10 milimetr. średnicy, maszynkę elektryczną i jakieś flaszki i słoiczki.

Wyznaczywszy mu kwaterę obok siebie dla możności prędkiego komunikowania się w chwilach wolniejszych i przydzielając mu do

pomocy, o którą prosił, jednego podoficera artylerii i jednego inżynierii, obu Polaków i krakowiaków i obu dezertersów z wojska austriackiego do powstania, zająłem się zbadaniem planu, jaki mi się nasunął na podstawie masy wybuchowej, którą rozporządzałem.

Chodziło o zniesienie się za pośrednictwem organizacji z zarządkiem ruchu kolei żelaznej w Piotrkowie i Częstochowie, aby maszyniści prowadzący pociąg czy też ich pomocnicy palacze w razie prowadzenia pociągu napełnionego wojskiem moskiewskim zarzucali nieznacznie na przodzie maszyny czerwoną większą płachtę. Gdy tę sprawę pomyślnie załatwiłem, gdyż organizacja miejska była dosyć karną i energiczną, a maszyniści i palacze, jako ludzie twardego rzemiosła i pracy, całym sercem oddani byli sprawie narodowej, wyznaczwszy punkt działania wioskę Płoszów, wysłałem do niej dra Zdanowicza pod opieką plutonu strzelców, którego w ciągu dni czterech pokończywszy swoje preparata i nabiwszy rurki kauczukowe, gotów był do działania.

Chodziło o wynalezienie najodpowiedniejszego miejsca w wyznaczonym Płoszowie, gdzie by można pozakładać przygotowane miny pod górny pokład kolejowy, a znalazłszy w oddziale ludzi poprzednio pełniących służbę kolejową i znających manipulację sygnałową, dodałem ich oficerowi kierującemu ekspedycją z poleceniem, aby przy zakładaniu miny stosował się z całą ścisłością do zarządzeń doktora Zdanowicza, a ludzi obeznanych z sygnałami rozesłał do trzech stacji budniczych z poleceniem zaznajomienia się i zawiązania stosunków przyjaznych z budnikami; o postępie robót i o jakichkolwiek zdarzeniach miał mi przedkładać codziennie treściwy lecz szczegółowy raport.

Na trzeci dzień po wyprawieniu ekspedycji otrzymałem raport, że wszystko pomyślnie ukończone i miny pozakładane bez żadnych śladów na zewnątrz, i z budnikami zawiązane są stosunki przyjacielskie, i czeka dalszego rozkazu.

W trakcie tych przygotowań, kiedy już z oddziałem przybyłem sponad Pilicy do Przyborowa, aby jednym marszem być na miejscu działania, zaszedł wypadek, którego rezultatem było spełnienie na niczym wyprawy.

Na postoju czy w Przyborowie czy sąsiedniej wiosce zjawiała się raptem organizacja powiatów piotrkowskiego i częściowo wieluńskiego i wręcz mi oświadczyła, iż dowiedziawszy się o zamiarach mej wyprawy i uważając zgubne następstwa, jakie by mogły z niej wyniknąć dla całej okolicy, przyjechali prosić mnie o jej zaniechanie, a w razie przeciwnym nie dopuszczą do niej. W odpowiedzi na to ultimatum

kazałem plutonowi strzelców otoczyć dom, w którym byliśmy, z rozkazem niewypuszczenia ani na krok nikogo, w razie zaś oporu użycia broni, a zawiadomiwszy tych panów, iż są aresztowani i że rozmawiać z nimi będę z powrotem po załatwieniu sprawy, natychmiast w dalszy marsz wyszedłem.

Przybywszy na oznaczone miejsce i ukrywszy w oddali cały oddział, wziąłem z sobą tylko kompanię strzelców i kompanię kosynierów, a przez położenie ich na ziemi ukrywszy ich w łanie żyta o kilkadziesiąt kroków od toru kolejowego, zbliżyłem się do dra Zdanowicza, stojącego przy baterii elektrycznej w tymże łanie żyta ustawionej; dowiedziawszy się, iż wszystko jest w porządku przygotowane, oczekiwałem wiadomości od mojej kawalerii, alarmującej fałszywym atakiem na pociąg do Piotrkowa idący Moskwę, zwykle po każdym takim alarmie wypadającą pociągiem ku miejscu alarmowanemu. Taki spieszący i napełniony Moskwą pociąg chciałem wysadzić i uzyskaną bronią oddział uzbroić.

Stojąc przy baterii elektrycznej doczekałem się po upływie jakiegoś kwadransu raportu od mej kawalerii o przedsiębranym fałszywym ataku na pociąg do Piotrkowa idący i o prawdopodobieństwie, iż pociąg, którego nadejście od Piotrkowa, Moskwę wieźć będzie. Odprawivszy podoficera z poleceniem posunięcia się kawalerii na kraniec lasu i obserwowania, a w danym razie ujrzenia kolumny moskiewskiej piechotą idącej — cichego i szybkiego wycofania się ku mnie i dania mi wiadomości o wypadku, czekałem dalej obok Zdanowicza.

Po kilkunastu minutach oczekiwania — najprzód hurkot, a następnie świst wpadającego do lasu pociągu od strony Piotrkowa zapowiedział mi chwilę katastrofy; ja z lunetą przy oku obserwowałem wylot z lasu, skąd miała za chwilę wyskoczyć lokomotywa przykryta lub nie czerwoną płachtą, a Zdanowicz z palcem przy gałce czekający mego słowa „przyciśnij”.

Chwila była krótka, ale zdaje się, żeśmy oba mieli przyspieszone bicie serca; po chwili zaś, gdym dojrzał wyskakującą lokomotywę bez żadnej płachty, o czym zawiadomiłem Zdanowicza, aby go w emocji uspokoić, widziałem już dobrze gołym okiem pędzący pociąg napełniony pasażerami nie przypuszczającymi, iż przejeżdżają po założonej minie, która ich mogła diabelnie poturbować. Pociąg był spóźniony przeszło pół godziny, nie umiałem sobie wówczas tego spóźnienia wytłumaczyć. W kilka dni dopiero wyjaśniła się przyczyna opóźnienia, ale w danej chwili była pilniejsza robota: silna kolumna moskiewska ukazała się od strony Kamińska, od strony Radomska także mi

doniesiono o zbliżającej się Moskwie. Plan mój przeto był odkryty przed Moskwą, nie udał się, trzeba było z oddziałem wycofać się przed atakiem z dwóch stron zbliżającej się Moskwy o przeważnych siłach, co też i natychmiast wykonałem, pozostawiając tylko kiszki kauczukowe; baterię elektryczną z zwiniętym drutem zabrano.

Kiedym znowu przybył w dolinę Pilicy, po ściągnięciu przez wysłany rozkaz straży i wypuszczeniu na wolność aresztowanych chwilowo nędzników, których, logicznie oceniając zaszłe wypadki, powinno się było jako zdrajców hurtownie powiesić, widziałem, iż dalsza egzystencja oddziału jest tylko chwilową, że jeden oddział słabo uzbrojony na dwa województwa, to jest kaliskie i krakowskie, wobec takich sił poważnych przeciwnika i martwoty powstania musi mieć dni policzone i prędzej cokolwiek czy później musi ulec zniszczeniu. Te piękne widoki na przyszłość nie bardzo mnie pocieszały, ale nie mając innej drogi wyjścia musiałem się godzić z koniecznością.

Nieudany zamach na pociąg był wynikiem szlachecko-organizacyjnej zdrady, delegowani której, nim przybyli do mego obozu, poprzednio przez któregoś z łona swego konwencjonalnie zawiadomili Moskwę, iż się coś przygotowywa na linii kolei żelaznej między stacjami Radomskiem i Kamińskim i że nie radzą używać kolei do transportu wojska. To niewinne doniesienie nie tylko pozbawiło mnie uzbrojenia, lecz jednocześnie, odkrywszy stały mój pobyt w dolinie Pilicy, zrodziło między komendami wojsk moskiewskich w tych województwach stojących plan dośrodkowego działania generałów Czyngerego¹⁾ z Kielc i Radina z Piotrkowa, czego w dni kilka miałem doświadczyć.

Przed świtaniem dnia 28 czerwca 1863 roku, leżąc na gazonach ogrodu w Maluszynie wśród swych żołnierzy, zbudzony zostałem strzałem pikiet konnych stojących od strony Konięcpola, a następnie usłyszałem z tej samej strony graną pobudkę. Wysłany patrol konny na linię pikiet powrócił niebawem w towarzystwie jakiegoś młodego oficera, któren, przedstawivszy się jako adiutant dowódcy Zaborowskiego, oznajmił mi, iż oddział czeka przed linią pikiet i prosi o wypuszczenie go do obozu. Dawszy odpowiednie rozkazy czekałem z oddziałem pod bronią nadejścia zapowiedzianego oddziału.

Upłynęła prawie godzina, świt dobry zajaśniał, kiedy nowo przybyły oddział w kolumnie pochodowej wszedł na gazonowy dziedziniec i sformowawszy front stanął vis à vis do mego oddziału.

¹⁾ Czengery, przyp. wyd.

Przywitawszy się z Zaborowskim, którego przedstawił mi swych oficerów, i usunąwszy się na bok celem wspólnego objaśnienia i porozumienia się, zapytałem go, co go skłoniło do nocnego marszu i łączenia się ze mną, na co mi odpowiedział, iż sformował oddział w okolicach Małogoszczy, dowiedziawszy się o moim pobycie nad Pilicą, a jednocześnie o ruchach znacznej kolumny moskiewskiej pod generałem Czyngerim, — przyszedł z oddziałem, aby w razie danym podzielić wspólną dolę ze mną. Był to mężczyzna młody, lat zaledwie 25 mieć mogący, przyjemnej powierzchowności i wojskowego układu, porucznik artylerii austriackiej, którego, rzuciwszy w błoto swą karierę wojskową, z sumieniem polskim przyszedł spełnić swój obowiązek względem Matki Ziemi. Nazwisko jego właściwe było Pacyna, jak się później dowiedziałem, i to dziecko ludu chrztem krwawym zdobywało sobie polskie obywatelstwo. Mało go widziałem, gdyż zaledwie dni parę, losy wojny rozdzieliły nas na zawsze, nie mogę więc wiele szczegółów o nim napisać, ale całe jego postępowanie w ciągu 48-godzinnego wspólnego pobytu wykazywało człowieka serio myślącego, a nie blagiera, z którego wojna wyrobić mogła wybitniejszą osobistość. Jego wybitniejszymi oficerami, których nazwiska zapamiętałem, byli: kapitan I kompanii strzelców Chabriolle, porucznik armii francuskiej, którego walecznie zginął w miesiąc później pod Zygmuntem Chmielnickim w bitwie pod Rudnikami, i kapitan Tabaczyński, dowódca półszwadronu ułanów, odważny żołnierz i wyrobiony regulaminowo oficer, lecz „ułan austriacki“.

Siły przybyłego oddziału składały się z dwóch kompanij strzelców po 100 ludzi uzbrojonych w karabiny, z dwóch kompanij kosynierów w teje liczbie i z półszwadronu ułanów o sile 60 koni. Zebrane przeto siły połączonych chwilowo oddziałów wynosiły razem 500 strzelców, 1100 kosynierów i 128 ułanów, gdyż większą część swej kawalerii na dzień przed połączeniem oddziałów wysłałem na oddzielną dalszą ekspedycję.

Siły zaś moskiewskie idące przeciwko nam pod Czyngerim były następujące: dwa bataliony piechoty, dwa szwadrony dragonów i pluton o dwóch działach artylerii. Na liczbę prawie nas Moskale nie przenosili, lecz pod względem uzbrojenia, nie mówiąc już o wojennym wyrobieniu, przedstawiali cztery karabiny na jeden, poparte armatami.

Obliczyliśmy nasze siły w porównaniu z nieprzyjacielskimi i zbadaliśmy naszą pozycję w Maluszynie topograficznie, która w razie forsowania przejścia Pilicy po moście pod naszym ogniem była mocną, bo

panujący lewy brzeg z cmentarzem kościelnym i dworem murowanym utrudniał bardzo posuwanie się kolumn zbitych szturmowych tak przez most, jak i po drodze zawąwozionej od tegoż wychodzącej, lecz w razie ataku z lewej strony Pilicy i sforsowania nas przewagą ognia karabinowego i działowego — wypychała nas bądź przez ten sam most w zwartych i zmieszanych kolumnach na prawy brzeg Pilicy pod ogniem działowym i karabinowym, bądź też wypychała nas na równiny bezleśne w stronę Przedborza po lewej stronie tej rzeki leżącej, a można było i to przypuścić, iż Moskwa może jednocześnie z dwóch stron nas zaatakować. Wobec więc powyższych danych postanowiliśmy przed nadciągnięciem Moskwy Maluszyn opuścić i w okolicach Przedborza szukać dogodniejszej pozycji, mając oparcie a w razie danym i osłonę w leśnych okolicach, które się poza Przedborzem rozciągały.

Około godziny 7-ej rano, po wypoczynku oddziału Zaborowskiego i lekkim posiłku, opuściliśmy Maluszyn, a przeszedłszy na prawy brzeg Pilicy po moście pod Wolą Życińską, przez Bobrowniki, Dobromierz i Pratkowice zbliżaliśmy się do Przedborza, gdy od strony Grabowca z lasów po naszej prawej stronie leżących pokazały się kolumny moskiewskie.

Nie przerywaliśmy dalszego marszu, lecz tylko zasłoniliśmy tyły kolumny kompanią strzelców kapitana Gorajskiego z batalionu majora Bogusławskiego, którego, mimochodem powiedziałwszy, jakkolwiek starzec przeszło 70 letni, bo żołnierz spod ks. Konstantego jeszcze z roku 1818, pokłóciwszy się z Gorajskim, czupurnym kolegą z Genui i Cuneo, wyrwali rewolwery i skoczyli na bok do pojedynku pod ciągłym ogniem tyralierów wzajemnie się ołowiem obsypujących. Dowiedziawszy się o tym, podskoczyłem ku zacupurzonym, a zgromiwszy obydwóch za wyprawioną farsę wobec swych żołnierzy, kazałem oddać pałasz Gorajskiemu i rozbrojonemu prowadzić dalej swych żołnierzy. Z końcem tej farsy prawie i przy zapadającym już zmroku weszliśmy do Przedborza, a przeszedłszy przez miasteczko z mym oddziałem i przez most na lewy brzeg Pilicy, na przedmieściu tam leżącym oddział zatrzymałem, obsadzając lewy przyczółek mostowy kompanią I strzelców i posyłając jeden pluton strzelców na wylot tego przedmieścia w stronę Maluszyna dla powstrzymania nadciągających dragonów. W tych czynnościach zmrok zapadł, musiała być 9-a wieczór, strzały tylko armatnie i karabinowe i ich ogień to jako płomyki, to jak paszcze czerwone wskazywały, że ludzie nieprzyzwoicie, a nawet morderczo do siebie gadają.

Wysłałem zapytanie do Zaborowskiego, dlaczego na lewy brzeg Pilicy nie przechodzi i żeby to natychmiast zrobił, gdyż Moskwa, jak się z sygnałów pokazuje, ciągnie ku lewemu, to jest ku rzece, i most na niej leżący może być lada chwila ostrzeliwany, co może rozdzielić oddziały. Po kilku minutach wrócił wysłaniec i doniósł mi, że Zaborowski wydał rozkaz wycofania się z miasta i że za chwilę oddział przybędzie, a jego wstrzymywanie się było spowodowane rekwirowaniem żywności dla zgłodniałego oddziału i zabieraniem pieniędzy z kasy miejskiej. Doniósł mi nadto, że kawaleria po Bończy, obecnie pod komendą Dzianota, w sile paruset koni przed pół godziną przeszła przez Przedbórz, ulatniając się w zmrokach nocnych w kierunku północnym.

Po kilku minutach nadciągnął oddział Zaborowskiego: naprzód kompania strzelców, po nich dwie kompanie kosynierów — i te przeszły spokojnie, lecz gdy kawaleria przeszła most do połowy, strzał kartaczami z jednego i drugiego działa z odległości 300 do 400 kroków spłoszył i chwilową panikę wywołał w koniach i ludziach. Dobrze że tylko panikę, bo strzały te rdzenne, gdyby były lepiej skierowane, mogły pokotem zasłać most końmi i ludźmi; na usprawiedliwienie jednak artylerii moskiewskiej to trzeba dodać, iż była to noc i w pośpiechu, przy zmianie pozycji dokładnie celować nie mogła. Obsypywanie jednak mostu kartaczami, a następnie i ogniem karabinowym sprawiło, iż kapitan Chabriolle, któren z kompanią swych strzelców prowadził ołowianą gawędę z Moskalami, nie mógł już z oddziałem się połączyć, a party przez Moskali, wycofał się z miasta pod osłoną nocy w kierunku północnym i zginął na czas dalszych rozpraw dla oddziału.

Około 11-ej wieczór, widząc z słyszanych strzałów w stronę północną posuwających się, że Chabriolle nie połączy się, ściągawszy wysunięte oddziały strzelców, cichym marszem podążyłem do Korytna, skąd po trzygodzinnym wypoczynku na Ochotnik i Podstole przybyłem około 9-ej rano 29 czerwca do Trzepnicy.

Zarządziwszy odpoczynek i gotowanie pożywienia dla żołnierzy, poprosiłem Zaborowskiego, Lütticha, Tabaczyńskiego i kilku jeszcze oficerów i adiutantów i pojechalśmy konno na tyły wsi, skąd przybyliśmy i skąd mogliśmy się spodziewać ataku ze strony Czyngerego, aby zbadawszy położenie obmówić plan działania w razie potrzeby.

Od strony zachodnio-północnej klamra lasów prawie pod kątem prostym opasywała rozległe pola Trzepnicy, podówczas bujnym zbożem

porośle, po którym żadna szarża kawalerii udać się nie mogła. Równina ta u wylotu wsi poczynając od wschodu ku zachodowi przecięta była wzgórzem o szkarpach dosyć stromych; dając przystęp dosyć utrudniony atakującemu, dawało ono tym samym dominujące stanowisko atakowanemu i ukrycie wszelkich poruszeń i rezerw przed atakującym nieprzyjacielem. Oddalone o jakie 1000 kroków od kraju lasu, skąd atak mógł nastąpić, było poza doniosłością strzałów ówczesnych karabinów moskiewskich, a dwa działa granatami strzelające na rozwinięty łańcuch tyralierski nie przedstawiały poważnego niebezpieczeństwa. Dwie osady włościańskie na wylocie wsi leżące obsadzone strzelcami dawały bezpieczeństwo prawemu naszemu skrzydłu, a wzgórze to przedstawiało dla nas tę jeszcze korzyść, iż osłaniając nasze poruszenia, dawało możność przyjęcia charakteru zaczepnego bądź odpornego.

Zbadawszy pozycję i wydawszy odpowiednie zarządzenia, to jest powierzając komendę prawego skrzydła Zaborowskiemu, środek zostawiając sobie, a lewe — Bogusławskiemu, rezerwy pozostawiłem Lüttichowi. Po załatwieniu tej sprawy powróciliśmy do dworu w Trzepnicy, około którego skoncentrowany był cały oddział, a z wyniosłego pagórka, na którym był postawiony, można było objąć okiem całą równinę klamrą lasów objętą.

W kilka godzin po naszym przybyciu do Trzepnicy, kiedy już najeżdżony żołnierz spokojnie odpoczywał, a oficerowie po sutym obiedzie wystawionym przez pp. Masalskich, właścicieli majątku, swobodnie we dworze rozmawiali, wyszedłem na ganek z gospodynią domu, dziwnie uroczo piękną kobietą, tak piękną, jaką tylko być może wyjątkowo piękna Polka, pozostawiając za sobą w tyle nawet idealnie piękne twarze normandzkich Angielek; gdy z nią rozmawiałem, rzecz prosta, o toczącym się powstaniu, wpatrując się w te szlachetne rysy twarzy i kontury klasyczne, w jasnym batystowym ubraniu dokładnie się odznaczające, padł strzał na mych czatach konnych pod lasem stojących. Rzuciwszy okiem w stronę odgłosu, ujrzałem wysuwającą się z lasu szpicę z kilkunastu dragonów złożoną i cofającą się kłusem do wsi moje czaty konne.

Ponieważ I kompania mych strzelców, będąc w dniu tym służbową, stała w pogotowiu przed dworem, kazałem jej sformować kolumnę pochodową, a nadbiegłemu w tej chwili Lüttichowi dawszy rozkaz „sformuj oddział i wprowadź na pozycję“ — sam przyspieszonym marszem udałem się na pozycję poprzednio wyznaczoną, a obsadziwszy wylot wsi półplutonem strzelców pod komendą podoficera z armii

pruskiej Szwartz, a u mnie instruktora kompanii, z poleceniem zamienienia chałup na blokhauzy i utrzymania stanowiska, resztę strzelców w liczbie 75 ludzi rozsypałem w łańcuch tyralierski i obsadziłem częściowo wzgórze.

Czas był na to, zaledwie bowiem zarządzenia zostały wykonane, wychyliły się z lasu dwa szwadrony dragonów, a po przejściu paruset kroków rażone ogniem naszych doskonałych karabinów systemu Miniego, w jakie kompania I była uzbrojona, cofnęli się spokojnie do lasu, gdzie, spieszywszy się, zbliżyli się do nas pod osłoną wysokiego żyta łańcuchem tyralierskim na 500 do 600 kroków i rozpoczęli ogień, zaledwie wychylając się z żyta do strzału. Moja linia tyralierów, dobrze osłonięta tak wzgórzem jak i żytem, stała a raczej leżała — spokojnie strzelając, a prawdopodobnie strzały jej były skuteczniejsze, bo z wyniosłej pozycji każdy ruch był dostrzegalnym; na nas strzały przeciwnika były bezskuteczne, albowiem po godzinie dosyć gęstego ognia, wspomaganego nareszcie nadeszłą piechotą, nie miałem nawet ani jednego rannego człowieka, z czego sens się wywodzi, a co już nie tylko powiedzieli, ale nawet napisali i do ogólnej wiadomości podali ogłoszenie drukiem różni ludzie mądrzy, notabene wojskowi, że najpodlejszym kawalerzystą jest dragon i najnędzniejszym piechurzem jest znowu dragon. Instrukcja sama, jaką mu wygłaszają z emfazą oficerowie, a z jeszcze większym patosem podoficerowie i kaprale, robi z niego jednego dnia ułana, rozbijającego z fajką w ustach karne bataliony bydlęcej piechoty, zmuszonej chodzić na nogach, a drugiego dnia tenże sam pogardzany dnia poprzedniego piechur ma stać nie zmrużywszy oka pod rozwartymi chrapami nadbiegającej w szalonym pędzie kawalerii; ta różnaitość instrukcji, a z nią niedokładność wyćwiczenia w dwóch naraz broniach robi z dragona niedonoszone dziecko, które bez opieki prawdziwej piechoty i jazdy jest zwykle żołnierzem nieporadnym i oprócz szarmydlowych spotkań najmniej do frontowego boju przydatnym. Takimi pokazali się dragoni moskiewscy pod Trzepnicą.

Gdy po godzinie nadaremnej strzelaniny wysłany adiutant Walewski powrócił i doniósł mi, że oddziału nie ma, gdyż takowy cofnął się przed pół godziną drogą w stronę Piotrkowa, a natomiast widać zbliżającą się kolumnę moskiewską od strony Radomska, dałem rozkaz cofnięcia się mym strzelcom I kompanii z zajmowanej pozycji i frontem rozsypanym, prawie nie prześladowany przez pościg moskiewski, przeszedłszy otwartym polem parę wiorst odległości, po pół godzinie doszedłem do stojącego w lesie oddziału.

Nie pytałem się nawet ani Lütticha, ani Zaborowskiego o powody cofnięcia oddziału zamiast wprowadzenia go na wyznaczoną rankiem linię bojową. Fakt stał się, Czyngery był za silny, żeby go z mocnej pozycji wyrzucić, a tym samym musiałem myśleć nad wynalezieniem sposobu, ażeby wycofać się z matni, w jaką głupie a może nawet tchórzliwe cofnięcie się wprowadziło oddział, znajdował się on bowiem między silną kolumną Czyngerego a Piotrkowem i linią kolei żelaznej w odległości zaledwie trzech mil drogi, i mógł się w kilku godzinach znaleźć otoczony bardzo poważnymi siłami. Widziałem z ruchu kolumny moskiewskiej z Radomska, że komendy na linii kolejowej są baczne i z ruchem Czyngerego związane, i dlatego postanowiłem obejść prawe skrzydło Czyngerego, aby przeszedłszy na jego tyły, bądź chwilowo zniknąć zagłębiając się w lasach powiatu końskiego czy też opoczyńskiego, bądź też mieć do czynienia z działającym z jednej strony przeciwnikiem, nie zaś dośrodkowo działającym. I dlatego też jak tylko spotkałem cofnięty oddział, wyznaczając kierunek marszu na Żerechową, Tomawę, doszedłem do Lubienia, gdzie dawszy trzygodzinny odpoczynek wyprawiłem pół szwadronu ułanów pod komendą Zaborowskiego na Sulejów, aby rozbiwszy stacjonujących tam zwykle 30 kozaków, ruchem w kierunku Opoczna odciągnął za sobą w tantym kierunku mogącą wystąpić do akcji wspólnej kolumnę piotrkowską. Wyznaczając mu punkt zborny w okolicach Przedborza, sam nad rankiem 30 czerwca 1863 r. podniósłszy znużony oddział wyszedłem z nim ku Przewozowi, gdzie przeszedłszy po kiepskim moście na prawy brzeg Pilicy, stanąłem na chwilowy odpoczynek w Szarbsku.

Szalony upał, jaki w tym dniu panował, może do 30° w słońcu dochodzący, a który pozbawił mnie kilkunastu żołnierzy padłych trupem od uderzenia słońca, wstrzymał mnie w dalszym marszu. Zmęczony i padający mi żołnierz od chwilowego przystanku w Szarbsku dozwolił mi zaledwie doprowadzić się kilka kilometrów do Skotnik, gdzie w lesistej okolicy musiałem się stanowczo zatrzymać.

Nie było sposobu dalej postępować bez zatracenia wszystkiego. Na drodze leśnej w kolumnie pochodowej stanęliśmy i jak szli, tak padli na niej do odpoczynku żołnierze. Żywności nie było, czymby można wzmocnić i podnieść ich siły, głusza leśna, w której odpoczywaliśmy, nie mogła jej dostarczyć. Odpoczywaliśmy godzinami trapieni pragnieniem, a wody w pobliżu nie było. W tym stanie spoczywaliśmy ze cztery godziny, gdy tupot kawalerii nadchodzącej oznajmił mi coś nowego. Była to kawaleria po Bończy, oficerowie jej pod komendą

Dzianota przyszedł do mnie za chwilę, oddając się pod me dowództwo i prosząc o wprowadzenie ładu i karności w ich kawalerii, gdyż takowych zupełnie brakuje — i żołnierze ich są kupą niekarnych hultajów.

Kiedym zamyslał o paręset kroków stojącą kawalerię otoczyć mą piechotą i przeprowadzić choćby nawet krwawą reorganizację, strzały od tylnej straży dały mi znać o nadciągnięciu nieprzyjaciela.

Z chwilowego zamieszania, jakie wywołały strzały, i zarządzeń mych co do dalszego cofania się w kierunku na Przedbórz — skończyła ta hałastra kawaleryjska i bez komendy ulotniła się pospiesznie, aby w dni kilka zakończyć swój niesławny żywot, rozproszona przez szwadron dragonów.

Ucieczka tej hołoty oddziałała niekorzystnie i na mego płochliwego Lütticha (gdy go się tylko spod oka spuściło). Zabrawszy mi ostatni mój półszwadron kawalerii, bardzo mi się przydać mogący, zapomniał znów jak i dnia poprzedniego o placu boju i udał się zbyt pospiesznie na tyły, prawdopodobnie dla zamówienia nam kwater i żywności.

Strzelanina się zawiązała, moja I kompania strzelców, osłaniająca cofający się oddział w odległości 400 do 500 kroków, ostrzeliwała początkowo kozaków i huzarów w froncie kolumny idących (z których dowiedziałem się, iż mam do czynienia z kolumną piotrkowską pod generałem Radin, a nie z kolumną Czyngerego, gdyż w tej ostatniej huzarów nie było), a następnie piechotę, wspomaganą sypiącą w nas kartaczami artylerią. Było to jednak starcie między strażą przednią a mą tylną, główne siły z obu stron nie brały w nim udziału, a gdym dostrzegł, iż należy wesprzeć mą kompanię, gdyż więcej masują się siły przeciwnika, ściągnąłem kompanię żuawów i wsparłem nią ze skosa mą I kompanię.

Wszystko się działo prawidłowo, lecz w gęstym lesie, a tym samym — okiem nie mogło być wszystko dostrzeżone, a kawalerii nie miałem, która by mogła bacność i związek między oddziałami utrzymać, i kiedy przepuściwszy oddział — przechodziłem za nim o kilkaset kroków w zgęszczonym łańcuchu tyralierskim mej I kompanii przez jakieś śródleśne pole, nie więcej jak 400 kroków szerokości mające, ostrzeliwany znów kartaczami i flankującymi huzarami, nie spostrzegłem mej kompanii żuawów pod komendą kapitana Przybyłowicza w akcji czynnej będących; później dopiero dowiedziałem się, że ten nędzny fanfaron, obowiązany stanować rezerwę dla I kompanii, obleciały tchórzem i skorzystawszy z ciemniejszego podszycia lasu, kompanię w bok lasu zaprowadził, porzucając i plac boju, i I kompanię będącą w niebezpieczeństwie. Na tym zdarzeniu zakończyła się potyczka.

Moskale, ścignawszy wysuniętych na pole huzarów i zaprzestawszy ognia, prawdopodobnie nawrócili. Kiedy obsadziwszy kraj lasu tyralierami I kompanii, po półgodzinnym moze postoju doczekałem się zachodu słońca i z nim zapadającej szarówki leśnej, a nie doczekałem się przybycia kompanii Przybyłowicza, poleciłem kapitanom kompanij tak strzelców jak i kosynierów, ażeby doprowadzili swe kompanie do normalnego stanu, gdyż podczas boju i nużącego marszu często się zdarza, a szczególnie u młodego i nieumundurowanego żołnierza, że ludzie różnych kompanij i broni pomieszają się z sobą, co dla regulaminu wojskowego jest niedopuszczalne. Kiedy kapitanowie, wypełniając mój rozkaz, wywoływali numera kompanij strzelców i kosynierów odnośnego batalionu, a żołnierze stawali w szeregi, padły w odległości paruset kroków w tyle dwa strzały, na które w pierwszej chwili wszystko się rozsypało, a po kilku minutach zakłęk i nawoływań podczas szybko zapadającego zmroku zdołałem zebrać około siebie do 200 ludzi i wyprowadziłem ich w pole, a następnie po jakiejś godzinie marszu doprowadziłem ich do dworu do Płaskowic czy Starachowic, opuszczonego przez właścicieli, gdzie noc przepędziliśmy nie bardzo przyjemnie, o sobie to tylko mogę powiedzieć, że byłem zupełnie zhebesowany.

Ta panika, wywołana dwoma ślepymi strzałami, niszcząca w jednej chwili owoc ciężkiej, kilkumiesięcznej krwawej pracy, zdruzgotała mnie chwilowo zupełnie, nie byłem zdolny do niczego — i gdy nadszedł poranek, automatycznie powlokłem się z pozostałą mi gromadą ludzi w stronę Maluszyna, skąd spodziewałem się nadejścia furmanek, nakazanych przez wysłanych kurierów po nieudanym starciu pod Trzepnicą.

Po paru godzinach wlokącego się marszu, rankiem około 7-ej dnia 1 lipca 1863 r. dociągnąłem do jakiejś wioski, której nazwiska ani wówczas ani dzisiaj nie pamiętam, gdzieś w kierunku od Przedborza ku Maluszynowi, gdzie spotkałem Lütticha z uprowadzonym z ognia dnia wczorajszego półszwadronem kawalerii i do 100 strzelców i kosynierów jego przykładem pociągniętych. Zgoła znalazłem się z kupą zaledwie 400 ludzi liczącą, zgłodniałą, zmęczoną i znacznie rozbrojoną przez porzucenie broni i amunicji, jednym słowem, zdemoralizowaną i niezdolną do żadnego oporu. A miałem w perspektywie w każdej niemal chwili atak bądź ze strony kolumny jenerała Radin, z którym się wczoraj wieczór rozstałem pod Płaskowicami, bądź ze strony jenerała Czyngerego, który po spotkaniu pod Trzepnicą musiał powracać w kierunku na Przedbórz na swe kwatery do Kielc.

Z 1700 ludzi, z którymi nie mogłem na pewno przyjmować spotkania, była jednakże możliwość działania, z 400 zdemoralizowanymi — nic prócz niewoli, bo i na krwawy opór nie mogłem rachować. A przede wszystkim byłem sam zdemoralizowany: trudy, znużenie, głód i ta panika, która mi rozproszyła oddział, bezmyślnym mnie uczyniły chwilowo, pozbawiając właściwej mi energii i jasnego pojęcia na stan rzeczy.

I oto po pięciu miesiącach nieustannej walki i trudów obozowych popełniłem czyn, za którego się jeszcze dzisiaj rumienię — rozpuściłem tę resztkę oddziału, która się obok mnie znajdowała, a kazawszy broń przechować i oddawszy komendę nad skompletowanym szwadronem kawalerii Romanowi Bocheńskiemu (z powodu powrotu w godzinę po rozpuszczeniu oddziału półszwadronu, wysłanego przed kilkoma dniami na oddzielną ekspedycję), zaleciłem oficerom nie wydalac się z okolicy, w której nastąpiła katastrofa, gdyż w kilka dni nadeśle im wiadomość o punkcie zbornym, na którego z zebranymi ludźmi i bronią stawić się powinni.

Z tym wyjechałem już na bryczce z adiutantem mym kapitanem Wincentym Walewskim i udałem się dla odszukania wówczas już generała Edmunda Taczanowskiego i Naczelnika sił zbrojnych województwa kaliskiego i mazowieckiego; odnalazłszy go w m. Warta z szwadronem formującego się wówczas I pułku ułanów, zdałem mu ustnie szczegółowy raport tak o wypadkach mego oddziału z ostatnich dni czerwca, jak o rozpuszczeniu oddziału i możliwości jego sformowania, oddając się bądź pod sąd za przekroczenie, bądź żądając upoważnienia do zebrania i sformowania chwilowo rozpuszczonego oddziału.

Prośba moja ani w jednym kierunku, ani w drugim nie została wysłuchaną. Zostałem chwilowo, jak to mówią, „do dyspozycji“, następnie chciano mi oddawać zarządy wojskowe w innych województwach bądź na prawym brzegu Wisły, bądź na Litwie położonych, ku czemu nawet osobiście tentował p. Agaton Giller. Odrzuciłem wszelkie propozycje i wstąpiłem do formującej się wówczas brygady kawaleryjskiej Taczanowskiego w charakterze wolontariusza, nie przyjmując żadnej komendy ani obowiązków z służbą czynną związanych.

Przeciąg parotygodniowych tych niby prowadzonych ze mną pertraktacyj był zupełnie wystarczającym, ażeby pozostawiony szwadron pod komendą Romana Bocheńskiego został rozbity przez kozaków, w którym to starciu między zabitymi i rannymi pozostał na placu jako zabity kilkunastu ranami pokryty Bocheński, i żeby rozproszeni i rozpuszczeni ludzie mego oddziału w przeważnej części wstąpili do

formującego się wówczas oddziału Zygmunta Chmiieleńskiego, któren oparłszy się na żołnierzu już więcej wyrobionym i zaprawionym do karności, mógł skuteczniej i zaszczytniej działalność swoją rozpocząć i dalej ją prowadzić, nie przechodząc ciężkiej szkoły wyrobienia z rekruta jakiego takiego żołnierza. Wystarczył nawet i na to, ażeby nie dopuściwszy mnie do sformowania oddziału odjąć mi zarząd wojskowy nad powiatami i oddać takowy tak nazwanemu „pułkownikowi“ świeżo upieczonemu z odstawnego sztabs-kapitana p. Izydora Kopernickiego, a szwagra p. Agatona Gillera, człowiekowi, któren prócz nędznego tchórzostwa i nepotyzmu bodaj innymi cnotami nie odznaczał się w swej karierze wyższego oficera polskiego.

Ówczesny Rząd Narodowy, prawda, iż złożony przeważnie z reakcji, której największym bólem i zniewagą był samoistny rozwój sił narodowych, lecz upačkany w ohydną politykę Czartoryszczyzny („obcej interwencji“), przez dobrze zrozumiany interes, że tylko rzeczą żywą ludzie się zajmują, a martwa jest przedmiotem historii, — powinien był zamiast kopnięcia i odsunięcia utrzymać przy sobie, choćby jako rezerwę na wszelki wypadek, ludzi wybitniejszych czy energią, odwagą i wytrwałością, a którzy już w paroletniej działalności konspiracyjnej przedpowstańczej i w kilkomiesięcznej samoistnej akcji zbrojnej złożyli dowody swej wartości i którzy tylko stali wobec tych powag papierowych pod tym głównie zarzutem, że nie posiadając wąsów ani innej ornamentyki swej twarzy, nie mogą godnie spełniać swego wybitnego stanowiska. Zamiast zarezerwowania chwilowo zdemoralizowanego człowieka do przyszłej pracy — kopnęli go, jako rzecz bezwartościową, nie przedstawiającą w danej chwili żadnego oporu i przeszli nad nim do porządku dziennego zadowoleni, że skończyli swój kłopot z niespokojnym, bo goręcej odczuwającym człowiekiem.

III. LIPIEC, SIERPIEŃ

Z KAWALERIĄ GENERAŁA TACZANOWSKIEGO

Łask, Złoczew, Brodnia, Wrzeszczewice, Sędziejewice

Zostawszy wolontariuszem w brygadzie Taczanowskiego, przyglądać się zacząłem bacznie jej formacji jak niemniej jej dowódcy i wybitniejszym oficerom w skład tej brygady wchodzącym. Po parotygodniowej obserwacji, podczas której to błogie „dolce far niente“ przy obfitym i smacznym posiłku i na mój wygląd korzystnie oddziało, przyszedłem do przekonania, że poważni dowódcy, umiejący się

szanować, a nie jacyś urwipołcie, mogą nawet w naszym powstaniu, trzymając się ściśle instrukcji Rządu Narodowego („przewlec powstanie“ do czasu interwencji), mogą, mówię, przespać się dobrze, notabene pod dobrym dachem i na wygodnych łóżach, nawet w razie potrzeby ugarniowanych, najść się dobrze i smacznie, i mieć nawet dla uprzyjemnienia sobie chwil dosyć dobrane i przyjemne towarzystwo, a oddziały, niby mustrowane przez ich oficerów podkomendnych, zamiast niepotrzebnie narażać się na kule ołowiane, ba, czasami i żelazne, a nawet na cięcia i pchnięcia, mają stanowić osłonę dostojnych tych naczelników. Oczy mi się roztworzyły, żałowałem, że już nie zaliczałem się do kategorii tych dostojnych wybrańców, lecz żal przyszedł po niewczasie, przeto dla zagłuszenia go jeszcze pilniej przyglądałem się mustrom i posturze ułana polskiego.

Z pierwszej — nie byłem w zupełności zadowolony. Komendy wydawane przez rotmistrzów szwadronowych: „baczność“, „od prawego do lewego odlicz się“, „trójkami w prawo zajdź“, „trzema na prawo w tył zajdź“ i „trzema na lewo do frontu zachodź“ — wypadały poprawnie i były wykonane dokładnie. Nieco już ujemniej wypadały komendy odłamywania się od prawego plutonami dla sformowania kolumny plutonowej, gdyż u niektórych pp. szwadronistów pojawiły się w rękach małe książeczki, z których komendy czytano; gdym się zdziwił tym zjawiskiem dla żołnierza nadprzyrodzonym, objaśniono mnie, że ich używają oficerowie wyszli z armii pruskiej, którzy nie zdołali się jeszcze do tego czasu nauczyć komendy polskiej, na co odrzekłem, iż pp. pułkownicy powinni ułatwić tym panom naukę polskiego regulaminu sadzając ich do kozy o mniej wykwintnym wikcie, w której z braku innych rozrywek zapoznają się gruntowniej z regulaminem.

Żołnierze zaś przy wykonywaniu tego ruchu, nie mając rutyny wyrobienia i nie przestrzegając niezbędnej odległości między sobą w ciągnięciu ku prawemu ze skosa, najeżdżając się gnietli sobie golenie, tworząc zamieszanie — przy formacji tej wykonanej stępo. Pomyślałem, bacznie ten manewr obserwując, co się stanie z ludźmi i końmi przy manewrowaniu szwadronu choćby tylko kłusem lub galopem, bez użycia pędu, przy formacji frontu bądź na komendę „baczność, formuj front w lewo, dyrekcja na prawo“, bądź na komendę „baczność, formuj szwadron, dyrekcja do środka“, a ta ciekawość niepotrzebna spowodowała, żem się zbliżył do dowódcy I pułku ułanów pułkownika Matuszewicza, dobrego i dzielnego szwadronisty, lecz za słabego i za miękkiego pułkownika, i zaproponowałem mu

wydanie rozkazu manewrującemu szwadronowi, ażeby wykonał obydwie te formacje z kolumny plutonowej od prawego.

Obydwie te formacje zostały wykonane po różnych instrukcjach wstępnych, zapowiedziach i niedokładnościach, a ich rezultatem był brak kilkunastu ułanów w szeregach rozwiniętego szwadronu, spadłych z koni przy wykonywaniu formacji.

Miałem już dosyć tej ciekawości, nie chciałem już więcej kompromitować oficerów komenderujących z książki i być powodem guzów większych lub mniejszych u spadłych z koni ułanów. Powróciłem do sztabu tak nazwanego, a ta moja ciekawość wyrobiła mi u oficerów przymiotnik „wściubskiego“, któren wsadza swój nos tam, gdzie nie potrzeba.

A jednakże ta ciekawość przydała się na coś. Jakoś w tydzień po jej zadowoleniu zaproponował mi brygadier Taczanowski lustrację mustrujących się szwadronów, na której zauważyłem, że nie ma już w rękach oficerów książeczek regulaminowych. Wychodziła wprawdzie komenda z ich ust jeszcze niepewna i niezbyt dokładna, ale postęp był znaczny, a przecież od razu Krakowa nie zbudowano; a i w manewrach wykonywanych przez szwadrony widziałem z przyjemnością, że moja nauka w las nie poszła, znać było bowiem widoczne, znaczne postępy w formacjach frontu i szwadronu, co pokazywało kilkunastu pracą nad żołnierzem ze strony pp. oficerów.

Lecz diabeł ciekawości popychał mnie naprzód i kiedy już dla wyrobienia oficera i żołnierza przechodzono po raz trzeci formowanie z rozwiniętego frontu kolumny plutonowej od prawego i odwrotnie, podsunąłem Taczanowskiemu myśl, aby kazał spróbować, jak uda się szarża frontem rozwiniętym, lecz żeby w samym impecie ataku „marsz, marsz“ ułani drugiego szeregu nie składali broni do ataku, lecz trzymali ją przy ramieniu dla bezpieczeństwa pierwszego szeregu. Rozkaz został wydany i wykonany, lecz skutek przeszedł nawet me przypuszczenia: przynajmniej piąta część szwadronu wysadzona została z siodła, ściśnięcie było tak silne, że kilku ułanów z zgniecionymi nogami niezdolni byli do prędkiej służby, potrzebowali kuracji.

Próba ta jednak wywołała dobre skutki. Ułan przeznaczony jest jedynie do atakowania, a zatem tak on jak i koń, na którym siedzi, powinni stanowić jedną nierozdzieloną całość, tylko w szalonym pędzie brawury roztrącającym nieprzyjaciela — potrzeba tę całość do takowego pędu przygotować i zaprawić, ażeby koń w tym pędzie, czołgający niemal brzuchem po ziemi, mógł schwycić chrapami dosyć powietrza, jak i schylony na nim ułan z lancą do ataku nie był zemdlony

brakiem takowego; potrzeba przez wyrobienie człowieka i konia w takim pędzie wzwyczać ich do utrzymania dystansu nie dopuszczającego gnienienia goleni i wysadzania z siodeł.

W tym też kierunku rozpoczęły się ćwiczenia i manewra ułanów, nie doprowadziły one do zupełnie odpowiedniego rezultatu, gdyż prawie połowa tej brygady po łacinie jazdę konną wykonywała, lecz po paru tygodniach urlopu, kiedy wróciwszy do brygady znalazłem się na mustrze, zobaczyłem, iż brygada w manewrowaniu zrobiła znaczne postępy i można było przypuszczać, iż po jakimś miesiącu dalszych ćwiczeń można ją będzie poprowadzić na nieprzyjaciela.

Co do postury brygady, to jest jej wyglądu zewnętrznego, była ona aż niemal zanadto piękną i bogatą na biedny nasz kraj i biedniejsze powstanie, nie ustępowała ona z wyglądu zewnętrznego żadnej brygadzie regularnej kawalerii. Wyobraźcie sobie, szanowni czytelnicy, tę brygadę złożoną z dwóch pułków ułanów, każdy z czterech szwadronów po 150 ludzi, siedzącą na koniach dobieranych co do miary po 16, a co do maści — szwadronami, ubraną jednakowo aż do guzika w granatowe ułanki z amarantowymi wyłogami, takimiż kołnierzami i mankietami, o spodniach granatowych z amarantowym lampasem i mającą głowy okryte ułańskimi kaszkietami o srebrnych orłach. Widok jej był zaiste imponujący. Ta sama szlachta kaliska, podczas swego konfederackiego wystąpienia kwietniowego ceniąca swe życie i zdrowie zbyt wysoko i dlatego zbyt szybko do domów ulatniająca się, nie żałowała na wyekwipowanie tych ułanów — i sprawdziło się przysłowie „zastaw się, a postaw się”: wystawiła swymi pieniędzmi tę brygadę o sile 1200 koni hojnie i wspaniale i tę jej można oddać sprawiedliwość, iż nie tylko cała jej prawie młodzież do niej wstąpiła, lecz, co większa, przez cały czas jej dwumiesięcznej egzystencji, to jest przez lipiec i sierpień 1863 r., dostatkowo ją w prowianty dla ludzi i koni zaopatrywała.

Duszą organizacji, która tę formację stworzyła, był podpułkownik Pini, szef sztabu Taczanowskiego — a nie tylko jako dowódca brygady kawaleryjskiej, lecz głównie jako szef sztabu Naczelnika sił zbrojnych województwa kaliskiego i mazowieckiego, człowiek może o niewysokiej wartości moralnej, a jako oficer czynny w ogniu bez żadnej wartości, bo tracący przytomność na pierwszy świst kuli moskiewskiej i w takich wypadkach wódką się wzmacniający, lecz człowiek wysokiej inteligencji i wykształcenia, wyrobiony w tym kierunku fachowo podczas formacji legionów polskich w 1848/9 na Węgrzech, gdzie w stopniu kapitana zaliczał się do najlepszych oficerów.

Oparłszy się na pracach przygotowawczych Bronisława Ruckiego i Stanisława Szachowskiego i na środkach przez nich przygotowanych, uzbroił, umontował i ubrał wspomnianą brygadę u przemysłowców i przedsiębiorców w Wrocławiu i ich drogami wprowadził je do kraju, nie wymagając ani życząc sobie żadnej posługi i poświęceń ze strony obywatelskiej organizacji.

Ta tylko droga jest jedynie odpowiednią dla ludów w niewoli jęczących do uzbajania się: nie powierzać ludziom w tym kierunku niefachowym, mimo nawet ich najgorętszego patriotyzmu, spełniania tej funkcji, kaźden nasz handlarz wyznania mojżeszowego w imię swojego własnego interesu wykona ją dokładniej, niż najwięcej poważna senatorska głowa, nie mająca pod tym względem żadnej rutyny ani doświadczenia.

Przyszłe pokolenia, jeżeli zapragną kiedyś odzyskać godność człowieka, bo dziś mimo swych wszystkich świństw i elukubracyj secesyjnych są li tylko trzodą niewolniczego bydła, — niech pamiętają, że kaźda wojna, a tym samym i wojna o niepodległość i zdobycie z nią człowieczeństwa, wymaga pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, lecz użycie tych pieniędzy winno być poruczone nie krzykaczom patriotycznym, lecz ludziom dobrej woli fachowo w tym kierunku wykształconym, kupcy do tego najlepiej się nadają.

Kiedym się bacznie przyglądał formacji tej brygady kawaleryjskiej, zapytałem Taczanowskiego, jak stoi sprawa z formacją piechoty, która, jako broń główna w kaźdej armii, wymaga równoczesnej organizacji.

Odpowiedział mi, iż rozpoczął organizację wojska od formacji kawalerii, której pułk o czterech szwadronach znajduje się także w województwie mazowieckim pod dowództwem Calliera, dlatego iż ta broń wymaga więcej wyrobienia, i dopiero po doprowadzeniu jej do stanu odpowiedniego przystąpi do ogólnej formacji piechoty w powierzonych mu województwach, ku czemu ma już sprowadzonych przeszło 2000 karabinów.

Zgodziłem się z jego poglądami, gdyż miały słuszość za sobą, i przez czas jakiś cieszyłem się nadzieją, iż może z tej arlekińsko-krwawej szopki coś trwalszego się zbuduje, gdy po upływie paru tygodni, a zatem około 10 sierpnia 1863 r. pokazał mi Taczanowski otrzymany dnieniem pierwszej rozkaz Rządu Narodowego, doręczony mu osobiście przez przybyłego do obozu nadzwyczajnego komisarza p. Agatona Gillera, którym mu zabraniają wywołania ogólnego ruchu powstania na 15 sierpnia wyznaczonego, zalecając tylko dalszą formację kawalerii

i pojedynczych niewielkich oddziałów pieszych celem niezbyt krwawego przeciągnięcia powstania do czasu mającej nastąpić interwencji.

Gdym rozkaz ten przeczytał, zapytał mnie, co bym robił będąc na jego miejscu. Odpowiedziałem natychmiast: „Nie usłuchałbym, zamiast zastosowania się do niego wprowadziłbym w wykonanie zarządzenie wydane ogólnego ruchu na dzień 15 sierpnia 1863 r., a mając zbrojne siły za sobą gadałbym dopiero z ludźmi od zielonego stolika“. Przedstawiłem mu, iż wobec wzmocnionego ruchu zbrojnego, jaki wówczas zapanował w krakowskim i sandomierskim, lubelskim i podlaskim, ruch masowy w województwach jego komendzie oddanych nie tylko oddziałaby korzystnie na sprawę powstania i przychylniej na nie spoglądałaby zagranica, ale i jemu samemu akcja wykonana, do której pracowicie dążył, dałaby uznanie i sławę dobrze obmyślanego czynu.

Zdawało mi się, iż moje uwagi dodatnio wpłynęły na niego, mruzczał i okazywał niezadowolenie z otrzymanego rozkazu od pisarków, w końcu zapytał się, co robić z Gillerem. Odpowiedziałem mu: „Nic“. — „Jakto nic?“ — „Robić wszystko i szybko, ażeby zarządzenia na 15 sierpnia wypadły jak najlepiej, z Gillerem nic nie gadać o przywiezionym przezeń rozkazie, mając St. Frankowskiego, Calliera w mazowieckim, a St. Szachowskiego i siebie w kaliskim. Człowiek obcy i nie związany z organizacją, jakim jest Giller, nie może stanowić przeszkody w twoich zarządzeniach, gdyby zaś, czego się nie spodziewam, chciał coś szkodliwego przedsiębrać — uczynić to niemożliwym, dodając mu nieustającą straż honorową niemą, jednym słowem, z całym szacunkiem przynależnym jego stanowisku zatrzymać go u siebie w obozie do owego 15 sierpnia, a po nim odesłać go pięknym powozem“.

Rady moje i przedstawienia nie poskutkowały, spotkany jeszcze tego wieczora p. Agaton Giller jeszcze lepiej uśmiechał się do mnie swymi żółto-koszlawymi zębami, jakby mi chciał podziękować za pełen szacunku sposób obejścia się z dostojną jego osobą w razie chwilowego przetrzymania go w obozie. Widząc, iż dobre zamiary Taczanowskiego pozostaną tylko w krainie dobrych chęci i będą kiedyś służyć, jako materiał do wybrukowania drogi do piekła, usunąłem się chwilowo z obozu.

O Taczanowskim mówiąc z epoki naszego powstania, trzeba by go odzwierciedlić zewnątrz i wewnątrz, aby ukazać jego cnoty i wady, jego dodatnie i ujemne strony, jego nawet dobrze nadwątlony organizm, zgoda stworzyć z niego postać uplastycznioną a prawdziwą,

gdyż owa figura przez cztery prawie miesiące absorbowiała siły żywotne dwóch województw, do półtora miliona mieszkańców liczących.

Człowiek ten, wówczas przeszło czterdziestoletni o wyglądzie i znamionach lat pięćdziesięciu, którego młodość w artylerii pruskiej spędzona wyrobiła niezłego oficera podkomendnego, a moralne usposobienie zapędziło w szeregi powstańców poznańskich w r. 1848, a następnie do Rzymu obleganego przez Francuzów, gdzie w charakterze adiutanta pełnił zaszczytnie służbę pod Garibaldim, — był bez zaprzeczenia człowiekiem dobrej woli i gorącego patriotyzmu, którym się całe życie kierował i w imię którego umiał wejść do związku organizacyjnego w r. 1862 pod egidą Działyńskiego, aby po jego wykryciu przez Prusaków wejść do akcji zbrojnej z połączonymi z nią wszelkimi konsekwencjami.

Wystąpieniu jego towarzyszyły pozostała w domu młoda i piękna żona wraz z dwojgiem drobnych dzieci oraz niepewność, co zrobią naturalni opiekunowie Prusacy z bardzo znacznym jego majątkiem ziemskim, gdyż jakkolwiek sekwestracja dochodów w takim wypadku zaprowadzana przemawiała korzystnie za administracją pruską, wzorową niemal podówczas, niepewność swej doli i swej rodziny nie mogła się przyczynić dodatnio do przyspieszonego wejścia na pole walki orężnej.

I niech sobie co chcą mówią młodzi ludzie o równości spełnienia obowiązków: inną jednakże jest skala dla dwudziestolatków, a inną dla ludzi już późniejszego dobiegających wieku, posiadających rodzinę i pozostawiających ją bez opieki naturalnej.

Młodego człowieka jest prostym psim obowiązkiem, przyjętym w chwili jego urodzenia, walczyć i zginąć za prawo i wolność tej ziemi, na której się urodził, a jeżeli tego nie uczynił — to nie jest jej dzieckiem, lecz podłym zaprzańcem i renegatem, na którego kaźden ucziwy i obowiązkowy człowiek plunąć powinien z pogardą i wstrętem.

Inną była pozycja Taczanowskiego; on już w młodości spłacał ten dług naturalny, a jeżeli w piętnaście lat później, przy zmienionych warunkach jego położenia rozstał się z wszystkim, co mu było najdroższe, i w wieku przyzwyczajonym do wygod rzucił się na niepewne a raczej zaprzepaszczone pole działania, musiał ten duch jego być nie filisterskim i dopomógł mu pokazać młodym drogę krwawego obowiązku.

Moralna strona Taczanowskiego przedstawiała się dodatnio — nie można mu było zarzucić ani braku rzeczywistego patriotyzmu, ani braku dobrych chęci, z którymi całe życie przeszedł. Brakowało mu

przy wykształceniu fachowym wyższym woli i energii, a wskutek potargania nerwów — tej chłodnej odwagi, która znamionować winna każdego wyższego oficera.

Jego uleganie wpływom ostatniego słowa, wpływom nieraz podchlebczym, gnuśność jego i apatia w chwilach decydujących i nerwowe wstrząśnienia podczas akcji czynnej, które go ubezwładniały umysłowo, czyniły go niemożliwym do kierownictwa podczas krwawej rozprawy, a na nieszczęście dla sprawy i dla niego — jego szef sztabu, podpułkownik Pini (w takich wypadkach z racji nerwów zalewający się alkoholem) nie mógł go stosownie zastąpić.

Ludzie ci obydwaj, można śmiało powiedzieć, inteligentni, fachowo wykształceni i najlepszych chęci, gdyby byli przeznaczeni dla tych województw li tylko w charakterze organizatorów siły zbrojnej albo intendentów, mogli byli oddać sprawie powstania rzeczywiste usługi, pozostawieni zaś przy komendzie — zmarnowali w sposób jak najlichszy owoc swej ciężkiej i kosztownej pracy.

Dopóki przyświecała mu myśl wywołania masowego powstania, dopóty ten sam Taczanowski krzątał się około jej zrealizowania zważając, gdy zaś rozkaz Rządu Narodowego ubezwładnił jego działalność w tym kierunku, zgodził się na łatwiejszy sposób służby powstańczej, a biorąc podćwiczoną swą brygadę jako swą eskortę, mógł pod jej osłoną używać snu spokojnego i wygodnego, nie obawiając się raptownego napadu, mogącego być wykonanym tylko kawalerią, gdyż tej kawalerii moskiewskiej w owych czasach tak jakby nie było w województwie kaliskim. Siły jej bowiem podówczas składały się z dwóch szwadronów huzarów stojących w Kaliszu, z jednego szwadronu stojącego w Koninie i jednego szwadronu w Piotrkowie, a zatem rozłożonych na krańcach województwa, i z sześciu do ośmiu niekompletnych, dobrze przetrzebionych sotni kozackich, stacjonowanych przy komendach po miastach powiatowych. Siły to, w razie ich skoncentrowania i wspomagania bądź artylerią bądź raketnikami, zapewne dostateczne dla rozbicia jeszcze nie wyrobionej brygady polskich ułanów, ale nie przedstawiające poważnego niebezpieczeństwa ze strony pojedynczych komend, bo jak prawdziwą niszczącą zarazą były w naszym powstaniu naczelne i samoistne dowództwa każdego niemal oddziału, tak i komendy moskiewskie niewiele się od nas różniły w swym postępowaniu; lubili się ich komendanci bawić w naczelnych wodzów, a naszą jest tylko winą, żeśmy z tego skorzystać nie umieli.

Naszukiwawszy osobę Taczanowskiego ze stanowiska moralnego i zaznaczywszy moskiewskie siły kawaleryjskie i ich rozłożenie, czas

przystąpić do działań wojennych tej brygady, aby przeszedłszy po kolei starcia, przez jakie przechodziła, dojść do jej niezaszczytnego rozsypania się.

A naprzód w drugiej połowie lipca 1863 r., daty nie wiem dokładnie, gdyż osobiście udziału nie brałem, Taczanowski na czele sformowanego już wówczas lecz niewyrobitego dywizjonu ułanów w sile dwóch szwadronów po 150 koni — czy pragnął zwiedzić pobojowiska swej wiosennej kampanii, czy też osobiście rozejrzeć się w organizacji, udał się w powiat koniński w okolicę Łądku i tam, dopędzony przez jednego z najlepszych jenerałów moskiewskich Kostendę¹⁾ na czele jednego szwadronu huzarów, jednej sotni kozaków i dwóch dział, tylko dzięki szybkiemu cofnięciu się po nadejściu kozaków i przytomnemu przeprowianiu się przez Wartę pod komendą majora Matuszewicza, dobrego żołnierza i oficera z kampanii węgierskiej i Sadyka Paszy, wyszedł obronną ręką z nieznacznymi stratami i cofnął się w Sieradzkę, gdzie zmieniając niemal codziennie stanowiska i ściągając do siebie formujące się po okolicznych powiatach szwadrony mustrował je i ćwiczył wojskowo.

Droga jego marszów wypadła mu po środkowym, bezleśnym terenie województwa, więc zakreślał koło owalne: Błaszki, Złoczew, Pajęczno, Widawa, Łask, Warta, na nim się znajdujące, i ile razy je obszedł — nie wiem, lecz ciemnym wieczorem dnia 5 sierpnia 1863 r. rozkaz był wydany brygadzie do natychmiastowego wymarszu. Gdyśmy z milę drogi zrobili, zatrzymano nas na drodze pod lasem tuż obok drogi leżącym i przeciętym szosą, w kierunku tuż niedalekiego Łasku leżącą, i zwrócono całą brygadę frontem ku polom. Staliśmy jak widze na weselu z dobre pół godziny, nie wiedząc po co i na co, gdy rozkaz nadszedł, ażeby ułani gotowe mieli pistolety; nic a nic nie rozumiałem — ani zatrzymania się frontem rozwiniętej brygady pod lasem, ani komendy „pistolety z olster“, spodziewałem się tylko jakiejś niezwykłej szopki, która się wkrótce pokazała.

W kilka minut po komendzie z pistoletami, zaszłopotało coś na szosie prowadzącej od Sieradza do Łasku, a w punkcie krzyżowania się drogi, na której staliśmy, z wyż wspomnianą szosą — huknęła ogień szwadronu flankierskiego uzbrojonego w odtylcowe dubeltówki i rozświecił panującą ciemnicę. Na huk tego wystrzału, jakby na komendę, zaczęły się sypać strzały całej brygady, oświecając pozycję rozwiniętego frontu ośmiu szwadronów. Po strzałach szwadronu flan-

¹⁾ Kostanda, przyp. wyd.

kierskiego widać było w popłochu nawracającą awangardę z kozaków, a w parę minut później sygnał moskiewski oznajmił rozsypanie się piechoty w łańcuch tyralierski, z którego zaczęły sypać się strzały na oświecony głupio front rozwiniętej brygady. Kto ten głupi manewr i jeszcze głupiej urządzoną zasadzkę zarządził — nie wiem, bom się o autora nie dopytywałem, lecz ktokolwiek on był, tym konceptem i tym wykonaniem zdobył sobie raz na zawsze sławę dwuusznego.

Pod tym ogniem, prawda, że nie szkodliwym, gdyż z odległości jakich 1000 kroków i wśród ciemności nocnej prowadzonym, cała brygada wtoczyła się na szosę i dobrym kłusem podążyła do Łasku, a Moskale, nie nadużywając swej przewagi zwycięzców, cofnęli się rozważnie do Sieradza. Z tej całej tylko szopki najciekawszym był rozkaz przysłany ze sztabu — użycia przez ułanów pistoletów do niewidzialnego nieprzyjaciela i może na 1000 kroków oddalonego, którymi oświecił zajmowaną przez siebie pozycję. Czyżby chciał się pochwalić nagromadzonymi siłami — a może, korzystając z nadarzonej sposobności, kazał przestrzelić niewinne dotąd pistolety.

I znowu nastąpiła paratygodniowa cisza, spokojna i wygodna, co parę dni przyjemnym przerywana spacerem, ugarniowana smacznyimi obiadami i odwiedzinami ładnych sąsiednich buziaków. I znowu staliśmy u cioci Glotz, jak ją Taczanowski nazywał, gdzie nawet stało się zadość wyrokowi sprawiedliwości, dokonany na kobiecie, podobno młodej i przystojnej Polce, zabitej przez powieszenie.

Wiadomo, iż w czasie wojny wszelki posłaniec, kurier, wreszcie szpieg, działający na posługach nieprzyjaciela i złapany z dowodami swej czynności, jest karany śmiercią przez powieszenie, a ponieważ w owym czasie dla niepewności poczt i telegrafów ważniejsze porozumiewanie się między sobą komend wojskowych odbywało się za pośrednictwem pięknych Polek, krańcowo jak zwykle postępujących, otóż i w tym wypadku ujęta została jakaś donna majorska, a znalezione przy niej depesze moskiewskie przyczyniły się do skrócenia dni jej żywota. I wszystko byłoby najlepiej się stało na tym najlepszym świecie, gdyby nie owo przeklęte „gdyby“, wiecznie niepotrzebnie mieszejące się jak Piłat w Credo w sprawy ludzkie. Otóż podsadną po zapadłym wyroku osadzono w domu cioci Glotz na piętrze, stawiając strażę ułańską przy drzwiach na korytarzu i pod oknem pokoju zasądzonej; i znowu wszystko odbywałoby się w przykładowym porządku, gdyby nie opisujący te sceny, któren wracając z jakiejś nocnej wycieczki stanął przed domem, w którym sztab się mieścił, i ujrzał cudowny widok. Na drabinie opartej na ziemi, a drugim

końcem wchodzącej w otwarte okno zasądzonej, stało sześciu czy siedmiu ułanów na szczeblach i w miarę wchodzenia pierwszego do pokoju pozostali posuwali się o stopień na drabinie, robiąc tym samym miejsce dla współbiedniaka kolei swej wyczekującego w tej nocnej i wzniosłej pielgrzymce. Domyśliłem się współudziału dla nieszczęśliwej i wszedłszy do domu odszukałem w pokoju służbowym rotmistrza bodaj 2-go szwadronu p. Miłkowskiego straż tej nocy pełniącego, mizdrzącego się do jakiejś pokojówki, a powiedziawszy mu o owej abrahamowej drabinie, osadzonej gęsto ułanami spieszącymi do raju, kazałem mu porządek przyprować.

Nie wspominałbym o tym wstrętnie zwierzęcym zdarzeniu, gdyby podobny wypadek, chociaż mniej wstrętny, nie pociągnął za sobą wyroku śmierci, wydanego przeciwko dowódcy oddziału Iskrze, wykonanego przez dowódcę oddziału Zygmunta Chmieleńskiego przez rozstrzelanie. Tu i tam dokonany był gwałt na kobiecie, tu i tam byli winni i powinni byli być ukarani, tylko że w pierwszym wypadku, jakkolwiek była przeszłość tej kobiety, była ona ofiarą, gdy w drugim wypadku, podług opinii ludzi pod komendą Iskry służących, ta młoda szlachcianeczka swą godność nie tylko samemu Iskrze ofiarowywała, mieli się nią cieszyć i inni wybrani, a Iskra, jako dowodzący, zatem odpowiadający za postęпки swych podkomendnych, za swą bezkarną tolerancję zapłacił życiem. Gdyby sprawiedliwość była Bożą, możeby wyroki były zapadły w obu tych wypadkach nieco odmiennie, a jakkolwiek wyroki często rozpoczynają się w imię Boga — jesteśmy ludźmi i jako tacy nieraz błędzającymi. Szanujmy jednakże wyroki, gdyż podług ojców kościoła wszystko pochodzi i wychodzi z Opatrzności Boskiej i bez tej zasady nie można by było utrzymać hierarchii społecznej, milczeć zatem i nie filozofować, stało się, bo się stać musiało.

Na drugi dzień przed wieczorem, po wykonaniu wyroku na skazanej, opuściliśmy po raz ostatni naszą kochaną ciocię Glotz i omijając Błaszki pociągnęła brygada w kierunku na Złoczew, dokąd późnym rankiem przybyliśmy i stanęliśmy w dniu 20 sierpnia 1863 r.

Jadąc w bliskości sztabu podczas pięknej gwiaździstej nocy zauważyłem spadanie gwiazd, tak nazwane przez lud wiejski, od którego w młodości uczyłem się astronomii, tylko iż dosyć dziwnie to spadanie wyglądało, gdyż zamiast kierunku od horyzontu ku ziemi miało kierunek odwrotny i robiło wrażenie puszczanych rac fajerwerkowych.

Gdym jeszcze jedną zauważył, przekonany byłem, iż były to sygnały dawane przez jedną kolumnę drugiej co do kierunku marszu,

a zbliżywszy się do Taczanowskiego i obok niego jadącego Piniego, oświadczyłem im, że mamy w odległości może paru mil na prawym naszym skrzydle kolumnę moskiewską, prawie równoległą do nas postępującą.

Zdziwione prawdopodobnie ich miny i wyrzucone równocześnie zapytania, skąd ja wiem o tym, wskazały mi, że nasz wymarsz nadwieczorny wypływał skutkiem otrzymanego zawiadomienia o wymarszu kolumny kaliskiej, a ta powiadomiona o jego wymarszu przez podesłanych kozaków i znając rutę jego marszów — zdążyła w tym samym kierunku, sygnałami oświecając boczne rozjazdowe oddziały o kierunku swego marszu.

Nie mówiłem im o mych poglądach, tylko kazałem im baczenie obserwować gwiazdzisty firmament od strony zachodu, to jest po prawej naszej stronie, a w parę chwil później wylatująca z ziemi raca i rozsypująca się pod firmamentem przekonała ich o uświetnionej fajerkami uczcie, wyprawianej w cześć jakiejś solenizantki.

Gdym im przedstawił mój sposób widzenia, znowu się zapytali, na czym opieram me przypuszczenia. Odpowiedziałem im, że umiem czytać nie tylko z książki drukowanej, a poradziwszy im, żeby się mieli na bacności tak w marszu jak i na spodziewanym chwilowym postoju, usunąłem się w tył w stronę nadchodzącego szwadronu. Oburzony widokiem śpiących i kiwających się na terlicach ułanów, trąciłem drzemiącego także jakiegoś rotmistrza, a ukazawszy mu jego kiwaczy, poszukałem jadącego w czole swego pułku przy pierwszym szwadronie pułkownika Matuszewicza. Napiwszy się z jego manierki jakiegoś płynu koniak i wino reprezentującego, powiedziałem mu o moich przypuszczeniach, radząc mu wzmocnić rozjazdy boczne flankierskie i awangardę. Dobry to żołnierz i oficer, wydał natychmiast odpowiednie rozkazy, a gawędząc z nim o jego przeszłości, o kampanii węgierskiej z r. 1848/9 i o organizacji kozaków Sadyka Paszy, dobiliśmy do Złoczewa.

Miasteczko to, przeważnie wyznania mojżeszowego, słyneło wówczas z fabryki wina szampańskiego, toteż po krótkim przespaniu się, spotkawszy Kazmierza Biernackiego, owego delegata szlachty z zjazdu 19 stycznia 1863 r. wysłanego do Komitetu Centralnego, poszliśmy do jakiegoś handlu win, gdzie napitkiem spreparowanym przez Biernackiego, podobnym w części do „boli“, uspokoiliśmy nerwy podrażnione dłuższym marszem i bezsennością.

Wróciwszy po parogodzinnej gawędzie do kwatery sztabu, zauważyłem jakiś ruch niezwykły i niepokój malujący się na twarzach

zebranych około Taczanowskiego oficerów, a gdy podszedłszy do niego zapytałem o przyczynę, odpowiedział mi, że Moskale nadciągają.

Gdym mu przypomniał nocne race sygnałowe, udał że nie przypomina sobie, a gdym go zapytał, czy wysłał rekonesans dla zbadania siły i gatunku broni zbliżającej się kolumny, odpowiedział mi sucho: „Wszystko jest zrobione“. Widziałem, iż dalsze wtrącanie swego nosa w nieswoje sprawy do niczego nie doprowadzi, zrobiwszy przeto na lewo w tył zwrot, wyszedłem na ganek i wsiałem na konia mi podanego — nie patrząc na niego, a tym mniej badając jego wartość, a źle zrobiłem siadając na nieznanego mi konia, zapomniawszy o tej zasadzie, że czym dobra żona w małżeństwie, tym jest koń pewny dla kawalerzysty; ledwie tego zapomnienia głupio nie odpokutowałem, ale to w dalszym ciągu.

Wsiadłszy na konia pojechałem na wskazany mi punkt zborny pod miastem, na którym znalazłem zebraną już brygadę ustawioną w kolumnie szwadronami w odstępach plutonowych, i gdy stojąc i gawędząc z oficerami szwadronu flankierskiego czekaliśmy może z kwadrans jakiego bądź rozkazu, usłyszeliśmy zamiast niego harmider żydowski z głębi miasta dochodzący, w którym wyraźnie rozróżnić było można wykrzykniki „kozaken, kozaken“.

Jak wspomniałem, stałem przed szwadronem flankierskim, uzbrojonym w szable i odcylcowe dubeltówki, i na wrzask żydowski, od którego by padło Jerycho tylko nie te bestie głuche kozaki, jakiś diabeł wyciągnął mi z gardła komendę „szwadron baczność“ i dalej „pierwszy pluton, trójkami od prawego, stępo naprzód marsz“, a będąc w interwale plutonowym między szwadronami dalej ciągnąłem komendę „trójkami na lewo zachodź, marsz“ — i tym ruchem wyprowadziwszy z interwału pluton, kłusem przebiegłszy miasto do punktu krzyżowania się ulic — zobaczyłem o jakie sto kroków na prawo, na wylocie ulicy ku polom stojące dwa działa w tej chwili kartaczami ziejące, a za nimi w asekuracji z pięćdziesięciu kozaków. Dałem rozkaz plutonowi sformowania frontu w lewo, i w chwili kiedy sformowanemu plutonowi miałem wydać komendę „do ataku marsz, marsz“, aby rzucić się na plecami obróconych kozaków, wprzec ich na działa, o kilkanaście kroków przed nimi stojące, i po nich na takowe — gdy widok, jaki mnie uderzył, powstrzymał mi komendę na ustach.

Ujrzałem całą brygadę w jednej kupie pomieszana, uciekającą cwałem w kierunku na Niechmirów i Rychłocice, ostrzeliwaną ogniem kartaczowym i karabinowym — i w jednej chwili zrozumiałem, że nie można myśleć o żadnym ataku plutonem, skoro cała brygada

zmiata w popłochu, i że jedyna droga pozostała mi: złączyć się z uciekającymi jak najprędzej, by coś odpowiedniejszego przedsięwziąć.

Kazałem przeto plutonowi wziąć dubeltówki do ręki, zaleciwszy mierzyć w plecy; na komendę „pal“ runęły strzały z dwururek, zakotłowało się między kozakami, coś się zaczęło zwałać z koni. Zanim wyszli z tej niespodzianki — komendą „na prawo kłusem marsz“ usunąłem pluton spod oka zwracających się ku nam kozaków.

Miałem w tej chwili dosyć ciekawe zdarzenie. Przepuściwszy pluton i zwracając konia na miejscu aby za nim podążyć, runąłem z koniem na ziemię, lecz przytomnie zawsze siedząc stanąłem nogami na ziemi, mając go pod sobą. Mój pluton już się oddalił o jakie sto kroków. Kozacy, ujrzawszy mnie samego, z kwikiem posuwali się do mnie, a ja za całą obronę miałem ostrogi przy butach. Czując nadchodzącą niewolę i wszelkie dalsze konsekwencje, z wściekłością przysiadłszy na siodle, wrażliem w konia ostrogi, a ten wariat jak z procy wyskoczył na cztery nogi i na nich mnie złączył z cofającym się plutonem.

Wszystkie te zdarzenia działy się tak szybko, że wyloty i boki ulic osłonięte artylerią i piechotą strzelającą do uciekającej naszej brygady w ferworze tym najwidoczniej albo zapomniały, albo nie miały czasu odsonić przejść, aby wysłać swą kawalerię w pościg za uciekającą naszą brygadą. To właśnie dało mi możliwość, że obiegłszy z tym plutonem wschodnią stronę miasta bez żadnego spotkania, na tyłach uciekającej brygady zasłoniętej już kurtyną wsi Kamionka mogłem na kilkaset kroków przed nią, a na jakie tysiąc kroków oddalenia od artylerii i piechoty moskiewskiej rozwinąć łańcuch flankierski i osłonić nim cofającą się kawalerię.

Pozycja, jaką zajmowałem, nadawała się wybornie dla wszelkich manewrów i bitwy kawalerii.

Podpułkownik Tarasienko, szef sztabu dywizji generała Bellegarde, widocznie dobrze był obznajmiony z Jominim, gdyż opuściwszy Złoczew z swą komendą w sile dwóch kompanij strzelców, dwóch dział gwintowych, jednego szwadronu huzarów i sotni kozaków, stanął na wyniesieniu przed Złoczewem, mając prawe skrzydło o las oparte. Równina rozciągająca się między obecnie zajmowaną pozycją przez Moskali a zajmowanym przeze mnie stanowiskiem poprzed kurtyną stworzoną przez wieś Kamionkę, poza którą mogły się przysposabiać wszelkie manewra i ataki bądź frontowe, bądź flankowe, — kazała mi utrzymać to stanowisko jak najdłużej.

Spotkałem w tej chwili owego p. Kazimierza Biernackiego, przed godziną jeszcze socjusza przy picciu „boli” złoczewskiej, któren czy nią podrażniony, czy też nie chcąc, jak każdy porządny człowiek, uciekać, kiedy za jego plecami trwa ogień, porzucił uciekających i wrócił na strzały (jego osoba i jego postępek godził mnie z dawną szlachtą, gdyż przy chimerach swych i wrodzonym sobkostwie jeszcze w niej krew falowała i jeszcze w chwili danej umiała odczuć godność i honor człowieka). Podziękowawszy mu za towarzystwo wytłumaczyłem mu, że lepiej i korzystniej uczyni, gdy wróci do Taczanowskiego i bądź go samego z całymi siłami nawróci do bitwy, bądź przynajmniej namówi go do przysłania mi szwadronu ułanów i reszty, to jest trzech plutonów flankierskich, którymi będę mógł zatrzymać Moskali.

Pojechał i dobrze w pół godziny przybyły żądane przeze mnie posiłki. A czas był największy, Tarasienko bowiem, nie chcąc się sprzeciwiać zasadom Jominiego, utrzymał się przy swej pozycji pod lasem z strzelcami i artylerią, lecz zapewne dziwiąc się, co się stało z kawalerią, gdyż widok jednego plutonu nie zadawałniał jego ciekawości, postanowił to zbadać i polecił szwadronowi huzarów, sformowanemu w kolumnie plutonowej od prawego, na flankach i przodzie z kozakami spełnić to zadanie. Gdy się zbliżyli na jakie trzysta kroków od linii moich flankierów, szwadron sformował front i gotował się do ataku, wspierany ogniem nieszkodliwym janczarek kozackich, a ja już zamyslałem o spiesznym wycofaniu plutonu, gdy z wsi, przeciętej niemal w połowie osady drogą, wybiegły kłusem nadeszłe posiłki.

Sformowawszy front z ułanów, a po skrzydłach ustawiwszy po dwa plutony poza sobą flankierów o froncie plutonowym, nakazałem atak, a gdy z galopu wpadliśmy już w pęd konia, na odległość może stu kroków od frontu huzarów moskiewskich sygnał ich „otboj” trąbiony pokazał nam za chwilę końskie ogony pędem gwałtownym rozwiane i zdążające w prostym kierunku na swą piechotę i artylerię.

Przebiegłszy za nimi ze dwieście kroków, kazałem zaprzestać dalszej pogoni, a dawszy komendę „trzema na prawo w tył zajdź” usunąłem szwadrony na dawniejszą pozycję o paręset kroków przed kurtyną, osłaniając manewr ten półszwadronem flankierskim w łańcuchu; przyprowadziwszy szwadrony do frontu, osłoniętego na paręset kroków łańcuchem flankierskim ósemki zataczającym, zatrzymałem się w miejscu, spodziewając się następnego ataku.

Pochwaliwszy ułanów za dokładność w wykonaniu komend i prawdziwie ułański wygląd i dawszy polecenie flankierskiemu szwadro-

nowi, aby w chwili nastąpić mogącego powtórnego ataku nie żalowali tak w ataku jak i w pościgu naboju z swych odtylcówek, stanąłem przed frontem ułanów; widząc po pewnej chwili ruch kawalerii moskiewskiej tym samym szykiem co i poprzednio zbliżającej się, nakażalem ruch naprzód, zwijając jednocześnie flankierów i stawiając ich w kolumnie plutonowej od prawego na lewej flance rozwiniętego frontu ułanów z poleceniem, aby przy mogącym nastąpić starciu uderzali na flankę i tyły kawalerii moskiewskiej.

Po wydaniu zarządzeń w pełnym kłusie, zaledwie już w pędzie dobiegłem przed rozwinięty szwadron, pędząc przed sobą spoza frontu osłabionego chwilowo „na żołądek“ rotmistrza Miłkowskiego, gdy odległość zaledwie stu kroków między godzącymi na siebie frontami wyrzuciła mi z ust komendę „bacność, skróć cugle, do ataku broń, karierem marsz, marsz“. Widok był prawdziwie piękny dla żołnierskiej duszy! Rozdęte chrapy rzeźących koni, brzuchami prawie do ziemi dotykających, i zmarszczone miny pochylonych na nich żołnierzy — przypuszczać kazały, iż starcie będzie krwawe, gdy huk wystrzałów wysuniętych na długość plutonu moich flankierów zmieszał przeciwnika w odległości zaledwie 50 kroków: zdzierając rozpędzone konie zawrócił w nieporządku, ścigany przez naszych flankierów sypiących rześistym ogniem w plecy uciekających.

Gdy ujrzałem, iż zbliżyłem się na średni strzał karabinów moskiewskich, kazałem zatrąbić znajdującemu się obok mnie trębaczowi zaprzestanie dalszego pościgu; zdumiony moskiewską wymówką „połkownik, poczemu nie prikażetie razbit' etich mierzawcew“, odpowiedziałem mu z naciskiem — „durak, ispołniaj czto tiebie prikazano, a nie razsużdaj“, powtórzyłem — „bij otboj“. Biedne Moskalisko wykonał rozkaz, lecz zdaje się, że i po wykonaniu go i wprowadzeniu szwadronów na poprzednią pozycję nie mógł zrozumieć, dlaczego uciekających nie ścigać i nie rozbijać, i uważałem, że był ciągle chmurny i zamyślony, dopiero wsunięty mu do garści „połtynniki“ wywołał pewne zadowolenie.

Biedni to byli ci dezterterzy moskiewscy. Przeskrobawszy coś u swoich przeciwko karności, bo o moralność bodaj w ich wojsku nie dbano byle „łowko i ostorożno“, i spodziewając się niezłej porcji pałek, porzucił szeregi przekłętego białego cara i przychodził do nas, aby służyć „korolu polskomu“. A był to żołnierz stary, wyrobiony, jako dezterter nie żądający ani dający pardonu, a za lepsze cokolwiek pożywienie, wódkę i tę odrobinę żołądu, którego dezterterom płacono, i za ludzkie obejście, jakim się rządzono, wytwarzali się z nich ludzie zupełnie

sprawie naszej oddani, na których bodaj więcej można było rachować, niż na przeciętnego naszego partyzanta.

Nieraz komicznie niemal wyglądali, gdy zebrawszy się w kilku i widząc, że ich nikt nie śledzi, rozpoczęli kamracką gawędę, przeplatana dosadnymi „posłowicami“, której treścią było porównanie stanu dawniejszego z obecnym, ich dawniejszej nędzy i ciągłego bicia do obecnej niemal rozkoszy, w której mają dziennie funt „gawiadyny“, trzy razy wódkę i pięć kopiejek „żałowania“ i jak „czestnych“ ludzi nie biją i „nie rugają“; przychodzili oni do tej definicji, że gdyby ci durnie Moskale wiedzieli, jak im jest dobrze u Polaków, wszyscy powinni porzucić przekłętogo cara i służyć „korolu polskomu“. Jednym z takich był ów „garnister“ nie mogący zrozumieć rozkazu cofania się, kiedy Moskale uciekają.

Moskale bowiem w popłochu uciekli i uciekających można było z łatwością roztrącić siłami, jakimi rozporządzałem, ale i ja nie zapomniałem o znajdujących się działach i piechocie, ani nie zapomnieli o nich uciekający Moskale, w niedługą bowiem chwilę po wydanym sygnale odwrotowym, zaledwie cofnęły się szwadrony na jakie dwieście kroków ku poprzedniemu stanowisku, uciekający huzary i kozacy rozwinęli się na prawo i na lewo, odsłaniając zamaskowaną piechotę i artylerię, pozwolili im rozpocząć ogień, sami zaś pod jego osłoną dawny swój szyk sformowali.

Zająwszy dawne stanowisko i szyk dawny zatrzymując, utrzymałem się jeszcze z pół godziny na pozycji, wstrzymując ogniem półszwadronu flankierskiego niezbyt zajadłe flankierujących kozaków. Widząc po postawie Moskali, iż zaniechali myśli zwabienia nas na przygotowaną piechotę, gdyż nawet nie wysunęli huzarów, i widząc, że z tej mąki nie będzie chleba, kazałem dwu plutonom flankierskim cofnąć się do wsi i w dwóch punktach rozebrać płoty otaczające zagrody wiejskie dla zrobienia przejścia poza wieś szwadronom, samym zaś po zrobieniu przejścia kazałem stanąć frontem do drogi u jej wylotu — i w dziesięć minut później zarządziłem przez nie przejście szwadronu ułanów, osłonięte pozostałymi plutonami flankierskimi.

Przejście w poprzek wsi wykonane zostało spokojnie, a po jego skutecznieniu sformowana kolumna pochodowa, osłonięta z przodu i tyłu flankierami, wykonała marsz po drodze w stronę Niechmirowa do lasu o wiorstę drogi położonego, nie zaczepiana przez zwycięskich Moskali, utrzymujących plac boju z honorem.

W całym tym spotkaniu niezbyt krwawym, gdyż z naszej strony padły trzy konie i trzech ludzi było rannych od jednego pękniętego

obok kolumny granatu, a ze strony moskiewskiej spadło kilkunastu z koni bądź huzarów bądź kozaków od odtylcówek naszych flankierów, widać było grę w straszaka bez chęci stanowczego zaangażowania się. Ja, opierając się na tajemniczej kurtynie, poza którą winna się była znajdować reszta brygady, zaczepiany — pokazywałem zębą, Tarasienko, raz zajmwszy pozycję o las opartą, utrzymywał ją zawzięcie, starając się szarmycłowymi atakami kawalerii doprowadzić nas pod ogień piechoty i artylerii, aby zdziesiątkowanych rozpędzić swą kawalerią. Ale w tym oparciu swego prawego skrzydła o las osłaniający i w upartym trzymaniu się na tej pozycji widać, że albo znał dobrze Taczanowskiego i pewny był, iż niczym nie ściągnie go do bitwy, albo też działał nieroztropnie — z innym bowiem przeciwnikiem, mającym nie brygadę, lecz pułk czteroszwadronowy, po drugim odparciu ataku Moskali i pod uciekających osłoną można było przejechać się po brzuchach moskiewskich i wówczas „hornister“ dezerterski miałby zupełną rację radząc rozbić Moskali, należałby mu się krzyż zasługi za tę zdrową radę, a nie głupi „połtynnik“ z durniem w dodatku.

W spotkaniu tym zaobserwowałem dziwne znajdywanie się artylerii bądź dające możność przypuszczenia, iż jakaś kierująca działem ręka nie chciała usypywać wału z ciał ludzkich i koni, bądź też, co prawdopodobniej, iż artyleria moskiewska jest nędzna, a przede wszystkim źle wyrobiona. Albowiem niech fakt goły przemawia za sobą. Na cztery strzały dane kartaczami z odległości trzystu do czterystu kroków do kupy uciekających 1200 ułanów — czwarty dopiero strzał zerwał kilka chorągiewek od lanc, wszystkie zgórowały. Na dwadzieścia siedem strzałów granatami — sześć tylko eksplodowało bokiem uciekającej kolumny bez skutku, a jeden tylko w interwale między szwadronami, reszta strzałów granatami była bezskuteczną, gdyż i źle były kierowane i nie eksplodowały, czy były nie nabite, czy też palniki zamknięte — coś w tym guście, inaczej nie umiałem sobie tego zdarzenia wytłomaczyć.

Ale najważniejszym wypadkiem dnia tego, niesłychanie dodatnim, było skonstatowanie faktu, że ta młoda kawaleria kaliska, zaledwie sześć tygodni swej egzystencji a zatem i szkoły wyrobienia licząca, może być użytą do walki z starą i wyćwiczoną frontową kawalerią moskiewską, o kozakach się nie mówi, poza wyzlimi bowiem wielkimi zaletami jako bojowa siła nie przedstawiają żadnej wartości. To spostrzeżenie, oparte na dobrze wykonywanych manewrach nie na placu mustry, lecz pod ogniem bojowym, a szczególnie z regulaminową

dokładnością i brawurą staroułańską wykonane dwa ataki za każdą razą spychające huzarów moskiewskich — dawały pewną wskazówkę, iż byle tego młodego żołnierza nie trzymać na miejscu pod ogniem, lecz manewrując nim wprowadzać go w ataki, można będzie mieć z niego pociechę a raz pozwoliwszy mu się napić juchy moskiewskiej, będzie jej łaknął, jak spragniony wody. Potrzeba go tylko umieć w boju prowadzić i wyzyskać stosownie jego przymioty wojskowe.

Po przejściu lasu parowiorstowego poza Kamionką rozciągającego się, spotkawszy przy moście na bagnistym wądole (stare łożysko Warty) szwadron flankierski spieszony II pułku ułanów pod komendą pułkownika Słupskiego, starszego żołnierza z czasów powstania w Poznaniu w r. 1848, poradziłem mu, żeby stary ten i trzęsący się mostek spalił, gdyż jakkolwiek Moskale poza Kamionkę się nie posuwały i prawdopodobnie oblewają zwycięstwo winem szampańskim w Złoczewie, to ponieważ „strzeżonego Pan Bóg strzeże“ lepiej się od możliwej niespodzianki zabezpieczyć i spaliwszy most na naszej drodze odwrotnej utrudnić im w razie danym przeprowadzenie artylerii, a szkody się nikomu nie uczyni, gdyż zamiast starego zbutwiałego mostu nowy sobie most wybudują z drzewa pod nosem stojącego. Spodobła się Słupskiemu rada i po spaleniu mostu złączeni, przeszedłszy pod Rychłolicami w bród Wartę, na polach tej wsi po prawej stronie rzeki leżących, na których rozpocząłem krwawe starcie w dniu 8 maja 1863 r., spostrzeżliśmy Taczanowskiego z pięciu szwadronami rozwiniętymi frontem ku drodze, po której maszerowaliśmy.

Przedstawiwszy mu dwa szwadrony wyszłe z ognia i złożonywszy treściwy raport o czynnościach w spotkaniu pod Złoczewem, zdałem komendę nad szwadronami mi poruczoną i w charakterze wolontariusza złączyłem się z tak nazwanym sztabem.

Zapytałem się dobrze podkrochmalonego Piniego, gdyśmy się nieco na bok odsunęli, dlaczego uciekli i dlaczego, słysząc przynajmniej dwie godziny na jednym miejscu grzmot dział i salwy karabinowe, nie byli ciekawi dowiedzieć się, co się dzieje, i nawróciwszy zbliższa się tej muzyce przysłuchiwać spoza kurtyny, utworzonej znakomicie przez wieś Kamionkę. Po chwilowej gawędzie i pytaniach widząc, że z chorego człowieka nic nie wyciągnę, oddaliłem się, a zbliżywszy się do pułkownika Matuszewicza podziękowałem mu za przysłane mi dwa szwadrony; podnosząc ich dokładne spełnianie rozkazów i ułańską brawurę dodałem, iż w pierwszym na serio starciu pokażą, że dusza polsko-ułańska przebywa pod ich mundurami.

W chwilę potem, już na zachodzie słońca, udaliśmy się marszem w kierunku na Widawę i późnym wieczorem stanęliśmy w jednej z wiosek w okolicy Widawy położonych.

Gdym po skromnej przekąsce żołnierskiej układał się do spoczynku w jakiejś szopie czy kieracie, odszukał mnie galopen Szymek, jak go ogólnie nazywano, a przezwę tę zdobył nie tylko tym, że go tak Taczanowski przywoływał, lecz głównie tym zdarzeniem, że podczas jakiegoś bodaj fałszywego alarmu jeden z felczerów przy sztabie Taczanowskiego znajdujących się, brat Polak wyznania mojżeszowego, przejęty do głębi wywołanym zamieszaniami wypadł przed dom i wołał na całe gardło, pochlipując z przestachu: „Simek, Simek, kulbacz mego klacz, bo alarm na gwałt“. Historyczne! I biedny szlachcic polski W. P. Szymon Siemieński od tego czasu nazywany był „Simek“, ot doła sobacza.

Otóż ten „Simek“ oświadczył mi, iż generał Taczanowski pragnie widzieć się ze mną natychmiast.

Byłem zdumiony tymi zaprosinami, ale więcej jeszcze wybraną porą, wiedziałem bowiem, że był wyznawcą i to dosyć ścisłym tej maksymy, że dzień do pracy, noc do spania i t. d., i że musiało coś nastąpić niezwykłego, skoro od tej maksymy odstąpił.

Poszedłem więc z Szymkiem do Taczanowskiego, u którego zastałem zgromadzonych: Piniego, Matuszewicza i Słupskiego. Wyglądało to na jakąś radę wojenną.

Powitawszy zgromadzonych o tak późnej porze, chciałem się zapytać Taczanowskiego, czego sobie ode mnie życzy, gdy ten, uprzedzając zapytanie, wręczył mi arkusz papieru w formę listu złożony do odczytania, dodając, iż ponieważ obecni obznajmieni są z treścią tego pisma, niech go sam sobie przeczytam. Był to raport służbowy majora Poleskiego, który donosił o sformowaniu w powiecie konińskim szwadronu ułanów o sile 125 koni i o swym zapadnięciu w obłązną chorobę; musiał on zdać komendę tymczasowo porucznikowi Pągowskiemu i sam rozstać się z szwadronem, pozostawiając go właściwie bez dowódcy.

Przeczytawszy ten raport dowiedziałem się z niego, że żyje jakiś p. major Poleski, dawny kapitan dragonów moskiewskich, że przed trzema dniami sformował szwadron, że sam na jakąś nie w porę przybyłą słabość zachorował i że szwadron został bez komendanta, ale co to miało dotyczyć wolontariusza, tego nie rozumiałem.

Zagadkę tę wytłumaczył mi po kilku chwilach Taczanowski oświadczając, iż skutkiem narady poprzednio odbytej postanowiono poruczyć

mi komendę nad tym szwadronem chwilowo dla przyprowadzenia go do brygady, a gdym go zapytał, dlaczego tej funkcji nie poruczy bądź któremu z panów obecnych, bądź jakiemu szwadroniście, odpowiedział mi kategorycznie dosyć, że tamci są związani ze swymi komendami, ja zaś jako wolny od wszelkich obowiązków nadaję się do tej sprawy najlepiej.

Nie było co dalej rezonować — raz, że tej rzeczy sam nie lubiałem, bo w wojsku, a szczególnie podczas wojny, nie ma rezonowania, po wtóre, że kategoryczna odpowiedź Taczanowskiego wydała mi się logiczną. Przeto przyjąwszy poruczoną mi czynność do spełnienia, zażądałem od szefa sztabu Piniego rozkazu otwartego do porucznika Pągowskiego, oddającego tak jego jak i podległy mu szwadron do mojej wyłącznej dyspozycji.

Gdym żądany rozkaz otrzymał, zażądałem powozu do wyjazdu i karty na podobną pocztę narodową, a przejrzawszy kartę topograficzną wyznaczyłem sobie marszrutę w kierunku na Zduńską Wolę, Szadek i Uniejów do Pęcherzewa, w którym z raportu majora Poleskiego miał się przed dwoma dniami znajdować szwadron.

Otrzymawszy z zapasów sztabowych pudełko papierosów, pożegnałem zgromadzonych życzeniem szczęśliwego i smacznego snu i sam wsiadłem do czekającego już na mnie powozu.

Ubrany po cywilnemu, a nawet z pewnym gustem, i w zgrabne kamaszki, które mi ofiarował do użytku usłużny gospodarz biorąc do przechowania moje długie lakierowane buty, nabytek także, jak i reszta ubrania, od eleganckich szlachciców, i zaopatrzony na wszelki wypadek w dokładny paszport legalizowany przez generała Bellegarde w Kaliszu, jaki zawsze posiadałem przy sobie zmieniając takowy skrupulatnie co trzy miesiące za pośrednictwem osób mi znajomych, zsiadłem do powozu puszczając się na niepewne drogi.

Wyjechawszy po 2-iej w nocy, przed wschodem słońca przejechałem Zduńską Wolę, a około 7-iej rano przejechawszy Szadek, przed 8-ą zajechałem do Choszczewa dla zmiany poczty i wypicia herbaty.

Po półgodzinnym odpoczynku, wypytawszy się dla formy o ruchy kolumn moskiewskich, wyjechałem nowym ekwipażem w dalszą drogę, a posuwając się jak najprędzej przybyłem tego samego dnia nad wieczorem do Uniejowa.

Początkowo sądziłem, że w tym miasteczku poinformuję się o miejscu pobytu nowosformowanego szwadronu, gdy jednakże paru ludzi należących do organizacji nie udzieliło mi żadnych wiadomości, wyjechałem już po zachodzie słońca 22 sierpnia z Uniejowa, aby dotrzeć

do Pęcherzewa i na miejscu formacji dowiedzieć się o dalszych losach szwadronu. Przed wyjazdem przyjąłem do wiadomości ostrzeżenie, że szosa na Koło, Brudzew, Turek do Kalisza jest bardzo często rozjazdami kawaleryjskimi kontrolowaną.

Wyjechawszy już zmrokiem z Uniejowa i zmieniawszy w Człopach konie, nie pojechałem drogą bitą drugorzędną na Rogów do Turku, lecz korzystając z znajomości okolicy przez furmana, drogami polnymi i leśnymi na Kościelną¹⁾ przybyłem około 2-ej rano 23 sierpnia do Pęcherzewa.

Rozbudziwszy gospodarza domu, po wielu macaniach doszedłem do niezbyt obfitej wiadomości, że oddział kawalerii sformował się w lasach sąsiednich przed tygodniem, że jakiś pan już poważniejszy, o minie wojskowej, przyjechał przed trzema dniami do niego i żałując się na chorobę po paru godzinach do Uniejowa odjechał, a oddział kawalerii z lasów wyszedł i nie wie, gdzie się obecnie znajduje.

Przeprosiwszy gospodarza za wczesne przebudzenie i zaproponowawszy mu dalszy spoczynek, sam rozciągnąłem się na sofie, na jakiej siedziałem, a powiedziawszy „dobranoc“ zasnąłem.

Spałem wybornie do 7-ej rano, a umywszy się i orzeźwiwszy wyszedłem na dziedziniec, aby wynaleźć jakiego człowieka.

Przed gumnami spotkałem jakiegoś człowieka na waszecia wyglądającego, lat późniejszych, lecz jeszcze czerstwego i elastycznego, a gdy go pozdrowił i zatrzymał, zapytał mnie: „Czym panu mogę służyć?“. Zapytałem go na odwrót, czy wie co o oddziale kawalerii, którego przebywał przed trzema dniami w lasach sąsiednich, a z którym chciałbym się natychmiast połączyć. Odpowiedział mi: „Oddział widziałem, bom i mojego syna do niego zaprowadził, gdzie on jest teraz — nie wiem, mieli iść poza Turek, ale w obozie mówiono i o Koźminku i o Błazkach, nie wiadomo gdzie poszli“. To tylko wie dobrze, dodał, iż wczoraj wieczorem miało przechodzić szosą od Koła do Turku dużo i dziwacznie ubranej kawalerii moskiewskiej.

Te objaśnienia, a szczególnie ta kawaleria moskiewska, zabiły mi klina; powróciłem do dworu na gotową już herbatę, której hipokondryczny gospodarz nie bardzo uprzyjemniał, a gdy go poprosił o konie i przedstawił na to kartę Taczanowskiego, popatrzył na mnie i powiedział: „Sam pana pod Turek do mojej córki przewiozę“. W pół godziny później jechaliśmy pod Turek, a nie jechaliśmy drogą, lecz leśnymi i polnymi przydrożkami, a przeciąwszy szosę pod Cisowem przybyliśmy około południa do Dziadowic.

¹⁾ Nazwa zniekształcona, prawdopodobnie Kościelny Słomów, przyp. wyd.

Dowiedziałem się mniej więcej, że nowosformowany szwadron miał się udać w kierunku Koźminka, a Moskwa w sile dwóch szwadronów leibgwardii huzarów i sotni kubańców z przybocznej straży, która wieczorem dnia wczorajszego przybyła do Turku, dzisiaj rankiem takowy opuściła i poszła szosą w stronę Kalisza.

Zaniepokoiło mnie położenie nowego szwadronu, mogącego być podchwyconym i rozbitym przewagą najlepszej kawalerii moskiewskiej, postanowiłem przeto wyszukać ów szwadron, aby mu pomagać pewnym doświadczeniem i znajomością terenu. Poprosiwszy przeto o konie, około 2-iej Dziadowice opuściłem.

Drogą a raczej traktem, przeciąwszy szosę w Malanowie, dojechałem do Będzechowa, gdzie nie znalazłszy jeszcze żadnej wskazówki, wziętą świeżo furmanką dobiłem około 8-iej wieczorem 23 sierpnia 1863 r. do Ciepiewa.

Tutaj spotkałem się już z pewną wiadomością o szwadronie i o jego nawet pobiciu przez kawalerię moskiewską z Turku w okolicach Koźminka i, jak mówiono, o jego wcale dobrym znalezieniu się, gdyż jakkolwiek pobity przewagą sił, nie był rozbitym i wycofał się, a Moskwa wróciła nazad do Turku.

Poprosiłem gospodarza domu o konia osiodłanego i człowieka obznajomionego z miejscowością i także konno, a gdy posiliwszy się wyszedłem przed dom, gdzie już konie czekały, na podprowadzonego niezłego podjezdka sam wsiadłem, a na drugiego wskoczył dworski ekonom i za wrota na poszukiwanie pojechaliśmy.

Po dosyć długich poszukiwaniach, utrudnionych ciemnicą nocy i konieczną w takich razach ostrożnością, udało się nam w końcu około 11-iej w nocy odnaleźć pobity szwadron w Chwałęcicach na dziedzińcu dworskim stojący.

Przedstawwszy porucznikowi Pągowskiemu rozkaz Taczanowskiego zapytałem go, ilu ludzi z bitwy wyprowadził i od jakiej godziny szwadron odpoczywa. Dowiedziawszy się z jego odpowiedzi, że 72 ludzi wraz z oficerami ma pod sobą, gdyż ze 30 zostało zabitych lub rannych w potyczce, a ze 20 rozsypało się i nie złączyło, oświadczył mi następnie, iż od godziny 8-iej wieczór odpoczywa, że konie przez parę godzin nie chciały ani pić ani jeść, tylko wyciągnięte spały aż chrapały, lecz że od godziny wstały, a napojone dobrze chrupią owies.

Ileż to razy dawniej, a szczególnie w zimowej kampanii, zdarzyło mi się z końmi coś podobnego! Zwyczajnie to oznaki zbyt wielkiego zmęczenia; gdy one już się napiją i jeść zaczną, to oznacza, iż się sposobią do przyszłej pracy.

O północy nakazałem wymarsz, a idąc drogami ubocznymi przez Chlewo, Poprężniki, Tądów, o wschodzie słońca około 5-ej z rana 24 sierpnia 1863 r. przeszedłszy w bród Wartę, zatrzymałem się chwilę przed dworem w Brodni.

Od kilku dni i nocy pędząc bądź konno, bądź na furmance — miałem tak spuchnięte stopy, iż z przykrym bardzo bólem zdołałem się utrzymać na siodle. Kiedy więc w przejeździe pod dworem, którądy przechodziła droga gminna prowadząca do Zduńskiej Woli, zobaczyłem bardzo wiekowego człowieka stojącego na ganku, ubranego w czamare i odznaki wojskowe, zatrzymałem półszwadron, dawszy ludziom i koniom możność rozprostowania gnatów i opatrzenia popręgów. Sam zsiadłszy z konia udałem się do oczekującego mnie na ganku obywatela. Zobaczywszy na jego piersi wstążeczki od krzyża legii i wirtuti militari oddałem mu pokłon wojskowy, a przedstawivszy się poprosiłem go natychmiast o danie mi jakichś obszerniejszych butów, gdyż spuchnięte nogi nie pozwalają mi dłużej używać własnego obuwia. Gdy przywołany służący za chwilę przyniósł kilka par obuwia, a pomagając w zdjęciu moich, przy użyciu nawet noża, podał mi największe i najobszerniejsze, czułem po ich włożeniu, że krew prawidłowo zaczyna mi krążyć po nogach — i kiedy chciałem wyrazić gospodarzowi, a podobno z nazwiska Mniewskiemu, moje podziękowanie za ból usunięty, strzał ariergardy o paręset kroków w tyle stojącej zwrócił moją uwagę.

Z ganku dworskiego na wyniosłym dosyć kopcu stojącego widać było jak na dłoni na parę wiorst oddalenia — nie tylko dolinę, lecz i samą wstęgę rzeki Warty, ozłoconą promieniami wschodzącego słońca, a nadto błyszczące szeregi pędzących kłusem dwóch szwadronów huzarów, dobiegających do rzeki, i znanych mi dobrze z Warszawy kozaków kubańskich, w bród moim torem przebywających Wartę w sile około 80 ludzi.

Zamiast więc podziękować obywatelowi za wygodne buty i w następstwie poprosić go o przekazkę dla ludzi i koni, której bardzo potrzebowaliśmy, rzuciłem komendę „bacność, na koń“. Zbiegłszy z ganku i sam na koń wsiadłszy, zatrzymałem przy sobie porucznika Pągowskiego z czterema kawalerzystami, uzbrojonymi w dobre odtylcowe dubeltówki, dla wzmocnienia trzech kawalerzystów z tylnej straży. Przybyłemu przed chwilą, a powracającemu z chwilowego urlopu do brygady Taczanowskiego majorowi Miśkiewicz dałem rozkaz, ażeby wyciągniętym kłusem prowadził szwadron, a raczej jego połowę, w kierunku na Szadek, a gdy tylko dopadnie lasów, niech

rozsypanym więcej frontem między drzewami postępuje i po przejściu jakiejś wiorsty drogi niech przyjmuje kierunek pod kątem prostym na Zduńską Wolę, klucząc tym sposobem i ślady zacierając za sobą; zaleciłem mu zarazem ścisłą baczność na konie, ażeby z nich ostatniej pary nie wydobywać. To zaleciwszy i puściwszy szwadron w kłus, sam z ośmiu ludźmi jako ariergardą o paręset kroków w tyle posuwałem się za szwadronem.

Ruch był na czasie wykonany. Miśkiewicz z szwadronikiem schował się już w lesie, ja z ariergardą do niego wpadałem, gdy kubańcy wypadli spoza zabudowań folwarcznych.

Dystans między stronami przynajmniej wiorstę drogi wynosił; prawda, że miałem zmachane konie potyczką i marszem dnia wczorajszego, jak niemniej kilkogodzinnym nocnym marszem, lecz i moskiewskie konie nie próżnowały. Postanowiłem przeto tę odległość utrzymać, w razie danym zwiększyć ją, a nawet ująć dalszego pościgu, jednym słowem, nie dopuścić do ręcznego spotkania i doprowadzić rozbitków do brygady Taczanowskiego.

Dawszy odpowiednią instrukcję Pągowskiemu, ażeby zwracając baczność uwagę na pędzących za nim kubańców pilnował kołnierzy kolumny przed nim idącej i nie stracił jej z oka na chwilę, gdyż marnie z ludźmi przepadnie, puściłem się cwałem do czoła kolumny, a w kilka minut dopadłszy ją znalazłem się na niedawnym leśnym wyrębie, zarzuconym drzazgami, trocinami i gałęziami — i na nim skłuczyłem pochód: szedłem bowiem lasem obok drogi w kierunku na Zduńską Wolę, na wyrębisku skręciłem zupełnie na prawo, biorąc kierunek na Szadek.

Skłuczenie to dało mi parę godzin spokojnego i nieforsownego marszu i parogodzinny odpoczynek dla strudzonych koni w jakiejś zagrodzie, na polanie wśród lasów położonej w okolicach Choszczewa. Po parogodzinnym odpoczynku i napojeniu koni, gdyż o posiłku ani dla koni, ani dla ludzi nie było mowy z powodu braku pożywienia, ustawione dwie pikiety na dachu zagrody dały znać o zbliżaniu się czerkiesów, jak kubańców przezwano.

Wsiedliśmy na koń i wysunęliśmy się kłusem spoza osłaniającej nas zagrody. Spostrzeżono nas i kilkanaście strzałów z janczarek, jak zwykle bezskutecznych, zagrzmiało za nami z odległości kilkuset kroków.

Gdyśmy po kilku minutach ukryli się w lesie, pościg kubańców się zatrzymał i nie zauważyłem ciągnących za nimi huzarów. Byli oni, jak się nazajutrz po rozprawie sędziejewickiej od niewolników dowiedziałem, na owym wyrębisku, na którym marsz skłuczyłem,

a sami tylko kubańcy w charakterze tropiących ogarów wysłani byli dla odszukania naszych śladów, zmęczeni też byli niepomierne i konie im zupełnie ustawały.

Po kilkogodzinnym marszu około 1-ej w południe, gdy strudzone konie zaczęły potykać się i padać pod jeźdźcami, zająłem dwór z obejściem gospodarskim w Wrzeszczewicach, na dosyć wyniosłym chełmie położonych w środku niemal tysiąc morgowego obszaru pola i z widokiem na całą okolicę, zamkniętą w promieniu dwóch wiorst wieńcem lasów.

Skoro się na dziedzińcu zatrzymałem i ludzie z koni zsiadli, i gdy kazałem popuścić popręgi, czynność jak się pokazało zbyt ciężką, gdyż od 24 niemal godzin nie karmione a w ciągłym marszu rozmaitym na wzdęcie się nie żaliły, ale ze łbami zwieszonymi położyły się jak stały do snu i wypoczynku.

Napróżno czeladź dworska, czulsza na cierpienia zwierząt niż ludzi, podstawiała im wodę do picia i owies przed nie rozsypywała — spały i chrapały.

Trzeba było pomyśleć o ludziach, którym się także wiele więcej nie należało. Posiliwszy ich za pośrednictwem obfitej jak na szczęście spiżarni i zbadawszy, iż na 56 dubeltówek mają przeciętnie na każdą po 25 ładunków, zapowiedziałem, iż w razie prędkiego ataku, jeżeli zmęczone konie nie będą nam mogły oddać usługi, obsadzimy dwór dosyć obszerny, przed którym staliśmy, i będziemy się w nim bronić. A rozstawiwszy po dachach strażę z dworskiej czeladzi, sam na ganku zasiadłem z majorem Miśkiewiczem do czuwania, pozwoiliwszy połowie ludzi zasnąć na godzinę.

Przeczuwając, iż może się zamienić dwór w Wrzeszczewicach w blokhaus, radziłem gospodarstwu, aby zabrawszy dzieci i kosztowności wyjechali gdzie w sąsiedztwo, gdyż teraz jeszcze pora, a podczas ataku będzie po niewczasie, a ja z szwadronem przed 5-tą się nie ruszę; odpowiedzieli mi, że nie wyjadą mając nadzieję, że Moskale przyjdą, jak nas już nie będzie.

Na czym swe przeczucie opierali, nie wiem, ale siedząc na ganku przy herbacie i chłodnikach doczekałem się, że druga połowa żołnierzy do snu się ułożyła, wstała zaś ze snu posłałem zobaczyć, co się z końmi dzieje, i w razie przebudzenia poić je, przynosząc im wodę. Dano mi po chwili znać, że konie śpią i chrapią.

Po upływie pół godziny konie zaczęły się ruszać i wstawać, a pojęne przynoszoną im wodą zaczęły oglądać się za czymś pożywniejszym; w ciągu drugiej pół godziny, zanim druga partia śpiochów została

rozbudzona, już wszystkie konie napojone chrupały zawzięcie owies, potrząsając torbami na łąkach zawieszonymi.

Około 4-ej gospodyni domu zaprosiła żołnierzy na dobry i gęsty od mięsa krupnik, po zjedzeniu którego z dobrze zasłużonym apetytem kazałem się sposobić do natychmiastowego wymarszu. Konie i ludzie byli niezłe odpoczęci i nakarmieni, trzeba było dążyć do Taczanowskiego, o którego postoju nie miałem dotychczas nic pewnego, szedłem tylko węchem starego partyzanta, kierując się między Łask a Widawę, spodziewając się w tamtych stronach odnaleźć jego brygadę.

Jak w poprzednich marszach, tak i w obecnym poruczając Miśkiewiczowi prowadzenie kolumny w wskazanym kierunku, sam z ośmioma ludźmi stanowiącymi ariergardę opuszczałem folwarczny dziedziniec, gdy wołanie straży postawionej na dachu „Moskale idą“ popchnęło nas z stępu w klusa i zbliżyło po kilku minutach do postępującej przodem spokojnie kolumny. Posłałem jej rozkaz wyciągniętym klusem przebiec tę wiorstę drogi oddzielającą nas od lasu, a w nim znów wejść w stępo.

Moskale, widocznie dowiedziawszy się od kubańców o naszym postoju i wyjściu z okolic Choszczewy, z małymi odpoczynkami postępowali śladem za nami, a dowiedziawszy się o naszym postoju w Wrzeszczewicach mieli ochotę otoczyć nas i zdusić.

W odległości bowiem jeszcze jakich pięciuset kroków od lasu, gdym chwilowo zatrzymał ariergardę, aby się na tyłach rozejrzeć, widziałem z dwóch stron zabudowań folwarcznych po szwadronie pędzących huzarów, a pośrodku wybiegłych z zabudowań i pędzących za mną całą siłą pary — kubańców.

Zobaczywszy to, dalej wyciągniętym klusem do lasu dobiegłem, a pod osłoną jego, dopuściwszy kubańców na paręset kroków, ogniem mych odytlcówek wstrzymałem ich w dalszym szalonym pędzie.

Rozsypali się w jednej chwili i rozpoczęli flankierkę, a ja korzystając z danego im zajęcia chwilowego, pod osłoną lasu złączyłem się z kolumną i już dalej nie zaczepiany, spokojnym marszem doszedłem do zachodu słońca, nie przypuszczając nawet, że Moskale w całej sile zaledwie na parę wiorst oddalenia postępowali trop w trop za mną.

Na zachodzie słońca, przechodziłem obok jakiegoś dworu szlacheckiego gdzieś w okolicach Łasku, gdzie mnie zatrzymywano na odpoczynek, a dano mi żadaną flaszkę wina francuskiego. Gdym wyszedł z osady i zbliżał się do lasu, w którym postanowiłem odpocząć, naprzód gwałtowne ujadanie psów, a w kilka minut później wysuwające się z osady „papachy“ kubańców dały mi poznać, że mam do

czynienia z niezwykle upartym przeciwnikiem, któren nas nie oszczędza, co prawda, ale i sam dobrze się fatyguje. Postanowiłem być jeszcze ostrożniejszym.

Cofnąwszy się o dobrą wiorstę w głąb lasu, z dala od drogi wynalazszy przy zapadającym zmroku paromorgową łączkę z strumykiem, pozostawiłem zmęczonych pod opieką Miśkiewicza, jako jedynie mniej zmęczonego, a sam wsadziwszy rewolwer do kieszeni, przy zapadłym zmroku obserwując miejscowość, ażeby do niej z powrotem trafić, wyszedłem celem wyszukania żywności i przewodnika.

Po dobrym półgodzinnym marszu idąc w prostym kierunku na odsłaniające się od czasu do czasu światło, doszedłem w końcu do jakiegoś dworu o właścicielu nazwiska niemieckiego, lecz sercem Polaka, a przedstawivszy mu kto jestem, zażądałem jego pomocy.

Ofiarował mi ją chętnie i natychmiast wysłał po swego leśnego, znającego dobrze okolice i wszystkie drożyny leśne. Sam zajął się naładowaniem wozu wiktuałami dla koni i ludzi, a kiedy po dobrej półgodzinie nadszedł leśnik, pożegnawszy gospodynię domu i podziękowawszy za obfitą przekąskę wyjechaliśmy do obozu.

Gospodarz domu sam powoził, mając mnie za sobą na furze, a leśnik, po opisaniu mu miejsca skąd wyszedłem, konno na parę kroków przed furą prowadził nas do niego.

Około 10-ej wieczorem byliśmy prawie na miejscu, a chrapanie i stękanie na jakie sto kroków rozchodzące się doprowadziło nas w kilka minut do miejsca odpoczynku.

Jeden Miśkiewicz nie spał. Poważniejszego już wieku człowiek, z legionów bowiem polskich na Węgrzech z r. 1848/9 i oficer z dywizji Sadyka Paszy, a zatem więcej zahartowany i mniej od innych zmęczony, gdyż tylko po jednodniowym mozolnym marszu, przywitał nas przybyłych, a nadmieniwszy, że nie wiadomo, jaką siłą zbudzi się tych ludzi prawie martwych a tylko rżęzących, usiadł pod drzewem.

Potrzeba było koniecznie światła, a kiedy o tym napomknąłem przybyłemu gospodarzowi domu, odrzekł mi, że jest na to sposób, a cofnąwszy się do wozu w chwil parę zaświecił nam palącą się świecą. Praktyczny ten obywatel, przewidując kłopot bez światła w ciemności, wziął do zapasów żywności świec kilka i uprosił zadanie budzenia i odżywienia tak ludzi jak i koni.

Naprzód rozpoczęliśmy od budzenia ludzi. Uległ temu pierwszy porucznik Pągowski, gdy bowiem ani szarpanie, ani kopanie nie skutkowało, kazałem mu ścisnąć dobrze gardło, a gdy duszony dla chwycenia powietrza silniej otworzył usta, wlałem mu w takowe z pół

kieliszka okowity i rękę z gardła odjąć kazałem. Skutek był znakomity. Po kilku chwilach parchania i kaszłania oczy otworzył i oprzytomniał. Ten sposób posłużył do rozbudzenia wszystkich, z tą tylko zmianą, iż poprzednio z snu letargicznego rozbudzeni spełniali tę funkcję samarytanina nad następcami z prawdziwym przejęciem, jakby im chcieli odpłacić pięknym za nadobne.

Jednym słowem, zaledwie kwadrans czasu upłynął — ludzie byli na nogach i prawie rozbawieni sposobem zmartwychwstania, a nakarmieni do syta przywiezionymi zapasami i napojeni półkwatkiem dobrej okowity nieźle się na pozór trzymali.

Konie wciąż jeszcze chrapały i stękały, trzeba było i ich postawić na nogi. Gdybym miał porter i wino, mieszanina taka w ilości szklanki wlana do gardła najlepiej wzmacnia zhasanego konia, dając mu nowe siły; ponieważ tej luksusowej „boli“ nie miałem, gdyż tylko stare trenery w takową się zaopatrują, przeto kazałem żołnierzom pójść do pobliskiego strumyka i zmaczać chustki do nosa, czy w braku takowych zdjęte z siebie koszule i takowymi dobrze wytrzeć nozdrza i pyski, a następnie tym kompresem głowy owinąć. Nacierania i kompresy poskutkowały, konie zaczęły się poruszać i wolniej oddychać, niektóre zaczęły łby podnosić. Kazałem kompresy o świeżej wodzie powtórzyć, skutek był dobry. Po jakich dziesięciu minutach wszystkie konie wstały i zaczęły się oglądać, kazałem je poprowadzić do strumienia i poić je — z początku z krótkimi przerwami dla niedopuszczenia ochwatu.

Po dziesięciu minutach konie napojone parszając chrapały swe dwa garnce owsa. Usiadłem i rozpocząłem gawędę z mym zacnym obywatelem, któren z łzą w oku przyglądał się dotychczas w milczeniu obrazkowi życia powstańczego, jakiego się nigdy ujrzeć nie spodziewał.

Dowiedziałem się od niego stanowczo, że brygada Taczanowskiego stoi od przeszło 24 godzin w Sędziejowicach w prostej linii o trzy mile oddalonych, a posuwając się leśnymi i polnymi drożynami przeszło cztery mile odległych. Po zrobieniu narady z leśnym, jak zamierzam ten marsz odbyć, czekałem tylko na zjedzenie owsa i napojenie koni, aby w marsz pod osłoną nocy wyruszyć.

Pierwsza godzina w nocy dochodziła 25 sierpnia 1863 r., gdy pożegnawszy serdecznie zacnego obywatela, nawracającego ku swemu domowi furmankę, osobiście z przewodnikiem stanąłem na czele kolumny, a zalecając żołnierzom jak największą ciszę i niepalenie fajek ani niczego, poleciłem konie trzymać krótko i nie spać i pociągnąłem ku Sędziejowicom.

Marsz odbył się spokojnie, z krótkim godzinnym przystankiem w Brodni, podczas którego tak gwałtownie zasnąłem, iż gdyby nie major Miśkiewicz, któremu zaleciłem tylko godzinę czasu odpoczynku i użycie w razie potrzeby kubła wody na głowę, nie był zaaplikował mi tego radykalnego środka, byłbym prawdopodobnie we śnie doczekał się nadejścia kubańców, w godzin parę po mym wyjściu przybyłych.

Sforsowany też byłem niepomiernie. Od dnia 19 sierpnia, to jest od czasu wyjścia od cioci Glotz z okolicy Błaszek pod Złoczew, do 25 sierpnia do dnia rozprawy pod Sędziejowicami, a którą tym szwadronikiem, po który mnie posłano, spowodowałem, upłynęło sześć dni zaledwie, a ja zrobiłem w części powozem, lecz głównie konno ze 280 kilometrów drogi, ani na pół godziny nie zmrzywszy oka. Organizm mój, muskularny i gimnastyczny, przygotowany do wszelkich tego rodzaju trudów wychowaniem od dzieciństwa, zdrowy i odporny z natury, mógł znieść dużo, nawet wiele więcej od innych, ale powiadają, że „za dużo nawet i świnie nie chcą“, i dlatego godzina odpoczynku w Brodni bez zlania mi głowy kubłem wody nie byłaby się tak prędko skończyła.

Otrzeźwiony przysnąc wsiadłem na konia, a podziękowawszy Miśkiewiczowi za spełnienie polecenia — marszem stępem przed południem 25 sierpnia przybyłem do Sędziejowic¹⁾.

Zaleciwszy na linii czat, od strony mego wejścia rozstawionych, baczność i ostrożność, gdyż Moskale za nami idą, a na placówce, stojącej na wylocie osady i złożonej z plutonu flankierskiego, uzbrojonego oprócz w pałasze i w odcylcowe dubeltówki, aby w razie gwałtownego parcia Moskali, których lada chwila można się spodziewać, zza płotów wylot wsi zamykających salwami dobrze mierzonymi wstrzymali napad, — podążyłem drogą środkiem wsi prowadzącą, a obstawioną po obu stronach końmi całej brygady, na drugi jej koniec, gdzie we dworze tam położonym przebywał Taczanowski ze sztabem.

Wysłemu na ganek sprezentowałem resztę doprowadzonego szwadronu i zdałem treściwy raport o wypadkach szwadronu oraz o wszelkim prawdopodobieństwie napadu Moskali, dodałem o poczynionych ostrzeżeniach na linii czat i placówce, a zdawszy powierzoną mi komendę w ręce Taczanowskiego — zsiadłem z konia i poszedłem do dworu, aby się w nim wyspać.

Znalazszy w jednym z pokoi dosyć wygodną sofę, rzuciłem się na nią i prawdopodobnie natychmiast zasnąłem.

¹⁾ Bitwę w Sędziejowicach stoczono 26 sierpnia, przyp. wyd.

Jak długo spałem, nie wiedziałem. Później dowiedziałem się, że za ledwie godzinę. Zbudzony zostałem krzykiem i mocnym szamotaniem.

Gdym oczy otworzył i oprzytomniał, ujrzałem Taczanowskiego z kilkoma adiutantami i szefem sztabu Pinim krzyczącymi, że Moskale napadli i biją się, a kiedy zdziwiony ich posturą powiedziałem im, że przecież za mym przybyciem zapowiedziałem ich wizytę, i dlaczego stoją nade mną zamiast iść do brygady i ją do boju prowadzić, odmruknięto mi coś banalnego à conto troskliwości o moją osobę. Ale raz rozbudzony i słysząc wrzask i strzały ze wsi dochodzące, wyszedłem na ganek, a wsiadłszy na pierwszego podanego mi konia z dziedzica dworskiego w ulicę wsi wjechałem.

Widok, jaki mnie uderzył, był nie bardzo ciekawy. Z końca wsi, przez który wszedłem, słychać było strzały, cały środek napełniony wrzaskiem kłębiących się koni i ludzi przedstawiał najwyższe zamieszanie. Dopadłszy do pierwszego z brzegu szwadronu, poleciłem rotmistrzowi Bleszyńskiemu, żeby szwadron wsadził na koń i za mną poza tyłami domów prowadził. Sam zaś, wracając ku tyłowi wsi, napotkane u jej wylotu trzy plutony flankierskie na koń wsadziłem i pędem poza tyłami wsi obleciawszy — przed Moskalami, lecz dobrze w odległości 500 do 600 kroków stanąłem.

Pierwszym rzutem oka dostrzegłem formujące się z pewnego zamieszania pierwsze dwa szwadrony I pułku, jakby po nieudanym lub odbitym ataku, a po drugie — brak huzarów moskiewskich, a tylko sotnia kubańców na koniach, opartych zadami o tył samotnej stodoły, przysposabiała się do ataku.

Zbliżywszy się do nich na jakie 300 kroków, zatrzymałem szwadron, a zakomenderowawszy „nieparzyste numera z koni zsiąść i oddać konie numerom parzystym“ — i następnie sformowawszy front, krokiem przyspieszonym z dubeltówkami w rękę posunąłem się do nieprzyjaciela, zawsze nieporuszonego.

Dlaczego ci kubańcy stali w miejscu na koniach — strzelając do nas z koni, a zatem bezskutecznie, dlaczego nie korzystali i nie uderzyli na mnie w chwili, gdym pod ich ogniem spieszał flankierów, lub do stu diabłów nie uciekali po odparciu dwóch szarzy na boku stojących szwadronów, tego nie mogłem zrozumieć i żadne tłumaczenia wziętych do niewoli oficerów hr. Witmajera¹⁾ i ks. Urusowa nie mogły mi tej bezmyślności wytłumaczyć.

¹⁾ Porucznik Witmer, przyp. wyd.

Ale stali w miejscu i doszedłem z moimi flankierami na sto pięćdziesiąt kroków odległości, a wtenczas ich zatrzymałem i komenderując „szeregami ognia“, a pilnując, żeby lufy we łby końskie mierzyły, po kilku salwach otrzymałem ten skutek, że połowa koni padła, a z nimi i sporo kubańców.

Ten skuteczny ogień wywołał zmianę obronnej postawy, jaką dotychczas kubańcy zajmowali: pozostali z koni żywych zrobili pierścień, którym się osłonili i zza którego rozpoczęli skuteczniejszy ogień, od którego w chwil kilka zostało rannych dwóch flankierów.

Zwarty front flankierów rozsypałem w łańcuch, zalecając pewniejsze strzały na oko i zbliżając linię na odległość stu kroków.

Skutek był znakomity i po kilku minutach ognia kubańcy w sile 42 ludzi i 19 koni ruszyli spod stodoły ku prawemu i zajęli o paręset kroków znajdującą się tam osadę włościańską, pragnąc się w niej zabarykadować.

Nie dałem im czasu na urządzenie rodzaju blokhauzu: postępując za nimi, gdy zajęli chatę konie przed nią zostawiając — otoczyłem dom flankierami na jakie pięćdziesiąt kroków, silnie obsadzając wyjścia z niej, i chałupę kazałem podpalić. Przy dosyć silnym wicherze podpalona strzecha w paru minutach ogarnęła chatę płomieniem, a chcący wyjść z chaty płonącej kubańcy spotykali się przy wyjściu z kulami naszych odtylcówek.

Ilu ich padło od kuli, a ilu spaliło się w płonącej chacie, tego nie wiem. To tylko jest pewnym, że ogólna liczba wyszłych z chaty kubańców wraz z oficerami gwardyjskimi była 12 ludzi, prowadzących za sobą dwa konie. Udali się oni na niedaleko leżący cmentarz i tam do reszty zostali wystrzelani. Ocaleli tylko dwaj oficerowie gwardii huzarów i jeden kubaniec, i to tylko dzięki ich sprytowi, iż ukrywszy się między trupy koni i ludzi i udając zabitych uratowani byli przez naszych oficerów, a głównie przez kapitana Zarembę, który ich sobą przed żołnierzami osłonił.

Od czasu spalenia chaty wieśniaczej z kubańcami oddawszy komendę Zarembie z rozkazem skończenia z pozostałymi dwunastu ludźmi na cmentarzu i odszukawszy jakiegoś konia, podążyłem do Taczanowskiego, którego otoczony sztabem przejeżdżał jako zwycięzca przed frontem I pułku ułanów. Salutując bohatera napomknąłem mu, czy nie warto byłoby skorzystać z nadarzonej sposobności i, mając pod ręką brygadę od przeszło dwóch dni wypoczywającą w Sędziejowicach, porwać ją i podążyć, aby zniszczyć o półtrzeciej mili wypoczywające

dwa szwadrony huzarów gwardyjskich pozostawione bez oficerów, gdyż, jakem się już dowiedział od rannych kubańców, ośmiu oficerów gwardyjskich wraz z komendantem ekspedycji pułkownikiem hr. Grabe¹⁾ zostawili swe szwadrony z trzema tylko oficerami i należeli do tej szarmydlówki kubańskiej.

Potrzeba było umieć skorzystać z tej nierozwagi moskiewskiej, a nawet z lekkomyślności ich komendanta, któren śmiercią zapłacił swą nierozwagę, pociągając za sobą bez żadnej potrzeby 72 ludzi.

Ale innego dowódcy potrzebowała ta brygada kawaleryjska. Zamiast bowiem w lot uchwycić myśl mu podaną i łatwym zwycięstwem zaprawić swego młodego ale niezłe już wyrobionego żołnierza do dalszych zwycięstw, odpowiedział mi ospale, że się namyśli, a po namyśleniu i otrąbieniu zwycięstwa udał się rzeczywiście w pochód, tylko nie na owe szwadrony oczekujące zwycięskiego powrotu kubańców z oficerami gwardyjskimi, tylko, plecy w tamtą stronę pokazując, pociągnął w stronę południowo-wschodnią w kierunku na Częstochowę.

Czy chciał osobiście zaprezentować siebie i swą brygadę w tamtych stronach, w których nigdy poprzednio nie był, czy choć z daleka pokłonić się i podziękować naszej Pani Jasnogórskiej za odniesione zwycięstwo, tego dalibóg do dzisiaj nie wiem. Nie mogłem i nie mogę go bowiem i do dzisiaj podejrzewać o animusz rycerski Kaźmierza Pułaskiego choćby już z tego powodu, że nie był to wierny sodalis marianus, przeszłość bowiem jego rzymska i ta adiutanteria przy Garibaldim więcej w nim „masona“, niż oddanego sługę Panny Marii pokazywała, tak by przynajmniej osądzili, zdaje mi się, ojcowie Towarzystwa Jezusowego, po co on zatem w tamte strony pociągnął, tego nie wiem, gdyż jako wolontariusz nie mogłem go o to zapytać.

W marszu, jaki robiliśmy, dowiedziałem się od pułkownika Matuszewicza o początkowych epizodach potyczki.

W godzinę po mym odejściu na spoczynek padły strzały na czatach od strony, skąd przyszedłem, a w parę minut później grzmot wystrzałów na wylocie wsi.

Wybiegł ze dworu, dosiadł konia, w kilka minut wsadził na koń dwa pierwsze szwadrony swego pułku, a mianowicie Okoniewskiego i Mniewskiego, najbliżej dworu stojące, i poza tyłami wsi poprowadził ich w stronę strzałów. Wyszędłszy zza osłony wsi na otwarte pole, ujrzał z odległości 600 do 800 kroków cofającego się stępo nieprzy-

1) Rotmistrz Grabbe, przyp. wyd.

jaciela, osadzonego od wylotu wsi flankierskim plutonem. „Gdy nas kubańcy spostrzegli, widząc zamkniętą drogę do ucieczki cofnęli się o kilkadziesiąt kroków na prawo i zajęli pozycję pod tą osobno stojącą stodołą, na jakiej ich za przybyciem z flankierami zastałeś. Wtenczas, sformowawszy fronty szwadronów jeden za drugim w odstępach 150 kroków, poleciłem atak — najprzód Okoniewskiemu, a po jego odparciu Mniewskiemu, także odpartemu, a w chwilę potem przybyłeś z flankierami i zastałeś mnie formującego zmieszane szwadrony“.

„Smutne — dodał na końcu — bo żołnierz polski odbiegł swego oficera, gdy tamci bowiem z całą precyzją, jakby na udanych manewrach sadząc przed frontem swych oddziałów, wpadli na kubańców i byli przez nich rąbani, żołnierze w pędzie na kilka kroków przed stojącym nieprzyjacielem zawracali konie i uciekali. Mam pięciu oficerów w tych dwóch szwadronach ciężko rannych, a żadnego żołnierza, i oficerowie domagają się dziesiątkowania tych szwadronów“.

W każdej armii regularnej podobne znalezienie się żołnierzy musiałyby spowodować doraźne postępowanie, które by mogło nawet korzystnie wpłynąć na wzmocnienie karności, ale z naszym niekarnym powstańczym żołnierzem podobna rzecz nie mogła być w sposób sumaryczny doraźnie karana, gdyż mogła wywołać opór, a nawet bunt przeciwko jej wykonaniu i rozsypkę całej brygady; dlatego odradzałem stanowczo doraźnego jej przeprowadzenia, wskazując mniej drastyczne środki, a głównie więcej pracy i zajęcia się pp. oficerów żołnierzami i zawiązania w szwadronie większej harmonii służbowej. Powoli karność i przyzwyczajenie zrobi swoje.

Gawędząc o przebytej potyczce, jakkolwiek zakończonej w krótkim czasie zniszczeniem kolumny moskiewskiej, lecz wykazującej, że na naszego żołnierza na pewno rachować nie można, przeszedłszy parę mil drogi przybyliśmy do jakiejś wioski przed zachodem słońca. Gdym się we dworze obok Piniego umieszcili i rozciągnęli na znajdującej się tam sofie myśląc o dalszym kontynuowaniu snu mi przerwano, wszedł kapitan Zaremba i doniósł mi, że oddani mu zostali pod straż wzięci do niewoli oficerowie moskiewscy, że ich umieszcili pod strażą w pokoju na górze we dworze i że dowiedziawszy się od niego, iż ja ich w tę matnię wprowadziłem i że znajduję się przy brygadzie, prosili go bardzo, żebym ich odwiedził.

Coś mnie ludzkiego popchnęło do pójścia. Przeszedłszy przez pokój zajmowany przez Piniego i zabrawszy od niego pudełko papierosów, poszedłem za Zarembą do osadzonych oficerów, a gdym im wymienił moje nazwisko i zapytał, iż podobno życzyli sobie ze mną się

widzieć, przedstawili się wymieniając swe nazwiska hr. Witmajer i ksiązę Urusow, objawiając niejakię zdziwienie z powodu mego młodego wieku. Gdy im ripostowałem, iż i oni nie starsi zapewne ode mnie są jednakże także oficerami, a dla lepszego humoru poczęstowawszy ich papierosami zaprosiłem ich siadając do gawędy, objawili znów zdziwienie, mówiąc mi otwarcie, iż się spodziewali znaleźć mnie innego, słyszeli bowiem o mnie rozmaicie jeszcze w Warszawie stojąc tam na kwaterach, a z mych spotkań z dnia wczorajszego i z potyczki dnia dzisiejszego nabrali przekonania, że mają do czynienia z starym i wytrawnym oficerem. Uśmiechnawszy się z prawionego komplementu, zapytałem ich wręcz, skąd oni się znaleźli tutaj w takiej odległości od swych wygodnych kwater warszawskich i jak się nazywa ich szalenie lekkomyślny komendant.

Opowiedzieli mi całą historię. Że w. ksiązę Konstanty Mikołajewicz z żoną, dziećmi i najbliższym otoczeniem wyjechał z Warszawy i koleją Bydgoską dojechał do granicy Prus; że dwa szwadrony leibgwardyjskich huzarów z sotnią kubańców pod komendą pułkownika hr. Grabe stanowiły ich eskortę, że w Nieszawie przy pożegnaniu w. księżna wręczyła ich komendantowi różę, jako dowód uznania dla zwycięzców, że tak jeszcze w Warszawie, jak i przechodząc Włocławskie, słyszeli dużo o kawalerii Taczanowskiego, a pułkownik Grabe, pragnąc zapłacić jakim czynem bohaterskim za ofiarowaną mu różę, postanowił spotkać się z kawalerią Taczanowskiego. W okolicach Turku trafili na ślad jakiejś polskiej kawalerii, a nazajutrz w okolicach Błaszek pobili ten szwadron. Za uciekającymi wysłali swe rozjazdy kubańców, a sami powrócili do Turku. Gdy rozjazdy zawiadomiły ich o miejscu odpoczynku powstańców i o śledzeniu ich z bliska, zawiadomiwszy komendy w Kaliszu i Sieradzu i wzywając je do wspólnej dośrodkowej akcji czekali w pogotowiu, a gdy ich rozjazdy doniosły im o naszym marszu w kierunku Warty, wyszli nad ranem z Turku i nastąpiło nieudane spotkanie pod Brodnią skutkiem chwilowego opóźnienia się, gdyż chcieli to uczynić przed przeprawą przez Wartę. Resztę sam już wiem dobrze, gdyż ścigając musieli swe ruchy zastosować do uciekającego. Miałem tę przewagę nad nimi, że znając teren i umiając się na nim poruszać, klucząc ślady za sobą, zyskiwałem chwile odpoczynku dla koni i ludzi, gdy oni, często nakładając drogi, tracili czas i dystans pościgu tracąc nas z oka, i że ja cofając się zbliżałem się do wiadomego mi celu, o którym i oni w końcu dowiedzieli się na swoje nieszczęście, gdy zmęczeni i na padających koniach mieli tylko jeden cel — doścignąć nas i zetrzeć.

Gdym podniósł zarzut lekkomyślności na ich dowódcę hr. Grabe, że z kilkudziesięciu kubańcami, ogołacając szwadrony huzarskie z oficerów, rzucił się niebacznie w ten pościg, odpowiedzieli mi smutnie, lecz zwięźle „zapłacił to życiem“, a gdym im na to odpowiedział, iż dowódca nie ma tylko swego życia do stracenia, lecz przede wszystkim powinien dbać o życie swoich podkomendnych, i gdyby nie ta szczęśliwa dla nich okoliczność, że na czele tej brygady kawaleryjskiej stoi Taczanowski, a nie energiczniejszy generał, nie rozmawiałbym z nimi tutaj w tej chwili, lecz byłbym się ze zmęczonymi i bez oficerów lejbgwardzistami.

Popatrzyli na mnie, a ja tylko pogardliwie ruszyłem ramionami, wymieniając nazwisko wsi, w której zostawili szwadrony.

Zapytałem ich jeszcze na końcu, dlaczego po odparciu ich ataku na grandgardę i korzystając z czasu zanim sformowały się szwadrony i otoczyły ich — oni nie cofnęli się, mając na to przynajmniej kwadrans czasu, lub nie zajęli jakiego osobnego domu i nie przygotowali go do obrony. Odpowiedzieli mi niewyraźnie, że chcieli mieć wolną drogę odwrotową.

Na tym skończyła się nasza pogadanka, a gdy wychodziłem zostawiwszy na stole papierosy, któryś z tych panów wskazał na nie, wówczas poprosiłem ich, żeby zechcieli przyjąć tę koleżeńską przysługę, a jestem przekonany, iż jeżeli znajdę się w ich położeniu, to czy oni sami, czy ich koledzy przysługi mi tej nie poskąpią, a ja ją przyjmę. Żegnając ich i życząc im dobrego snu upewniłem ich, iż jakkolwiek nie znam zamiarów Taczanowskiego co do ich osób, to jednakże ponieważ to jest człowiek w gruncie dobry i szlachetny, a my nie walczymy z narodem moskiewskim tylko z jego rządem, przeto ich życiu nie grozi żadne niebezpieczeństwo; mogą z nami pochodzić jakiś czas i będą uwolnieni, zapewne po pewnym honorowym zobowiązaniu.

Zostawiwszy ich koleżeńskiej opiece Zaremby, poszedłem do Pinięgo, aby się dowiedzieć, jak z jeńcami zamierzają postąpić, a gdy mi powiedział, iż Taczanowski nie powiedział w tej sprawie ostatniego słowa i że głównie myśli i lamentuje nad postępkami dwóch szwadronów i rannymi oficerami, poradziłem Piniemu, aby pozwolił Taczanowskiemu dowoli się wypaść, a tym samym uspokoiwszy mu nerwy, jutro przy rannym widzeniu, na którym będę obecny, poruszmy i załatwimy tę sprawę korzystnie dla jeńców, a bez ujmy dla naszego honoru. Nad sprawą ucieczki szwadronów trzeba przejść spokojnie do porządku dziennego, inne bowiem właściwe załatwienie wydaje mi się ryzykowne.

Ponieważ poglądy nasze na tych punktach były zgodne, podałem mi rękę na znak wspólnego postępowania w dniu jutrzejszym, a pijąc herbatę z jakąś zimną przekąską, opowiedziałem mu wyprawę „róży w. księżnej“ na zdobycie złotego runa i korzyść, jaką „matuszka kazna“ z naszego niby zwycięstwa odniosła, gdyż nie potrzebuje o-
płacać zwycięzców, kule bowiem polskie skutecznie ją wyręczyły.

Wyspawszy się wcale nieźle, udałem się z Pinim na ranną wizytę do Taczanowskiego, a powitawszy go jego ulubionym „*buon giorno*“ (bo młodość mu przypominającym), od razu przystąpiłem do sprawy jeńców — z tym, że się źle stało, iż zamiast brać ich do niewoli, na miejscu ich nie ubito. Lecz stało się, a z tym bagażem zawadzającym skończyć należy, ponieważ zaś oprawcami i rzeźnikami nie jesteśmy, a oni nie przedstawiają potęgi armii, byłoby, moim zdaniem, najro-
zumniej udać wspaniałomyślnego i wypuścić ich na wolność, zażą-
dawszy od nich poprzednio słowa honoru, że w tej wojnie przeciw Polsce walczyć nie będą. Podobne postąpienie w sferach arystokratycz-
nych, do jakich ci oficerowie z urodzenia należą, musiałyby wywołać korzystniejsze o naszym powstaniu mniemanie, a dla generała, którego podobnie postąpił, uznanie za czyn szlachetny i prawdziwie ludzki.

Uważałem, że Taczanowskiemu spodobały się moje poglądy, zwró-
cił się jednak do szefa sztabu Piniego, żądając wypowiedzenia jego zdania w tej sprawie, a gdy ten zupełnie zgodził się na moje poglądy, wówczas zwrócił się do mnie i wyciągając rękę powiedział: „Cała rozprawa wczorajsza, a szczególnie jej ukończenie, to pańska rzecz; niechże zdanie pańskie, jako głównego czynnika, będzie uznane i o-
ficerowie wzięci do niewoli będą po paru dniach wolni — jak tylko zobowiążą się słowem honoru nie służyć przeciw nam w tej wojnie“.

Po załatwieniu tej sprawy, która mi cokolwiek leżała na sercu, i obmówiwszy w sposób uspokajający podniesioną przez Taczanowskie-
go sprawę opuszczenia oficerów przez żołnierzy w rozprawie wczor-
ajszej, poprosiłem go o kilkudniowy urlop dla wypoczynku i wyspania się po kilkudniowych tarapatach. Pożegnawszy się z obecnymi nie przeczuwałem, że ich już po dwudziestu czterech czy trzydziestu go-
dzinach nie odnajdę.

W godzinę bowiem, to jest 26 sierpnia 1863 r., jadąc jeszcze z bry-
gadą w marszu będącą i oznajmiwszy jeńcom moskiewskim o ich losie, za co mi serdecznie podziękowali, zaleciwszy Zarembie i nadal ludzkie z nimi obchodzenie, wyprawivszy jeszcze poprzednio ofice-
rom I pułku ułanów obfitą przekąską w jakimś młynie przydroż-
nym, złożoną z kotła jajecznicy dobrze omaszczonej szperką i kiełbasą

i oblanej paru kielichami wódki, — skręciłem w jakiejś wiosce w bok kolumny.

Gdym się od brygady oddalił i stracił ją z oczu, dziwny lęk ogarnął mnie o nią. Zdawało mi się, że śniadanie przed chwilą spożyte zakrawało na stypę pogrzebową. Potrzebowałem całej swej nieprzesądnej loiki, ażeby wizję koszmarową odpędzić, ku czemu dopomagała mi ta świadomość, że Moskale nad dwa szwadrony huzarów i coś kozaczyzny do boju wystawić nie mogą.

Przybywszy do znajomych mi i serdecznych gospodarstwa gdzieś na południu Szczercowa, do wioski położonej w lesistej i z dala od dróg okolicy, zapowiedziałem im po przywitaniu, iż zajmuję na dni kilka u nich kwatery spodziewając się, iż mnie psami nie wyszczują i nie zamorzą głodem. A kiedy gospodyni domu z całą powagą oświadczyła mi, iż jej zapasy konfitur są tak obfite, iż będzie mnie mogła nimi zadowolić, musiałem zrobić tak bolesno-komiczną minę, że zdziwione cztero czy pięcioletnie dziewczątka nie wiedziały, czy śmiać się, czy płakać nad wujaszkiem, którego bardzo kochały. Wówczas i poważna gospodyni domu raczyła parsknąć śmiechem, a opierając swój błogi ciężar na moim ręku, kazała się prowadzić na przerwany mym przybyciem podwieczorek. Chciała rozbawiona dłużej się jeszcze bawić konfiturami, o których wiedziała, iż ich z jakiegoś wybryku spartańskiego nie używam, obstawiła mnie nimi dokoła, lecz tak obficie przepłatała wyborynymi wędlinami, iż i ja ożywiony spełniałem jej zdrowie, zjadając talerzyki konfitur.

Było mi u tych ludzi dobrze, jak w najbliższej rodzinie, i byłbym zapewne swój urlop przedłużył, bo nie miałem do czego spieszyć nie mając jako wolontariusz żadnego czynnego obowiązku, gdyby nie jak grom z jasnego nieba wieść o zniesieniu Taczanowskiego pod Kruszyną nie nadeszła do tego cichego zakąta 28 sierpnia wieczorem.

Jak ta bitwa była prowadzona i czy była w ogóle prowadzona, tego ani wówczas, kiedy na miejscu prawie i od naocznych świadków, ani dzisiaj, na podstawie zebranych danych, stanowczo określić nie mogę.

Zebrane dane wykazują co następuje.

Do stojącego oddziału pod Kruszyną pod komendą podpułkownika Kopernickiego (szwagra p. Agatona Gillera) w sile 600 ludzi, w połowie strzelców, a w drugiej połowie kosynierów, podążył z brygadą Taczanowski w sile około 1300 koni i po złączeniu się, nad wieczorem 27 sierpnia 1863 r., zostali napadnięci przez dwie kolumny

moskiewskie z osobna działające, a mianowicie przez kolumnę podpułkownika Bremsena, komendanta Łodzi, złożoną z dwóch szwadronów huzarów, 60 kozaków i plutonu raketników, o sile 400 koni nie przenoszącej, i przez drugą kolumnę wyszłą z Częstochowy czy Radomska pod komendą jakiegoś majora, złożoną z dwóch kompanij piechoty i sotni kozaków, a zatem o sile także 400 ludzi nie przenoszącej.

Prawdopodobnie żadnej potyczki ani nawet regularnego, bodaj jako tako osłanianego odwrotu u Taczanowskiego nie było, tylko porozumiawszy się na migi ze swym szefem sztabu, opuścili plac boju kłusem, pociągając za sobą I pułk ułanów, II zaś, spłoszony popłochem napadu i kilku wyrzuconymi na nich racami, rozsypał się w zmrokach wieczora. O oddziale pieszym chodziły wieści coś do prawdopodobieństwa podobne, że napadnięty przez piechotę moskiewską na wozach jadącą z towarzyszącymi jej kozakami i popchnięty przykładem uciekającego swego dowódcy p. Kopernickiego ulotnił się do sąsiedniego lasu, gdzie w zmrokach wieczora się rozsypał, a ścigany przez kozaków, na takie tylko wypadki gończaków jedynych, zostawił w ich rękach przeszło 100 niewolnika¹⁾.

Tak się zakończyła egzystencja komend i działalność wojenna dwóch dowódców powstańczych. Taczanowski syt sławy i wrażeń, odprowadzony do granicy wyjechał na zachód, uwolniwszy poprzednio dwóch oficerów gwardyjskich, w zamian za co generał Radin z Piotrkowa wypuścić kazał prawie wszystkich wziętych do niewoli pod Kruszyną. Drugi zaś bohater spod Kruszyny, ozdobiony godnością pułkownika i Naczelnika sił zbrojnych województwa kaliskiego, pozostał w kraju na zgubę powstania w charakterze nadzorcy i kontrolera tak stanowczo już reakcyjnego Rządu Narodowego, jak i późniejszego przedstawiciela Dyktatora Traugutta, prawdziwego uspokoiiciela powstania 1863/4 r., i pilnował z całą skrupulatnością żandarma zleceń tegoż Dyktatora, to jest odbywania pozorów ruchu zbrojnego, ale bez żadnych starć, tylko pozory zostawiając. Ale potem o tej rzeczy, wymaga ona pełniejszego określenia, a tego w pobieżnym poglądzie uczynić nie można; powrócę do niej z pewnymi dowodami w ręku, którymi czas dyktatury Traugutta się zaznaczył.

¹⁾ Klęska pod Kruszyną nastąpiła w dniu 29 sierpnia, początek starcia o godz. 3 rano, przyp. wyd.

IV. WRZESIEŃ, PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ NA CZELE ORGANIZACJI WOJSKOWEJ POWIATÓW KALISKIEGO I KONIŃSKIEGO

W pierwszych zaraz dniach po rozsypce kruszyńskiej, zniósłszy się osobiście z ówczesnym Komisarzem Rządu St. Szachowskim, wziąłem w zarząd organizację wojskową w powiatach kaliskim i konińskim, aby poformowawszy oddziały piesze i podćwiczywszy je regulaminowo w obrotach wojskowych najprzód pojedynczymi kompaniami, następnie sformować z nich dwa dosyć odporne i lotne bataliony strzeleckie. Czynność tę, do której natychmiast przystąpiłem, nie przerwałam ani przewrotami wrześniowymi w Rządzie Narodowym, ani apatią w klasie narodu zwykle na tę słabość chorującej, w większej połowie przed końcem września skutecznym, gdyż stanęły już gotowe cztery kompanie strzelców uzbrojone w karabiny i jako tako pod zimę odziane, każda w sile stu ludzi, pod komendantami: Godzimirskim, Nowickim, Petzem i Korytkowskim, z przywiązanymi do swych kompanij po dziesięciu strzelców konnych.

Ustalony tak nazwany Rząd Narodowy, a rzeczywiście ówczesny Dyktator Traugutt, zamianowawszy p. Kopernickiego pułkownikiem i Naczelnikiem sił zbrojnych województwa kaliskiego, oddał mnie tym samym pod jego komendę. Jakkolwiek prawie wstrętną była mi ta figura, przypominająca znacznie typ „burbona“ z czasów mikołajewskich, i jakkolwiek jego tchórzostwo osobiste, objawione tak jaskrawo podczas nieszczęsnej rozsypki pod Kruszyną, nie dało mi zapomnieć nigdy, że mam nad sobą nędznika, a nie oficera polskiego, to byłem jeszcze wówczas tego mniemania, iż stosunki nasze służbowe ograniczą się na służbowych piśmiennych raportach, w razie potrzeby składanych Naczelnikowi województwa. Pragnąc organizację piechoty w tych dwóch powiatach uzupełnić, gdyż z rozsypki kruszyńskiej ocalały i jeszcze wówczas egzystowały w województwie kaliskim trzy szwadrony I pułku ułanów pod Matuszewiczem i Miśkiewiczem, przyjąłem obiektywnie jego zwierzchnictwo w nadziei, że dokończę zamierzonej organizacji piechoty, do czego nie potrzebowałem jego pomocy, a raz ją ukończywszy i podćwiczywszy w kompaniach osobno rozmieszczonych, zbiorę je w razie potrzeby w jedno lub dwudniowym marszu na punkcie zbornym i osobiście wzięwszy je pod komendę, rozpocznę czynne działanie — bądź koncentrując je, bądź też rozrzucając kompaniami lub półbatalionami.

Największą podówczas moją troską i trudnością było wynalezienie odpowiednich dowódców dla formujących się kompanij. Gdyby ta czynność przeprowadzoną była przed rozsypką kruszyńską, to przeprowadzenie formacji piechoty pod osłoną kawalerii i przy możliwości odnalezienia odpowiedniejszych oficerów oraz przy lepszym duchu, panującym jeszcze w narodzie, byłaby wykonaną szybko i dokładniej. Lecz nie było czasu na namyślanie się, skąd wziąć odpowiedniejszych oficerów, Kaliskie bowiem nie obfitowało w nich nigdy, a ci, co byli, ulotnili się za przykładem Taczanowskiego bądź zaraz, bądź nieco później w zabór pruski, a trzeba było dalej utrzymywać zaprzestany chwilowo ogień, gdyż z chwilą jego zgaśnięcia powstanie przestanie egzystować.

Gdyby w naszym narodzie oprócz wszystkich cnót czy wad, bo już nie wiem jak je nazywać, choć w mniejszej ilości posiadano przymiot „wytwałość“, tak obficie posiadany przez rasę anglo-saksońską, sumiennie zrobione zestawienie dałoby saldo dla powstania dodatnie.

Zmarnowane w znacznej części 12 do 15 milionów złp. i strata 20 do 25 tysięcy ludzi w zabitych i rannych nie mogły stanowić salda wyczerpania moralnego i materialnego dla narodu, którego pewne wybitniejsze klasy społeczne, szcycące się tak nazwanym patriotyzmem, zaledwie rozpoczęły ofiarę.

W porównaniu zaś z początkiem powstania, w chwili, o której piszę, to jest w połowie października 1863 r., przedstawia się ono jak następuje.

W początkach powstania kilka tysięcy młodzieży stanu miejskiego i szlacheckiego, może ożywionej najświętszym i najgorętszym zapalem, ale niebaczonej i niedoświadczonej, bez jednego karabina i grosza, bez obuwia i ubrania, bez przewodników z rutyną wojny obeznanych, rzuca się na największe państwo o ustroju absolutnym, rozporządzające w owym czasie w ziemiach tego zaboru 180 tysięczną starą wyrobioną armią i wspomagane wszelkimi możliwymi środkami przez państwa współzaborcze. Gdyby na tym tylko kończyły się ujemne strony początków powstania, położenie naszej sprawy byłoby bardzo szczęśliwe, ale do tych ujemnych potrzeba jeszcze dołączyć dwie najważniejsze, a mianowicie: organizację tak nazwaną białych, obejmującą niemal cały stan szlachecki i zamożniejsze mieszczaństwo, walczącą od dwóch lat nad niedopuszczeniem partii ruchu do wywołania powstania i nad niedopuszczeniem zebrania jakichkolwiek środków toż powstanie ubezpieczających, i drugi, jeszcze nieszczęśliwszy ujemny czynnik — postawę ludu w początkach powstania, przeważnie wrogo przeciw niemu stojącego.

Tymczasem w chwili, z którą początki powstania porównywan, to jest w połowie października 1863 r., stan naszych sił zbrojnych stojących na teatrze wojny, nie wliczając wcale formujących się oddziałów na terytoriach zaboru austriackiego i pruskiego (które, mimochodem powiedziawszy, były jedną z klęsk naszego powstania), był do 10 tysięcy ludzi — rozrzuconych na całym terenie zaboru moskiewskiego w większych lub mniejszych oddziałach pod lepszymi lub słabszymi dowódcami, lecz uzbrojonych przeważnie karabinami i wyrobionych już nieźle w trudach kilkomiesięcznej kampanii i w kilku, a nieraz kilkunastu ogniach — na niezłych wcale wolontariuszów.

Nie rachując już broni, jaką niedołącznie sprowadzała organizacja z zagranicy, w samym kraju na teatrze wojny, wnioskując z województwa kaliskiego, musiało być z kilka tysięcy zapasowych karabinów. O braku prowiantów spożywczych mowy być nawet nie mogło. Na wyczerpanie finansowe nie można było biadać, gdyż podatków dla rządu moskiewskiego przez większą część 1862 r. i cały 1863 r. nie płacono, a podatki wraz z ofiarą narodową nie wynosiły jak połowę normalnego podatku moskiewskiego, na któren, jak i na nałożoną w dubelt kontrybucję znalazły kieszenie szlachecko-episjerskie w trzy czy cztery miesiące później dostateczne środki do zrealizowania należytości, zapełniając nimi, to jest dziesiątkami milionów, puste kasy moskiewskie.

Lecz najważniejszym dodatnim czynnikiem, jaki kilkomiesięczny trud i krew powstańców zdobyły, była niemal do gruntu zmieniona postawa ludu wiejskiego — tych mas, na których jak na mocnych fundamentach można przyszłość tej ziemi budować. Nie socjalizm bowiem ze swymi utopiami kolektywizmu, ani secesyjne elukubracje z gangreną Przybyszewskiego, nawet i Lutosławskiego mesjanizm, połączone *comme de raison* z celibatem, nie zbawią sprawy polskiej, tylko świadomość narodowa tych mas ludu wiejskiego i świadomość swych praw i obowiązków — rozwiąże tę sprawę dodatnio.

A powstanie musiało działać na te masy po apostołsku. Ogłupione i wyszukiwane przez wszystko i wszystkich od wieków, z natury konserwatywne, jak konserwująca była nędza od wieków je trapiąca, wiecznie schylone pod chłuszczącym je batogiem, a podbechtywane przez agentów rządu moskiewskiego, że car pragnie zostać ich ojcem, tylko panowie mu w tym przeszkadzają i starają się go przekupić, — musiały wyrobić w sobie uznanie dla siły rządzącej. Wobec chaosu rozmaitych agitacji, jakie się odbywały, jak to zwykle u nas w Polsce,

głupio i nielogicznie a z całym szowinizmem, mimo tych wszystkich gangren, początkowe wrogie usposobienie przemieniło się na obojętno-przyglądające się, następnie na pozornie przychylne, a niemal od maja na wyczekujące czegoś od „Polaków“, bo tak nas nazywali ci biedni ludzie, sami byli tylko „chłopami“. I w tym okresie wyczekiwania od Polaków, od których, to jest od powstańców, prócz dobrego i ciepłego słowa nic więcej nie otrzymali, zapełniali szeregi naszego powstańczego wojska obficie, lejąc krew swą chłopską obficie niż karmazyny i często ginąc za tę Matkę Ziemię lub zdychając na Sybirze — nie wiedząc, że są Polakami, bo im nikt tego poprzednio nigdy nie powiedział.

Ta zmiana na korzyść w usposobieniu ludu wiejskiego była dla powstania ogromnym dodatnim nabytkiem i gdyby reszta osiągniętych przez te osiem miesięcy korzyści była nic nie znaczącą, a nawet ujemną, to wobec możliwości nie utopijnej lecz realnej rachowania na masę ludową — przy energii i wytrwałości można było wszystkie błędy naprawić i sprawę powstania na nogi postawić.

Tym przekonaniem podtrzymywany, zająłem się dalszą formacją piechoty, a postawiwszy jeszcze dwie kompanie pod Groszternem i Kurnatowskim i sformowawszy dla każdego powiatu żandarmerię po plutonie o 36 ludziach pod Netynem i Klemczyńskim, zacząłem objeżdżać osobno porozrzucane w różnych punktach powiatów kompanie dla lustracji i dokompletowania ćwiczeń wojskowych.

Podczas tych zajęć wstrząsnął mną do głębi wypadek następujący, świadczący o nieszczególnym charakterze ówczesnego Rządu Narodowego pod egidą dyktatorialną Traugutta.

Po spełzłym na niczym zamachu wrześnieowym, wskutek nieporozumienia się z ówczesnym Naczelnikiem miasta Warszawy Waszkowskim i nieuporania się z Dyrektorem wydziału wojny Dębińskim (Kot), gdy Ignacy Chmieliński, Asnyk, Narzymiski, Kobylański z Sekretarzem Stanu Wojciechem Biechońskim i swymi główniejszymi stronnikami z organizacji miasta — wyjechali z Warszawy, ulatniając się do Krakowa, a następnie do Drezna dla odetchnięcia z napędzonego im strachu w Warszawie, zarządzono bezpośrednio z Warszawy aresztowanie Stanisława Szachowskiego, Komisarza Rządu Narodowego.

Dowiedziawszy się o tym aresztowaniu, przybyłem w kilka godzin na miejsce wypadku i dowiedziałem się od Netyna, komendanta żandarmerii powiatu kaliskiego, którego z całym plutonem trzymał straż nad uwięzionym, z czyjego rozkazu bez mojej wiedzy, jako jego

zwierzchnika, to aresztowanie nastąpiło. Oświadczył mi, iż pułkownik Kopernicki wezwał go do siebie z oddziałem, tam pokazał mu rozkaz z pieczęcią Rządu Narodowego, w którym napisane było: „Poleca się komendantowi żandarmów natychmiast aresztować obywatela Stanisława Szachowskiego, Komisarza Rządu Narodowego województwa kaliskiego, i stosować się we wszystkim do rozkazów obywatela pułkownika Kopernickiego, Naczelnika sił zbrojnych województwa kaliskiego, pod osobistą odpowiedzialnością“. Rozkaz był krótki i zrozumiały. Dowiedziawszy się od Netyna o miejscu pobytu obywatela pułkownika Kopernickiego i kazawszy Netynowi zwinąć pluton i odmaszerować do wskazanej miejscowości, pojechałem z Szachowskim dla odnalezienia Kopernickiego. Odnalazłszy go w domu bardzo przyzwoitego szlachcica, oświadczyłem mu, że spod aresztu uwolniłem komisarza Szachowskiego, że jeżeli im tam u góry potrzebną jest jego osoba, on sam do nich pojedzie nie potrzebując żadnej eskorty, że ci panowie w górze to są co najmniej głupcy, bo się nie aresztuje swych komisarzy na prowincji choćby z tej racji, żeby nie dyskredytować powagi ich samych, których oni reprezentują, że mają na to swych sztyletników, a ludzie zabici nie reklamują i nie krytykują ich nędznego postępowania, bo nie żyjąc milczą dyskretnie; plunąwszy na niego i nazwawszy go podłym nędznikiem, zapowiedziałem mu stanowczo, żeby nie ważył się nigdy nic podobnego urządzać, bo się z nim rozprawię, jak na to zasługuje. Wsiadłszy na bryczkę, odjechałem z Szachowskim, któren w parę tygodni później, bodaj w początkach listopada 1863 r., pojechał do Warszawy. Gorączka partyjnej zawziętości nie opuściła jeszcze ówczesnego Rządu Narodowego: jak tylko przybył do Warszawy i zawiadomił o swym zamieszkanu w hotelu Saskim, wysłano wykonawcę wydanego na niego wyroku śmierci. Na szczęście tak dla niego, jak i dla ówczesnego Naczelnika Rządu Traugutta, na którym ciążyłaby wiecznie plama dokonanego partyjnego morderstwa na jednym z najwięcej czynnych patriotów, wykonawca wyroku, któremu nazwiska Szachowskiego nie wymieniono, a tylko polecono wykonać wyrok na osobie wskazany numer Saskiego hotelu zamieszkującej, gdy przyszedł pod takowy, aby wyrok wykonać, spotkał wychodzącego z niego na korytarz Szachowskiego, któremu jako uczeń gimnazjum w latach 1860 i 1861 galopenował i któren w owym czasie należał do najwybitniejszych jednostek ówczesnego ruchu warszawskiego. Gorący ten szlachetny młodzieniec, zobaczywszy swego dawnego naczelnika, którego, jak cała ówczesna gorętsza młodzież warszawska, uwielbiał i ślepo weń wierzył, zrozumiał, że mu

polecono wykonać zbrodnię, i w miejsce pchnięcia sztyletem — ścisnął go i całował mu ręce. Takim sposobem uszedł Szachowski powtórnemu wykonaniu wyroku, a odrzucony przez ówczesny Rząd od dalszych robót powstańczych, w krótkim czasie przez Kraków wyjechał za granicę.

W chwilach przeto, kiedy potrzeba upadającego powstania wymagała największej energii i wytrwałości i kiedy ludzie tymi zaletami najwięcej wyróżniający się byli już wielką rzadkością, ówczesny Naczelnik Rządu dyktatorialnie rządzący Traugutt kopał takich ludzi i usuwał ich od pracy narodowej, przestrzegając z całą ścisłością programu, ułożonego z reakcyjną partią pod egidą Hotelu Lambertowskiego.

Ale wróćmy do przerwanych wspomnień.

Stan przeto sił zbrojnych przeze mnie zorganizowanych i ćwiczonych z końcem października 1863 r. był w powiatach kaliskim i konińskim następujący. Kompanie strzelców, uzbrojone w karabiny z bagnetami, liczące przeciętnie po 100 ludzi, pod komendantami Godzimirskim, Petzem, Nowickim, Korytkowskim, Kurnatowskim i Groszternem wynosiły około 600 ludzi, konni strzelcy, przy kompaniach pieszych pozostający, do 70 ludzi rachowali i dwa plutony żandarmerii po 36 ludzi liczące, w razie koncentracji 74 ludzi wynoszące. Stanowiło to siłę przeszło 700 wynoszącą, nieźle, jak na nasze powstanie, uzbrojoną i odzianą, a która przy zdolnych i mających jako tako wyrobioną rutynę oficerach mogła już była nieźle w ćwiczeniach się wykształcić, gdyż dzięki lepszemu usposobieniu ludu wiejskiego oddziały mogły spokojniej i bezpieczniej przebywać na oznaczonych im stanowiskach. Na nieszczęście, tych oficerów w województwie kaliskim nie było.

Od samego początku powstania brak było najzupełniej regularnych oficerów. Niemal wszyscy ci panowie, którzy poczuwając się do obowiązku opuścili wrogie szeregi, z wyjątkiem tych, którzy na Litwie bądź na Rusi pozostali, schronili się pod opiekę Krakowa, a działając bądź dorywczo w niby organizujących się i wychodzących na teatr wojny oddziałach, bądź też udając tylko zajętych, — stworzyli swym postępowaniem zakałę powstania, bo tak nazwane uciekinierstwo.

Ale jeżeli było trudnym znaleźć regularnego oficera w innych częściach Kongresówki, zupełnie na nich zbywało w Kaliskim. Stan oficerski tego województwa składał się z paru inwalidów z 1831 r., z kilku niby oficerów z powstania 1848 r., z kilkunastu jednorocznych ochotników wojska pruskiego i zaledwie pięciu elewów szkoły wojskowej w Genui i Cuneo. Ten stan oficerski, gdyby się utrzymał

do końca, mógł jakoś stanowić podstawę do organizacji wojskowej. Lecz z chwilą opuszczenia kraju przez Taczanowskiego i ulotnienia się jego kawalerii, stan ten oficcerski, biorąc przykład z jenerała i oficerów jego brygady, ulotnił się w kilku tygodniach niemal ryczałtowo celem zajęcia prawdopodobnie zimowych kwater bądź w Poznańskim, bądź też cokolwiek dalej, jak „Pod złotą gęsią“ w Wrocławiu, lub wreszcie o poczuciu i smaku estetycznym zajęli kwatery drezdeńskie.

Zostało nas bardzo niewielu. Ja — na powiaty kaliski i koniński, mając do pomocy niby oficera, trzymiesięcznego kolegę i elewa szkoły w Cuneo, Wincentego Groszterna, w sieradzkim nie było nikogo, w piotrkowskim porucznik Ignacy Kinel sformował oddziałek strzelców do 50 ludzi dochodzący, a w wieluńskim takąż siłę stanowiła kompania strzelców pod komendą kapitana Przybyłowicza.

Stosunek sił naszych do sił moskiewskich uległ w ciągu tych ośmiu miesięcy bardzo niekorzystnej zmianie. Zamiast bowiem osiemdziesięciu kilku tysięcy żołnierza, z początkiem powstania znajdujących się w Kongresówce, po zgnieceniu jeszcze niedołążonej prowadzonego powstania na Litwie i Rusi, siły moskiewskie tam działające, zastąpione rezerwami z głębi Moskwy w tym czasie nadeszłymi, zostały przerzucone do Kongresówki i doprowadziły stan czynny armii moskiewskiej do 170.000 ludzi.

Co najmniej zdubeltowane siły moskiewskie nie ograniczyły się, jak w początkowych kilku miesiącach powstania, zajęciem punktów głównych, jak twierdze, i miast gubernialnych oraz powiatowych, i to nie wszystkich; zajęły one już z końcem października 1863 r. wszystkie najdrobniejsze miasteczka, a nawet ludniejsze wsie na węzłach dróg położone, a systemem ciągłego patrolowania między kolumnami po miastach osiadłymi — jak z jednej strony dawały baczność, co się w poruczonej im okolicy dzieje, tak z drugiej strony, utrudniając możliwość porozumiewania się rozrzuconym w tym moskiewskim natłoku kompaniom polskim, narażały je koniecznie na pojedyncze rozstrącanie.

Potrzeba było coüte que coüte temu zaradzić, potrzeba było choć chwilowo zmasować siły polskie, pobić nimi parę razy luzem włóczące się niewielkie kolumny moskiewskie, zmasować je i zepchnąć do pewnych punktów, ażeby schwycić powietrza i znaleźć możliwą swobodę ruchów w tej krępującej nawale.

Postanowiłem w tym kierunku działać, a przesławszy rozkazy komendantom Godzimirskiemu, Nowickiemu i Petzowi przybycia do lasów pod Iwanowicami w dniu i godzinie oznaczonej, wsiadłem na

konia i na punkt zborny się udałem. Gdy na godzinę przed terminem wyznaczonym przybyłem na punkt zborny, zastałem już na nim przed półgodziną przybyłą kompanię Godzimirskiego o sile 112 strzelców i 12 kawalerzystów, a gdy robiłem szczegółową lustrację stanu broni i amunicji oraz wstępne ćwiczenia przy nabijaniu broni i celowaniu, nadciągnęły w ciągu paru godzin dalsze dwie powołane kompanie — każda o sile 100 strzelców i 10 konnych strzelców i wcale, jak na zbliżającą się zimę, dostаточно ubrane, bo w krótkie kożuszki i płaszcze zwinięte. Kiedym lustracji dopełniłem i kazałem obiad gotować z zapasów przez kompanie z sobą przywiezionych, przybył z plutonem żandarmerii porucznik Netyń, jednym słowem, miałem pod ręką siły powiatu kaliskiego około 350 strzelców i 35 kawalerzystów wynoszące. Wyprowadziwszy ich na mustrę, po godzinie ćwiczeń i manewrów nabrałem przekonania, że w poprzednich spotkaniach stawałem do boju z mniej wprawnym i gorzej uzbrojonym żołnierzem. Najmniej byłem zadowolony z pp. oficerów, lecz ponieważ innych nie było, trzeba się było z losem pogodzić przypuszczając, iż się w nich zalety odkrywają.

Po parogodzinnym odpoczynku, zasiadłszy do ugotowanego w tym czasie obiadu, wypytywałem oficerów zgromadzonych oddziałów o stosunki miejscowe tych okolic, w których głównie z oddziałami przebywali, a mianowicie co do usposobienia włościan i obywatelstwa wiejskiego. Miałem co do pierwszych jak najlepsze zapewnienia, o drugich donoszono mi zgodnie, że czego sami niemal siłą nie zarekwirują, tego na wydawane w myśl instrukcji bony prawie nigdy na czas nie otrzymują. Przygotowany byłem na podobną odpowiedź i stanęło mi w oczach postępowanie tych panów w pierwszych miesiącach powstania.

Co do siły i rozłożenia wojsk moskiewskich, zebrane przez nich liczby zgadzały się dosyć ściśle z wiadomościami, jakie ze sztabu dywizji kaliskiej w tym przedmiocie otrzymałem.

Kiedym się jeszcze wazył z wydaniem rozkazu do marszu w kierunku lasów koźmińskich, w których stała kompania Korytkowskiego, aby złączywszy go z sobą, ściągnąć do siebie kompanie Groszterna i Kurnatowskiego i rozpocząć czynniejsze działanie stosownie do okoliczności, — przybył wcale niespodziewany co prawda gość, p. pułkownik Kopernicki, którego, jako Naczelnika sił zbrojnych województwa kaliskiego, musiałem powitać z ścisłością służbową, składając mu raport o siłach zgromadzonych oddziałów.

Kiedy się ta ceremonia skończyła, zapytał mnie p. Kopernicki, dlaczego oddziały zgromadziłem. Odpowiedziałem mu, że jego pytanie

zadziwia mnie, gdyż jako dowódca tych oddziałów obowiązany jestem nie tylko wydawać im rozkazy na papierze, ale tych rozkazów dopilnować, a zatem je kontrolować czynnie, wprawiać je w mustry i w marsze nie tylko kompanijne, lecz i zbiorowe, zgoła, wyrabiać w nich poczucie pułkowe, gdyż w każdej chwili może zająć potrzeba przejść z ćwiczeń wstępnych kompanijnych do działania zbiorowego i odwrotnie, a zatem tych rzeczy trzeba nauczyć — i dlatego łączę pojedyncze kompanie celem wyrobienia tak żołnierzy, jak i oficerów.

Czy ten idiotyczny i tchórzliwy dureń zrozumiał dane mu wyjaśnienie, tego nie wiem, za całą bowiem odpowiedź wręczył mi papier z pieczęcią Rządu Narodowego, w którym między rozmaitymi elukubracjami znoszonymi przez cierpliwy papier, a dotyczącymi formacji, obozowania, kwaterowania i mustry pojedynczymi kompaniami, główny nacisk był położony, aby nie dopuścić do koncentracji większej siły, a pojedynczo działające oddziały, a raczej kompanie, żeby unikały wszelkiej akcji czynnej i możliwego starcia, jako w danej chwili nieodpowiedniego.

Głupie te i nędzne elukubracje, pisane przez człowieka, którego nie dyktatorem ówczesnego Rządu Narodowego, lecz wykonawczym zandarmem zorganizowanej reakcji pod egidą Czartoryszczyzny stał się, nie przedstawiały żadnej realnej wartości, gdyż nie mogły być zastosowane do miejsca, czasu i okoliczności, w jakiej się powstanie z końcem października w Kongresówce znajdowało.

Gdyby ten pan, tak nazwany Dyktator Rządu Narodowego, przypomniał sobie za ledwie w początkach maja 1863 r., że jest Polakiem z autonomią litewską, a bodaj czy nie grodzieńską lub mińską, nie bawił się w brawurę wojenną z trzystu ludźmi, lecz rozdzieliwszy ich na dziesięć samoistnych komend rozrzucił po głuszach, bagnach i ostępach gub. grodzieńskiej, mińskiej i Pińszczyzny celem łatwiejszego wyżywienia zbieranych oddziałów w czasie ich organizacji, wówczas może ten człowiek, którego miał jedną cnotę, lecz w Polsce niesłychanie rzadką, cnotę wytrwałości, byłby po paru miesiącach działalności systemem unikania starć i organizowania się pojedynczymi oddziałami postawił dosyć poważne siły zbrojne, gdyż te głusze i błota na olbrzymich przestrzeniach wobec niewielkiej ilości wojska moskiewskiego były najlepszym sprzymierzeńcem dla podobnego systemu. Może ten p. Traugutt z innymi danymi swej zasługi wszedłby w okres przewodnictwa, popieranym przez każdego człowieka czynu, gdyż aż po gardło mieliśmy już owego Rządu Narodowego z użytych i reakcyjnych pismaków złożonego, może ten pan, nie dotknąwszy się tej zgniłej

plejady, nie byłby się stał ostatecznym wykonawcą ich programu i nie stałby się grabarzem powstania 1863/4 r.

Ale wróćmy do przerwane go opowiadania. Przeczytałem ową instrukcję, zakończoną małym P. S.: „Jeżeliby któren z dowódców wybitniejszych nie chciał się zastosować do przeczytanej instrukcji, zawiesić go natychmiast w obowiązkach“. P. S. było jasne i stanowcze. Albo do wszystkich głupstw powstańczych dodać otwarty bunt przeciw ogólnie uznanej władzy, albo zastosować się do rozkazu. Innej drogi nie było. Po przeczytaniu tego P. S. chwil kilka byłem zamysłony nad decyzją, czy zastrzelić jak psa p. Kopernickiego, jako przedstawiciela przyjętego przez Rząd systemu, a tym sposobem, spaliwszy za sobą mosty z drogą legalną, wywiesić choćby czerwony sztandar poruszenia ludowego, czy też ustąpić chwilowo i przysposabiając siły do wiosennego powstania, w które wierzyłem, czekać dogodniejszej chwili do mogącej nastąpić zmiany systemu. Jednym słowem, zabrakło mi cywilnej odwagi do powzięcia decyzji — i postanowiłem zastosować się do instrukcji.

Dziś, po latach czterdziestu, trzewia mi się przewracają, gdy wspomnę tę chwilę, w której człowiek czynu a nie bibuły usunął się od potępienia rządowego systemu — choćby czynem gwałtownym, bo innego środka potępienia w danej chwili nie było. Widziałem jasno, iż system p. Traugutta tylko nas bezsławnie pochowa, bo raz zaprzestane strzały nie wznowią boju, choćby sto rozkazów z pieczęciami Rządu Narodowego do boju wzywało, — ale nie zaoponowałem, jak to należało.

Zwróciłem się tylko do p. Kopernickiego i oświadczyłem mu, żeby zawiadomił tych panów w Warszawie, których papierem się zasłania, iż albo są głupcy nic poza swoim zielonym stolikiem nie widzący, albo nędznicy, którzy z całą świadomością dążą do stłumienia powstania; że system przez nich wprowadzony nawet w ich nadziejach na interwencję nie może mieć żadnej szansy, bo o żywym tylko mówią, a nawet zajmują się, o trupie zaś milczą, a oni nim słońce interwencji wejdzie — tylko trupa mieć będą. Powiedziałem mu jeszcze, żeby spróbował osobiście komendy byle z lepszym odrobinę rezultatem jak pod Kruszyną. Poleciwszy komendantom oddziałów wrócić na poprzednio zajmowane stanowiska i z ludem wiejskim wejść w jak najlepsze stosunki, ażeby wyrobić sobie zimowe kwatery, wypuściłem ich z chwilowego obozu i sam, usiadłszy na konia, z takowego wyjechałem.

Szarzeń już zaczynało, kiedym oddziały wyprawił na dawne legowiska. Byłem niemal zdrętwiały, czułem tylko, że się rozpoczyna

początek końca, a nie miałem siły, żeby stanąć w poprzek temu. Byłem sam jeden jak kulek w województwie. Ci ludzie, z którymi wspólnie od 1860 r. pracowałem, bądź wyginęli, bądź też zawisli na szubienicy, albo szli do krainy za darmo paść sobole. Ci, co jeszcze zostali, rozsypali po trzech zaborach i notowani tak dobrze przez policję zaborców, a może nawet lepiej przez policję narodową, ukrywali się w dziurach, zacierając ślady za sobą. Mała garść w końcu — może najczynniejszych, a może tylko za takich się mających, zawiedziona w coup d'état wrześniowym, opuściła teren szubienic i pojechała na zachód urządzać wszechświatową rewolucję. Nie było nikogo, przed kim można by było się zwierzyć, kogo o radę zapytać. Widziałeś dookoła siebie ludzi zapatyzowanych, wylękłych i zupełnie zdemoralizowanych, którym wyczekiwanie tego końca niesłychanie było wyczerpującym, bo obawa następstw powstania i represji moskiewskiej przerażała ich jak widmo. Wszystko się rozsypywało, a największą moją troską była niepewność, a nawet brak ufności w oficerów, którym powierzyłem komendy nad oddziałami.

Potrzeba było niemal ciągłego z nimi obcowania, kontrolowania i uczenia, ażeby ich jako tako wykształcić i urobić odpowiednio do ich bardzo trudnego stanowiska. Byli to bowiem w danym niespodzianym wypadku dowódcy samoistnie działający tak w ruchach, jak i podczas bitwy, gdyż wszystkie rozkazy Rządu Narodowego i instrukcje, określające stan bierno-odporny i wyznaczające godziny i niemal długość modlitwy, nie raczyły wspomnieć ani w organach urzędowych, ani nawet w swych instrukcjach i przepisach obowiązujących — o niby zawartym rozejmie spoczynkowym, mocą którego jeżeli jedna strona nie chce się bić, to i druga strona obowiązana jest do tej chęci się zastosować. Może nie znały, a może tylko zapomniały, że od czasu traktatu westfalskiego między nawet tak pobożnymi osobistościami, jak Apostolski Cesarz Niemiecki i Arcychrześcijański Król Francji i Nawarry zaniechano błogiego zwyczaju usuwania swych armij, zmęczonych trudami letniej kampanii, na zimowe leże dla dania dobrze zasłużonego wypoczynku swym żołnierzom. Te błogie czasy bezpowrotnie minęły, a p. Traugutt, jeden z czynniejszych obrońców Sewastopola, za zasługi nawet oddane w bitwie pod Czarną rzeczką orderem i wyższym stopniem obdarzony, powinien był o tym pamiętać, gdyż podczas zimy strzelaniny nie przerwano.

Rozmaite myśli, uwagi i porównania snuły mi się po zmęczonej głowie podczas kilkogodzinnej jazdy powrotnej z obozu. Noc ciemna nie pozwalała mi się orientować; popuściwszy cugli i pochyliwszy się

na szyję konia, zdałem się całkiem na jego zmysły i instynkt, wiedząc dobrze z doświadczenia, że nie zmyli drogi do domu, z którego wyszedł, a wzrok i słuch, którym ciągle pracuje, dadzą mi znać o każdym zdarzeniu na parę minut naprzód.

Dziwnie to bowiem jest rozumne i szlachetne stworzenie ten „koń bojowy“, trzeba go tylko poznać, żyć się z nim, a obchodzeniem starannym i pieśczośliwym około niego przywiązać go do siebie: zrozumieją się doskonale i staną się prawdziwymi bojowymi kamratami. Schylony nad jego szyją, ażeby widzieć strzyżenie jego uszu, można mu zaufać, dopiero bowiem postawione w słupka stałego dają znać, że coś nasłuchuje; w nocnych wycieczkach, na podjazdach, a szczególnie w wysuniętych pojedynczo szpicach potrzeba to ściśle obserwować, a gdy koń sam stanie dla lepszego nasłuchiwania i zachęcany głosem cichym, a następnie lekko łydką, stoi upornie w miejscu wyciągając tylko szyję, wówczas miej gotowy rewolwer lub szablę i pomóż mu do pójścia ostrogą, — pójdzie, lecz niechętnie, bo widzi lub czuje niebezpieczeństwo.

Tak jadąc, obserwując uszy końskie i rozmyślając nad rozmaitymi głupstwami ludzi obchodzącymi, przybyłem jeszcze przed północą do tego samego domu, z którego dnia poprzedniego z innymi projektami wyjechałem.

Gdy wypoczęty zacząłem się nazajutrz przyglądać wypadkom dnia poprzedniego, widziałem jasno, że dola pojedynczych oddziałów jest bardzo smutną i w krótkim czasie skończy się katastrofą zniszczenia, gdyż jakkolwiek dzięki przychylnemu usposobieniu ludności wiejskiej nie było prawie obawy naprowadzenia na te oddziały Moskali, to jednakże zważywszy samą gęstość sieci moskiewskiej, którą pokryty był teren, sieci niemal ruchomej, bo od stałych węzłów rozjazdami i patrolami rozświecającej się, niepodobieństwem było przypuszczać, żeby na ślad oddziału nie trafiono, a raz wpadłszy — masową obławą obejmą go i zniszczą. Dodać jeszcze trzeba, iż w powiatach kaliskim i konińskim od czasu rozbioru Polski były w czasie panowania pruskiego pozakładane kolonie niemieckie, które się z Narodem Polskim nie złączyły i wrogo dla niego, jak i dla każdego ruchu narodowego były usposobione, a w owym czasie, o którym piszę, to jest z końcem października, otrzymaną bronią od Moskali uzbroiwszy się, stworzyły milicje wspólnie z Moskalami działające.

Trzeba było coś przedsięwziąć, a ręce miałem związane. Siedzieć z rękami założonymi i czekać zmiłowania Bożego — tego w mej naturze nie miałem. Miałem w sobie dużo zaciętości prawdziwego

Mazura, jakim i byłem, i przeszkody podbudzały mą energię. Doczekawszy i zjadłszy obiad, wsiałem na swą angielkę i ruszyłem w objazd w powiat koniński dla lustracji oddziałów.

Na drugi dzień około południa przybyłem do Brudzewa, a dowiedziawszy się od pp. Kurnatowskich, rodziców jednego z mych komendantów oddziałowych, iż syn prawdopodobnie będzie w okolicach miasteczka Dobra, po obiedzie wyjechałem dla odszukania go z oddziałem.

Ponieważ miasteczko Dobra obsadzone już było kolumną moskiewską o sile jednej rotы piechoty i 25 kozaków, przeto zostawiwszy drogę na prawo, na Sarbice i Człopy przybyłem do Młynów, gdzie odnalazłem oddział w leśno-bagnistej pozycji stojący lewego brzegu Warty dotykając.

Zastałem oddział na wymarszu, a gdym go jeszcze przy zapadającym dniu zlustrował, przekonałem się, iż kompania liczy z oficerami i szarżą 87 ludzi uzbrojonych w karabiny z bagnetami i 13 strzelców konnych, zaopatrzona na kaźden karabin w 60 gotowych ładunków, a do transportowania cztery konie wjuczne, na których przewożono zapasy żywności i niezbędne utensylia.

O zapadającym zmroku wyszedłem z obozowiska, a korzystając z doskonałego przewodnika, leśnymi przeważnie drożynami w kierunku na Piekary, Skęczniew, Strachocice, stanąłem z oddziałem dobrze już po północy w lasach między Maszewem a Strachanowem położonych.

Przenocowawszy w kupie nad brzegiem lasu, z nastaniem dnia, a bodaj 30 października 1863 r., ruszyliśmy w głąbię leśną, a natrafwszy na paromorgową łączkę nieznacznym strumykiem przerzniętą i otoczoną zwartym i dobrze podszytym lasem, założyłem na kraju lasu obóz w tyle przyległej łączki.

Kazałem wybudować dwa szałasы dla piechoty i szałas dla kawalerii. Zbadałem w mustrze wyćwiczenie żołnierzy w nabijaniu i celowaniu, a dalej w rozsypywaniu się w łańcuch tyralierski i w formowaniu frontu. Wynałazszy między wiarą pięciu wysłużonych żołnierzy z wojska pruskiego, zamianowałem ich podoficerami-instruktorami i poleciłem im kaźdego dnia, z wyjątkiem dni marszu, ćwiczyć przez dwie do trzech godzin żołnierza w mustrze i nabijaniu oraz celowaniu na sposób pruski, a także i w fechtunku na bagnety. Poleciwszy im, jako starym i doświadczonym żołnierzom, iść na rękę i pomagać we wszystkim kapitanowi, zwróciłem się do Kurnatowskiego, a odprowadziwszy go na stronę zaleciłem mu: aby nigdy nie stał na miejscu obozem dłużej nad 48 godzin; aby zmieniając stanowiska na

odległość trzech do czterech mil drogi w marszach nie używał dróg publicznych, lecz głównie posiłkował się drogami leśnymi i polowymi; ażeby żywność tak dla ludzi jak i dla koni rekwirował nie na miejscu stojąc obozem, lecz w marszu przechodząc około jakiegoś dworu, gdzie można zabrać wołu lub krowę i korzec kaszy i grochu i innych wiktuałów, na dwa dni dla stu ludzi wystarczających; żeby poruszenia i swe obozy zakładał w obrębie trójkąta, utworzonego przez miasteczka Dobra, Koźminek i Warta, pilnował sam pełnienia służby na czatach — i pilnując wszystkiego bacznie, jak na komendanta samodzielnego oddziału przystało, wyrabiał się pracą i trudem na przyszłego dobrego dowódcę. A w końcu głównie mu zaleciłem, aby uczciwym i przyjacielskim postępowaniem z ludem wiejskim starał się nie tylko utrzymać to dobre usposobienie dla powstania, lecz jeszcze je zwiększył, gdyż w nadchodzącej zimie oni jedni mogą nas utrzymać i osłonić.

Dopełniwszy bodaj wszystkiego, czego mogłem dopełnić, i posiliwszy się ugotowanym już krupnikiem, wsiadłem na swą angielkę i udałem się w kierunku na Koźminek, w okolicach którego powinien się być znajdować oddział kapitana Korytkowskiego.

Gdy przybył bardzo późnym wieczorem do Ciepiewa, spotkałem się na wstępie z smutną nowiną, iż poprzedniego dnia, to jest 29 października, nad wieczorem napadnięty z nienacka oddziałek Korytkowskiego między Osuchowem a Koźminkiem przez jedną rotę moskiewską i ze trzydziestu kozaków, patrolujących szosę i okolicę z Kalisza do Turku prowadzącą, po krótkim oporze uległ rozbiciu, zostawiając na placu kilkunastu zabitych i kilkunastu rannych; reszta, około 70 ludzi, miała się rozsytać w lasach koźmińskich.

Przewidywania moje zaczęły się sprawdzać: pozostawione kompanie bez odpowiednich komendantów, z instrukcją chowania się, a nie bicia się, musiały ulec pojedyńczemu roztrącaniu. W tym atoli wypadku, przy jako tako prowadzonej obronie, wobec niewielkiej przewagi sił moskiewskich, mógł się oddział bez poważnych strat wycofać, zasłonięty znacznymi lasami w tej okolicy rozciągającymi się, i mógł się następnie uzupełnić; a tymczasem nie tylko że został pobity, lecz korzystając z bliskości granicy pruskiej sam Korytkowski uciekł w Poznańskie, a żołnierze rozsypani pokryli się w chatach wieśniaczych, które ich przytuliły i bezpiecznie przechowały.

Nie mogąc na razie nic przedsięwziąć z powodu wszędzie szwędającej się Moskwy ożywionej zwycięstwem, dałem tylko rozkaz komendantowi żandarmerii w powiecie kaliskim Netynowi, aby po kilku dniach, to jest w czasie już pewnego uspokojenia się ruchów

moskiewskich, przybył z swą komendą w okolice Koźminka, a rozdzieliwszy ją na cztery części, to jest na podoficerstwa, przeszukał wszystkie wsie naokoło Koźminka leżące, odnalazł żołnierzy i spisał mi, ilu żołnierzy i w jakiej wsi przebywa oraz gdzie broń, konie i amunicję przechowali.

Na trzeci dzień po rozsypaniu koźmińskiej, to jest 2 listopada, wsiałem na konia i pojechałem szukać oddziału kapitana Groszterna, którego miał się znajdować w okolicach Tuliszkowa.

Gdy przybyłem do Będzichowa, przekonałem się, że dalsza jazda konna jest niemożliwą z powodu kolonij niemieckich na tej rucie leżących, których mieszkańcy niebardzo ochotnie jeźdźca by przepuścili; zmieniwszy przeto zupełnie toaletę i przybrawszy pozory młodego „somsjada“, mając na taki charakter paszport legalny przez generała Bellegarde z Kalisza wydany, wyjechałem nazajutrz powozem w towarzystwie właścicielki Będzichowa jako brat cioteczny, i zmieniając co parę mil ekwipaż i siostrę cioteczną, przybyłem trzeciego dnia na obiad do jakiejś nieszpety kuzynki pod Tuliszkowem.

Przyjemna ta podróż tę tylko miała ujemną stronę, iż musiałem uczyć kuzynów, a głównie kuzynki — stosunku naszego bliskiego pokrewieństwa, ale Bogiem a prawdą przy wrodzonej inteligencji naszych Polek i ich chętnej woli nauka nie była zbyt męcząca.

Przybywszy do Sarbicka 4 czy 5 listopada, dowiedziałem się, iż Moskwy w Tuliszkowie ani Rychwale nie ma i że tylko patrole większe lub mniejsze z kozaków lub huzarów złożone bądź z Konina, bądź z Władysławowa, a czasem z Turku lustrują dosyć często te okolice, lecz jak dotąd dosyć grzecznie parę wizyt odbyły, zadowolniając się poczęstunkiem dla ludzi i koni. W tym skromnym postępowaniu patroli znać było energiczną rękę generała Kostendy, którego, zdolny i odważny wykonawca bądź na polu bitwy, bądź w zarządzeniach administracji wojskowej, nie miał w naturze swej nic policyjnego i nie pastwił się nad pokonanymi. Dowiedziałem się zarazem, iż mówią o jakimś oddziale polskim w okolicach Rychwału mającym się znajdować, lecz o nim nic stanowczego nie wiedzą, gdyż bardzo tajemniczo ma się zachowywać.

Spodobała mi się opinia o oddziale Groszterna, gdyż przyszło mi na pamięć przysłowie o dużo ryczącej krowie. Zjadłszy przeto obiad i podziękowawszy jak umiałem najlepiej mojej ostatniej kuzynce za jej patriotyczną opiekę nade mną, zwróciłem się do gospodarza domu z propozycją, czyby nie chciał przejąć roli opiekuna i nie dopomógł mi w odszukaniu oddziału. Chwilowo zbladł, lecz dobra natura

zwyciężyła, a podając mi rękę „służę panu“ odpowiedział. A siedzieć na jednej bryczce razem z urwisem tej trampy, do jakiej się zaliczałem, to nie wypicie czarnej kawy oblanej likierem, to śmierć lub przynajmniej miły spacer dla przyjemności oglądania Sybiru; a ja nie odrzuciłem ofiary, lecz przyjąłem, gdyż chciałem z oddziałem nocować.

W godzinę później na bryczce siedząc, zaprzężonej parą dobrych koni, mknęliśmy w stronę Rychwału po drogach polowych i leśnych, tylko znajomych miejscowemu mieszkańcowi, i w parę godzin przybywszy do Jaroszewic dowiedzieliśmy się we dworze, iż oddział znajduje się w Królikowie, gdyż mu przed parą godzinami posyłano zapasy żywności.

Podziękowawszy poprzedniemu opiekunowi i radząc mu, ażeby zaraz nawracał do domu, gdyż żona i dzieci są niespokojne o niego, poprosiłem gospodarza domu, ażeby mi dał konia osiodłanego i człowieka, którego woził prowianty, a zamieniwszy częściowo swoją garderobę na gospodarską, to jest kamasze na buty z cholewami, a płaszcz futrzany na lisiurkę, wsiałem na niezłego podjezdka i za przewodnikiem ruszyłem. Czupurny to był chłopak, lat dwadzieścia liczący, któremu śmierzdały „dziegciarze“, a paliły się oczy do „swoich“, bo już tak nas nazywano; gawędząc z nim wesoło, po dobrej półgodzinie przybyliśmy do oddziału w kilkudziesięciomorgowym lesie stojącego.

Przepuszczony przez czaty obozowe, zastałem go przy obiedzie, a nie dopuściwszy do przerywania mu tego przyjemnego dla żołnierza zajęcia, wsunąłem tylko między jedzących mego czupurnego przewodnika, żeby skosztował kaszy żołnierskiej.

Z Groszternem zasiadłszy pod drzewem, słuchałem raportu służbowego. Z niego dowiedziałem się, iż kompania jego piechoty liczy z oficerami 115 strzelców, uzbrojonych w karabiny z bagnetami, że w myśl instrukcji danej mu w początkach formacji każdy pluton podzielony jest na cztery sekcje pod komendą i nadzorem podoficerów, wszystko starszych żołnierzy z wojska pruskiego, że każdy pluton jest pod komendą oficera, także starego żołnierza z wojska pruskiego narodowości niemieckiej, lecz wcale dobrze po polsku mówiących i komenderujących, gdyż służąc w pułkach polskich ten język niezłe sobie przyswoili; kawaleria składała się z 15 konnych strzelców, uzbrojonych w szablę i karabiny, a oprócz tego są cztery konie wjuczne i ośmiu ludzi do nich, uzbrojonych w odtylcowe dubeltówki. Co do amunicji, każdy żołnierz ma w ładownicy po 60 gotowych naboju, a sekcja prowiantowa po 20 ładunków.

Ponieważ zmrok zapadł, a chciałem po dniu zlustrować oddział, zatrzymawszy przewodnika z końmi na wszelki wypadek, zapytałem Groszterna, jak dawno na tym stanowisku przebywa. Odpowiedział mi, iż od 7-ej godziny z rana.

Przypuszczalnie nie groziło żadne niebezpieczeństwo i postanowiłem tu noc przepędzić, a ponieważ na zrobienie szałasów było już za późno, przeto wybrawszy niewielkie zagłębienie kotliny kazałem ściąć na wyniesieniach ze dwadzieścia sztuk drzewa i nimi otoczyć kotlinę. Oslaniało nas to nieco i wstrzymywało w danym wypadku pierwszy impet atakującego. Przy czym zwróciłem uwagę Groszterna na potrzebę zaopatrzenia jego strzelców i furierów w siekiery, łopaty żelazne i kilofy, tak ażeby przynajmniej po dwadzieścia sztuk było w oddziale.

Wstawszy wczesnym rankiem i ogrzawszy przy ogniskach rozpalonych członki zziębnięte chłodem nocy listopadowej, wyprowadziłem oddział na lustrację i mustrę, a po trzechgodzinnym zajęciu przekonałem się, że oddział wcale dobrze jest uzbrojony i nieźle wymustrowany. Linia tyralierska dokładnie rozwijała się i zwijała, tworząc kółka i kwadraty sekcyjne, półplutonowe i plutonowe. Formacja kolumn półplutonowych i plutonowych wykonywana dobrze, a w ataku na bagnety spoicie, pokazywała wartość instrukcji i regulaminu pruskiego; z ogniem tylko nie mogąc robić mustry, kazałem tylko przy sobie szeregami nabijać i celować i nabrałem przekonania, patrząc na dokładność niemal pruską przy wykonywaniu tych ćwiczeń, że w razie spotkania nie będą napróżno marnować ołowiu.

Podziękowawszy oficerom i podoficerom za pracę i dobrą instrukcję, a żołnierzom za ich dzielny wygląd i dokładnie wykonane manewra, poprowadziłem ich do zasieku na dogotowujący się obiad. Przyszedłszy tam i odprawivszy żołnierzy, a zatrzymawszy przy sobie tylko oficerów i podoficerów, jeszcze raz podziękowałem im od siebie, a imieniem Rządu Narodowego jako remunerację dałem oficerom po 15 rs., a dziewięciu podoficerom po 5 rs., obiecując o nich nie zapominać.

Pozostawszy sam z Groszterem, uściskałem go serdecznie jako kolegę cuneończyka, a opowiedziawszy mu całe zajście z Kopernickim i o zapatrywaniu się obecnego Rządu Narodowego na nasze powstanie i wyraziwszy mu moje obawy o los porzrzucanych oddziałów, powiedziałem mu, iż w razie sprawdzenia się moich obaw i wobec zbliżającej się zimy, potrzeba będzie pomyśleć o rozłożeniu oddziałów na zimowe kwatery po włościanach, u których, zrzuciwszy wszelkie odznaki wojskowe i przechowawszy broń i amunicję, będą razem z nimi

spali i pracowali, a nawet z wspólnego garnka jedli. Rozkwaterowanie urządzić sekcjami wraz z ich podoficerami, a zatem dziesięć do dwunastu wsi obok siebie położonych w tej okolicy, gdzie obecnie przebywa, wystarczą na pomieszczenie jego oddziału, żywność zaś w naturze musi być udzielana przez dwory, o co się zniósę z organizacją cywilną. O rozkwaterowaniu nie ma jeszcze obecnie mowy, daję mu tylko pogląd mój na tę sprawę, ażeby w danej chwili wiedział jak postępować i badał w tym kierunku najprzydatniejszą okolicę. Pozostawiwszy mu adres, pod którym trafią do mnie depesze, przestrzegłem o potrzebie nieustannej czujności, ścisnąwszy mu rękę wsiadłem na podanego mi konia i z mym wczorajszym przewodnikiem z obozu wyjechałem, a po półgodzinnej jeździe do Jaroszewic powróciłem.

Przebrawszy się i przyjąwszy wygląd filistra, spokrewnionego z panią domu, zostałem zaproszony do obiadu przez gościnnego gospodarza, zanim jednakże zasiedliśmy do obiadu zapytałem gospodarza o danego mi przewodnika i o jego język, gdyż jakkolwiek nakazałem mu milczenie wsunąwszy w garść rubla, to jednakże nie byłem pewny jego małomówności.

Byłem cokolwiek zdziwiony, lecz bardzo zadowolniony opinią gospodarza, który mnie zapewnił, że jak najlepsze panuje usposobienie dla sprawy narodowej tak między ludem wiejskim, jak i jego czeladzią, z których nawet jeden poznał mnie, bo był w brygadzie Taczanowskiego, a w ogniu pod Złoczewem pod moją komendą.

Zadowolony z dobrze przepędzonego czasu i z opinii dobrej o ludzie wiejskim, jaką dzisiaj pierwszy raz bodaj z ust kastowicza usłyszałem, przywitawszy nadeszłą gospodynię domu, podałem jej ramię i poprowadziłem do stołu. Ożywiona gawęda przeważnie na tle sprawy narodowej dodawała werwy do zmiatania smacznego obiadu, urozmaiconego rzucanymi pytaniami przez dwoje podlotków dwunasto-trzynastoletnich, które z rozwartymi gwiazdkami i naciągniętymi uszętami chwytając sens rozmowy nieraz rzucanymi pytaniami wprawiały nas w kłopot.

Lecz i obiad się skończył, a ponieważ na razie załatwiłem interesa w konińskim, trzeba było wracać w powiat kaliski, aby być bliżej tamtejszych oddziałów.

Kiedym się zwrócił do gospodarza domu prosząc go o konie i pewnego człowieka, który by mnie zawiózł do Będzechowa, odrzekł mi na to, że konie z człowiekiem są do mej dyspozycji, ale ponieważ wieczór się zbliża, a do Będzechowa drogami ubocznymi jest opęta-

nych pięć do sześciu mil drogi, radzi mi, żebym się do jutrzejszego dnia zatrzymał, „a ponieważ w te strony przywiozły pana kuzynki, niechże z powrotem odwiozą pana kuzynowie“. Zgodziłem się z ochotą na taką propozycję, a przepędziwszy kilka godzin przyjemnych, po dobrym noclegu wczesnym rankiem dnia 9 listopada 1863 r. wyjechałem z Jaroszewic; jadąc rzemiennym dyszlem zawsze w towarzystwie jakiegoś kuzyna, przyjechałem dopiero nazajutrz przed samym południem do Będzechowa.

Zastałem gospodarzy domu niemal przerażonych, a gdym się zapytał o przyczynę, opowiadano mi masę rozmaitych rzeczy o pobićciach, o rozbiciach i bitwach, a głównie iż Moskale byli wczoraj u nich, że bardzo się źle z ludźmi obchodzili, że bili i o powstańców pytali i że prawdopodobnie znowu przyjdą. Z tych wszystkich wykrzykników, wzdychań i gawęd zrozumiałem tyle, że mogłem przypuszczać, iż były jakieś starcia oddziałów z kolumnami moskiewskimi, ale gdzie i z jakim rezultatem — niczego nie mogłem wymiarkować. Mówiono, że wszędzie są Moskale.

Poradziwszy kuzynowi ostatniemu, żeby wracał do domu, gdzie jego bytność może być potrzebną, sam przebrawszy się w swój dawny kostium — wsiałem na podprowadzoną mi angielkę. Przejeżdżając przez dziedziniec gospodarski, zapytałem spotkanego ekonoma, co w tym jest prawdy, co we dworze mówią o jakichś bitwach i o zgromadzonej Moskwie naokoło.

Kiedy mi chciał coś długo i szeroko rozpowiadać, przerwałem mu zapytaniem, gdzie była bitwa, a on jakby zgorszony czy spłoszony tym kategorycznym zapytaniem odpowiedział: „Mówią, że była przed trzema dniami pod Strachanowem“ — „A gdzie więcej?“ — zapytałem — „A przed dwoma dniami gdzieś między Wartą a Błaszka-mi“ — „Dziękuję panu“ — powiedziałem i puściłem konia w stronę Strachanowa.

Dobrze jeszcze przed zmrokiem przybyłem do Strachanowa, a nie znalazłszy właściciela w domu, kazałem się zaprowadzić do pana rządcy. Zastawszy go w mieszkaniu i powiedziawszy mu, kto jestem, poprosiłem go, żeby mi zechciał opowiedzieć wszystko, co wie o rozsypanym oddziale. Rozpoczął opowiadanie, iż 6 listopada około południa przybyło do niego dwóch konnych powstańców z kartką od komendanta oddziału, ażeby przysłał do obozu żywności dla ludzi i koni w ilości na kartce wymienionej. W dwie może godziny naładowana fura wiktuałami pojechała do obozu razem z kawalerzystami, przed wieczorem z niego wróciła, a w godzinę później przybyła znienska

kompania piechoty moskiewskiej i z 50 kozaków z Warty. „Fornalowi, który woził żywność do obozu — opowiadał dalej — kazałem się przekraść przez strażę kozackie i dać znać w obozie o przyjsciu Moskali, co zostało zrobione. Tego samego dnia miały nadciągnąć kolumny moskiewskie od Dobrej i Turku i osaczyć tym sposobem oddział pod Strachanowem, ale ponieważ przybyły już wieczorem, widocznie czynność odłożyły do rana, zajęte były noc całą rozjazdami kozackimi (wychodziły bowiem i wracały nieustannie), a gdy ranek zaświtał, po otrąbieniu wyszły do lasów. Cały prawie dzień 7 listopada huczało w lasach, czasem dała się słyszeć trąbka, kilka razy słyszałem pojedyncze strzały, a gdy wieczór nastąpił, wróciła ta sama kolumna z Warty z gołymi rękoma, a zjadłszy mi wołu i sporo kaszy, no i o wódce i owsie nie zapomniała, kilka godzin przespawszy, rankiem 8 listopada powróciła do Warty. W parę godzin po ich wyjściu wrócił fornał wysłany do obozu z wiadomością o Moskwie i śmiejąc się opowiadał mi o sztuce, urządzonej przez powstańców. Kiedy przybył do obozu i powiedział, iż są Moskale w Strachanowie, wówczas jakiś młody i okazały pan, widać jakiś starszy, zawołał: „oficerowie i podoficerowie do mnie!“ A gdy przyszli i otoczyli go dokoła, wówczas długo z sobą gadali, jakby się naradzali, a potem gdy już dobrze ściemniło się, przyszli do swych żołnierzy, którzy stali w szeregu, coś do nich mówili, potem ich rachowali i na kupki dzielili i każdy brał swoją kupkę i szedł w las, a każdy w inną stronę. Nakoniec ten pan „starszy“ wsiadł na konia i poprowadził swoją kupkę konnych przed siebie, ale tak jakby do Warty. Wówczas on i dwóch jeszcze z sąsiednich wsi, którzy przyszli do obozu z wiadomością o Moskalach, powrócili do wioski, w której Moskali nie było, i tam pozostali, a na drugi dzień przysłuchiwali się nagankom moskiewskim, wiedząc że nikogo nie ułapią, bo nikogo od kilku godzin tam nie ma“.

Opowiadanie to, tak plastycznie uwidoczniające rozdzielenie się oddziału na sekcje, ażeby pod osłoną nocy wyjść nieznacznie poza łańcuch otaczający, było tak wiernym uwidocznieniem tego, co się stało, że patrząc na te rzeczy nie można było mieć dokładniejszego pojęcia o wypadkach, jak słuchając tego opowiadania.

Widziałem z tego, że oddział bez spotkania wyszedł z sieci, planowo na niego zastawionej, lecz kto zdradził i kto wskazał miejsce postoju oddziału, tego nie mogłem odgadnąć, wiedziałem tylko, że to nie ręka chłopca, bo chłop nie mógł wiedzieć, że oddział przyjdzie 6 listopada do lasów strachanowskich, a ruchy moskiewskie skombinowane wskazywały rękę nowego Bogatki.

Kiedym rozmyślał, czy oddział zebrał się na wskazanym mu poprzednio punkcie zbornym, czy też, jak miał wskazanym, rozkwatrował się sekcjami po wsiach swego rejonu dla przeczekania poruszeń moskiewskich, rządca, jakiś niespokojny, zaproponował mi przejście na leśniczówkę, gdzie będziemy mogli spokojniej i bezpieczniej pogadać „gdyż przyznam się panu otwarcie — powiedział mi — że zdaje mi się, iż słyszę Moskali“. Wyszliśmy z domu, ja dosiadłem angielki, rządca podprowadzonego mu podjezdka i ruszyliśmy w stronę leśniczówki, o parę wiorst drogi oddalonej i na kraju lasu leżącej.

Domek niewielki, o paru stancjach i czeladnicy, w lesie już leżący, przyjął nas serdecznie przez gospodarzy z waszecia po polsku prezentujących się. Gdyśmy w czeladnicy zasiedli przy wesoło palącym się ogniu, rozpoczął przerwane opowiadanie i ciągnął dalej:

„Ciekawe jest to zejście się prawie w jednej godzinie z trzech stron Moskali, a z tego, co dzisiaj od ludzi słyszałem, że mieli Moskale przed parą dniami bić ludzi i rabować w Brudzewie, a głównie we dworze u pp. Kurnatowskich, przypuszczam, że stamtąd musiał pójść donos. Tyle mi wiadomo o oddziale spod Strachanowa. Ale jeszcze coś innego się przytrafiło, a to zaraz na drugi dzień: gdzieś między Górą a Małkowem w okolicach Warty — kozacy, a głównie huzary moskiewskie, dowiedziawszy się widocznie od bocznych patroli, uderzyli na oddział powstańców w czystym polu, rozbili go, kilkunastu ma być trupa, kilkunastu rannych i kilkunastu zabrali do niewoli wraz z ich rannym dowódcą“.

Jeżeli opowiadanie było prawdziwe, na faktach oparte, to klęska oddziału była zupełną, gdyż i ci żołnierze, którzy zdołali wyjść z pogromu, musieli, jak zwykle się działo w ucieczce, rzucić broń i amunicję byle ulżyć sobie ciężaru w ucieczce, nie bacząc na to, że kilku zdecydowanych ludzi z bronią w rękę zbawiało sobie nieraz życie od naporu ścigających kozaków.

Wypadki te, zasze dzień po dzień, jakkolwiek przewidziane naprzód, gdyż wypływały z wprowadzonego przez Traugutta systemu „zbrojnej manifestacji“, musiały wywołać we mnie jako twórcy tych oddziałów przekleństwa dla całego Rządu Narodowego, który nie znając ani warunków, w jakich się powstanie znajduje, ani nie mając za grosz cywilnej odwagi, żeby się przyznać, iż położenie, w jakim się znajduje powstanie, przechodzi wszystkie jego siły moralne i intelektualne, trzymał się uparcie jak pijany płotu owego politycznie zbrodniczego systemu wyczekiwania, kontent, iż mógł o sobie powiedzieć: „I ja na szafot pracowałem“.

Lecz potrzeba było coś przedsięwziąć, ażeby rozeszły i rozbity oddział na nowo zorganizować i ująć w komendę, a ponieważ nie miałem obok siebie nikogo, kim bym się mógł posłużyć, choćby jak galopem, postanowiłem zbadać osobiście stan rzeczy z oddziałem Kurnatowskiego, a następnie dopiero zająć się rozbitkami powiatu kaliskiego.

Napisawszy tylko rozkaz komendantowi żandarmerii w powiecie kaliskim, aby się zajął z swą komendą, rozdzielając ją na sekcje, wynalezieniem rozbitków i broni ze starcia pod Wartą, a dalej — co zrobił z poruczoną mu sprawą po starciu pod Koźminkiem, kazałem mu w ciągu dni pięciu bądź złożyć szczegółowy raport o każdej sprawie, bądź przybyć osobiście pojedynczo do dworu w X., zostawiając gdzieś na uboczu komendę, gdzie się dowie o miejscu mego pobytu.

Wręczywszy odjeżdżającemu rządcy rozkaz i prosząc go, aby sam, co najlepiej, a w razie niemożności aby przez pewnego człowieka oddał ten rozkaz panu Z. w N. i żeby za przybyciem do domu, jeżeliby spodziewani Moskale byli u niego, to żeby nikogo nie przysyłał, a jeżeli ich nie ma, to żeby przysłał posłańca z słowem „Warta“. Uściśnawszy mu rękę przeszedłem z gospodarzem do wskazanego mi pokoju i tam, rzuciwszy się na posłany tapczan, snem sprawiedliwego zasnąłem. W parę godzin zbudził mnie szmer za oknem, a od wracającego z dziedzińca leśnika dowiedziałem się, iż był posłaniec z Strachanowa i zawiadomił, że Moskale nie ma.

Wczesnym rankiem 10 listopada opuściłem leśniczówkę, udając się w kierunku Brudzewa celem odnalezienia śladów Kurnatowskiego, a po przebyciu może mili drogi — w lasach pod Tokarami spotkałem człowieka, bacznie mi się przyglądającego. Kiedym go zapytał, czy jest tutejszy i czy nie wie co o Moskalach, zbliżył się o parę kroków do mnie, a witając mnie już po wojskowemu zdziwił się, że go nie poznał, a przecież on jest z kompanii kapitana Kurnatowskiego, którą przed niecałymi dwoma tygodniami pod Młynami lustrowałem i z nimi razem do Strachanowa przybyłem.

Przeprosiwszy go za nieuwagę i wytłomaczywszy mu, że można ich nie poznawać, bo się ich ma więcej, zapytałem go, co on tu robi. Odpowiedział mi, iż jego pierwsza sekcja I plutonu jest rozkwaterowana w tych stronach po gajowych i osadach podleśnych, że podoficer kwateruje także u leśnego, że są przebrani po miejscowemu, broń mają schowaną w strzechach, a amunicję w stodołach i pomagają swym gospodarzom, u których kwaterują, w robotach domowych i leśnych. „Jak nas przed trzema dniami rozstawili, tak i stoimy, czekając aż nas zawołają do apelu“.

Dowiedziawszy się od niego, że podoficer kwateruje u gajowego w innej stronie lasu, kazałem się do niego zaprowadzić, a w pół godziny niespełna słyszałem z ust jego rodzaj raportu służbowego, że ma w swej sekcji jedenastu żołnierzy, że wszyscy są w tych lasach albo w osadach podleśnych rozkwaterowani i zajęci spokojną gospodarską pracą, że ludzie miejscowi są dobrzy i lubią ich, i że codziennie do pana porucznika, który mieszka u leśnego w Skęczniewie, posyła albo sam chodzi z ustnym raportem.

Trzeba było samemu wszystko sprawdzić. Kazałem się przeto lasami i polnymi drogami zaprowadzić do porucznika, do którego dotarłszy po godzinie pochodu, dowiedziałem się szczegółowo o rozłożeniu i urządzeniu się I plutonu w czterech sąsiadujących wioskach i osadach leśnych i że II pluton tak samo się urządził i rozłożył po wioskach w okolicy Ciepiewa z porucznikiem kwaterującym u leśnika w Ciepiewie. O kawalerii nic nie wie, gdyż ją zabrał z sobą pan kapitan Kurnatowski i prawdopodobnie musiał ją rozkwaterować w okolicach Brudzewa.

Po obmówieniu różnych uwag i instrukcyj, jakie w danych warunkach pokazały się na czasie, prowadzony przez leśnika znającego okolicę, udałem się do lasów ciepiewskich i przy jego pomocy odnalazłem porucznika II plutonu. Raport przez niego mi złożony pod względem rozkwaterowania i urządzenia się II plutonu był zupełnie podobny do raportu o I plutonie. Nikogo nie brakowało, wszystko było w porządku i dopóty, dopóki Moskwa specjalnie nie zacznie płądować dla wyłapywania powstańców, stan tej kompanii zdawał się być bezpiecznym.

Wieczór zeszedł mi na udzielaniu instrukcyj porucznikowi, a wczesnym rankiem, pragnąc się zobaczyć bądź z Kurnatowskim, bądź dowiedzieć się czegoś stanowczego o jego losie, gdyż rozmaite chodziły pogłoski, wsiadłem na angielkę i na Będzechów i Siedliska przybyłem nad wieczorem do Kościelnej¹⁾. Dowiedziawszy się, iż we dworze nie ma nikogo, zostawiwszy fernalowi konia z prośbą, aby go w osobnej przegrodzie umieścił, kazałem się do pana rządcy zaprowadzić, a znalazłszy go w mieszkaniu w towarzystwie jakiegoś młodego człowieka, przedstawiłem mu się kto jestem i poprosiłem go, ażeby mi udzielił wiadomości o kapitanie Kurnatowskim i o jego piętnastu kawalerzystach.

¹⁾ Prawdopodobnie znów Kościelny Słomów albo Kościelnica pod Uniejowem, przyp. wyd.

Gospodarz domu w odpowiedzi przedstawił mi swego siostrzeńca, dodając iż ponieważ służył pod kapitanem Kurnatowskim i miał z nim być do ostatniej chwili, najlepiej będzie mnie mógł objaśnić.

Gdy się zwrócił do owego młodego człowieka, przywitał mnie po formie wojskowej, a gdy odsalutowawszy go kazałem mu wszystko opowiedzieć od początku do końca, to jest od czasu, jak ich zostawiłem w lasach strachanowskich, aż do chwili rozstania się z Kurnatowskim, zaczął swe opowiadanie z początku jak stropiony człowiek, nie mający wprawy w tej rzeczy, lecz łagodnie nawracany na właściwą drogę, doszedł dosyć gładko i składnie do końca swego opowiadania. Opowiedział mi, jak w kilka godzin po mym odjeździe z oddziału zawiadomiony został Kurnatowski o osaczeniu z trzech stron przez Moskali, jak zebrał oficerów i podoficerów piechoty, jak rozdzielił piechotę sekcjami, jak ona pod osłoną nocy przeszła poza linię moskiewską, jak sam z pozostałą przy nim kawalerią cofnął się naprzód w kierunku na m. Wartę, a może po godzinie marszu skręcili na lewo i na Ustków przebyli w bród rzekę Wartę pod Brodnią i trzymając się prawego brzegu Warty, stanęli nad ranem w lasach lubiszewickich. Jak nad wieczorem tegoż samego dnia wyszedłszy i mając doskonałego przewodnika przeszli nad świtaniem brodem pod Kuczkami na lewy brzeg Warty i jednym marszem stanęli w lasach sarbickich o milę odległości od Brudzewa. Przed wieczorem Kurnatowski wziąwszy z sobą trzech ludzi, między którymi i on się znajdował, udał się do Brudzewa, a dowiedziawszy się pod miasteczkiem, iż w nim Moskwy nie ma, udał się do domu swych rodziców. „Co się tam działo podczas parogodzinnej jego bytności, tego nie wiem, staliśmy bowiem z końmi przed domem; służba nam tylko mówiła, że przed trzema dniami przybyła Moskwa z Koła, że rabowali, niszczyli i bili służbę we dworze, a szczególnie katowali młodszego syna Kurnatowskich, którego zbitego wpakowali na furę i zawieźli do Konina. W końcu on wyszedł, kazał nam powrócić do kolegów do Sarbicka¹⁾, i oświadczyć im, że już do nich nie wróci i żeby się po swych domach i znajomych pojedynczo rozeszli, co też i zrobiliśmy, a ponieważ prawie wszyscy z tych stron byliśmy, przeto jeszcze tej nocy rozsypaliśmy się po domach pokrewnych i znajomych“.

Gdy skończył swe opowiadanie, widziałem jasno, że oddział w całości istnieje, a tylko stracił swego komendanta, o którego następcy trudno było w danej chwili pomyśleć. Podziękowawszy mu przeto

¹⁾ Nie jest pewne, czy chodzi tu o Sarbicko, czy o Sarbice, przyp. wyd.

za dokładne sprawozdanie, zapytałem go wręcz, czy wobec nadziei, jaka się z wiosną przedstawia na więcej ruchliwe powstanie, nie przyjąłby komendy nad owymi kilkunastu kawalerzystami, a gdy po chwili namysłu zgodził się na moją propozycję, wówczas napisawszy mu nominację na porucznika kawalerii i wręczywszy mu takową, zaleciłem mu: aby utrzymał swych kawalerzystów w ewidencji i kontroli, ku czemu należy choć raz na miesiąc osobiście ich odwiedzać, lecz broń Boże po formie wojskowej; dalej, aby tak sam miał w ciągłej pamięci jak i zalecił swym towarzyszom namawiać i werbować nowych ochotników, ku czemu można mieć nadzieję dobrego skutku, gdyż tak w tych stronach jak i w całym województwie musi być masa ułanów z brygady Taczanowskiego, która się rozsypała pod Kruszyną, ale nie zginęła; przy spokojnym lecz ciągłym wywiadywaniu można się będzie odszukać i porozumieć, a odnalezione winien być zapisanym z oznaczeniem miejscowości, w której przebywa, oraz zaznaczeniem, czy ma broń i konia lub gdzie pozostawił. Taką listę po upływie każdego miesiąca powinien mi przesłać pod wskazanym adresem przez człowieka, którego się do niego zgłosi z moją kartą.

Załatwiłem w ten sposób sprawę z oddziałem po Kurnatowskim, którego, jak się później dowiedziałem, sforsowany przez rodziców wyjechał za granicę. Przenocowawszy w Kościelnej, późnym już porankiem wyjechałem w powiat kaliski w kierunku na Błaszki, aby dowiedzieć się na miejscu o losach rozbitego oddziału.

Myszkując między włóczącymi się patrolami i rozjazdami, stojąc nieraz przy koniu całymi godzinami, zanim uspokoiła się od nich okolica, zaledwie drugiego dnia wieczorem dobiłem się do Góry, u właściciela której niejakiego p. Jezierskiego dowiedziałem się o całej katastrofie. On sam, jako jeszcze nie wygojony z rany otrzymanej pod Rudnikami, nie wyjeżdżał z domu, lecz braciszek jego, rodzaj „totumfackiego“ całego powiatu, musiał dla samej zasady być zawsze na jarmarkach tak w Uniejowie, jak i Błazkach, był zatem i wówczas na jarmarku w Błazkach, kiedy miała miejsce katastrofa pod Wrzącą, a ponieważ narację prowadził poprawnie, przeto w pół godziny mniej więcej miałem przedstawioną całą katastrofę tak wybitnie i obrazowo, iż miałem pojęcie całkowite o zaszłym wypadku.

Oddziałek Nowickiego podzielił się na dwa plutony, on sam z jednym plutonem przez Błaszki ciągnął w kierunku lasów klonowskich, jako główne miejsce pobytu, drugi pluton z 12 kawalerzystami ciągnął, jakem się w dni parę dowiedział, bokiem Iwanowic i dotarł bez żadnego spotkania do lasów klonowskich. Dlatego Nowicki

postąpił tak nieostrożnie, że mimo najwyraźniejszego zakazu odbywał marsze za dnia i wchodził do miasteczka na głównej szosie między Kaliszem a Sieradzem położonego, z tego mi się, rzecz naturalna, nigdy nie wytłumaczył, ciężko bowiem ranny pod Wrzącą i wzięty do niewoli, w parę tygodni później, podgojony z rany, rozstrzelany został w Kaliszu jako dowódca powstańców.

Rozprawa pod Wrzącą wykazała znowu dokładnie, że małe oddziały, dowodzone samoistnie przez przypadkowych oficerów, tylko ulegną z kolei pojedynczemu rozgromowi, nie przynosząc dla sprawy nic oprócz kilku chyba łez kobiet polskich. Taki skutek wywołała rozprawa pod Wrzącą, a we mnie, gdy m się o jej przebiegu dowiedział, wywołała oburzenie i złość na ludzi, którzy jak niewolnicy prawdziwi nawet życia swego drogo sprzedać nie umieją.

Nowicki był winien, iż jako oficer i żołnierz z wojska pruskiego, a zatem najkarniejszego pod słońcem, wbrew zakazowi odbywał marsz dniem po otwartej okolicy i stawał w miasteczku, alarmując tym okolicę; za to przekroczenie powinien być oddanym pod sąd wojenny i znieść wszelkie konsekwencje z niego wypływające. Ale Nowicki, jako dobry i odważny żołnierz, nie uciekał i nie zostawił na jatki swej komendy, przeciwnie, widząc pościg półszwadronu huzarów, bo taka siła ich wygniotła, utrzymał do ostatka przy sobie w kolumnie swych żołnierzy, do nacierających front odwrócił i, jak mówiono, „szeregami ognia“ komenderował. Gdyby ta komenda ściśle była wykonaną, i poniosła kule pierwszego szeregu nie do Świętych Pańskich, lecz w szeregi huzarów moskiewskich, wówczas luki w szeregach powstałe i przygotowana do strzału broń drugiego szeregu byłyby podziały ochładzająco na animusz huzarski i dały czas do nabicia karabinów pierwszemu szeregowi; wówczas rola się zmienia, z brawurujących robią się niespokojni, a plunięty na nich ogień z drugiego szeregu zwykle ich zatrzymuje, a często bardzo zawraca, gdyż czują i widzą, że pierwszy szereg z bronią nabitą oczekuje na nich. Widocznie, że żołnierze Nowickiego zamiast w odstępach czasu, pojedynczymi szeregami — gruchnęli razem i to nie bardzo skutecznie, a huzarzy, widząc bezbronnych, jak huragan wpadli roznosząc końmi i szablami.

Gdyśmy obgadali zaszłą 8 listopada 1863 r. katastrofę pod Wrzącą, ten sam narrator, poprosiwszy jak przyzwoitość nakazywała o cierpliwość, rozpoczął drugie opowiadanie.

Nie było ono już tak efektowne, brakowało bowiem sosu do tej potrawy, nie było bowiem ani stosu trupów, ani dudniącej szarży, ani łez nawet kobiecych.

Oddział Petza w liczbie 150 strzelców pieszych i 25 strzelców konnych, połączeniu już bowiem w lasach klonowskich z drugim plutonem strzelców i kawalerią Nowickiego, przechodząc w dniu 10 listopada 1863 r. przez Braszewice, spotkał się z patrolującą sotnią kozaków, a odbiwszy nieśmiały atak części flankierujących kozaków, cofnął się w porządku w stronę lasów klonowskich.

Potrzeba było zbadać osobiście stan tego oddziału i dlatego przed południem bodaj 13 czy 14 listopada 1863 r. wyjechałem na swej angielce w stronę Klonowa.

Dotarwszy przed wieczorem do Gałek, wioski w sąsiedztwie Braszewic leżącej, dowiedziałem się od ekonoma tego folwarku, u którego z powodu nieobecności właściciela zanocowałem, iż oddział powstańczy prawdopodobnie w okolicy Sowizdrzałów i Klonowa się znajduje, gdyż kolega jego z Rydzewa, którego go dnia wczorajszego odwiedził, mówił mu, że dla powstańców posłał przedwczoraj wóz naładowany prowiantami do Godynic, gdyż takie otrzymał wezwanie od władzy narodowej, ale fernal, który te wiktuały odwoził, nic mu nie mówił o spotkaniu się z powstańcami, widocznie są gdzieś w okolicy ukryci.

Na gawędzie o powstaniu i o usposobieniu dla niego korzystnym ze strony ludu wiejskiego zeszedł nam wieczór, a po doskonałym wyspaniu się i obfitym śniadaniu wyjechałem późnym porankiem parokonną bryczką w towarzystwie mego gościnnego gospodarza i bocznymi drogami dobiliśmy się o dobrym południu do Godynic. Z uwagi na bezpieczeństwo, a głównie na mego towarzysza, zajechaliśmy na ekonomię; nie znalazłszy gospodarza domu, zatrzymałem się sam na miejscu, mego zaś towarzysza z bryczką wysłałem do dworu dla odśzukania swego znajomego kolegi, dowiedzenia się, co słychać we dworze, i sprowadzenia swego kolegi do domu. Po kilkunastu minutach oczekiwania przybyli obydwa w towarzystwie trzeciego zamazyście wyglądającego, młodego jeszcze mężczyzny, który na mój widok wyprostował się jeszcze lepiej, a powitawszy mnie po wojskowemu przypomniał mi się, że służył w mej kompanii strzelców, a ranny w bitwie 26 lutego 1863 r. pod Kuźnicą Grabowską, wyleczywszy się z rany wstąpił do brygady Taczanowskiego i w bitwie pod Sędziejowicami, służąc w szwadronie flankierskim, bił się i był rannym pod moją komendą.

Przywitawszy się z nim po bratersku, jak z starym druhem, i poznawszy się z gospodarzem, także powstańcem, zasiedliśmy do gawędy, w której dowiedziałem się, iż oddział Petza po przyłączeniu się doń drugiego plutonu Nowickiego stanął obozem w leśnej okolicy obok

osad: Tomczyki, Kosalki¹⁾ i Błota, rozmieszczając się plutonami; Petz zaś z kawalerią przebywa w leśnej osadzie na Kosalkach.

Po lekkim posiłku, podziękowawszy z poprzedniego dnia memu gospodarzowi z Gałek za przysługi oddane sprawie narodowej i poprosiwszy go o opiekę nad moją angielką, po którą sam zapewne się zgłoszę, namówiłem go do natychmiastowego powrotu do domu, a w pół godziny po jego odjeździe, mając za towarzysza gospodarza z Godynic, pędziliśmy parokonną bryczką do Kosalek, dokąd przybyliśmy nad wieczorem.

W osadzie leśnej zastałem pluton strzelców i 12 kawalerzystów z komendantem oddziału Petzem, który zdawszy mi raport o spotkaniu się z kozakami pod Braszewicami zawiadomił mnie zarazem o pojedynczym rozłożeniu na kwaterach drugiego swego plutonu oraz plutonu strzelców i 13 kawalerzystów z oddziału Nowickiego po osadach przeważnie leśnych w miejscowej okolicy.

Wobec wczesnej zimy, jaka już w połowie listopada 1863 r. zaplowała stale, wobec braku zaopatrzenia żołnierzy w cieplejszą odzież, wobec zupełnego braku odpowiednich oficerów na samoistnych komendantów oddziałów, gdyż wszyscy, doszczętnie wszyscy lepsi i z pewnym wyrobieniem oficerowie, naśladując wyjazd Taczanowskiego po rozsypce pod Kruszyną, ulotnili się na zimowe kwatery bądź w Poznańskie, bądź jak zamożniejsi do Wrocławia lub Drezna, wobec panującej już martwoty bojowej na całym lewym brzegu Wisły z wyjątkiem Krakowskiego, — zniewolony byłem zastosować się do instrukcji p. Traugutta i poleciłem Petzowi rozłożenie pozostałego plutonu strzelców oraz kawalerii na zimowe kwatery po leśnych osadach w wsiach okolicznych. Dawszy temuż instrukcję, jak w danych wypadkach ma postępować, pożegnałem zebranych — zalecając spokój i braterskie postępowanie z włościanami, u których pod jednym dachem przebywać będą.

Powróciłem napowrót do Godynic, smutny i zmaltretowany rolą karawaniarza, jaką mi wypadło spełniać w ostatnich paru tygodniach. Nie miałem ufności w inteligencję i charakter komendantów oddziałowych, a najmniej do ostatniego, tak zowiącego się Petza — niby Czecha, niby Ślązaka, jakiegoś, jednym słowem, „wasserpolaka“ o podoficerskim austriackim wykształceniu wojskowym i langiewiczowskim wyglądem. Przenocowawszy w Godynicach i po porozumieniu się z spotkanym w nich towarzyszem broni nadawszy mu stopień porucznika kawalerii, poleciwszy Petzowi oddać komendę nad zebranymi

¹⁾ Prawdopodobnie Kosatka, przyp. wyd.

kawalerzystami świeżo przeznaczonemu porucznikowi, wyjechałem w stronę Opatówka dla odszukania oddziału Godzimirskiego. Odnalazłszy go po parodniowej włóczędce w okolicach Koźminka, po zlustrowaniu jego stanu zarządziłem rozkwaterowanie tego ostatniego oddziału w podobny sposób, jak poprzednich oddziałów.

Siły zatem zbrojne w powiatach kaliskim i konińskim przestały faktycznie egzystować, gdyż poza plutonami żandarmerii w tych powiatach pod Netynem i Klemczyńskim — żołnierz młody, wyszły z ciągłej nad nim baczości i kontroli, a pozostawiony prawie samemu sobie, musiał w końcu przy prywacjach, jakie nastąpiły, ulec demoralizacji. Ale nie uprzedzajmy wypadków, a idźmy za ich porządkiem, jak one następowały.

Zamianowawszy Godzimirskiego na powiat kaliski a Groszterna na powiat koniński jako inspektorów nad siłami w ich powiatach znajdującymi się i zawiadomiwszy dotyczących naczelników cywilnych o zaopatrywaniu rozkwaterowanych żołnierzy w żywność za ich asygnatami, zostawiłem przy sobie naczelną kontrolę, a rozdzielwszy komendy żandarmskie na tereny zajmowane przez żołnierzy, utrzymywałem, o ile się dało, baczość i świadomość o komendach.

Dopóty, dokąd niedawna pamięć na żołnierzy czynnych pod bronią się utrzymywała, i dopóki pewien wstyd polityczny i resztki mrzonek na interwencję obcą utrzymywały partię szlachecką białych, u władzy będącą i mającą w swych rękach organizację, w pewnej o pozorach patriotycznych postawie, — dopóty i dola stojącego na kwaterach żołnierza była znośną, odbierając bowiem żywność nie tylko nie był ciężarem biednemu wieśniakowi, lecz pomagając mu w pracy domowej stawał się domowym towarzyszem, spełniającym dodatnio misję uświadomienia wieśniaka o walce narodowej.

Ten stan pomyślny dla przyszłości, bo oddziaływały korzystnie na włościaństwo w gruncie dobre i zacne, lecz ciemne i nikomu prócz siebie nie wierzące, trwał zaledwie do końca grudnia 1863 r., a zaznaczyć muszę, iż w powiatach bezpośrednio przeze mnie zarządzanych panował w tym okresie czasu, to jest w ciągu kilku tygodni, zupełny spokój i harmonia między gospodarzami i gośćmi na kwaterach i nie zdarzył się ani jeden wypadek „donosu“, szkodliwego sprawie narodowej.

Załatwiwszy sprawy w powiecie kaliskim i pocieszając się czasami nadzieją, iż jeżeli się nie stanie nic nadzwyczajnego, to rozkwaterowane oddziały będą mogły stanąć z wiosną do boju, wyjechałem przy końcu listopada w konińskie, a naprzód do oddziału po Kurnatowskim, rozłożonego po kwaterach w okolicy Ciepiewowa. Przekonałem się po

trzydniowym pobycie o dobrych stosunkach z włościanami i o regularnym prowiantowaniu żołnierzy przez władze cywilne, jak niemniej, iż z wiosną wybiera się sporo ochotników ze stanu włościańskiego do przyszłej wojaczki, gdyż mierzi ich prawie pogarda, okazywana im przez dziewczuchy wiejskie, które lgną tylko i zerkają ślepiami za ułanami i wojakami.

Pocieszony dobrym stanem rzeczy i naśmiawszy się z wzdychania parobczaków na otumanienie „dzieuch“, których łaska bardzo dodatnio wpływa na patriotyczno-zawzięte pchanie się z pięścią na Moskali, i uznając słuszność przysłowia francuskiego „co kobieta chce, to Bóg chce“, raźniejszy pojechałem na lustrację oddziału Groszterna.

Po parodniowych trudnych i nużących poszukiwaniach, w czasie których tylko dzięki przezornym i znającym miejscowość przewodnikom można się było ustrzec od spotkania z kolumnami moskiewskimi bądź ich patrolami, trzeciego dnia przybyłem do znajomego mi z poprzedniej ekskursji Sarbicka, gdzie dowiedziałem się, iż w okolicach Biskupic, Witnicy i Grabienic rozkwaterowany jest oddział, gdyż do tamtych dworów prowianty przesyłają.

Wypocząwszy kilka godzin i dostawszy jakiegoś połowego czy gajowego, dokładnie z miejscową okolicą obeznanego, wyjechaliśmy wierzchem na niezłych podjezdzkach następnego poranku; około południa przybywszy do Grabienic dowiedziałem się, iż tak we wsi jak i w przysiółkach leśnych rozkwaterowani są żołnierze nasi. Ponieważ mi powiedziano, iż na leśniczówce przebywa jakiś oficer, odprawivszy przeto dotychczasowego przewodnika, a wzięwszy z sobą świeżego, wyjechałem do owej leśniczówki. Przybywszy do niej zastałem Groszterna i oficera plutonowego, a od nich dowiedziałem się, że w ośmiu okolicznych wsiach, przysiółkach, i leśniczówkach stoi rozkwaterowany cały oddział, wzmocniony 28 ludźmi z oddziału Korytkowskiego — tym sposobem kompania liczy 146 strzelców, a z 15 kawalerzystami i 8 pakunkowymi oddział wynosi 175 ludzi wraz z komendantem.

Ponieważ okolica zanadto była otwartą i poprzecinaną drogami, a nagromadzenie w jednej okolicy większej ilości powstańców mogło spowodować w razie jakiej denuncjacji zupełne zniszczenie oddziału, przeto poleciłem Groszternowi połowę oddziału przeprowadzić i rozkwaterować w okolicach Zagórowa albo Władysławowa — stosownie do zbadania poprzedniego warunków miejscowych, aby tym rozłożeniem sił zapewnić im większe bezpieczeństwo i ułatwić zarazem dostawę żywności.

W zajęciach tych zeszedł mi czas do końca listopada, a z nim ustaliła się ostra zima, w ciągu której czynności wojsk moskiewskich ograniczały się do wysyłania mniejszych kolumn ruchomych, złożonych z piechoty i kozactwa, wizytujących się wzajemnie po najbliższych miasteczkach garnizonami osadzonych, bądź też do ciągłych większych lub mniejszych patroli kawaleryjskich, myszkujących i niepokojących teren, zajmowany przez ich komendy.

Jakkolwiek wybuch powstania uważałem za przedwczesny — z braku nagromadzenia materiałów wojennych i przeważnie kolorowanej organizacji, to jednakże, patrząc przez ciąg powstania na zmiany zachodzące w usposobieniu ludu wiejskiego, przyszedłem do tego przekonania, że klęski i pogromy wojenne, którymi tylko zaznaczyło się powstanie 1863 roku, przyniosły nam jednakże tę jedyną i niekłamaną korzyść, iż lud wiejski, w początkach dla powstania wrogo usposobiony, nabrał później postawy wyczekującej, a na końcu niemal przychylniej, i że mogąc oprzeć się na masach — można było prowadzić dalszą walkę. A widząc, że i środki materialne są zaledwie ruszone, rachowałem, iż przy pewnym już wyrobieniu kilku tysięcy powstańczego żołnierza bądź stojącego w polu, bądź na kwaterach rozłożonego, dalej przy podwójnej przynajmniej liczbie także powstańców po różnych rozgromach w domu w cichości przysiadłych, lecz których wiosna i wznowiony bój w domach nie utrzyma, rachując nadto, iż z licznych rozprosień pozostała znaczna ilość broni i amunicji, mogąca uzbroić kilka tysięcy powstańców, — postanowiłem działać w tym kierunku.

Zostawiwszy oddziały rozkwaterowane na opiece ich komendantów, pojechałem do Naczelnika powiatu konińskiego dla obgadania o środkach materialnych powiatu. Przybywszy do niego, zastałem ekspedycję do mnie adresowaną, a leżącą u tegoż Naczelnika od trzech dni w skrytce „z powodu nieświadomości miejsca mego pobytu“, po rozpieczętowaniu której znalazłem wezwanie z pieczęcią Rządu Narodowego, abym komendom moim nakazał zwracać baczną uwagę na „obywatela“ (sic!), pod czterema czy pięcioma różnymi nazwiskami przedstawiającego się i którego jakoby wierny rysopis do wezwania dołączono, którego wyjechał z Warszawy i udał się w województwo kaliskie celem wykrycia organizacji narodowej. Dodany był zwykły frazes „po ujęciu go postąpisz z nim, obywatelu (znowu!), podług obowiązujących przepisów“. Satis. Wyrażenie to ogólne „obywatel“ przekonywało wszystkich i wszystko, iż rząd p. Traugutta nie wyparł się zasad i wyrażeń Konwencji francuskiej i mnie, starego

rewolucjonistę, coś przyjemnie w żołądku kolnęło. Oddawszy wezwanie z rysopisem obywatelowi Naczelnikowi, gdyż ono i jego obywatelskiej skóry dotyczyło, poradziłem mu, ażeby dla dobra sprawy zmienić się z poważnych radców na pismaków i przesłać odpisy rysopisu z odezwą Rządu Narodowego — on do Naczelnika województwa, a ja do komend żandarmskich z poleceniem schwywania i przytransportowania do mnie.

Nie byłbym tej sprawy poruszał, jako nie mającej żadnego wpływu na powstanie, gdyby nie wypadek następny z niej wynikający, o którym w swoim czasie napiszę.

Gdyśmy skończyli naszą pisaninę i wyprawili posłańca do najbliższej stacji poczty narodowej, zwróciłem się do mego gospodarza z zapytaniem, jaki jest stan kasy powiatowej. Gdy zmieszany tym zapytaniem zaczął mi nareszcie z utyskiwaniem przedstawiać, że zaledwie parę tysięcy rubli ma do dyspozycji, gdyż najbiedniejsi prawie obywatele tylko regularnie płacą ofiarę narodową, bogatsi zaś z niechęcią i przeważnie zalegają, poprosiłem go o listę takowych z miejscowością ich majątków oraz kwotą przynależną. Po otrzymaniu jej po jakiejś godzinie czasu, oświadczyłem mu wręcz, iż albo sam pojedzie do tych panów z listą, wzywając ich kategorycznie do natychmiastowego zapłacenia, albo jeżeli osobiście tego uczynić nie chce — niech mi da urzędowe wezwanie z pieczęcią i z listą zaległych do zapłacenia, a ja oddam to polecenie komendantowi żandarmerii do natychmiastowego wyegzekwowania. Dodałem nadto: „Ostrzeż, naczelniku, tych panów, iż przy tej egzekucji może pęknąć jaka czaszka, bo ja każę egzekwować bezwzględnie, a komendant Klemczyński znanym jest z ścisłego wypełniania danych mu rozkazów“. Na zakończenie dodałem, iż czekam pięć dni na rezultat, po upływie których stosownie do wyniku sam działać zacznę.

Widocznie moje ultimatum poskutkowało, gdyż gospodarz przyrzekł mi natychmiastowy objazd dłużników. Po zjedzonym obiedzie rozjechaliśmy się jednocześnie, on w stronę Koła, a ja do Łądu do klasztoru o. o. cystersów dla pogadania z ks. Maksem — powieszonym w kilka tygodni potem przez Moskali w Koninie¹⁾.

Klasztor w Łądzie, założony bodaj w XIII czy XIV wieku w chwilach nieporządków i zamieszek podziałem kraju przez Bolesława Krzywoustego spowodowanych, leżąc nadto w rejonie zamiarów krzyżackich, posiadał różne skrytki, cechujące ówczesne budowle, znane tylko

1) O. Maksymilian Tarejwa, kapucyn, powieszony w Koninie 19 lipca 1864 roku, przyp. wyd.

właścicielom i wtajemniczonym. Mnie znaną była tylko jedna, w której schowany z ks. Maksem przesiedziałem cztery godziny czasu podczas rewizji klasztoru, dopełnionej przez Moskali podczas mego pobytu.

Poruszam sprawę owej kryjówki z tego powodu, iż w kilka tygodni później ten sam ks. Maks był z niej wyciągnięty, aresztowany i w Koninie powieszony, a lud wiejski, który niemal ubóstwiał i ślepo słuchał ks. Maksa, może i słusznie utrzymywał, iż ks. Maks był przez ojca gwardiana i przyboczników za pieniądze zdradzony jak Pan Jezus. O ile w tym oskarżeniu jest podstawa — nie sprawdzałem, ale przypuszczam, iż o. o. cystersi, parci przez Moskali, którzy mogli wiedzieć o przebywaniu ks. Maksa w klasztorze, i straszeni zabránieniem klasztoru, wydali go w końcu dla ocalenia klasztoru, jako ofiarę, nie bacząc na to, że sam fakt przechowywania zbrodniarza politycznego może im tylko zaszkodzić, bo po wydaniu ks. Maksa nie tylko klasztor zwinięto, lecz i wszystkich zakonników z ks. gwardianem wysłano na Sybir.

Zaznaczywszy powyższy wypadek, wracam do bytności w Łądzie dla porozumienia się z ks. Maksem co do prac narodowo-powstańczych.

Był to typ odrębny zakonnika-człowieka, mało licujący z ówczesną naszą bracią kapturową, przypominał on więcej mnicha hiszpańskiego, z krzyżem w ręku a sztyletem w drugim prowadzącego tłumy w bój nieprześlągany podczas najazdu Francuzów. Czynny i nieznużony, z zaciętością ascety i fanatyka apostołował on od lat kilku w Łądzie i jego okolicy między tamtejszą ludnością włościańską, a karcąc przewinienia, gładzząc nieszczęśliwych i kopanych, zdobył dla siebie wiarę i posłuch.

Kiedy po przywitaniach w refektarzu z gwardianem i kilkoma ojcami zakonu i po klasztornej przekąsce znalazłem się w celi ks. Maksa, zwróciłem się do niego, a objaśniwszy go o stanie organizacji tak wojskowej jak i cywilnej zapytałem go wręcz, co myśli wobec tego reakcyjnego usposobienia partii rządzącej, a raczej tego zaniku w niej wszelkiej myśli i czynu na przyszłość, i czy wobec zmienionej postawy ludu wiejskiego i korzystniejszego usposobienia dla ruchu zbrojnego — nie byłoby wskazanym rozpocząć samoistną organizację między ludem wiejskim, niezależną od organizacji powstańczych, a działającą nie tylko na czasie za pośrednictwem swych wybrańców wsiowych na korzyść powstania, ale mogącą stać się zawiązkiem samoistnej spójni ludowej na przyszłość, gdyby powstanie upadło.

Dosyć długo myślał nad postawioną mu kwestią, a w końcu ścisłając mi dłoń oświadczył, iż myśl jest zdrowa, tylko potrzeba ludzi

do jej przeprowadzenia; gdym mu powiedział, iż w powiecie konińskim mamy już człowieka w osobie ks. Maksa, uśmiechnął się i powiedział, że od kilku już lat działa prawie w tym kierunku, tylko o tym związku, o tej spójni nie myślał, a działał w myśl Świętego Jana Ewangelisty i prostował ścieżki Pańskie. Kiedym napisał i wręczył mu nominację na naczelnika organizacji ludowej w powiecie konińskim, przyjął ją, a wsadziwszy do habitu przyrzekł, że spełni wszystko, co tylko będzie możliwym. I spełnił przyrzeczenie: w cztery tygodnie bowiem po naszej rozmowie organizacja przez niego stworzona przeniosła na swoich barkach i schowała po swych budynkach 800 sztuk karabinów belgijskich, via Berlin i Bydgoszcz nadeszłych dla powiatu konińskiego, z których żaden nie został uroniony; prawda, nie uczyli się tego kunsztu od obywatelskiej organizacji galicyjsko-krakowskiej — nie kradli i nie denuncjowali.

Obgadałem z ks. Maksem formę organizacji ludowej (o wybitniejszym przedstawicielu w każdej parafii) i uplastycznienie jej na zewnątrz związkiem bractwa czy różańcowego, czy innego jakiego religijnego, do czego zostawiłem ks. Maksowi wszelką swobodę. Miałem cztery dni czasu do wyczekiwania na rezultat osobistej egzekucji Naczelnika powiatu, gdyż na zjeździe zwołanym przez tegoż bodaj na 5 grudnia pragnąłem poznać się z organizacją tego powiatu. Wyjechałem z klasztoru i chcąc się osobiście przekonać o usposobieniu i zamiarach organizacji poznańskiej, przybyłem w pas graniczny bodaj do wsi Samarzewa i przewieziony zostałem jeszcze tego wieczora przez gospodynię domu przez granicę do bodaj jej siostry mieszkającej w Borkowie, wsi już w zaborze pruskim leżącej.

Przespawszy się dobrze, po wczesnym lecz obfitym śniadaniu, zawiozła gospodyni domu swego kuzyna po obywatelsku, zamkniętym powozem w cztery cugowe konie — do swego także kuzyna, bodaj jakiegoś p. Hulewicza w okolicy Miłosławia mieszkającego, objaśniając mnie w drodze, iż to jest bardzo poważny obywatel, który mi może udzielić wszelkich wiadomości. Wzdychając wyszeptła „biedny człowiek“, a gdym ją poprosił o wytłumaczenie tego określnika — jakby wzdrygając się odrzekła, że stosunki rodzinne się zachwiały między małżeństwem i żona opuściła męża.

Gdym się przedstawił p. Hulewiczowi pod właściwym nazwiskiem i poprosił go o poinformowanie o stanie przygotowań powstańczych, gdyż potrzebną mi jest ta wiadomość dla mych prac organizacyjnych, odpowiedział mi dosyć ciepło, ściskając rękę, że konkretnych objaśnień udzielić mi nie może, gdyż ich i sam nie posiada, a co do usposobienia

w organizacji, to panują dwa prądy ścierające się z sobą — jeden gorętszy, życzący sobie przedłużenia walki, lecz jest reprezentowany w organizacji bardzo słabo, drugi niemal rządzący i pociągający za sobą większość zamożniejszych i wybitniejszych ziemian, pragnący raz z tą szopką stanowczo zakończyć, dla braku tylko cywilnej odwagi i wskazówki z Hotelu Lambert wstrzymują się z postanowieniem. „Dobrze, żeś pan przybył dzisiaj do mnie, bo możesz się poznać osobiście z tymi panami, zapowiedzieli się bowiem na wieczór, zatem będzie sposobność rozmówienia się z nimi“.

Zapytał mnie w końcu, czy znam niejakiego p. Jełowickiego spod Kujaw, a gdy mu odpowiedział, iż nie znam go osobiście, lecz wiem o jego funkcji delegata powiatu konińskiego dla sprowadzania broni, powiedział mi, iż „i z nim będziesz się mógł pan osobiście poznać.“

W godzinę może po kawie podwieczornej zapowiedzeni goście zaczęli przybywać, a najprzód p. Jełowicki, z którym poznawszy się zawiadomiłem go o zjeździe organizacji powiatu konińskiego, mającym się odbyć u p. Pałowskiego gdzieś w okolicy Łądku w dniu 5 grudnia 1863 r., na którym znajdywać się będę. „Ponieważ na nim mam się dowiedzieć stanowczo, czy pieniądze na zakup broni, po które pojechał osobiście egzekwować Naczelnik powiatu, są ściągnięte i w jakiej ilości, lub nie, i ponieważ ta sprawa musi pana interesować, jako delegata do sprowadzania broni, przeto sądzę, iż bytność pańska na tym zjeździe byłaby wskazana“. Zgodził się z mym zapatrywaniem i przyrzekł przybyć na zjazd wyznaczony.

Kiedym kończył rozmowę o broni zamówionej w Belgii dla powiatu konińskiego, zaczęli się zjeżdżać sąsiedzi p. Hulewicza, a między typami naszych ziemian o kulturze wyższej pod względem ubrania i więcej z angielska wyglądających wyróżniało się dwóch jegomości o wyglądzie jeszcze młodym, których ubranie, fryzura i pozy sztywne á la Berlin cuchnęły z daleka jakąś obcą a niezgrabnie przyjętą nawyczką. Przyglądając im się baczniej zauważyłem o pewnej rewerencji, oddawanej im przez zgromadzonych, a kiedym się zapytał p. Jełowickiego obok mnie siedzącego, co zacz są ci faceci z ostatniego żurnala mód berlińskiego, odpowiedział mi szeptem, iż to są wybitni politycy z świty Komitetu wielkopolskiego, mający wielki wpływ w województwie średzkim.

Podszedłszy do gospodarza domu, poprosiłem go o zapoznanie mnie z zgromadzonymi, poczym, zwracając się do zgromadzonych, rzekłem:

„Nazwisko moje, wymienione przez szanownego gospodarza, powiadomiło was, panowie, że przemawia do was nie polityk, nie

dypłomata umiejący w swych wyrażeniach ukryć myśl prawdziwą, lecz żołnierz polski, przybyły chwilowo w wasze strony, aby dowiedzieć się od was szczerą prawdę: co wy w tej ziemi wielkopolskiej dla walki narodowej robicie, a przede wszystkim jakie zamýślacie przyjąć stanowisko z wiosną 1864 roku. Nie ciekawość zwykła przywiodła mnie do was, lecz praca ciężka i niebezpieczna, jaką prowadzę w kraju łez i krwi, kazała mi zbadać usposobienie obywateli w sąsiedniej prowincji, aby pokrzepiony obietnicą waszego współdziałania wrócić nazad do roboty przygotowanej, albo rozczarowany waszym pesymizmem także wrócić do pracy i z godłem aż do końca pracować. Dodam wam tylko, panowie, iż jak było utopią rozpoczynać powstanie, mając przeciwko sobie lud wiejski nieprzyjawnie usposobiony, tak dzisiaj wobec zmiany usposobienia tego samego ludu wiejskiego na przyjazne dla powstania byłoby zbrodnią polityczną i narodową zaniechać dalszej walki. Energii i wytrwałości, a krew dotychczas wylana zmarnowaną nie zostanie“.

Rozpoczął się prawdziwy sejmik polski, to jest przelewanie wody z sita do przetaka, ale w tym rozgardiaszu przekonałem się, co mi już mówił gospodarz domu, że dwa prądy walczą z sobą: jeden, prawda że lepszy, ale nie zorganizowany, na krzykach, mówkach i sentymentach się kończący i dający się rządzić drugiemu — licznie słabszemu, lecz zorganizowanemu, a przez swych delegatów jednolicie działającemu. Ta reakcja, która od początków 1861 r. ujęła w swe kluby niemal cały ogół szlachecki, rządziła nim bezsprzecznie, zmieniając tylko pozory rządzenia stosownie do okoliczności, a czasami i wiatru nadleciałego z Hotelu Lambert.

Po parogodzinym szamotaniu, w którym menerzy tego zebrania, owi delegaci Komitetu, zaznaczyli swą umiejętność w tuszowaniu podług nich niepotrzebnej sprawy, gospodarz domu wyprowadził nas z dalszego kłopotu sejmikowania — poprosiwszy zebranych do salonu, gdzie zgromadzone damy czekają naszego przybycia.

Po takim zapowiedzeniu zapiąwszy mój pożyczony zakiet o kroju angielskim, zostałem wprowadzony przez gospodarza domu do salonu i przedstawiony damom. Wyglądały one modnie — bez zarzutu w ubraniu, a czarny lub ciemny kolor ubrania nadawał im więcej jeszcze powagi. Rozpoczęła się, jak zwykle dla nieznanego, banalna urywkowa rozmowa, coś o sprawie narodowej, o wątpliwościach i nadziejach na interwencję, jednym słowem — czcza, nudna i głupia, wygłaszana półszepceniem przez manekiny, obleczone przeważnie w czarny kolor i nie uwidaczniające ani wieku, ani temperamentu szepczą-

cych. Jakiś rodzaj współczującej nonszalancji dominował w ich krótkich frazesach, zdawać by się mogło, iż te panie równie zimno i spokojnie à l'anglaise odzywałyby się o Patagonii.

Znudzony i podrażniony tym banalizmem, bo przyzwyczajony przez Polki zaboru moskiewskiego do czegoś podnioslejszego, może byłbym popełnił jakiś niekonwenans i bryznął filipikę, gdy głos oznajmiający kolację ocucił mnie. Zwracając się do równie nienadobnego, lecz mniej mówiącego manekina zapytałem ją, czy mogę jej towarzyszyć do kolacji; oparty palec był mi odpowiedzią przychylną, a wprowadziwszy ją do jadalni i usadziwszy na stołku, grałem rolę niewolnika zgadzającego się i przytwierdzającego wszelkim poglądom swej pani. Przecież i to jarzmo przestało mnie tłoczyć z ukończeniem kolacji, a odprowadziwszy ową damę do salonu, odnalazłem damę, która mnie do tego czyścica przywiozła, i oddałem się pod jej rozkazy co do wyjazdu.

Kazała mi być gotowym na jutro o 10-ej rano, gdyż w nocy jazda wobec gęstych patroli w rejonie nadgranicznym może być niebezpieczną. Uchyliłem głowę na znak przyjęcia rozkazu, a gdy mnie zwalniała i odprawiała do mej towarzyszki stołowej, musiałem widocznie zrobić taką minę rozpaczliwą, iż jej złe serce zamiast wybuchem współczucia wybuchnęło taką kaskadą głośnego śmiechu, iż zwrócono na nas uwagę w salonie. Wówczas, kładąc mi rączkę na znak pocieszenia, którą serdecznie pocałowałem, zgodziła się przyjąć nade mną komendę od obecnej chwili.

Uspokojony prawidłową komendą i dobrze wypoczęty mimo zmory suchej i ciemnej prześladowającej mnie we śnie, po wczesnym śniadaniu pożegnawszy serdecznie gospodarza, wyjechałem z mą opiekunką i bez żadnego wypadku przybyliśmy w południe do Borkowa.

Oddawszy się do dyspozycji pani z Samarzewa, którą w Borkowie zastałem, zostałem przez nią tegoż wieczora przeflancowany przez paś graniczny, a nie chcąc dłuższym pobytem w Samarzewie narażać i siebie i gospodarzy na możliwe niebezpieczeństwo, zostałem przez mą opiekunkę zawieziony o parę mil w głąb kraju do jakichś jej kuzynów w okolicach Kaźmierza mieszkających, u których przez parę dni przebywałem i od których na ów zjazd 5 grudnia do p. Pałowskiemu, w okolicy Łądku mieszkającego, przybyłem.

W chwili mego przybycia, jakkolwiek to godzina była wczesna, zaledwie 10-a rano, zastałem gospodarza z dwoma już przybyłymi na ów zjazd wyznaczony, a nie upłynęło pół godziny czasu, gdy reszta w liczbie czterech czy pięciu przybyła, między którymi przybył także Naczelnik powiatu i p. Jełowicki, i przystąpiono zaraz do narady.

Najprzód zawiadomił Naczelnik powiatu, iż udało mu się od kontrabuentów ściągnąć zaległej ofiary narodowej 28.000 rs., że się napracował przy tym więcej i ciężej, niż przez dziesięć lat, a gdy mu wyrażono uznanie i podziękowanie za ten nowy dowód jego patriotyzmu, zapytał zebranych, czy odesłać pieniądze do kasy wojewódzkiej, czy przechować je w powiecie, czy też wysłać na zapłacenie za zakupioną broń w Belgii.

Poprosiłem o głos, a po otrzymaniu takowego przedstawiłem zgromadzonemu, iż kasa wojewódzka na swe wydatki, więcej charakteru administracyjnego, musi posiadać lub postarać się o inne dochody, a nie zasilać się dochodami, czerpanymi z kieszeni powiatowej. Pozostawienie zebranych pieniędzy u siebie — z braku wydatków na utrzymanie rozkwaterowanych żołnierzy okazuje się podczas miesięcy zimowych zbyt kosztownym, bo żołnierze, rozkwaterowani w tym powiecie w liczbie 292 ludzi i 45 koni, z wszelką łatwością mogą być wyżywieni przy użyciu środków przez komisję prowiantową posiadanych, uważając tylko z ścisłością na repartycję, aby wszyscy względnie do obszaru majątkowego do dostawy prowiantów byli pociągani, bez przeciążenia obywateli z okolic przez rozkwaterowanych żołnierzy zajętych. Wobec czego uważałbym za właściwe dopełnić zobowiązania, przyjęte co do zakupionej broni przez powiat koniński, i asygnować delegatowi p. Jełowickiemu 25.000 rs. celem zapłacenia fabryki i przetransportowania broni po drogach zbadanych i temuż wiadomych.

Po krótkiej dyspacie — wniosek przyjęto i zaraz wypłacono p. Jełowickiemu wyasygnowaną kwotę, za którą, może w miesiąc później, nadeszło 800 karabinów z Belgii; zostały one, jak już poprzednio wspomniałem, na barkach związkowych chłopów polskich przez granicę przetransportowane i w domach ich bezpiecznie przechowane — bodaj czy nie do dnia dzisiejszego.

Po krótkiej jeszcze naradzie co do środków przygotowawczych do wiosennego ruchu zbrojnego, zadowoleni z rezultatu narady, przyjęliśmy z ochotą ofiarowane nam przez gospodarza krótkie lecz esencjonalne śniadanie, po ukończeniu którego, na mą propozycję natychmiastowego wyjazdu z powodu bezpieczeństwa — wszyscy się rozjechali z wyjątkiem wnioskodawcy.

Dlaczego ja sam zostałem, tego i dzisiaj wytłomaczyć sobie nie umiem, a ledwie ta fala krwi nie kosztowała mnie drogo. Jak w każdym poważniejszym zdarzeniu Francuzi mówią „cherchez la femme“, tak i w tym wypadku kobieta była przyczyną. Wychowany z dzie-



Józef Oxiński (ok. 1900 r.)

ciństwa zdrowo i czysto, o naturze męskiej, lecz podeślanej nieśmiałością, którą Francuzki określają wyrazem „la timidité“, z usposobienia i częściowym wyrobieniem esteta, przejmowałem się wszelkim pięknem, a kobieta piękna — była dla mnie tym wcieleniem bóstwa, któremu wiernym zostałem po zmrok mego życia. Gdyśmy po radzie przyszedli do śniadania, spotkałem córkę gospodarza domu, a wdowę już, po mym koledze Mieleckim, o tak nadobnych, niemal klasycznych rysach twarzy, tak pełną wdzięku i form skończonych, cechujących nieraz wybrane polskie kobiety, iż pod czarem jej wzroku i dźwięku jej mowy zatraciłem pamięć o rzeczywistości. Gdy wszyscy wyjechali — zostałem w jej towarzystwie pieszcząc ucho i oko czarami, jakie mi z niej spływały. Jak długo to trwało, nie wiem, proszono nas do obiadu, a siedząc obok niej wciągałem z rozkoszą woń, spływającą od tej kobiety. Jednym słowem — byłem zahypnotyzowany.

Ocuciły mnie słowa wyrzeczone przez lokaja: „Moskale na dziedzińcu“. Oprzytomniałem. Powiedziałem imię i nazwisko paszportowe i postanowiłem zostać przy obiedzie, jak już parę razy poprzednio uczyniłem pomyślnie. Sprzeciwiła się temu kobieta — każąc mi wyjść do przyległego salonu, co i zrobiłem. Kazawszy służącemu przynieść mi z przedpokoju palto i czapkę, a następnie sprzątnąć ze stołu moje nakrycie, poprosiłem o spokój, a usłyszawszy brzęk szabel w przedpokoju — wyszedłem do salonu. W chwilę potem weszło do jadalni czterech czy pięciu oficerów, a ja korzystając z hałasu przez nich robionego otworzyłem dubeltowe drzwi na ganek prowadzący do ogrodu. W żardinierze salonowej udało mi się wyjąć z jednego wazonika roślinę jakąś z częścią ziemi, a wsadziwszy do niego pieczęć i małą ilość papierów, jaką przy sobie miałem, a na wierzch roślinę z ziemią, zatarłem o ile możności ślady tego niewinnego pogrzebu i spokojnie usiadłem, oczekując co Bóg ześle.

W parę chwil potem, wśród ożywionej gwary w jadalni, drzwi się od salonu otworzyły i weszła p. Mielecka rozdrażniona, a zbliżywszy się do mnie szeptem wyrzuciła: „Uciekaj, chcą robić rewizję“. Nie było czasu na uspakajanie nerwówki. Odrzekłem: „Wychodzę, a ty wracaj do nich i swym czarem przykuj ich do siebie, żeby zapomnieli o wszystkim i o świecie“.

To powiedziawszy wyszedłem z salonu na werandę, a z niej do ogrodu; idąc spośród klombów ku głównej alei, a następnie nią w stronę parku, dziwiłem się Moskałom, o których się niemal otarłem, dlaczego widząc człowieka w lakierkach po śniegu spacerującego nie zaczęli go i nie zatrzymali. Widocznie oslepli, albo potwierdzili

czynnie wyrobiony we mnie nieco później aksjomat: tak się stało, bo tak się stać musiało.

Przeszedłszy park i drogę publiczną, oddzielającą go od lasu, za ledwie zrobiłem w nim ze trzydzieści kroków, hałas i turkot zatrzymały mnie na miejscu obok jakiegoś grubszego drzewa, za które uskokywszy ujrzałem osiem czy dziesięć fur parokonnych, obsiadłych dwoma lub trzema kozakami, tyłem obróconymi i trzymającymi swe konie na lejcach. W miarę ich przejeżdżania obracałem się około drzewa, nie odejmując ramienia od jego powierzchni. Wszystko się uciszyło, chwilę jeszcze stałem nieporuszony, a moja elegancja lakierkowa przypomniała mi, że to zima, las i śnieg. Zmrok zapadał, a ja z obawy zbłąkania się w nieznanym lesie wróciłem na wylot drogi z parku wychodzącej i słuchałem.

Po jakiejś godzinie czasu nadслуchiwania i wypatrywania, usłyszałem sygnał zborny, a w małe pół godziny później wstępowałem przez werandę do salonu, a następnie do jadalni.

Zastawszy w niej gospodarza domu dziwnie jakoś chmurnego, poprosiłem o coś ciepłego do napicia się, a przy pomocy świecy zrobiłem w salonie odkopanie mego urzędu. Poprosiłem gospodarza o konie i do towarzystwa ekonoma czy coś podobnego, byle roztropnego człowieka, pożegnawszy gospodarza i złożwszy na jego ręce pożegnanie dla pani Mieleckiej, wsiałem do jakiejś nejtyczanki i opuściłem miejsce, w którym sporo wrażeń doznałem.

Późnym już wieczorem, omijając Rychwał i kolonie niemieckie, przybyłem do Królikowa, skąd nazajutrz wieczorem przybyłem bodaj do Małgowa, gdzie między miasteczkami Koźminkiem a Dobrą leżącego.

W parę dni potem, dawszy wiadomość organizacji i komendom żandarmerii o miejscu swego pobytu, dokąd mają się zgłaszać w razie potrzeby, otrzymałem wiadomość od komendanta Netyna, iż zawiadomiono go, że jakiś młody człowiek z Sieradzkiego wjechał w Kaliskie i wypytuje się o moją osobę, oraz że polecił swojej komendzie, która jest rozdzieloną na cztery kapralstwa i z osobna funkcjonuje na swoich terenach, ażeby w razie spotkania tego człowieka przetrzymali go i zawiadomili go o tym.

Pobyt w tej okolicy przedłużyłem, wyczekując wiadomości od komend wojskowych, gdyż od paru tygodni niemal ciągłego przerzucania się z miejsca na miejsce zatraciwszy łącznik z nimi — nie wiedziałem zgoła nic, co się z nimi dzieje. Otrzymałem wreszcie po paru dniach

wyczekiwania raport komendanta Netyna, w którym mi donosi, iż z zawiadomień odebranych od swych podkomendnych kaprali dowiedział się, iż kapitan Godzimirski, zdawszy przed pięcioma dniami komendę nad oddziałem na porucznika I plutonu, mieszkającego w osadzie leśnej w Nakwasinie, wyjechał tegoż dnia w Poznańskie, i dalej, że kapitan Petz, zasłabłszy ciężko przed trzema dniami i zdawszy także komendę oddziału porucznikowi I plutonu, kwaterującemu u leśniczego na miejscu Petza w Kosalkach, wywieziony gdzieś został furą tegoż dnia przed wieczorem.

Wiadomość ta podziałała na mnie przykro. Niewielką wartość przywiązywałem do kapitana Petza i każdego podoficer pruski mógł go z równą a bodaj lepszą korzyścią zastąpić, i dlatego też w parę godzin później wysłałem ekspedycję do Kosalek, w której, oddając mu z powodu słabości Petza tymczasową komendę nad oddziałem, wezwałem porucznika do jak największej pilności w utrzymaniu spokoju i karności w oddziale, a w potrzebach administracyjnych, a mianowicie co do prowiantowania oddziału, aby porozumiewał się z porucznikiem kawalerii u ekonomy w Godynicach mieszkającym, jako w tych rzeczach więcej obeznanym; w końcu, tymczasową komendę nad I plutonem zaleciłem oddać jednemu z podoficerów plutonu, a jeżeli to będzie żołnierz pruski, to takiemu, i czekać w spokoju mego przybycia.

Po wysłaniu ekspedycji wsiałdłszy na sanki i mając za towarzysza miejscowego leśniczego, z tą okolicą dokładnie obeznanego, późnym już wieczorem przybyłem do Nakwasina, a przeprowadziwszy w ciągu dni kilku rozkwaterowanie żołnierzy kapralstwami po wsiach okolicznych, około połowy grudnia przybyłem do Kosalek, gdzie po porozumieniu się z komendantami plutonów rozlokowawszy tak samo kapralstwami żołnierzy po leśnych osadach i przysiółkach, zakończyłem około 20 grudnia 1863 r. czynną kampanię.

Rozłożone w ten sposób siły powiatów kaliskiego i konińskiego przy dobrej woli organizacji cywilnej w dostawie wiktuałów spożywczych i przy jakiej takiej kontroli ze strony komendantów plutonowych nad utrzymaniem ładu i karności w swoich komendach — mogły być być z małymi stratami w całości przezimowane. Z końcem marca 1864 r., mając zawiązek ten, wzmocniony przyplływem pozyskanych ludzi, zimowym obcowaniem ujętych dla sprawy, i rachując na pewne siły, jakie się formowały w Poznańskim, można było rozpocząć kampanię 1864 r. bodaj z większą nadzieją powodzenia.

ANEKS A. Z PAPIERÓW PO JÓZEFIE OXIŃSKIM

MARSZE I POTYCZKI 22. I.—11. IV. 1863 ROKU

22. I. punkt zborny Miedzno.

22. I.—29. I. zgromadzanie sił i organizacja wprowadzana w oddziale, postój w lasach rososzyckich, wojsławickich.

29. I. otoczony przez Moskwę, przez generała Bremer dowodzoną, w lasach należących do dóbr Prusinowice; tegoż dnia w nocy przesunięcie się przez obsadzającą Moskwę i marsz przez Rzeczycę, Wolę Zaleską, Przywidz, Wielkopole do Dybowa.

31. I. marsz przez Wólkę Szlachecką, Wólkę Księżą, Lubiszewice, Kraykowice¹⁾, Balin i Budy do Uniejowa.

1, 2, 3. II. postój w Uniejowie i zwiększanie oddziału skutkiem napływu ludzi z miasta i dostawy broni.

3. II. o godz. 11-ej wieczór wskutek nadsięgnięcia sił moskiewskich pod gen. Bremer, znacznie przewyższających siły powstańcze, marsz z Uniejowa przez Boczki, Grocholice, Truskawiec, Bałdrzychów, kolonię Feliksów, Małyń, Przyrownicę, Rzepiszew do Szadku; następnie po parogodzinnym odpoczynku marsz przez Szadkowice, Wolę Wojsławską, Suchoczasy, Janiszewice do Zduńskiej Woli, gdzie chwilowo spocząwszy — furmankami przez Poręby, kolonię Ogrodziska, Świerzyny, Zapolice, Branice, Ligotę Kalinowską i Podgórze do Widawy. Tym sposobem zrobiwszy w przeciągu 36 godzin marsz jedenastomilowy odbiłem się z rejonu wojsk moskiewskich wyszłych z Kalisza i Łęczycy.

6. II. wskutek nadchodzących sił moskiewskich z Sieradza i Wielunia, pod dowództwem pułkownika artylerii Smirnow, rzuciłem się w lasy (ciągnące się aż do lasów świętokrzyskich) przez Rogoźno, Rudę, Chrzastawę, Lubiec, Magdalenów, Kluki do Kaszewic, gdzie mając fryszerki żelaza zająłem się kuciem kos i grotów do lanc, a zarazem miałem możność w chwili parcia Moskwy w przeważającej sile — bądź rzucić się na północ w lasy rawskie, lub też okrążywszy Piotrków mogłem się rzucić tą samą gałęzią lasów w lasy opoczyńskie i z nimi łączące się już lasy krakowskie. Oddział wzmagał się liczebnie i co do wykształcenia, dawał możność spotkania się z przeważającymi nawet siłami, jedna tylko niedogodność, brak karabinów, nie pozwalała się mierzyć w otwartym polu.

¹⁾ Nazwa zniekształcona, przyp. wyd.

7. II. wskutek otrzymanego rozkazu od Naczelnika sił zbrojnych województwa kaliskiego, ażeby z swoim oddziałem operować ponad granicą Królestwa od strony pruskiej w powiecie wieluńskim, gdzie miała nadejść broń regularna tak upragniona a tak oddawna oczekiwana, wyruszyłem z Kaszewic z oddziałem posiadającym 92 sztuki broni palnej, bądź dubeltówki bądź pojedynki, w liczbie których było kilkanaście sztucerów myśliwskich bijących na większy dystans, z 102 kosynierami i półszwadronem kawalerii w liczbie 52 koni nędźnie uzbrojonych, gdyż za całą broń była kiepska lanca i 16 ludzi uzbrojonych w pałasze i dubeltówki, stanowiących pluton flankierski a zarazem podczas marszu służbę rozjazdową, — przeszedłem Budy Dzbankowskie, Dąbrowę Rusiecką, Głuchów i stanąłem w Konopnicy. Moskwa donoszona doskonale o wszelkich mych poruszeniach przez kochaną szlachtę, odznaczającą się szczególnie podczas pierwszych chwil powstania patriotyzmem, posunęła swe siły z Sieradza po prawej stronie Warty i z Kalisza po lewej, chcąc się raz pozbyć wichryciela zakłócającego im spokój wygodny. Lecz kolumna sieradzka natrafiła na most zupełnie zniszczony i zmuszona została przespacerować się parę mil nazad, kaliska zaś bardzo chłodno maszerując przybyła do Konopnicy w chwili, kiedy oddział spokojnie o pięć mil odpoczywał, przeszedłszy przez Stolec, Broszki, Uników, Ożarów i stanąwszy w Klasakach, skąd po 24-godzinny wypoczynku rzuciłem się na północ w lasy brąszewickie i klonowskie (łącznie się jedną gałęzią z lasami sieradzkimi a następnie piotrkowskimi, z drugiej strony z lasami leżącymi po lewej stronie Warty, a rozciągającymi się od Praszki, Bolesławca pod Częstochowę i dalej w Krakowskie) — i przeszedłszy Młynisko, Łyskornię, Walichnowy, Pichlice, zatrzymałem oddział we wsi Ostrycharze. Poruszenia moje szybkie i nieustanne musiały wychodzić z krytycznego położenia, w jakim zostawało powstanie województwa kaliskiego. Jeden mój oddział figurujący na całej przestrzeni województwa musiał ściągać ze wszech stron siły moskiewskie; za słaby do mierzenia się z pojedynczymi nawet kolumnami, całą swą wyższość miał w swej lotności i bajeczności sił, o których Moskale niezupełnie wiedzieli.

10. II. w lasach tych postój oddziału trwał przez ciąg dni pięciu, skąd 15. II. przez Gałki przybyłem do Jasionny. Przybywszy, zostałem zawiadomiony skutkiem przejętej depeszy od pułkownika Pomarancow do generała Bremer, że ma wiadomość o moich ruchach, lecz nie czując się w sile atakowania, podaje propozycję łącznego działania wojsk moskiewskich z Kalisza, Sieradza i Wielunia. Cofnąłem się przeto

nazad w lasy klonowskie, chcąc w razie parcia mieć do czynienia z jedną kolumną, niżeli być brany z trzech stron.

18. II. wysłany rekonesans z mej strony spotkał się pierwszy raz z kozakami patrolującymi, śledzącymi me ruchy. Starł się z nim, w którym to starciu jeden z naszej strony dostał się do niewoli; badany wypowiedział, że jest z oddziału, służącego jako awangarda dla całego oddziału i jest w sile 700 ludzi, Moskwa słusznie przeto rachowała, że cały oddział powinien wynosić około 2000 ludzi.

19. II. otrzymałem rozkaz od Naczelnika sił zbrojnych woj. kaliskiego obywatela Rudzkiego, żebym podciągnął w okolicę Praszki, gdzie miałem przejąć transport broni tak piechotnej jako i kawalerijskiej. Pociągnąłem przeto przez Błota do Kuźnicy, a następnie 21. II. przez Dubisze, Bolki, Holendry do Biadaszek.

22. II. o godzinie 6-iej wieczorem zawiadomiony zostałem, że transport spodziewanej broni nadejdzie dopiero w pierwszych dniach marca; wróciłem przeto, udałem się do Kuźnicy Grabowskiej, skąd po dwóch dniach odpoczynku, widząc że jedynie własnemu sprytowi jestem zostawiony, że nie myślą ani o dostarczeniu mi broni, ani o dostarczeniu jakiego ubrania dla żołnierzy, udałem się przez Głuszynę, Brzeziny, Wrząca, Takomyśl, Michałów i Cienię i przybyłem do Opatówka.

25. II. potyczka w Opatówku.

26. II. potyczka pod Kuźnicą Grabowską. Marsz dla obejścia prawego skrzydła kolumny moskiewskiej przez osadę Bednarze, Jajaki, Jelenie do Skrzynek.

27. II. przez Jelenie, Czajków, Błota do Robaszewa, skąd po odpoczynku kilkogodzinnym 28. II. dalej w marsz, chcąc się wydostać z rejonu moskiewskich sił, przez Nową Wieś, Pyszków, Będków do Ligoty Burzenińskiej. Nie wiedziałem wtenczas, dlaczego ze wszech stron Moskwa mnie otacza, gdyż szybkość mych poruszeń nie pozwalała tym samym kolumnom moskiewskim, które się ze mną potykały pod Kuźnicą, na drugi dzień wziąć mnie znowu z trzech stron pod Wygiełzowem. Dopiero śmierć Naczelnika sił zbrojnych woj. kaliskiego od tej samej zdrady, przez szlachtę kaliską uknutej piekielnie pod przewodnictwem Bogatki, posiadającego całe zaufanie ob. Rudzkiego, dała mi poznać, że o wszystkich ruchach Moskwa wiedząc doskonale, kolumnami coraz świeższymi zajmowała stanowiska, przez które miałem przechodzić.

Dowiedziawszy się o poruszeniach Moskwy z Piotrkowa, Wielunia i Sieradza, udałem się przez Ligotę Kalinowską, Wężykową Wolę do lasów Osiny, gdzie przenocowawszy i posiliwszy oddział, rzuciłem się w linię lasów, rozciągających się na północ powiatu piotrkowskiego i łączących się po prawej stronie Pilicy z lasami opoczyńskimi.

1. III. przechodząc przez Chajczyny spotkałem się z Moskwą i stąd potyczka we wsi, następnie cofnięcie się do folwarku Jawór, skąd przechód do Wygiełzowa, następnego dnia potyczka pod Pruszkowem, a następnie Brodnia.

Przychodziło się potykać z dziesięćkroć silniejszym nieprzyjacielem. W potyczce pod Kuźnicą Grabowską siły moskiewskie wprowadzone w ogień wynosiły: kolumna kaliska — dwie roty strzeleckie i jedna sotnia kozaków, kolumna sieradzka — trzy roty liniowe i jedna sotnia kozaków, kolumna wieluńska — dwie roty liniowe, jedna sotnia kozaków i 50 „objezczyków“ konnych. Straty miałem w tej potyczce 9 zabitych, 12 rannych i 3 niepoddających się spalonych wraz z chałupą, Moskwa liczyła zabitych 27 kozaków i 16 rannych, a z piechoty zabitych 7 i 19 rannych; stosunek zabitych Moskali z kawalerii do piechoty, tak nienaturalny, przypisywać trzeba służbie flankierskiej spełnianej przez kozaków, których broń nasza brała, w piechocie zaś broń nasza, nie odpowiadająca jej wcale, chyba w zbyt bliskim dystansie, nie mogła czynić szkód dotkliwszych. Pod Wygiełzowem — trzy roty piechoty liniowej i półtorej sotni kozaków kolumna piotrkowska, dwie roty (jedna strzelecka, jedna liniowa), jedna sotnia kozaków i pół sotni „objezczyków“ kolumna wieluńska; kolumna sieradzka nie miała udziału w ogniu, stała jako rezerwa złożona z dwóch rot piechoty i jednej sotni kozaków. Straty: 7 kozaków zabitych 9 rannych, 11 piechoty zabitych, w liczbie których 7 otrutych, i 13 rannych; straty nasze: 6 zabitych i 9 rannych. Brodnia — kolumna wieluńska i w rezerwie kolumna piotrkowska. Straty: 3 piechoty zabitych, 7 rannych, 2 kozaków zabitych, 5 rannych; z naszej strony 3 rannych.

Oddział przeto liczebnie uszczuplony potrzebował wzmocnienia, a przede wszystkim brak zupełnie amunicji nakazywał przyjąć za zasadę choć chwilowo system odporny.

3. III. wyruszyłem przez Starą Jadwichnę, Nową Jadwichnę, kolonię Raszelki, Rożdżały, Szczawno do szadkowickich lasów, gdzie przebywałem przez dni pięć, zajmując się ściąganiem ludzi, broni i mustrą nowo przybyłych.

9. *III.* wyruszyłem przez Stryje Księżę, Poleszyn, Orpelów, Mogilno do Huty Dłutowskiej z zamiarem przygotowania sobie w tujejszych fryszerkach kos i grotów do lanc, lecz nagabany po drodze przez zachodzącą mi drogę kolumnę moskiewską, zwróciłem się w stronę Częstochowy przez Dłutów, Wadlew, Gremboszów i przybyłem do lasów należących do Woli Kruszyńskiej, łączących się z lasami należącymi do dóbr Grocholice, Bełchatów i Szczerców.

Postój mój w Woli Kruszyńskiej od *12. III.* do *18. III.* obróciłem na skompletowanie oddziału, jako też na przeprowadzenie organizacji w powiecie piotrkowskim celem poruszenia znaczniejszych sił w pole.

18. III. z Woli Kruszyńskiej wyruszyłem przez Wolę Mikorską, Domiechowice, kolonię Ludwików, Oleśnik do Rząsawy, gdzie prześtawszy 48 godzin, *21. III.* wyruszyłem na południe w stronę Częstochowy z przyczyny tropienia mnie przez Moskwę, a bardziej z przyczyny słabości oddziału, nie pozwalającego prócz podjazdowej potyczki z kozakami mierzyć się z jakąkolwiek poważniejszą siłą. Udałem się przeto przez Wolę Grzymaliną, Ruszczyń do Koźniewic, gdzie po 24-godzinnym postoju *23. III.* przez Barczkowice, Szczukocice, Krzemieniewice, Bartodzieje do Podstoła, tam stałem do dnia *29. III.*, następnie przez Dobrzenice do Bąkowej Góry, gdzie nazajutrz przeprawivszy się na prawy brzeg Pilicy, ciągnąłem przez Nosalewice, Policzko, Wymysłów do Dobromierza.

2. IV. wyruszyłem z Dobromierza przez Mrowicze, Bobrowniki, gdzie przerzuciłem się na lewy brzeg Pilicy, następnie przez Rogi do Maksymowa, gdzie przebywszy 48 godzin wyruszyłem *5. IV.* przez Hutę Drewnianą, Rzabice¹⁾, Kobile do Przybyszowa, następnie *6. IV.* przez Orzechówek, Elżbietów, Kietlin do Pławna.

6. IV. przez Widzów, Jacków, Kruszyne, Cykarzew do Rybna.

7. IV. postój w Rybnie.

8. IV. przez Łobodno do Zagórza (powieszenie Lemańskiego).


8. IV. przez Mokrą, Rembielice Królewskie do Dankowa.

9. IV. na lewy brzeg Warty przez Brzoski, Zimną Wodę do kolonii Napoleon.

10. IV. przez Parzymiechy, Kleśniska, Młyny do Kuźnicy.

11. IV. z Kuźnicy do Kuźniczki. Potyczka pod Praszka, 10 naszych zabitych, 28 Moskali.

¹⁾ Nazwa zniekształcona — może być Zrąbiec v. Rząbiec lub Żabce, przyp. wyd.

Daty			Wyszczególnienie służby jaka odbywał		Uwagi
Rok	Miesiąc	Dzień	Przez Państwo (Miejsc) w których służył, Służbowo, niestanowczo i przez inne służby.	Podległość, służby, służbowo, w jakich się znajdował	
1862	Styczeń	25		podległość regimentu	
	Styczeń	1		id. id.	
	"	25		id. id.	
	Styczeń	7		id. id.	
	"	5		id. id.	
	"	11		id. id.	
1864	Styczeń	29	Województwo Wielkopolskie, oddział 10. pułk. strzel. k.		
	Styczeń	11	Województwo Wielkopolskie, oddział 10. pułk. strzel. k.		
<u>DEKORACJE</u>			<u>RANY</u>		
Uwaga: W wojsku Polskiem wszelkie oznaki honorowe były zatracane					
ZMIANY KORPUSÓW lub ostateczne uwolnienie od służby dla jakich powodów Uwaga: W razie śmierci, wskazać miejsce datę i jej przyczynę			Wyszczególnienie zmian korpusów i ostatecznego uwolnienia od służby dla jakich powodów W razie śmierci, wskazać miejsce datę i jej przyczynę		
Powyższy stan służby zatwierdza Dan w Warszawie dnia 22 m. Czerwca 1864. Dywizor Major Henryk Józef Jędrzejowski Podkomisarz <i>Józef Oxiniński</i>					
					

Stan służby Józefa Oxinińskiego

ANEKS B. STAN SŁUŻBY JÓZEFA OXIŃSKIEGO

N^o 131. STAN SŁUŻBY Obywatela Oxińskiego Józefa, Majora Piechoty w wojsku Powstańcem Polskiem — poprzednio Ucznia Szkoły Wojskowej Polskiej w Genui i Cuneo następnie Urzędnika Organizacji przedpowstańczej od 28 Września 1862 r. do 14 Stycznia 1863 roku.

RODOWÓD. Urodził się dnia 19 miesiąca Marca 1840 roku w Płocku, Powiecie Płockim, Województwie Płockiem, z Ojca Tomasza i Matki Ludwiki z domu Szultzów.

DATY — Roku Miesiąca Dnia. WYSZCZEGÓLNIENIE SŁUŻBY JAKĄ ODBYWAŁ — Broń, Pułk, Oddział, w których służył, Stopnie, awanse i przerwa służby, Potyczki, Bitwy, Oblężenia w jakich się znajdował. **UWAGI.**

1861 Grudnia 16 — Wszedł do szkoły Wojskowej Polskiej w Genui i pozostawał do czasu rozwiązania jej w Cuneo, to jest do dnia 30 Sierpnia 1862 roku.

1863 Stycznia 14 — Mianowany Porucznikiem Piechoty z przeznaczeniem na Dowódcę Kolumny ruchomej w Województwie Kaliskiem. W Potyczkach:

1863 Lutego 25 — w Opatówku,

1863 Lutego 26 — pod Kuźnicą Grabowską,

1863 Marca 1 — pod Wygietzowem,

1863 Marca 2 — pod Brodnią,

1863 Kwietnia 11 — pod Praszka.

1863 Kwietnia 27 — Mianowany Kapitanem z przeznaczeniem na dowódcę sił zbrojnych P-tu Piotrkowskiego.

1863 Maja 8 — pod Rychłocicami.

1863 Maja 24 — Mianowany Majorem.

1863 Maja 25 — pod Koniecpolem.

1863 Maja 27 — Przeznaczony na Dowódcę sił zbrojnych P-tów Piotrkowskiego i Wieluńskiego.

1863 Maja 28 — pod Kruszyną,

1863 Czerwca 27 — pod Przedborzem,

1863 Czerwca 28 — pod Trzepnicą,

1863 Czerwca 29 — pod Skotnikami.

1863 Sierpnia 5 — pod Łaskiem,

1863 Sierpnia 20 — pod Złoczewem,

1863 Sierpnia 24 — pod Brodnią 2-gi raz,

1863 Sierpnia 24 — pod Flaszczyną Wola,
1863 Sierpnia 25 — pod Wrzeszczewicami,
1863 Sierpnia 25 — pod Sędziejewicami.
1863 Października 1 — pod Dobrą,
1863 Października 28 — pod Koźminkiem,
1863 Listopada 7 — pod Strachanowem,
1863 Listopada 8 — pod Wartą,
1863 Listopada 10 — pod Brąszewicami.
1864 Lutego 29 — W interesie służbowym udał się do Xięstwa

Poznańskiego.

1864 Kwietnia 11 — Nominowany Organizatorem Wojskowym Województwa Szredzkiego.

DEKORACJE. Uwaga: W wojsku Polskiem wszelkie oznaki honorowe były zniesione.

RANY. — — —

ZMIANY KORPUSÓW lub ostateczne uwolnienie od służby, dla jakich powodów. Uwaga: W razie śmierci, wskazać miejsce, datę i jej przyczynę. Aresztowany przez Władze Pruskie dnia 23 Kwietnia 1864 r., uwięziony w Poznaniu a następnie w Kościanie — w dniu 28 Listopada 1864 uwolniony i odstawiony do granicy Belgijskiej.

Dan w Paryżu dnia 28 m-ca Grudnia 1864.

Powyższy stan służby zatwierdza: b. Dyrektor Wydziału Wojny przy R-ie N-m w Warszawie, Agent Wojskowy za granicami kraju, Pułkownik Artylleryi Eug. Dębiński m. p. (Pieczęć okrągła z trójdzielnym godłem Państwa Polskiego, uwieńczonym koroną, w otoku napis: Rząd Narodowy — Agent Wojskowy).

(Dalej tekst stanu służby w języku francuskim, przyp. wyd.).

ANEKS C. INDEKSY

OSOBY

- Asnyk 326
- Babski Konstanty (Oxiński) 168
- Bellegarde gen. 297, 304, 337
- Bergman 164, 200, 201
- Biechoński Wojciech 225, 326
- Biernacki Czesław 232
- Biernacki Kazimierz 174, 175,
199, 201, 295, 298
- Blumer 265
- Błęszyński rtm. 314
- Bobrowski Stefan 177
- Bocheński Roman 283
- Bocheński Tadeusz 254
- Bogatko 200, 220, 232, 342, 366
- Bogusławski mjr. 278
- Bończa 256, 257, 258, 259, 261,
263, 277, 280
- Bremer (Brunner) gen. 167, 195,
196, 200, 251, 364, 365
- Bremsen ppłk. 322
- Brzozowski (Bzowski) 264
- Budberg 232
- Callier 288, 289
- Chabriolle kpt. 275, 277
- Chłоновski Teofil 188
- Chmieleński Zygmunt 275,
284, 294
- Chmieliński Ignacy 270, 326
- Cieszkowski 228, 229, 231, 243,
244, 245
- Czachowski 227, 256
- Czarnocki Stefan 209
- Czyngery (Czengery) gen. 274,
275, 277, 280, 281, 282
- Dąbski 195
- Dębiński (Kot) 232, 326
- Drohomirecki 202, 203
- Drzewiecki 233
- Dufour 203
- Działyński 226, 290
- Dzianot 277
- Englert mjr. 269
- Fidler 212
- Frankowski Stanisław 289
- Funduklej 212
- Gałęcki 165, 173, 175, 248
- Garibaldi 290, 316
- Giller Agaton 268, 283, 284,
288, 289, 321
- Glötz 293, 294, 313
- Godzimirski kpt. 323, 328, 329,
330, 351, 363
- Goldman 197
- Grabehr. (Grabbertm.) 316, 318,
319
- Grabińska 241
- Grabowski 225
- Grosztern Wincenty kpt. 197,
326, 328, 329, 330, 337, 338,
339, 351, 352
- Gutry 226
- Hopfenblum (Hofenblum) 197,
270
- Hulewicz 356, 357
- Iskra 294
- Jabłkowski 172, 173, 175, 176,
177
- Jaśkiewicz ks. 235, 236
- Jełowicki 357, 359, 360

Jeziernski 347
Jomini 297, 298
Jurgens Edward 164
Kaczkowski 193
Karlsbad 197
Katkow 245
Keller 221, 224
Kiliński 183
Kinel Ignacy por. 329
Klemczyński 326, 351, 354
Kmita 248
Kobyłański 326
Kołaczkowski 225
Konstanty Mikołajewicz w. ks.
270, 318
Kopernicki Izydor płk. 203, 284,
321, 322, 323, 327, 330,
332, 339
Korytkowski 323, 328, 330,
336, 352
Kosmowski (Krosnowski) Jan
189, 190, 201, 214
Kostenda (Kostanda) gen. 167,
292, 337
Kościuszko 265
Kotnowski 215
Kozarski 206
Kozmian 225, 226
Kramsztyk 197
Krasnokucki gen. 248, 251, 256
Krzywda 269
Kurnatowski 325, 326, 328, 330,
335, 343, 344, 345, 346,
347, 351
Langiewicz 220, 224, 225, 227
Lemański 229, 230, 231, 232,
233, 234, 235, 368
Leszczyński 266
Lewinson 197

Lutosławski 325
Lüttich Aleksander 163, 164,
172, 175, 177, 178, 181, 182,
186, 187, 188, 189, 193, 201,
228, 249, 250, 251, 253, 254,
260, 261, 277, 278, 280, 282
Łaszczyński 200
Maciejowski Ignacy (Sewer) 225
Majewski 268
Majzels 197
Maks ks. (Maksymilian Tarejwa)
354, 355, 356
Maliszewski rtm. 251, 252,
261, 264, 267
Maltzan 232
Marchwicki 268
Marczewski Witold 163, 174
Masalscy 278
Matuszewicz płk. 285, 292, 295,
302, 303, 316, 323
Maźniewski Jan („Maza“) 179,
180, 181, 182, 184, 186, 187,
188, 206, 229, 230, 234, 235,
239, 242, 243, 244, 245, 263
Mączyński (Miączyński) 239,
240
Miełęcka 361, 362
Miełęcki 227, 361
Mierosławski 224, 268, 269,
270
Mikołaj I 265
Mikulski 267
Miłkowski rtm. 294, 299
Miśkiewicz mjr. 307, 308, 309,
311, 313, 323
Mniewski 307
Mniewski rtm. 316, 317
Mosakowski 226
Muchanow 191

- Napoleon III 226, 267
 Narzymiski 326
 Nencki Aleksander 226
 Netyn 326, 327, 336, 351, 362,
 363
 Neugebauer 200
 Niegolewski 226
 Nielubowicz dr 264
 Nowakowski 246
 Nowicki 323, 328, 347, 348,
 349, 350
 Nullo płk. 269

 Okoniewski 316, 317
 Olszowscy 245
 Orłowski dr 264
 Ostrowski hr. 167, 266
 Otocki podof. 236, 263

 Padlewski Zygmunt 177, 228
 Parczewski 228, 248
 Pągowski 357, 359
 Pągowski por. 303, 304, 306,
 307, 308, 311
 Petz 323, 328, 329, 349, 350,
 363
 Pini płk. 200, 287, 291, 295,
 302, 303, 314, 317, 319, 320
 Pisarenko mjr. 249

 Poleski mjr. 303, 304
 Pomarancow (Pomarancew) gen.
 167, 193, 240, 365
 Potiebnia 168
 Potocki hr. 259
 Przybyłowicz 281, 282, 329
 Przybyszewski 325
 Pułaski Kazimierz 316
 Raczyński hr. 211
 Radin (Raden) gen. 167, 274,
 281, 282, 322

 Rubach (Baruch?) 196
 Rucki (Rudzki) Bronisław 199,
 200, 201, 207, 209, 220, 232,
 248, 288, 366
 Rudowski 269
 Ruprecht 268
 Rutkowski 241
 Rybicki 224, 227 229

 Sadyk-pasza 292, 295, 311
 Sapieha Adam 226
 Schwartz Bronisław 178
 Siemieński Szymon 303
 Siemiński 245
 Siemiński Władysław 225
 Siemiński Zygmunt 225
 Skotnicki 203
 Skrzyński 214, 219
 Słupski płk. 302, 303
 Smirnow płk. 219, 364
 Splawski kpt. 168
 Strzelecki mjr. 226, 248, 256
 Szachowski Stanisław 202, 203,
 228, 240, 245, 248, 270, 288,
 289, 304, 323, 326, 327, 328
 Szembek 202
 Szwarc podof. 279

 Tabaczyński kpt. 275, 277
 Taczanowski gen. 195, 200, 226,
 228, 248, 251, 256, 266, 283,
 284, 286, 287, 288, 289, 290,
 290, 291, 292, 293, 295, 296,
 298, 301, 302, 303, 304, 305,
 306, 307, 308, 310, 312, 313,
 314, 315, 318, 319, 320, 321,
 322, 324, 329, 340, 347, 349
 Tarasienko ppłk. 297, 298, 301
 Tarnowski Jan 248
 Toll gen. 197

- Traugutt 322, 323, 326, 327,
 328, 331, 332, 333, 343, 350,
 353, 364
 Trepka Kazimierz 223
 Trepka Włodzimierz 220
 Urbanowski Napoleon 228, 248,
 249
 Urusow książę 314, 318
 Walewski (Stanisław) 165, 172,
 173
 Walewski Wincenty 252, 253,
 254, 261, 279, 283
 Wasilewski Gustaw 195, 201,
 202, 203
 Waszkowski 326
 Wielopolski 247, 259, 270
 Wieruski 202
 Witkowski 197
 Witmajer hr. (Witmer por.) 314,
 318
 Zaborowski (Pacyna) 269, 274,
 275, 277, 278, 280
 Zamoyski Władysław 226
 Zaremba Józef por. (Zaremba
 kpt.) 252, 315, 317, 319, 320
 Zdanowicz dr 271, 272, 273
 Żuliński 268

MIEJSCOWOŚCI

- Bachorzyn 245
 Balin 364
 Bałdrzychów 364
 Barczkowice 368
 Bartodzieje 368
 Bąkowa Góra 368
 Bednarze 366
 Bełchatów 192, 193, 198, 208,
 368
 Berezyna (rz.) 176
 Berlin 356, 357
 Bębnow 239
 Będków 366
 Będzechów 306, 337, 340, 345
 Biadaszki 366
 Biskupice 352
 Błaszki 164, 166, 292, 294, 305,
 313, 318, 341, 347
 Błoto 350, 366
 Bobrowniki 368
 Boczki 364
 Bolesławiec 210, 211, 365
 Bolki 366
 Borkowo 356, 359
 Branica 364
 Braszewice 349, 350
 Brodnia (pow. łaski) 223, 313,
 367
 Brodnia (pow. turecki) 307, 318
 Broszęcin 243
 Broszki 365
 Brudzew 305, 335, 343, 344,
 345, 346
 Brzeziny 366
 Brzoski 368
 Budy Dzbankowskie 364, 365
 Burzenin 210, 220
 Bydgoszcz 356
 Chajczyzny 367
 Choszczew(a) 195, 308, 310
 Cienia 366

Ciepeliów 306, 336, 345, 351
 Cisów 305
 Chlewo 307
 Chrząstawa 364
 Chrząstów 259, 260, 261, 262,
 263
 Chwałęcice 306
 Cuneo 163, 197, 203, 270, 328,
 329
 Cykarzew 368
 Czajków 211, 366
 Czastary 210
 Czerna (rz.) 333
 Częstochowa 166, 167, 229, 241,
 265, 272, 316, 322, 364, 368
 Człopy 335

 Danków 234, 368
 Dąbrowa 239
 Dąbrowa Rusiecka 365
 Dłutów 368
 Dobra 213, 335, 336, 342, 362
 Dobromierz 368
 Dobroń 224
 Dobrzenice 368
 Domiechowice 368
 Drezno 326, 350
 Dubisze 366
 Dybów 364
 Dziadowice 305, 306
 Działoszyn 249

 Elżbietów 368

 Feliksów 364

 Gałki 349, 350, 365
 Genua 163, 175, 197, 203, 328
 Gidle 228
 Głuchów 365
 Głuszyna 366
 Godynice 349, 350, 363

 Golędzin 218, 256
 Gaworków (Gowarzew?) 228
 Góra 343, 347
 Grabienice 352
 Grabno 220
 Gremboszów 368
 Grocholice 364, 368
 Grochowiska 227

 Holendry 366
 Huta Dłutowska 368
 Huta Drewniana 368

 Ignacew 248, 256
 Iwanowice 329, 347

 Jabłonna 178
 Jacków 368
 Jadwiczna Nowa 367
 Jadwiczna Stara 367
 Jajaki 366
 Janiszewice 364
 Jaroszewice 338, 340, 341
 Jasionna 365
 Jastrzębiec 199, 203, 240
 Jawor 220, 367
 Jelenie 366

 Kalisz 163, 164, 165, 167, 171,
 177, 185, 195, 198, 203, 209,
 210, 212, 291, 304, 305, 306,
 318, 336, 337, 348, 365
 Kamińsk 273, 274
 Kamionka 297, 302
 Kaszewice 198, 364, 365
 Kazimierz Biskupi 359
 Kępno 164
 Kielce 274, 282
 Kietlin 368
 Klasaki 365
 Kleszczów 240
 Kleśniska 368

- Klonów (Klonowa) 207, 208,
 212, 213, 218, 249
 Kluczesko 271
 Kluczyce 263
 Kluki 364
 Kłobuck 231, 233, 242
 Kłomnice 228, 229, 265
 Kobiele 368
 Kocieszów 223, 224
 Koło 169, 203, 248, 305, 346,
 354
 Koniecpol 179, 247, 259, 264,
 265, 267, 274
 Konin 167, 291, 337, 346, 354,
 355
 Konopnica, 203, 204, 205, 206,
 207, 208, 249, 365
 Konstantynów 208
 Korytno 277
 Kosałki (Kosatka?) 350, 363
 Kościelna (Kościelny Słomów
 albo Kościelnica?) 305, 343,
 347
 Koźminek 203, 213, 305, 306,
 336, 337, 344, 351, 362
 Koźniewice 368
 Kraków 225, 226, 233, 267,
 269, 286, 326, 328
 Kraykowice(?) 364
 Królików 338, 362
 Kruszyna 265, 267, 321, 322,
 323, 332, 347, 350, 368
 Krzemieniewice 368
 Krzeszowice 226
 Krzykawka 269
 Kutno 163, 172
 Kuźnica 366
 Kuźnica Grabowska 211, 213,
 214, 215, 219, 223, 253, 349,
 366, 367, 368
 Kuźniczka 234, 368
 Łąd 354, 355
 Łądek 292, 357, 359
 Leśniaki (Oleś?) 245
 Liège 164
 Ligota Burzeńska 366
 Ligota Kalinowska 364, 367
 Liswarta (rz.) 241
 Lubiec 249, 364
 Lubień 280
 Lubiszewice 364
 Ludwików 368
 Lutomiersk 175, 201
 Łask 166, 191, 198, 201, 202,
 210, 221, 223, 251, 284, 292,
 293, 310
 Łazy 167
 Łęczyca 167, 198, 203, 364
 Łobodno 228, 368
 Łódź 191, 196, 322
 Łubna 208
 Łyskornia 365
 Maciejowice 176
 Magdalenów 364
 Maksymów 368
 Malanów 306
 Maluszyn 228, 266, 269, 274,
 278, 282
 Małgów 362
 Małków 343
 Małogoszcz 275
 Małyń 364
 Maszew 335
 Maszynty (Mielcuchy?) 211
 Michałów 211, 366
 Miechów 269
 Miedzno 176, 178, 192, 364
 Mierzączka 224

Mikołajewice 208
 Miłosław 356
 Młyniska 365
 Młyny 335, 344, 368
 Mogilno 224, 368
 Mokra 368
 Mrowicze 368

 Nakwasin 363
 Napoleon (kolonia) 368
 Niechmirów 245, 296, 300
 Niemojew 210
 Nieszawa 318
 Nosalewice 368
 Nowa Wieś 220, 227, 366

 Obertyn 248
 Ochotnik 277
 Ogrodziska 364
 Okołów 259, 260
 Oleś (Leśniaki?) 245
 Oleśnik 368
 Opatówek 171, 212, 351, 366
 Opoczno 280
 Orpelów 368
 Orzechówek 368
 Osiny 367
 Ostrołęka 176
 Ostrów 164
 Ostrycharze 211, 365
 Osuchów 336
 Ozorków 202
 Ożarów 365

 Pabianice 166
 Pajęczno 241, 242, 245, 246, 292
 Paryż 196, 268
 Parzymiechy 368
 Pęcherzew 304, 305
 Pichlice 365
 Piekary 335

 Pilica (rz.) 224, 226, 227, 228,
 250, 251, 259, 260, 261, 266,
 267, 272, 274, 275, 276, 280,
 367, 368
 Piotrków 165, 166, 167, 219,
 220, 223, 224, 265, 273, 274,
 280, 291, 322, 364, 367
 Płaskowice 282
 Pławno 228, 251, 265, 368
 Płoszów 272
 Poddębice 175, 196
 Podgórze 364
 Podkowa 239
 Podstole 277, 368
 Poleszyn 368
 Policzko 368
 Poprężniki 307
 Poręby 364
 Praszka 210, 211, 234, 236, 269,
 365, 368
 Prosna (rz.) 163
 Prusinowice 195, 196, 364
 Pruszków 223, 367
 Przedbórz 228, 247, 277, 280,
 281, 282
 Przemyśl 264
 Przewóz 280
 Przyborów 272
 Przybyszów 368
 Przyrownica 364
 Przyrów 249, 265
 Przywidz 364
 Psary 202, 203, 204
 Pyszków 366
 Pyzdry 248

 Raławice 265
 Radomsko 166, 228, 265, 273,
 274, 279, 280, 322
 Radoszewice 228, 244, 251

Ralewice 195
 Raszelki 367
 Rembielice Królewskie 368
 Robaszew 366
 Rogi 368
 Rogów 305
 Rogoźno 364
 Rożdżały 367
 Ruda 364
 Rudniki 239, 275, 347
 Ruszczyń 368
 Rybno 228, 368
 Rychłocice 247, 251, 256, 258,
 264, 296, 302
 Rychwał 337, 338, 362
 Rydzew 349
 Rzabice (Zrąbiec, Rząbiec lub
 Żabce?) 368
 Rząsawa 368
 Rzeczyca 364
 Rzepiszew 364
 Rzym 290

 Samarzew (wieś) 356, 359
 Sarbice 335
 Sarbicko 337, 346, 352
 Secemin 269
 Sewastopol 333
 Sędzice 208
 Sędziejowice 251, 284, 312, 313,
 315, 349
 Siedliska 345
 Siedlce 202
 Sieradz 164, 165, 166, 167, 171,
 175, 176, 181, 182, 185, 186,
 188, 189, 190, 195, 198, 202,
 209, 213, 219, 220, 223, 240,
 292, 293, 318
 Skąła 269
 Skęczniew 335, 345

 Skierniewice 167
 Skotniki 247, 280
 Skrzyńki 366
 Skrzyńno 239
 Sokolniki 211
 Sosnowice 245
 Sowizdrzały 220, 349
 Starachowice 282
 Staw 171
 Stolec 365
 Strachanów 335, 341, 342, 343,
 344
 Strachocice 335
 Stryje Księżę 368
 Strzałki 220
 Strzałków 213
 Suchoczasy 364
 Sulejów 224, 227, 280
 Szadek 166, 171, 172, 175, 180,
 181, 195, 196, 198, 201, 202,
 203, 251, 307, 308, 364
 Szadkowice 364
 Szarbsk 280
 Szczawno 367
 Szczekociny 226, 256, 263, 264
 Szczerców 192, 198, 199, 201
 221, 242, 249, 255, 265, 266,
 269, 321, 368
 Szczukocice 368
 Świątki 220
 Świerczów 220
 Świerzyny 364
 Świnice 196

 Takomyśl 366
 Tądów 307
 Tokary 344
 Tomawa 280
 Tomczyki 350

Trzepnica 247, 277, 278, 279,
 282
 Tuliszaków 170, 337
 Turek 166, 185, 191, 203, 212,
 305, 306, 318, 336, 337, 342
 Uniejów 166, 169, 178, 179, 191,
 196, 198, 203, 208, 213, 224,
 251, 304, 305, 347, 364
 Uników 365
 Wadlew 368
 Walichnowy 365
 Warszawa 163, 164, 168, 172,
 177, 203, 246, 251, 270, 271,
 307, 318, 326, 353
 Warta 166, 167, 168, 169, 171,
 172, 177, 180, 182, 185, 186,
 190, 195, 196, 203, 208, 224,
 283, 292, 336, 342, 343, 346,
 365
 Warta (rz.) 167, 169, 180, 195,
 203, 208, 210, 228, 239, 242,
 249, 251, 292, 302, 307, 318,
 335, 341, 346, 368
 Widawa 198, 201, 210, 251, 252,
 292, 303, 310, 364
 Widzów 251, 368
 Wielkopole 364
 Wieluń 165, 167, 195, 198, 209,
 210, 211, 220, 236, 240, 249,
 364, 365, 367
 Wieruszów 210, 211
 Wilkowice 223
 Wiry 239
 Wisła (rz.) 227, 283, 350
 Witnica 352
 Władysławów 337 352
 Wola Grzymalina 368
 Wola Klonowska 208
 Wola Kruszyńska 368
 Wola Mikorska 368
 Wola Wężykowa 367
 Wola Więzowska 213
 Wola Wojsławska 364
 Wola Zaleska 364
 Wólka Księża 364
 Wólka Szlachecka 364
 Wrocław 163, 203, 288, 329,
 350
 Wrzesiny 223
 Wrzeszczewice 210, 284, 309,
 310, 347, 348, 366
 Wygieźłów 220, 223, 366, 367
 Wymysłów 224 368
 Zagórow 352
 Zagórze 228, 229, 234, 240, 368
 Zapolice 364
 Zduńska Wola 166, 198, 202,
 223, 304, 307, 308, 364
 Zimna Woda 368
 Złoczew 207, 210, 284, 292, 294,
 295, 297, 302, 313, 340
 Żarnowiec 269
 Żerechowa 280
 Żytno 228



120
 343.8

